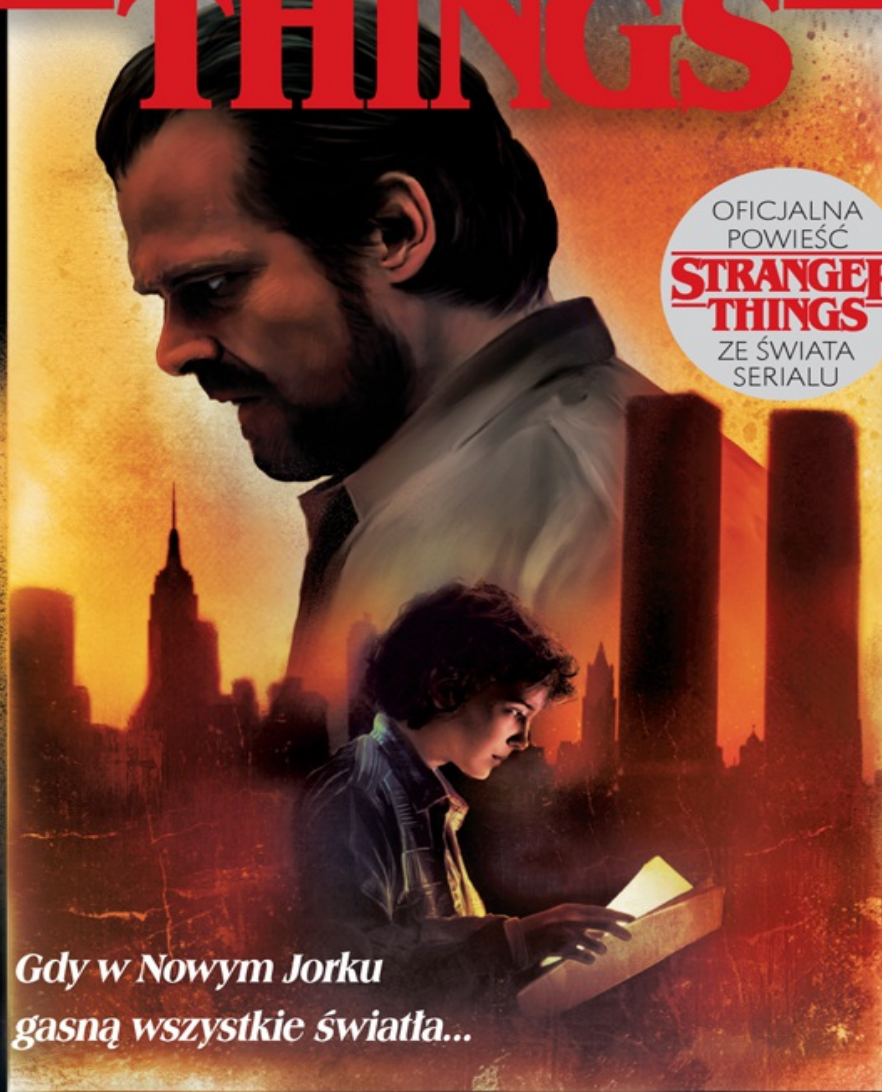


STRANGER THINGS



OFICJALNA
POWIEŚĆ
**STRANGER
THINGS**
ZE ŚWIATA
SERIALU

*Gdy w Nowym Jorku
gasną wszystkie światła...*

CIEMNOŚĆ NAD MIASTEM

ADAM CHRISTOPHER

 Poradnia K

NETFLIX

ADAM CHRISTOPHER

STRANGER THINGS

CIEMNOŚĆ NAD MIASTEM

Przełożyła Paulina Braiter

 Poradnia K

NETFLIX

Tytuł oryginału: *Darkness on the Edge of Town*

Przełożyła: PAULINA BRAITER

Copyright © 2019 by Netflix CPX, LLC and NETFLIX CPX International, B.V
All rights reserved. This translation published by arrangement with Del Rey, an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC.

Stranger Things is a trademark or registered trademark of Netflix CPX, LLC and NETFLIX CPX International, B.V”.

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2019

Copyright © for the Polish translation by Paulina Braiter

Zdjęcie na okładce: RICH DAVIES

Projekt okładki: SCOTT BIEL

Adaptacja okładki: JOANNA RENIGER

Projekt typograficzny i łamanie: MONIKA ŚWITALSKA / Good Mood Studio

Redakcja i korekta: AGNIESZKA BETLEJEWSKA, MAGDALENA GERAGA,
JOLANTA KUCHARSKA

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-56-3

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.
ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa
tel: 691962519

www: www.poradniak.pl

[Facebook.com/poradniak](https://www.facebook.com/poradniak)

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

adamchristopher.co.uk

Twitter: [@gostfinder](https://twitter.com/gostfinder)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Wstęp](#)

[Rozdział 1 - Przyjęcie urodzinowe](#)

[Rozdział 2 - Trzecia ofiara](#)

[Rozdział 3 - Sonny i Cher](#)

[Rozdział 4 - Zwyczajny dzień w pracy](#)

[Rozdział 5 - Inwazja federalnych](#)

[Rozdział 6 - Plan ataku](#)

[Rozdział 7 - Dom tajemnic](#)

[Rozdział 8 - Lista](#)

[Rozdział 9 - Informator](#)

[Rozdział 10 - Karta](#)

[Rozdział 11 - Pan buntownik](#)

[Rozdział 12 - Ptaki i klatki, koty i worki](#)

[Rozdział 13 - Porwanie](#)

[Rozdział 14 - Tajna historia Lisy Sargeson](#)

[Rozdział 15 - Propozycja](#)

[Rozdział 16 - Stracone popołudnie](#)

[Rozdział 17 - Operacja](#)

[Rozdział 18 - Zniknięcie detektywa Jamesa Hoppera](#)

[Rozdział 19 - Kawa i kontemplacja](#)

[Rozdział 20 - Martha](#)

[Rozdział 21 - Zbrodnie i wykroczenia](#)

[Rozdział 22 - Gniazdo Żmij](#)

[Rozdział 23 - Bracia z szeregów](#)
[Rozdział 24 - Odprawa nadzwyczajna](#)
[Rozdział 25 - Tajne wiadomości](#)
[Rozdział 26 - Dzień drugi](#)
[Rozdział 27 - Wyjaśnienia](#)
[Rozdział 28 - Śledztwa w całym mieście](#)
[Rozdział 29 - Spóźnienie](#)
[Rozdział 30 - Wejście Węża](#)
[Rozdział 31 - Delgado sięga po telefon](#)
[Rozdział 32 - Czas decyzji](#)
[Rozdział 33 - Wizyta domowa](#)
[Rozdział 34 - Święty z Południowego Bronksu](#)
[Rozdział 35 - Świeże mięso](#)
[Rozdział 36 - Jeśli trącisz grzechotnika, to cię ugryzie](#)
[Rozdział 37 - Tajemnica magazynu](#)
[Rozdział 38 - Zabawa w chowanego](#)
[Rozdział 39 - Niebezpieczne odkrycia](#)
[Rozdział 40 - Ciemności w Brooklynie](#)
[Rozdział 41 - Zaćmienie](#)
[Rozdział 42 - Miasto stojące na głowie](#)
[Rozdział 43 - Jak żyje ta druga połowa](#)
[Rozdział 44 - Jeźdźcy z piekła](#)
[Rozdział 45 - Eric donosi z terenu](#)
[Rozdział 46 - Ucieczka w niebezpieczeństwo](#)
[Rozdział 47 - Porównanie spostrzeżeń](#)
[Rozdział 48 - Ostatnia odprawa](#)
[Rozdział 49 - Sen o Brooklynie](#)
[Rozdział 50 - Gniazdo Węża](#)
[Rozdział 51 - Ostatnia ofiara](#)
[Rozdział 52 - Pokłosie grozy](#)

Rozdział 53 - Bohaterowie choć na jeden dzień

Podziękowania

Dla Sandry, zawsze.

I dla Aubrey, ponieważ.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera, Hawkins, Indiana

Jim Hopper starał się powstrzymać uśmiech, który uparcie rozjaśniał mu twarz. Stał przy zlewie z rękami zanurzonymi w gorących mydlinach i patrzył przez kuchenne okno na padający na zewnątrz śnieg, olbrzymie płatki wielkości dłoni.

Boże Narodzenie nie było dla niego najlepszym okresem, nie od czasu... cóż, od dawna. Od czasu Sary. Był tego świadom, zaakceptował to i przez sześć lat – teraz już prawie siedem – od powrotu do Hawkins zdążył pogodzić się z uczuciem dojmującego smutku i straty, narastającym z każdym dniem w miarę zbliżania się świąt.

Pogodził się? Niedokładnie. Raczej chętniej witał te uczucia, pozwalał im sobą zawładnąć, bo były... łatwe. Wygodne.

I, o dziwo, bezpieczne.

Jednocześnie jednak sam siebie za to nienawidził. Wyrzucał sobie, że się poddał, że pozwolił, by kielkujące w umyśle nasienie rozpacz rosnąć z każdym rokiem, aż w końcu rozkwitło w pełni. A ta nienawiść jedynie popychała go głębiej w mrok – i cały cykl powtarzał się na nowo.

Ale nie tym razem. Nie teraz.

Nie w tym roku.

To był pierwszy rok, w którym sytuacja się zmieniła, jego życie się zmieniło i to pokazało mu, jak nisko upadł, czym się stał.

A wszystko dzięki niej, Jane, jego adoptowanej córce. Legalnie, oficjalnie stanowiącej część rodziny.

Jane Hopper.

Jedenastka.

Nastka.

Hopper znów poczuł na twarzy uśmiech natrętnie unoszący kąciki ust. Tym razem nie próbował z tym walczyć.

Obecność Nastki nie oznaczała, że musi zapomnieć o przeszłości, wręcz przeciwnie. Przyniosła nowe obowiązki. Raz jeszcze miał córkę, którą musiał wychować, a to zmusiło go, by w końcu ruszył z miejsca. Przeszłość nie zniknęła, ale wreszcie mógł pozwolić jej zapaść gdzieś w zakamarki pamięci.

Na dworze wciąż padał śnieg, drzewa otaczające domek wyrastały teraz z ponad pół metra miękkiego białego puchu. W radiu twierdzili, że to nie śnieżycyca, nie ostrzegano też przed załamaniem pogody, lecz prognoza, której Hopper wysłuchał po południu, teraz wydawała się nieco zbyt optymistyczna. Przewidywano obfite opady w całym hrabstwie, a Hopper miał wrażenie, że cały ten śnieg wylądował na kilku akrach wokół starego domu dziadka. Jeśli musicie podróżować, powiedzieli w prognozie, lepiej tego nie róbcie. Zostańcie w domu. W ciepłe. Dopijcie ajerkoniak.

I to świetnie mu pasowało.

Jeśli zaś chodzi o Nastkę...

– Woda jest zimna.

Zamrugnął, wyrwany z zamyślenia. Nastka stała obok niego przy zlewie. Spojrzał na nią z góry: wpatrywała się w niego w takim

napięciu, z takim zainteresowaniem i troską. Wyraźnie dziwiło ją, że Hopper stoi przy zlewie i zmywa tak długo, aż woda zdążyła wystygnąć. Potem popatrzył na swoje dłonie i wyciągnął je z opadającej piany. Opuszki zamieniły się w pomarszczone śliwki, a sterta naczyń z poświętecznej uczyt wcale znacząco nie zmaląła.

– Wszystko w porządku?

Hopper znów zerknął na Nastkę. Patrzyła na niego wyczekująco wielkimi oczami i stwierdził, że uśmiech znów zagościł na jego twarzy. Do diabła, nic nie mógł poradzić.

– Tak, wszystko dobrze. – Wyciągnął rękę, żeby poczochnąć jej ciemną, kręconą czuprynę, ale cofnęła się, skrzywiona, przed dotknięciem pokrytych pianą palców. Hopper zaśmiał się i wziął z blatu ręcznik. Wycierając ręce, skinął głową w stronę pokoju.

– Udało ci się wywołać Mike’a?

Nastka westchnęła – może odrobinę zbyt dramatycznie, pomyślał... ale przecież wszystko w niej było nowe i często stanowiło wyzwanie. Patrzył, jak wraca na kanapę i podnosi solidną bryłę nowej krótkofalówki. Podała mu ją, jakby w jakiś magiczny sposób potrafił przywołać z eteru jej przyjaciela. Patrzyli na siebie. Po chwili Nastka niecierpliwie pokiwała krótkofalówką.

– Co niby mam zrobić? – Hopper zarzucił ręcznik na ramię. – Nie działa? – Wziął urządzenie i obrócił w dłoniach. – Niemożliwe, żeby już trzeba było zmienić baterie.

– Nikogo nie ma.

Nastka znów westchnęła, ramiona jej oklapły.

– A, tak, już pamiętam. – Hopper przypomniał sobie, że Mike, Dustin, Lucas i Will odwiedzali dziś swoje rodziny, cała banda pozostawała poza zasięgiem nowej krótkofalówki Nastki. Dziewczynka odebrała mu ją i zaczęła majstrować, włączając i wyłączając głośność. Po każdym obrocie gałki w głośniku rozlegała

się eksplozja trzasków.

– Ostrożnie – upomniał ją Hopper. – Sprawili ci wspaniały prezent.

Skrzywił się, przypomniawszy sobie własne osiągnięcia w tej dziedzinie. „Łakome Hircie”, gra stanowczo za dziecinna dla Nastki, co boleśnie uświadomił sobie w chwili, gdy poprzedniego dnia dziewczynka rozerwała papier prezentu, jakże mizernego w porównaniu z tym, na co zrzucili się chłopcy.

Najwyraźniej jeśli chodzi o ojcostwo, zdecydowanie wyszedł z sprawy. Kupił tę grę niemal bez namysłu, bo Sara ją uwielbiała i...

Ale Nastka to nie Sara.

Nastka jednak nie zauważyła skrępowania Hoppera, tak bardzo skupiła się na krótkofalówce. Wrócił do zlewu, odkręcił kran z gorącą wodą, jedną ręką zamieszał energicznie.

– I wczoraj świetnie się bawiłaś, prawda? – Zerknął przez ramię.
– Prawda?

Przytaknęła i przestała włączać i wyłączać walkie-talkie.

– Właśnie – powtórzył Hopper. – A jutro wszyscy wrócą do domu – dodał, zakręcając kran. – Pewnie wieczorem uda się ich wywołać.

Ponownie napełniwszy zlew, wrócił do przerwane go zmywania. Słyszał za sobą, jak Nastka wchodzi do kuchni, spojrzał na nią, gdy znów zmaterializowała się u jego boku.

– Hej – zanurzył kolejny talerz – wiem, że się nudzisz, ale wierz mi, nuda to dobra rzecz.

Nastka zmarszczyła brwi.

– Nuda to dobra rzecz?

Hopper odczekał chwilę z nadzieją, że zmierza we właściwą stronę ze swoją zaimprovizowaną rodzicielską mądrością.

– Jasne, że tak. Bo kiedy się nudzisz, jesteś bezpieczna. Kiedy się

nudzisz, wpadasz na nowe pomysły. A pomysły to dobra rzecz. Nigdy nie ma ich dosyć.

– Pomysły są dobre – przyznała Nastka. To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Hopper znów na nią spojrział, niemal słyszał obracające się w jej głowie trybiki.

– Właśnie – przytaknął. – Pomysły prowadzą do pytań, a pytania też są dobre.

Wyjrzał przez okno, ukrywając przed córką nagły grymas. *Pytania też są dobre?* O czym on niby gadał? Sam nie wiedział, czy wypił za dużo ajerkoniaku, czy może za mało.

Nastka zniknęła z kuchni. Po chwili usłyszał, jak włącza telewizor. Oglądając się przez ramię, stwierdził, że siedzi na kanapie. Choć nie sięgała odbiornika, kanały zmieniały się błyskawicznie jeden po drugim, ekran przeskakiwał od jednych różnobarwnych szumów do kolejnych.

– Hej, to pogoda. Przykro mi, przez jakiś czas nie będziemy mieli telewizji. Może chciałabyś zagrać teraz w „Łakome Hipcie”?

Odpowiedziała mu tylko cisza. Znów zerknął za siebie – Nastka obróciła się na kanapie i posłała mu spojrzenie, które mógł opisać tylko jako... wyniośle poirytowane.

Zaśmiał się głośno.

– Tylko proponuję. Może poczytaj książkę.

Skończył zmywać i wyciągnął korek ze zlewu. Gdy woda spływała, wytarł ręce i spojrział przez kuchenne okno. Zobaczył w nim odbicie kanapy i wciąż włączonego telewizora, ale ani śladu Nastki.

Świetnie, pomyślał. Nic nie mógł poradzić na pogodę, ale może uwięzienie w domku nie okaże się takie złe. Przed świętami mieli mnóstwo zajęć, Nastka spędzała czas z przyjaciółmi, Hopper

wykorzystał okazję, by trochę posiedzieć z Joyce. Najwyraźniej się trzymała i cieszyło ją jego towarzystwo. Jonathana także.

Odwrócił się i podszedł do czerwonego kwadratowego stołu, ustawionego pod ścianą po drugiej stronie blatu kuchennego. Na środku leżało otwarte pudełko z grą. Zastanowił się przez moment, czy powinien pograć sam ze sobą, przysunął sobie krzesło dokładnie w chwili, gdy Nastka wyłoniła się ze swojego pokoju. Spojrzała na niego z taką powagą, aż znieruchomiał z dłonią na oparciu krzesła.

– Um... Wszystko w porządku?

Przekrzywiła głowę niczym pies, nasłuchujący dźwięku wykraczającego daleko poza granicę ludzkiego słuchu. Wciąż wbijała wzrok w Hoppera.

– O co chodzi? – spytał Hopper.

– Dlaczego jesteś gliną?

Zamrugnął i głośno wypuścił powietrze, pytanie kompletnie go zaskoczyło.

Do czego ona zmierza?

– No cóż, to ciekawe pytanie. – Przeczesał włosy wilgotnymi palcami.

– Mówiłeś, że pytania są dobre.

– No tak, mówiłem. I są.

– No więc?

Hopper zaśmiał się i przytrzymał oparcia krzesła.

– Nie jestem do końca pewien, czy naprawdę chciałem zostać gliną – powiedział. – Po prostu w tamtym czasie uznałem, że to dobry pomysł.

– Czemu?

– No cóż – urwał, wyprostował plecy i potarł dłonią nieogolony

podbródek. – Tak naprawdę nie wiedziałem, co ze sobą począć. Właśnie wróciłem z... – nie dokończył.

O nie, jeszcze nie teraz. To temat na inną okazję.

Machnął ręką w powietrzu.

– Chciałem coś zrobić. Coś zmienić. Chyba pomagać ludziom. A że miałem doświadczenie i potrzebne umiejętności, uznałem, że mogę się przydać, więc w końcu zostałem gliną.

– I?

Hopper zmarszczył brwi.

– I co?

– Zmieniłeś coś?

– No...

– Pomogłeś ludziom?

– Hej, tobie pomogłem, prawda?

Nastka uśmiechnęła się.

– Gdzie byłeś wcześniej?

Hopper pokręcił głową.

– Chyba nie jesteś jeszcze gotowa na tę historię.

Nagle poczuł lekki ucisk w piersi, który w połączeniu ze spożytymi resztkami ajerkoniaku sprawił, że zrobiło mu się niedobrze.

Teraz to Nastka pokręciła głową.

– Pytania są dobre – powtórzyła.

Miała rację. Przyjął ją do siebie, pomógł jej, chronił, razem przeszli przez rzeczy, których ludzie nie potrafią sobie nawet wyobrazić, a teraz także pod względem prawnym stali się rodziną. A jednak pojął, że stanowi dla niej tak wielką tajemnicę, jak ona dla niego tamtej nocy w domu Joyce, po tym jak znalazł ją i chłopców na złomowisku.

Nastka przekrzywiła głowę i spojrzała na niego. Wyraźnie czekała na odpowiedź.

– Posłuchaj, mała, są sprawy, których nie jesteś jeszcze gotowa wysłuchać, i inne, o których nie jestem jeszcze gotów opowiadać.

W skupieniu zmarszczyła brwi. Hopper odkrył, że przygląda się jej zafascynowany, zastanawiając się, dokąd teraz skieruje rozmowę.

– W Wietnamie? – spytała. Zabrzmiało to, jakby nigdy wcześniej nie wymówiła głośno tego słowa.

Uniósł brew.

– W Wietnamie? Gdzie o tym słyszałaś?

Pokręciła głową.

– Czytałam.

– Czytałaś?

– Na pudełku. Pod podłogą.

– Pod podło... – Hopper się zaśmiał. – Badałaś dom?

Przytaknęła.

– No dobrze, masz rację, wróciłem z Wietnamu. To inny kraj, bardzo daleko stąd.

Nastka przysunęła się do stołu.

– Ale – urwał – prawdę mówiąc, to nie najlepszy pomysł.

– Co?

– Żebym opowiadał ci o Wietnamie.

– Czemu nie?

Hopper westchnął. To dopiero pytanie. Ale jak miał odpowiedzieć? Tak naprawdę uświadomił sobie, że nie chce rozmawiać o Wietnamie nie z powodu traumy czy osobistych demonów. Dla niego to była historia starożytna – do tego stopnia, że wydawała się częścią życia innej osoby. Choć nie zastanawiał się

nad tym dłużej, wiedział, jak bardzo odciął się w umyśle od własnej przeszłości. Więc owszem, w Wietnamie było ciężko i wrócił stamtąd odmieniony – podobnie jak większość ludzi – ale nie miało to już znaczenia, nie teraz. To nie był on, nie dzisiejszy on.

Ponieważ pogodził się z faktem, że jego życie tak naprawdę dzieliło się tylko na dwie części.

Przed Sarą. Po Sarze.

I nic innego nie miało znaczenia. Łącznie z Wietnamem.

Nie był tylko pewien, jak to wyjaśnić Nastce.

– Ponieważ – oznajmił z uśmiechem – Wietnam był bardzo dawno temu. Naprawdę dawno. I nie jestem już tym człowiekiem. – Pochylił się do przodu, wsparty na łokciach. – Posłuchaj, przepraszam, rozumiem, że jesteś ciekawa, i rozumiem, że chcesz dowiedzieć się o mnie więcej. Jestem twoim...

Urwał, Nastka uniosła brew, znów zadarła brodę, czekając na odpowiedź.

Westchnął radośnie.

– Jestem teraz twoim tatą. I owszem, niewiele o mnie wiesz. Łącznie z Wietnamem. Pewnego dnia, kiedy będziesz starsza, opowiem ci o nim.

Zmarszczyła czoło, Hopper uniósł dłoń, powstrzymując nieuniknioną ripostę.

– Po prostu musisz mi zaufać. Pewnego dnia będziesz gotowa, i ja także. Na razie jednak odpuśćmy to sobie, dobra, mała?

Nastka zacisnęła wargi, w końcu pokiwała głową.

– No dobrze – rzekł. – Słuchaj, wiem, że się nudzisz i masz pytania. To dobrze. Może zatem znajdziemy inny temat do rozmowy? Pozwól tylko, że nastawię kawę.

Wstał, wrócił do kuchni i zaczął krzątać się wokół ekspresu,

antyku znalezionego w jednej z szafek, który, o dziwo, zdawał się całkiem nieźle działać. Gdy zaczął napełniać zbiornik wodą, za plecami usłyszał głośny łoskot.

Przy czerwonym stole Nastka ocierała o dzinsy zakurzone ręce. Na blacie stało duże pudło na akta, z boku widniały dwa słowa: NOWY JORK.

Hopper nie widział tego pudła od lat, ale wiedział, co się kryje w środku. Podeszedł do stołu i przyciągnął je do siebie, po czym spojrzał na Nastkę.

– Sam nie wiem...

– Powiedziałaś, żebyś znalazła coś innego. – Pokazała palcem pudło. – Coś innego.

Z wyrazu jej oczu, tonu głosu wyczytał, że nie ustąpi, nie tym razem.

No dobra. Nowy Jork, Nowy Jork. Hopper usiadł za stołem i spojrzał na pudło. To przynajmniej coś bliższego w czasie.

Czy była na to gotowa?

A czy on był gotów?

Gdy Nastka zajmowała miejsce naprzeciwko, uniósł pokrywkę. W środku tkwiła zbieranina akt i dokumentów, a na niej leżała gruba brązowa teczka, obwiązana dwoma zestawami czerwonych gumek.

Ach.

Nie wyjmując teczki, zsunął gumki i otworzył ją. Ze środka wyrzało na niego duże czarno-białe zdjęcie przedstawiające leżącego na łóżku trupa w białej koszuli nasiąkniętej czarną krwią.

Zamknął teczkę i pudło, odchylił się na krześle i popatrzył na Nastkę.

– To nie najlepszy pomysł.

– Nowy Jork.

– Posłuchaj, Nastko...

I wtedy pokrywka pudełka otworzyła się sama. Hopper zamrugał, spojrział na Nastkę, jej twarz miała stanowczy, niewzruszony, zacięty wyraz.

Hopper rozluźnił szyję i ramiona.

– No dobra, zgoda. Chcesz Nowego Jorku, dostaniesz Nowy Jork.

Przyciągnął pudło bliżej. Tym razem nie zważając na teczkę, wydobył tkwiący pod spodem przedmiot. To była duża, biała karta w foliowej torebce, przypięta zszywaczem do pojedynczej kartki z opisem szczegółów zdarzenia. Zapatrzył się w nią – zupełnie gładką – a potem odwrócił, odginając kartkę. Na odwrocie widniał symbol narysowany ręcznie grubym czarnym tuszem: pięcioramienna gwiazda.

– Co to?

Hopper uniósł wzrok. Nastka wstała i pochyliła się nad pudłem, żeby zajrzeć do środka. Odsunął je na bok i uniósł rękę.

– To tylko karta z głupiej gry – powiedział ze śmiechem, ale śmiech zamarł mu w gardle, gdy ponownie przyjrzał się symbolowi.
– Prawdę mówiąc, myślę, że byłabyś w niej świetna.

Nastka usiadła, popatrzyła na Hoppera. W jej oczach ujrzał blask.

– Gra?

– Wrócimy do tego – obiecał.

Położył kartę na stole przed sobą, znów uniósł pudło i postawił na podłodze obok krzesła. Wciąż ignorując leżącą na wierzchu teczkę, wyciągnął plik dokumentów. Na wierzchu spoczywał list pochwalny od naczelnika wydziału dochodzeniowego policji nowojorskiej.

Hopper odczytał datę na górze kartki: środa, dwudziesty lipca

tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku.

Odetchnął głęboko, po czym spojrział na Nastkę.

– Nim zostałem naczelnikiem policji w Hawkins, pracowałem w Nowym Jorku jako gliniarz, detektyw w wydziale zabójstw.

Nastka wymówiła bezdźwięcznie nieznane słowo.

– A, tak – rzekł – zabójstwo. To znaczy morderstwo.

Popatrzyła na niego zdumiona.

Hopper westchnął, zastanawiając się, czy właśnie nie otworzył puszki Pandory.

– W każdym razie latem siedemdziesiątego siódmego zdarzyło się coś bardzo dziwnego...

Przyjęcie urodzinowe

4 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Korytarz był biały. Ściany, podłoga, sufit. Wszystko. Biel z bielą na bieli. Hopper zamiast zachwytu czuł jedynie lekki zawrót głowy. Ślepotą śnieżną w środku miasta. To ci dopiero.

Cały dom był biały, od góry do dołu, każde pomieszczenie na każdym piętrze. Na zewnątrz zwykła brooklyńska kamienica, wewnątrz instalacja artystyczna. Ściskając w dłoni kieliszek czerwonego wina w jego najszerzej części, Hopper ze zgrozą pomyślał, że mógłby wylać choć kroplę.

Tylko bogaci ludzie mogli mieszkać w takim domu, uznał, bo tylko bogatych stać na armię sprzątaczy, którzy utrzymywaliby go w równie nieskazitelnym stanie. Bogatych, którzy myślą, że są Andym Warholem. Bogatych, którzy przyjaźnili się z Andym Warholem, a przynajmniej znali jego dekoratora wewnątrz.

I mieli też dzieci. Dwójkę – bliźnięta, w tej chwili obchodzące urodziny na wspólnym przyjęciu w ogromnej kuchni na tyłach domu, wychodzącej na bujny ogród okolony wysokim murem, niewiarygodną oazę ukrytą pomiędzy szeregi domów, wyspę zieleni, która jakimś cudem przetrwała prażące niemiłosiernie

słońce zamieniające resztę Nowego Jorku w misę kurzu i piachu. Hałas z przyjęcia odbijał się echem w spartańskim korytarzu, na którym Hopper znalazł schronienie, przynajmniej na jakiś czas, wraz z nierozsądnie dobranym drinkiem.

Uniósł kieliszek i przyjrzał się zawartości. Czerwone wino na dziecięcym balu urodzinowym.

O tak, Palmerowie byli dokładnie takim typem ludzi.

Westchnął i pociągnął łyk. Nie tak zamierzał spędzić Czwartego Lipca, ale wiedział, że nie powinien osądzać. Dzieci – pełna trzydziestka, niemal cała klasa Sary z podstawówki – świetnie się bawiły. Rozrywkę zapewniał zespół profesjonalistów wynajętych na tę okazję przez Palmerów. Jedzenie i napoje – a także potworne ilości cukru – ekipa cateringowa zapewne zarobiła na tej imprezie więcej niż Hopper przez cały miesiąc.

Nie tylko dzieci świetnie się bawiły, ich rodzice także. Gdzieś w głębi białego korytarza, za jednymi z wielu białych drzwi dorośli – oprócz Hoppera – oglądali przygotowane specjalnie dla nich przedstawienie. Ktoś coś wspominał o magicznych sztuczkach. Diane próbowała przekonać Hoppera, by do nich dołączył – usiłowała nawet zaciągnąć go za rękę – ale... Magiczne sztuczki?

Nie, tu było mu całkiem dobrze. Samemu. W korytarzu nieskończonej bieli. Z winem.

Z kuchni dobiegł ryk śmiechu, któremu niemal natychmiast zawtórował prawie identyczny z drugiej strony korytarza. Hopper popatrzył w jedną, potem w drugą stronę, zastanawiając się, które występy woli. W końcu kręcąc głową i upominając się w duchu, by nie psuć innym zabawy, skierował się w stronę rodziców. Otwierając drzwi na końcu korytarza, niemal spodziewał się, że znajdzie za nimi biały pokój, a w środku Yoko Ono upozowaną na kłapie białego fortepianu, za którym zasiada John Lennon.

Ujrzał kolejny salon, jeden z kilku w tej kamienicy, być może odrobinę mniej surowy niż reszta domu, bo tu biel ścian przełamywały przynajmniej ciemnobrązowe, zdobne, prawdopodobnie oryginalne, biblioteczki.

Cicho zamknął za sobą drzwi i uprzejmym skinieniem głowy pozdrowił stojących nieopodal rodziców. Zauważył, że to głównie mężczyźni, podczas gdy wokół dużego okrągłego stołu, zajmującego większość pomieszczenia, siedziały matki i ciotki, skupione na młodej kobiecie zasiadającej „u szczytu” naprzeciwko drzwi. Owinęła głowę czerwonym wzorzystym szalem. Przed nią na blacie stała szklana kula.

Hopper zacisnął zęby, ale oparł się pokusie zerknięcia na zegarek. Czuł się tu skrępowany, nie na miejscu. Najwyraźniej jako jedyny nie potraktował zaproszenia na dziecięce przyjęcie urodzinowe jako okazji do wystrojenia się. Pozostali ojcowie nosili głównie sportowe marynarki o szerokich klapach w najróżniejszych odcieniach ziemi i pasujące krawaty.

A tak, model T w świecie marynarek i krawatów. W dowolnym kolorze, pod warunkiem że to brązowy.

Nagle Hopper poczuł się lepiej w swoich dżinsach i czerwonej kraciastej koszuli. Przynajmniej było mu wygodnie. Poliester w tym upale to kiepski pomysł – o czym przekonała się część obecnych mężczyzn, co było widać po czerwonych twarzach pokrytych lśniąca warstwą potu.

Ukrywając uśmiech za kieliszkiem, wysączył resztę wina i skupił uwagę na scenie pośrodku pokoju. Siedziała tam Diane w towarzystwie innych pań – w większości ubranych w długie, luźne bawełniane sukienki, znacznie przewiewniejsze niż modne męskie stroje – i w skupieniu słuchała wróżki, która zapatrzona w szklaną kulę udawała, że przepowiada przyszłość. Czy to była Cindy? Matka Toma?

Hopper przez chwilę się pogubił. Nagle nabrał ochoty na kolejny kieliszek wina.

Wróżka gadała i gadała. Była młodsza, niż oczekiwał, choć w sumie nie potrafił orzec, jaka grupa wiekowa najlepiej pasuje wróżkom. Czy nie powinny to być staruszki? Zresztą nieważne, przecież to tylko występy, nic więcej.

Hopper upomniał się w duchu. Ma się odprężyć, cieszyć imprezą i przestać być takim fiutem.

Z zamyślenia wyrwały go głośne oklaski. Rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że kobiety przy stole przesiadają się o jedno miejsce tak, że kolejna znalazła się naprzeciwko wróżki.

To była Diane. Zaśmiała się z czegoś, co powiedziała sąsiadka, a potem zerknęła przez ramię. Na widok Hoppera oczy jej rozbłysły, pomachała, gestem prosząc, by podszedł bliżej. Z niemądrym uśmiechem pod adresem innych ojców ruszył naprzód i stanął za krzesłem żony. Wyciągnęła rękę, a on ją uściśnił. Spojrzała na niego z uśmiechem.

Odpowiedział tym samym.

– Dlaczego patrzysz na mnie? Madame Mystique zaraz przepowie ci przyszłość.

Na te słowa wróżka roześmiała się, odrobinę odsunęła turban i spojrzała na Hoppera.

– Przeszłość, terażniejszość, przyszłość. Wszystkie drogi i ścieżki stoją przede mną otworem! – Pomachała rękami nad kulą.

Diane wyszczerzyła zęby w uśmiechu, odetchnęła głęboko, wyprostowała się na krześle i zamknęła oczy. Powoli wypuściła powietrze przez nos.

– No dobrze – rzekła. – Kawa na ławę.

Zebrani w pokoju zaczęli wiwatować, a wróżka, także walcząc ze śmiechem, pokręciła głową i wbiła wzrok w szklaną kulę, kładąc

dłonie płasko na blacie po obu jej stronach. Nic nie mówiła. Hopper patrzył, jak jej spojrzenie twardnieje, brwi marszczą się, a ona wyraźnie się skupia. Z tyłu salonu dobiegły go szmery, część mężczyźni straciła zainteresowanie.

I wtedy...

– Ja... Och!

Wróżka cofnęła się gwałtownie od szklanej kuli. Hopper położył rękę na ramieniu żony, a ona uściśniła ją lekko.

Kobieta zamknęła oczy, jej rysy wykrzywiły się, jakby w grymasie bólu. Hopper czuł, że Diane coraz mocniej ściska jego rękę. I on poczuł się niepewnie. To była tylko gra, nic prawdziwego, ale coś w pokoju się zmieniło. Lekka atmosfera zabawy nagle wyparowała.

Odchrząknął.

Wróżka otworzyła oczy i przechyliła głowę, wpatrując się w kryształ.

– Widzę... widzę... – Nagle potrząsnęła głową i zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki. – To... ciemność. Chmura... nie, bardziej fala, rozlewa się, rozplywa.... pochłania wszystko.

Diane poruszyła się na krześle i spojrzała na Hoppera.

– Światło... jest... – Wróżka skrzywiła się, jakby właśnie nadgryzła cytrynę. – Jest tam... to nie światło... Nieobecność. Otchłań. Ciemność, chmura, jak fala, nadciąga, zalewa... zalewa...

Kobieta jęknęła, Diane podskoczyła przerażona wraz z połową obecnych w pokoju.

Hopper pokręcił głową.

– Hej, jeśli to jakiś dowcip...

Wróżka znów potrząsnęła głową i znowu, i jeszcze.

– Ciemność. Nic, tylko ciemność. Wielka chmura, czarna jak wąż.

– Wystarczy już – rzucił Hopper.

– Ciemność nadciąga. Noc bez końca. Dzień bez świtu. Dzień...

– Powiedziałem: wystarczy! – Walnął dłonią w stół.

Powieki wróżki uniosły się gwałtownie, wciągnęła głośno haust powietrza. Zamrugowała kilka razy, rozglądając się po twarzach zebranych; jej wyrażała zdumienie, jakby właśnie ocknęła się z głębokiego snu.

A potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Kobiety szybko wstawały z krzeseł, nagle zawstydzone, że brały udział w tej zabawie, ich mężowie mamrotali coś do siebie. Diane wstała, Hopper objął ją ramieniem.

– W porządku?

Przytaknęła, masując skronie.

– Tak, nic mi nie jest. – Odwróciła się i posłała mu słaby uśmiech.

Z powrotem skupił uwagę na wróżce.

– Słuchaj, nie wiem, co to miało być, ale na miłość boską, jesteśmy na przyjęciu urodzinowym dzieciaków. Jeśli chcesz straszyc ludzi, to może zachowaj to na Halloween.

Wróżka uniosła wzrok. Jej twarz nie wyrażała niczego, oczy zwężyły się, jakby usilnie próbowała zrozumieć, co do niej mówi. Inni rodzice zaczęli wychodzić z pokoju, Hopper odwrócił się, by pójść w ich ślady.

– Nic ci nie jest? – spytała Diane.

Obejrzał się i odkrył, że nie mówi do niego; rozmawiała z wróżką, która rozcierała sobie czoło.

– Ach, tak, posłuchaj – mówiła. – Przepraszam cię za to. Naprawdę. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Tak, na pewno. – Hopper pociągnął żonę za ramię, prowadząc ją w stronę drzwi. Tuż przed wyjściem obejrzał się. Kobieta siedząca przy stole nagle wydała się jeszcze młodsza, wielki

czerwony szal i szklana kula wyglądały teraz idiotycznie.

– Porozmawiam o tym z Susan i Billem – obiecał.

– Jim, daj spokój. – Diane pokręciła głową.

Hopper zmarszczył brwi, wypuścił powietrze przez nos i wyszedł. Gdy tylko znalazł się w korytarzu, stwierdził, że gniew mu mija. Sara w otoczeniu innych dzieci pędziła ku nim. W jednej ręce trzymała białą papierową torebkę w czerwone paski, w drugiej brązowe kartonowe pudełko z wyciętymi w nim z boku kwadratowymi dziurami i wieczkiem złożonym tak, że tworzyło mocną rączkę, którą ścisła tak mocno, aż zbieleły jej kostki.

– Hej, mała, co tu masz? – spytał Hopper, klękając, aby podnieść sześcioletnią córkę.

– Tort urodzinowy! I kamień-zwierzątko! Wszyscy takie dostali! Mój nazywa się Molly.

– No dobrze. – Hopper powoli przekrzywił palcami pudełko z kamieniem, które podsunęła mu Sara, by się przyjrzał. – Myślisz, że Molly poczęstuje się tortem?

– Nie bądź niemądry, tatusiu. Molly pije tylko lemoniadę.

– No oczywiście. – Odwrócił się do Diane z komicznie otwartymi ustami, wysoko unosząc brwi. – Hej, to znaczy więcej tortu dla nas!

Diane roześmiała się i pociągnęła go za łokieć.

– Chodźcie.

Ruszyła śladem innych rodziców i dzieci, maszerujących rzędem w stronę drzwi frontowych. W holu czekało dwóch artystów, przebranych za Wuja Sama z okazji Święta Niepodległości. Rozdawali małe amerykańskie flagi na krótkich patyczkach, do których końca przywiązano torebkę cukierków, po jednej na każde przechodzące dziecko. Sara wręczyła swoje kamienne zwierzątko ojcu, uwalniając rękę, by móc chwycić podane słodycze.

– Co się mówi, Saro? – upomniała Diane.

– Dziękuję, panie klaunie!

We trójkę zeszli po schodach wiodących na chodnik, gdy tymczasem reszta uczestników imprezy zniknęła we flotyli samochodów, zajmujących niemal całe dostępne miejsce na ulicy. Hopperowie przyszli pieszo – mieszkali niedaleko i po zaledwie paru krokach Hopper poczuł, jak Sara ciągnie go za rękę. Puścił ją, z radością pozwalając, by zużyła trochę energii podczas marszu do ich mieszkania leżącego parę przecznic dalej.

Diane wzięła męża pod ramię i położyła mu głowę na ramieniu. Szli, nie spiesząc się.

– Świetna zabawa – mruknęła.

– Tak, świetna – odparł. – Przez cały czas śmiertelnie się bałem, że rozleję czerwone wino na coś, czego w życiu nie zdołałbym spłacić, a potem usłyszeliśmy przepowiednię nadciągającej apokalipsy od prorokini zagłady. – Uniósł pudełko. – A, i mamy nowego, nieoczekiwanego członka rodziny. Doskonała impreza. Nie mogę się doczekać, co będzie za rok.

Diane roześmiała się i odsunęła od Hoppera, żartobliwie trącając go w ramię.

– Daj spokój, nie było tak źle. Lisa po prostu... – urwała, gestykulując w powietrzu, gdy próbowała znaleźć jakieś wyjaśnienie.

– Lisa?

– Lisa Sargeson, ta wróżka. Tak naprawdę to jedna z matek dzieci, na boku dorabia magią.

– Przepowiadanie przyszłości to magia?

– Nie tylko przepowiadała przyszłość. Wcześniej pokazała parę całkiem zgrabnych sztuczek uciezkowych z kłódkami i łańcuchami: Janice McGann zgłosiła się na ochotnika i dała zakuć w kajdanki, po czym o mało nie dostała zawału, gdy Lisa oznajmiła,

że nie ma klucza!

Na te słowa Hopper się uśmiechnął.

– A w ogóle skąd te wróżby? Lisę Sargeson poniosło czy co?

Diane wzruszyła ramionami.

– Na moment się pogubiła.

Hopper zagwizdał cicho.

– Niezły moment.

– Niezła impreza.

– Bez dwóch zdań. No wiesz, była tam cała klasa Sary ze wszystkimi rodzicami, ale przysiągłbym, że wynajęty personel i tak miał przewagę liczebną. Rozrywka dla dorosłych? Powiedz, że Susan i Bill po prostu się nie popisywali.

– No cóż – odparła – dobrze się bawiłam, chociaż ty nie.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Widziałam twoją minę.

– Mówiłem, bałem się, że nabałaganię.

– Tak, jasne.

– Tak, jasne!

– Jamesie Hopperze – ponownie wzięła go pod ramię – cały czas byłeś spięty. Musisz się nauczyć odprężyć.

Hopper otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym je zamknął. Wzruszył ramionami i stwierdził, że nie chcą opaść.

– Po prostu...

– Po prostu co?

– No wiesz, ten dom. Ci ludzie. No dobra, Palmerowie to miła rodzina, ale... nie są jak my. Nie są jak żadni z rodziców. To znaczy, nie urządzili przyjęcia w swojej posiadłości w Hamptons tylko dlatego, że wiedzieli, że nikogo nie będzie stać na benzynę, żeby

tam dojechać.

– Wcale nie. – Diane uśmiechnęła się złośliwie.

– No, może i nie. – Hopper w końcu zmusił ramiona, by się rozluźniły. – Ale serio, ten dom? Daj spokój, normalni ludzie tak nie żyją. A skoro mają tyle forsy, czemu posyłają bliźniaki do szkoły publicznej?

– Hej, to bardzo dobra szkoła. Nie uczyłabym tam i z całą pewnością nie posłałabym tam Sary, gdyby nie była.

– Wiem, wiem – mruknął Hopper. – Ale oni mogli posłać dzieciaki do mnóstwa różnych superbajeranckich prywatnych szkół. No wiesz, gdyby było nas stać, nie zrobiłabyś tego? Szkoła Sary jest dobra, ale mimo wszystko mówimy tu o szkole publicznej w Nowym Jorku.

– A gdybym uważała, że nowojorskie szkoły publiczne są nie w porządku, czy oddawałabym im własne krew, pot i łzy? – Spojrzała na Hoppera. – Nie tylko ty próbujesz coś zmienić, Jim. Nie przyjechałam do tego miasta tylko po to, by kibicować ci z boku. Czasami powinieneś o tym pamiętać.

Hopper przytaknął i przytulił mocniej żonę. Jasne, Nowy Jork miał problemy, ale szkoła Sary faktycznie była dobra. Wiedział, jak bardzo Diane poszczęściło się, że tam trafiła, biorąc pod uwagę obecny stan edukacji w mieście. Opowiadała mu o innych szkołach, gdzie ponoć nauczyciele nie zjawiali się na zajęciach, a dwunastolatki podawali sobie butelkę wina, podczas gdy nauczyciel siedział z przodu, nie starając się nawet interweniować, wiedząc, że każda próba posłużenia się własnym autorytetem spotka się z niepowodzeniem, a może wręcz z przemocą. I owszem, były to przypadki ekstremalne, ale czasami całe to miasto sprawiało wrażenie wielkiego przypadku ekstremalnego. Praktyczny bankrut z sypiącymi się usługami publicznymi i infrastrukturą.

Witamy w Nowym Jorku w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku.

Nie żeby Hopper żałował decyzji o przeprowadzce. Wręcz przeciwnie. Dla niego był to zdecydowanie najlepszy możliwy ruch w najlepszym możliwym czasie. Powrót z Wietnamu do Hawkins w stanie Indiana przypominał przejście do równoległego wszechświata. Włożył krew, pot i czasami, jak mu się zdawało, część zdrowia psychicznego w walkę na wojnie, która nie mogła się skończyć i która toczyła się bez żadnych zrozumiałych powodów. A tymczasem życie w pipidówce w Stanach uwięzło w czymś w rodzaju pętli czasu i po powrocie nie dostrzegł żadnych zmian.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek się zmieni, czy w ogóle może się zmienić?

Nie mógł sobie znaleźć miejsca i nawet nie próbował tego ukryć. Przybycie Diane w sześćdziesiątym dziewiątym okazało się miłą odmianą. Wkrótce między nimi wybuchł romans, a później w siedemdziesiątym pierwszym urodziła się Sara. I to pomogło.

Przynajmniej na jakiś czas. Ale Hawkins w stanie Indiana wciąż pozostawało Hawkins w stanie Indiana. Szczęście rodzinne też nie trwa wiecznie. Hopper potrzebował... czegoś innego. Czegoś większego.

Większego miejsca.

Miejsca takiego jak Nowy Jork.

Musiał długo przekonywać Diane i czasami ogarniało go poczucie winy. Choć go wspierała i chciała, by robił to, co uzna za konieczne, przeprowadzka z Hawkins do Nowego Jorku stanowiła dla niej poważny wstrząs – i to pod wieloma względami. Hawkins było małe i senne, ale stworzyli tu dom, rodzinę. Życie tutaj było wygodne i bezpieczne, a po tym, jak wspomnienia z Wietnamu zaczęły szybko gasnąć w pamięci, także łatwe.

I może w tym właśnie tkwił problem – bezpieczne, wygodne, łatwe, to same zalety, ale Hopper wkrótce uświadomił sobie, że nie tego pragnie. Dwie tury w Wietnamie odmieniły go, a potem wrócił i odkrył, że pogrąża się w podmiejskim marazmie.

Już wcześniej dostrzegł oznaki – Diane także – i przynajmniej za to był wdzięczny. Mógł liczyć na jej wsparcie, bez którego... Cóż, nie wiedział, co mogłoby się stać. Widział, co spotykało tych, którzy wyjechali, wrócili i nie potrafili sobie poradzić.

Hopper potrzebował zmiany, więc jej dokonali. Przenieśli się do Nowego Jorku. Wielkiego miasta, miasta w kłopotach, miasta, które potrzebowało pomocy.

Hopper wiedział, że jest gotów, wiedział, że będzie trudno, że to chrzest bojowy w metropolii, którą zaczęto nazywać piekłem na ziemi, nawet wtedy, zanim wszystko naprawdę poszło w diabły.

Ale... Tego właśnie pragnął. Tego potrzebował.

Toteż wiosną siedemdziesiątego drugiego Diane się zgodziła. Przyjęła jego argumenty – że to najlepszy moment, że wciąż są młodzi i że razem zdołają znaleźć ich ścieżkę życiową. To się przysłuży wszystkim.

Doświadczenie zawodowe Hoppera przemawiało na jego korzyść. Po powrocie z wojny wstąpił do policji w Hawkins. Trzy i pół roku porządnej służby i parę pochwał w połączeniu z doświadczeniem wojskowym wystarczyły, by zapewnić mu szybki awans w cierpiącym na chroniczne braki personelu nowojorskim departamencie policji, który zamieniał wybranych krawężników w jakże potrzebnych detektywów. Po kilku miesiącach służby mundurowej, pozwalającej dowiedzieć się jak najwięcej o mieście i wydziale, Hopper dostał odznakę i biurko. Przykładał się do pracy, harował po godzinach, co nie uszło uwagi zwierzchników. Mimo nieustannych cięć budżetowych i redukcji zatrudnienia

w departamencie znów dostał awans, tym razem do wydziału zabójstw.

Nigdy wcześniej nie był taki szczęśliwy.

To prawda, nie mieli zbyt wiele – i to właśnie najbardziej drażniło go, gdy oglądał ostentacyjny przepych w domu Palmerów – ale... byli szczęśliwi. Ich mieszkanie w Brooklynie nie było wcale takie złe. Diane dostała pracę w szkole podstawowej, może nie najlepszej, ale i nie najgorszej. Sara, zdolna dziewczynka, choć dopiero zaczęła pierwszą klasę, radziła sobie świetnie, a Diane czuwała w pobliżu. Nie żeby prowadzić ją za rękę, ale mieć na wszystko oko.

W końcu mieszkali w Nowym Jorku.

Hopper poczuł ostre szarpnięcie nogawki, które wyrwało go z zamyślenia. Spuścił wzrok, to Sara z całych sił ciągnęła go za nogę. Od budynku, w którym mieszkali, dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

– No chodź, chodź! – poganiała. – Czas na kawałek tortu, tato!

– Tak, bo nasza młoda dama najbardziej na świecie potrzebuje kolejnej dawki cukru. – Hopper roześmiał się, podnosząc córeczkę i sadzając ją sobie na biodrze. Tymczasem Diane wyprzedziła go i otworzyła kluczem frontowe drzwi. Miał właśnie pójść za nią, lecz zatrzymała się nagle i zderzyli się w wejściu.

– Co się stało? – Spojrzała na męża.

– Czy to nie telefon?

Hopper wyteżył słuch – miała rację, gdzieś na górze w ich mieszkaniu na piętrze dzwonił telefon.

– Masz. – Odwrócił się, podając Sarę żonie. – Może zdążę odebrać. Kto wie, a nuż to coś ważnego.

Przekazawszy bezpiecznie córkę w ramiona matki, pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie.

– Halo?

– Hop, ciężko cię złapać – oznajmił kobiecy głos, niski, z chrypką palaczki. Hopper znał go doskonale.

– Na to liczę, Delgado – odparł. – Jest Dzień Niepodległości i miałem dziś tylko jedno zadanie: zabrać Sarę na przyjęcie urodzinowe.

– No cóż, muszę cię zaprosić na zupełnie inne przyjęcie.

Poczuł, jak tętno mu przyspiesza. Jeśli detektyw Rosario Delgado, jego partnerka od sześciu tygodni, próbowała dodzwonić się do niego w dzień wolny, musiała mieć cholernie dobry powód.

I stojąc tam, przy telefonie wiszącym na ścianie obok lodówki, miał przeczucie, że wie, jaki to powód. Za sobą słyszał Diane i Sarę wchodzące do mieszkania. Kiedy wmaszerowały do niewielkiej kuchni, Diane spojrzała wyczekująco na męża. Popatrzył jej w oczy i lekko skinął głową.

– Hej, kontrola misji do detektywa Jamesa Hoppera, zgłoś się.

Poprawił słuchawkę.

– Wybacz – zawiesił głos. – Kolejne, prawda?

– Lepiej tu przyjeźdź najszybciej, jak się da.

Przytaknął.

– Już wychodzę. Jaki to adres?

Odwrócił się, szukając notatnika i ołówka i zobaczył, jak Diane przynosi mu z kuchni notesik, w którym zwykle robili listy zakupów, i podaje wraz z długopisem. Bezdzźwięcznie wymówił „dziękuję”, po czym oparł notatnik o ścianę obok telefonu. Zanotował szybko podane przez Delgado szczegóły.

– Dobra, mam – rzucił. – Zaraz będę.

– Rozwinę czerwony dywan – odparła Delgado.

W słuchawce szczyknęło i odezwał się sygnał.

Hopper odłożył słuchawkę na widelki, poczuł na ramionach dłonie żony, odwrócił się i ujął je, a potem okręcił nią szybko.

– Posłuchaj... – zaczął.

Diane pokiwała głową.

– Musisz jechać.

– Muszę. Przepraszam.

Uśmiechnęła się.

– Nie przepraszaj. Nigdy nie przepraszaj za to, że robisz swoje.

– Wynagrodzę ci to.

– Trzymam za słowo.

Wymykając się z objęć żony, Hopper ruszył do drzwi, otworzył je, odwrócił się z dłonią na klamce.

– Zadzwoń i dam znać, gdzie jestem – obiecał, po czym spojrzał na Sarę zajadającą radośnie tort przy niewielkim stole w kuchni. – Hej, zostaw trochę dla mnie, mała!

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się buzią umorusaną czerwonym i niebieskim lukrem.

Diane cmoknęła Hoppera w policzek.

– Uważaj na siebie.

Pocałował ją w usta.

– Taki mam zamiar – oznajmił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Trzecia ofiara

4 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– Co za syf, co za syf.

Hopper zerknął na mundurowego, niepewny, czy słowa te dotyczą stanu mieszkania, czy zbrodni. Obu, pomyślał, stąpając ostrożnie korytarzem, zaciskając dłonie w pięści i starając się nie dotknąć niczego ani nie wejść w drogę nikomu z niewielkiego oddziału policji wypełniającego całe pomieszczenie. Obejrzał się, usiłując zapamiętać wszystko z miejsca zbrodni. Jasne, będzie miał do dyspozycji zdjęcia zrobione pod każdym możliwym kątem, ktoś rozrysuje plan i zaznaczy każdy interesujący obiekt żółtą chorągiewką, ale nic nie zastąpi czasu spędzonego na miejscu, zlustrowania go, wyczucia wszystkiego – układu pomieszczeń, wystroju, zależności między jednym pokojem a drugim, jednym a drugim przedmiotem.

Gliniarz jednak miał rację: w środku panował okropny bałagan. Na korytarzu stały worki ze śmieciami, jakby czekały tu od dawna. A kiedy Hopper zaglądał do kolejnych pomieszczeń, maszerując w stronę miejsca zbrodni, zobaczył ich więcej. Choć całe pomieszczenie wypełniały śmieci, nie potrafił nazwać żadnego

zapachu, poza ogólną stęchlizną rozgrzanego powietrza, uwięzionego w zamkniętym mieszkaniu podczas fali upałów.

Zmieniło się to, gdy zbliżył się do miejsca zbrodni. Tu swoją obecność zaanonsował charakterystyczny, ostry, rzeźnicki smród śmierci. Biorąc pod uwagę panujący upał, Hopper zdziwił się, że nie jest jeszcze gorzej.

– Detektywie Hopper, jak miło, że wpadłeś.

Odwrócił się i ujrzał swoją partnerkę. Detektyw Rosario Delgado stała w jednych z drzwi, które właśnie minął, i podpierała się pod boki. Miała na sobie niebieskie džinsy dzwony, szeroki na dziesięć centymetrów brązowy skórzany pasek i jaśniejszą błękitną koszulkę polo, maksymalnie rozpiętą pod szyją. Na szyi, na łańcuszku powiesiła odznakę detektywa, złota tarcza podskakiwała na najniższym guziku bluzki. Jej widok przypomniawszy Hopperowi o jego odznace – wyciągnął ją z tylnej kieszeni i przypiął do paska, Delgado obserwowała go uważnie, usta w oliwkowej twarzy wyginały się coraz mocniej w złośliwym uśmiechu.

– Fajna koszula – dodała. – Nie mów mi: impreza była elegancka, a ty poszedłeś w stroju drwala.

Hopper, nagle skrepowany, zerknął na swoje proste džinsy, czerwoną kraciatą koszulę i sztyblety-kowbojki.

– Cóż mogę rzec, lubię kraty.

– I założę się, że dziewczyny za nimi szaleją.

Skinieniem ręki wskazał jej ubranie.

– A skoro już mowa o urzędowych strojach...

Delgado wzruszyła ramionami.

– Jechałam właśnie do Studia 54, kiedy dostałam wezwanie.

– Serio?

– Jasne, że nie. Jest gorąco, co niby mam robić? Chodź.

Poprowadziła go korytarzem. Hopper ruszył za nią.

Hol zamykały jeszcze jedne drzwi strzeżone przez kolejną parę mundurowych. Delgado weszła pierwsza, Hopper tuż za nią.

Najpierw rozejrzał się po pokoju – nie dlatego, żeby jak najdłużej uniknąć patrzenia na upiorną scenę pośrodku, lecz by się zorientować. Pokój. Wystrój. Wymiary. Powiązania.

Scena.

To była sypialnia, ściany wyklejono tapetą w brązowe paski, na oko ani starą, ani nową. Prostokątne okno z zielonymi pasiastymi zasłonami wpuszczało całkiem sporo światła. Podłogę pokrywała wykładzina w krzykliwy niebiesko-czerwony kwiatowy wzór. Brązowa drewniana komoda nie pasowała odcieniem do ścian, nad nią wisiało okrągłe lustro do golenia. W pokoju nie było krzesel, stało tam pojedyncze łóżko; wyglądało, jakby ktoś w nim spał, a potem niechlujnie, bez większego zainteresowania złożył pościel. Pokój był też względnie wolny od śmieci, przy czym kluczowe słowo to „względnie”.

Dopiero wtedy Hopper spojrzał na to, co leżało na łóżku i czyniło z tego nieciekawego mieszkania miejsce zbrodni.

Ciało ostatniej ofiary.

Delgado wskazała ręką łóżko.

– No dobra, jak dotąd wszystko się zgadza. Ofiara to mężczyzna przed czterdziestką, w dobrej formie, poza tym, że większość krwi wypłynęła z ciała.

Hopper podszedł bliżej, Delgado cofnęła się o krok, przepuszczając go. Ofiara leżała na wznak. Niebieskie spodnie od garnituru, biała koszula z podwiniętymi rękawami. Stopy w czarnych skarpetkach i czarnych starannie wyglansowanych butach dyndały nad podłogą. Głowa wylądowała tuż przed poduszką, kapa z grubego brązowego materiału wokół tułowia

ofiary przybrała barwę czerni: to w nią wsiąkła krew.

Piers mężczyzny była jedną wielką raną. Białą koszulę rozerwano, Hopper nawet ze swego miejsca widział znajomy wzór ciemniejszych kresek na skórze.

Odetchnął głęboko i przycisnął rękę do piersi, podtrzymując łokieć i gładząc powoli podbródek.

– Tak samo, jak u pozostałych – rzekł.

– Tak samo, jak u pozostałych – powtórzyła Delgado. – Pchnięto go pięć razy, a potem cięto między ranami, tworząc...

– Pięcioramienną gwiazdę – dokończył Hopper. – Cholerną pięcioramienną gwiazdę. – Zerknął na partnerkę. – Wszystko inne też pasuje?

– Tak – przytaknęła. – Brak śladów włamania, brak oznak walki, sąsiedzi nie słyszeli żadnych hałasów, nie widzieli niczego podejrzanego.

Hopper ponownie rozejrzał się po pokoju, podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał przez częściowo zasunięte zasłony.

– No to kto go znalazł?

– Zarządca budynku – odparła Delgado. – Najwyraźniej ktoś poskarżył się na smród, więc otworzył drzwi.

– Mamy zeznanie?

– Owszem, był skłonny do współpracy.

Hopper przytaknął i znów odwrócił się do okna. Na zewnątrz widział brooklyńską ulicę, taką jak dziesiątki innych, przy chodniku parkowało kilka wozów, kolejny jechał powoli jezdnią, pomrukując silnikiem. Obok przeszedł starszy mężczyzna w białej kamizelce i czarnej fedorze, na chodniku minęła go młodsza kobieta prowadząca za rękę dziewczynkę; kwieciste sukienki z wysokimi kołnierzykami wydymały się jak żagle w słabych podmuchach wiatru.

Ulica jak każda inna.

Dokładnie taka jak ta, przy której zamieszkali z Diane i Sarą. No dobrze, ich mieszkanie wyglądało na lepsze, ale w sumie co za różnica? Ktoś wtargnął w prywatną przestrzeń innej osoby, ktoś zginął we własnym domu. To wszystko wyrównało – nieważne, kim był, gdzie mieszkał.

Nie wiedział, kim jest mężczyzna na łóżku, ale przecież mógł go znać.

A gdyby to była Diane?

Pospiesznie wyrzucił z głowy te myśli. Praca w policji należała do tych zajęć, przy których wszyscy powtarzali, że nie można podchodzić do nich osobiście. We wszystkich podręcznikach, instrukcjach i programach szkoleniowych wpajano im, że muszą podchodzić do śledztwa z zawodową obojętnością, inaczej to ich zniszczy. I fakt, Hopper wiedział, że to prawda. Ale wiedział też, że jeśli coś takiego nie jest osobiste... to czemu właściwie to robi?

Cała sztuka – i odpowiedź – polegała na tym, by opanować to uczucie, nim ono opanuje jego.

Znów popatrzył na ulicę. Na zewnątrz życie toczyło się normalnym rytmem, wewnątrz już nie. Odetchnął głęboko, by oczyścić umysł i wziąć się do pracy.

– Czyli dla tych z nas, którzy prowadzą statystyki – oznajmiła Delgado za jego plecami – to trzecia ofiara. Miejsce zbrodni wygląda identycznie, metoda działania także, wszystko jest takie samo.

Hopper zamknął oczy i ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Nie muszę pytać, czy znów to zostawił?

– Nie, nie musisz.

Odwrócił się. Delgado podawała mu już torebkę na dowody. Przyglądał jej się chwilę, po czym odebrał partnerce i obrócił

w dłoniach.

Wewnątrz przejrystego foliowego woreczka tkwiła karta. Prostokątna, lecz większa niż zwykła karta do gry – może dwukrotnie. Jedna strona była pusta, biała.

Hopper obrócił ją w palcach, wiedząc dokładnie, co zobaczy na rewersie. Nie zawiódł się.

Widniał na nim rysunek – trzy krótkie falujące linie, biegnące równolegle w poprzek karty, położone bardzo blisko siebie i nakreślone zręczną ręką grubym pędzelkiem umoczoną w gęstym czarnym tuszu. Symbol różnił się od tych na pozostałych kartach zostawionych w poprzednich miejscach zbrodni, ale bez wątplenia należał do tego samego zestawu.

– Dodaj to do swojej kolekcji. – Delgado sięgnęła za kark i uniosła kręcone czarne włosy, próbując odetchnąć od dusznego żaru w pokoju. – Proponuję, żebyśmy teraz wpuścili tu zawodowców, ten upał mnie wykańcza.

Hopper pokiwał głową i oddał jej kartę. Delgado przekazała ją stojącemu w drzwiach technikowi kryminalistycznemu i wyszła. Hopper zaczekał jeszcze chwilę, po raz ostatni przyglądając się zwłokom i pokojowi.

Wstrzymał oddech.

Trzy ofiary. Każda pchnięta nożem pięć razy, każda z ranami połączonymi w kształt gwiazdy wyciętej przez zabójcę.

Trzy ofiary. Ten sam sposób działania. To rozstrzygało sprawę.

Brooklyn miał własnego seryjnego mordercę, który pozbawiał życia ludzi w tajemniczym rytuale.

Hopper odetchnął głęboko i wyszedł.

Zupełnie jakby Nowy Jork nie miał już dosyć problemów

26 grudnia 1984

**Domek Hoppera,
Hawkins, Indiana**

– Co? Trzecia ofiara?

Hopper zajrzał do kubka z kawą – już był pusty, zdążył wypić całą, choć dopiero zaczął opowieść. Będzie musiał zwolnić tempo.

Siedząca naprzeciwko po drugiej stronie stołu Nastka pokręciła głową, wykrzywiając usta w zdumieniu. Hopper wstał i sięgnął po stojący w kuchni dzbanek z kawą.

– Tak, to była trzecia ofiara. – Nalał do pełna. – Na tym etapie pracowaliśmy nad tą sprawą od niemal dwóch miesięcy. Dwa takie same morderstwa to już wzór i z pewnością szukaliśmy tej samej osoby. Ale trzy morderstwa sprawiły, że sytuacja się zmieniła, bo wtedy zrozumieliśmy, że musimy schwytać seryjnego mordercę.

Nastka w skupieniu zmrużyła oczy.

– Seryjny jak... program w telewizji? – spytała niepewnie, akcentując ostatnie słowo.

Hopper z powrotem klapnął na krzesło.

– O nie, nie o takie seriale chodzi. Seryjny – powtórzył. – Seryjny morderca to... to ktoś, to zabija dużo ludzi.

– Jak tatuś?

Tatuś?

I wtedy do niego dotarło. Miała na myśli Brennera – doktora Brennera – potwora odpowiedzialnego za to, że całe dzieciństwo spędziła uwięziona w laboratorium.

Niech to szlag.

– Nie, to co innego. On był inny. To... skomplikowane, słuchaj...

Urwał, pociągając łyk kawy. Czy naprawdę prowadził tę rozmowę? Nagle wydała mu się kiepskim pomysłem. Nastka pod wieloma względami była młodsza, niż wskazywałby na to wiek fizyczny, a on opowiadał jej o Nowym Jorku lat siedemdziesiątych i o swoim starciu z seryjnym mordercą.

To za dużo. Westchnął i potarł dłonią twarz.

– Naprawdę nie wiem, czy to jest dobry pomysł. To znaczy...

Nastka wyprostowała się gwałtownie.

– Nie możesz teraz przerwać.

Hopper westchnął. Ponownie.

– Jesteś absolutnie pewna? Bo...

– Chcę wiedzieć, co się stało!

– Bo nie chciałbym, żeby przez następny rok dręczyły cię koszmary, jasne?

Spojrzała na niego jak zwykle przeszywająco, przez chwilę przy stole panowała krępująca cisza. W końcu dziewczynka się odezwała.

– Wróć do początku.

– Początku? Cała ta historia i tak już jest dość długa, a pierwsze dwa morderstwa wyglądały tak samo. Jak mówiłem, dopiero przy trzecim sprawa ruszyła z miejsca.

Nastka wbiła wzrok w blat. Hopper przyglądał jej się znad brzegu kubka. Milczała, powoli opuścił kubek z kawą.

– Co teraz? – spytał.

– Początek, środek, koniec – oznajmiła, nie odrywając wzroku od stołu. – Tak wygląda historia. Początek, środek, koniec.

– To prawda.

Popatrzyła na Hoppera.

– Opowiedz mi o Delgado.

– Delgado? Na to pytanie mogę odpowiedzieć.

Znów nadpił kawę i zaczął od początku.

Sonny i Cher

17 maja 1977

Brooklyn, Nowy Jork

O ósmej rano w pokoju detektywów Sześćdziesiątego Piątego Komisariatu Policji na Brooklynie nie panował zbyt ożywiony ruch, lecz Hopper obwiniał o to rozleniwienie cholerny upał. Nowy Jork powoli piekł się żywcem, a przecież jeszcze nawet nie nadeszło lato. Jeśli pogoda się nie zmieni, zamierzał przeciągnąć swoje biurko do służbowej windy i wywieźć na dach. Przynajmniej tam choć odrobinę wiało – tu, w środku, jedyną iluzję przewiewu dawały trzy wysłużone stojące wentylatory, które sierżant McGuigan wykopał z dawno zapomnianego magazynku. Klimatyzacja oczywiście była zepsuta. Hopper nie pamiętał, czy kiedykolwiek działała i nie liczył na to, że naprawią ją podczas najbliższej dekady, nie przy obecnych cięciach budżetowych narzuconych nowojorskiemu wydziałowi policji.

Dowód A: biurko naprzeciwko. Jak wszystkie, za którymi zasiadała szóstka – nie, teraz piątka – detektywów z wydziału zabójstw komisariatu, zrobiono je z metalu i pamiętało lepsze czasy. To jednak było puste, szuflady wybebeszono, na blacie nie stał nawet telefon, nie leżała bibuła. Wyglądało tak już od tygodni,

od czasu, gdy ostatnia seria zwolnień zadała komisariatowi bolesne rany, pozbawiając wydział jednego detektywa, a Hoppera partnera.

W pewnym sensie Hopper rozumiał konieczność usprawnienia działania. Miasto nie miało pieniędzy, a rząd federalny nie zamierzał kiwnąć palcem, więc cięcia były nieuniknione. Nie oznaczało to, że postępowali słusznie – nie da się ściąć zbyt wiele tłuszczu, nie raniąc ciała pod nim, ale przynajmniej rozumiał arytmetykę.

Rozumiał też, że miał cholerne szczęście. W pierwszej połowie siedemdziesiątego siódmego – jak dotąd – w mieście doszło do niemal sześciuset zabójstw. Nie rozkładały się one po równo między pięcioma dzielnicami. Sześćdziesiąty Piąty zajmował się względnie spokojną częścią Brooklynu, każdy z pozostałych pięciu detektywów miał na głowie najwyżej trzy śledztwa jednocześnie. To wciąż za dużo, ale Hopper wiedział, że mogło być znacznie gorzej i chwilowo, nawet pozbawiony partnera, dziękował w duchu za ten przydział. Żał mu było kapitana – Bobby'ego LaVorgny, potężnego, masywnie zbudowanego Włocha o gęstych wąsach morsa i dwudziestu pięciu latach doświadczenia, który zonglował przydziałami wśród detektywów z wprawą godną mistrza. Ostatnio jednak kapitan coraz więcej czasu spędzał zamknięty w swoim gabinecie, trując powietrze dymem z papierosów i wyklócając się przez telefon z szefostwem. Nieustannie błagał o więcej zasobów, więcej pieniędzy, więcej ludzi. Życie nowojorskiego detektywa z wydziału zabójstw to nie zabawa, ale przynajmniej, pomyślał Hopper, nie tkwi cały dzień za biurkiem, przekładając papiery i wyjąc do księżycy.

– Hej, słyszałeś, co się wczoraj stało?

Oderwał wzrok od akt, które przeglądał, i zdjął nogi z biurka. Detektyw Symonds zbliżał się od strony pokoju socjalnego, w jednej ręce trzymał parujący kubek z kawą, w drugiej egzemplarz

porannego „New York Timesa”. Wręczył Hopperowi gazetę, po czym przysiadł na brzegu pustego biurka, podciągając nogawki błękitnych spodni od garnituru, by usadowić się wygodniej. Hopper zerknął znad gazety – Symonds przesunął palcem pod kołnierzykiem koszuli i wymachiwał krótkim szerokim krawatem, kolorem idealnie dopasowanym do garnituru.

– Myślałeś kiedyś o przejściu na włókna naturalne, Symonds?

Jego rozmówca pociągnął wzgardliwie nosem i napił się kawy.

– To się nazywa styl, Jamesie Hopperze. Jeśli zapragnę porad na temat mody od stuprocentowego wsioka, będę musiał poszukać sobie lepszego terapeuty.

Hopper z rozbawieniem pokręcił głową, po czym znów skupił uwagę na gazecie. Pierwszą stronę zajmował artykuł o katastrofie helikoptera.

– Wiesz, że to cholerstwo spadło na Madison Avenue? Moja żona była na Madison Avenue. Chryste! – Symonds przełknął kolejny łyk i pokręcił głową.

Hopper przeczytał nagłówek: „Pięć ofiar śmiertelnych oderwanego wirnika śmigłowca”.

Faktycznie, słyszał o tym zeszłego wieczoru w wiadomościach, ale artykuł w „Timesie” uzmysłowił mu, co się stało, gdy doszło do awarii lądującego śmigłowca New York Airways. Maszyna spadła na dach budynku tuż po wpół do szóstej wieczór. Rotor zabił cztery osoby na dachu, odpadł, po czym zleciał, odbijając się od okna budynku, aż na Madison Avenue, gdzie rozplątał przechodnia.

– Mój Boże! – rzucił Hopper. – Jacqueline nic się nie stało?

– Dzięki Bogu nie, ale widziała wszystko. Przeżyła wstrząs. Powiedziałem, żeby wzięła dziś wolne, ale odparła, że woli wrócić do pracy. Wyobrażasz sobie? – Symonds pokręcił głową. – Mówię ci, to dopiero. – Machnięciem kubka wskazał gazetę, jakby to wszystko

tłumaczyło. – Nigdy nie wiesz, kiedy nadejdzie twoja chwila, co nie? Po prostu nie wiesz.

Hopper przytaknął, czując, jak mu się napinają mięśnie szczęki. Symonds miał rację – kiedy nadchodzi twoja chwila, to koniec. Jako gliniarz – i kombatant – Hopper zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż większość ludzi, ale rzadko o tym myślał. Nie mógł. Kiedy zaczynasz przejmować się takimi sprawami, wkrótce czujesz, jak ściany zaciskają się wokół ciebie. Widział to zbyt wiele razy u zbyt wielu osób, które wróciły z tego samego miejsca co on.

Z drugiej strony pomieszczenia dobiegł ich donośny huk, wyrrywając Hoppera z zamyślenia. Oddał gazetę Symondsowi, który zsunął się z biurka i obejrzał. Hopper odwrócił krzesło i podążył za wzrokiem kolegi w stronę wielkich okien wychodzących na gabinet kapitana.

W środku LaVorgna krążył tam i z powrotem, wcześniej z całej siły trzasnąwszy drzwiami. Ósma rano, a on stoczył już pierwszą bitwę tego dnia i najwyraźniej przegrał. Hopper patrzył, jak kapitan przechadza się, przyciskając słuchawkę do ucha i próbując zapalić papierosa, a jednocześnie gestykułując szaleńczo. Dłoń rozpraszała mgłę w jego gabinecie, tworząc wiry tak duże, że Hopper widział je ze swojego miejsca. Obserwował usta kapitana poruszające się, gdy ten wygłaszał tyrady na temat najnowszych zarządzeń z góry. Ścianka z oknami okazała się zaskakująco skuteczną barierą dla dźwięków, zamieniając ich szefa w mima.

I wtedy się stało. LaVorgna zawsze ściśle przestrzegał przepisów i mimo upału wciąż nosił mundur, choć przynajmniej powiesił ciężką wełnianą marynarkę na oparciu krzesła. Teraz jednak, słuchając głosu w telefonie i kręcąc głową, z papierosem tkwiącym między palcami, poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk wykrochmalonej białej koszuli.

To nie był dobry znak.

Symonds wrócił do swojego biurka, a Hopper z powrotem skupił uwagę na pracy. Gdy jednak otworzył teczkę z aktami, z gabinetu dobiegł kolejny huk. LaVorgna maszerował teraz przez pomieszczenie detektywów, drzwi jego gabinetu wciąż kołysały się po mocnym uderzeniu o framugę. Zniknął w głównym wyjściu do holu z windami.

Tymczasem pozostali detektywi wracali do pracy po oficjalnym zakończeniu porannych rozrywek. Trzy stojące wentylatory brzęczały, gdy dokoła wrzała policyjna praca.

Hopper obrócił się powoli z krzesłem. Po roku pracy w Sześćdziesiątym Piątym wciąż nie zgrał się tak, jakby chciał, z pozostałą czwórką detektywów na zmianie sierżanta McGuigana – Symondsa i Harrisa mógłby może przy odrobinie wysiłku nazwać kolegami, ale Marnie i Hunt byli parą dupków udających macho, do których z radością utrzymywał dystans. Zanim się tu zjawił, wiedział, że nie będzie łatwo – był nowy, pochodził z prowincji, typowy wieśniak, który myśli, że może sobie wparować, ot tak, i uratować miasto, które pozostali przez całe życie nazywali domem. Jeśli o nich chodzi, Hawkins w stanie Indiana równie dobrze mogło leżeć w Timbuktu. Szybka ścieżka awansu Hoppera na stanowisko detektywa też pewnie nie pomogła. Może pozostali uznali to za faworyzowanie, choć Hopper nie miał pojęcia przez kogo. Ale niechętnie przyjęli jego szybki awans.

Symonds i w mniejszym stopniu Harris z czasem złagodnieli i zbliżyli się do niego, ale Hopper nie zamierzał się tym przejmować. Owszem, przybył tu do pracy i może mieli rację, z pewną misją. Nie chodziło jednak o ocalenie miasta. Nie chodziło o zostanie bohaterem. Miasto nie potrzebowało bohaterów. Potrzebowało gliniarzy – dobrych gliniarzy – którzy znają się na swojej robocie.

Gliniarzy takich jak Hopper.

O ile jednak kapitan LaVorgna stał po jego stronie, jak każdy przyzwoity dowódca, wciąż obowiązywały go protokoły i czuł wzmożony nacisk ze strony pozostałych detektywów. Jako nowicjusz Hopper bez protestów przyjął wyznaczonego mu partnera – rozkazy to rozkazy – wiedział jednak, że wciśnięto go Joemu Staffordowi, starszemu śledczemu, którego kariera osiągnęła stan terminalny. Stafford, niechętnie wstający zza biurka, mimo to nie potrafił sobie poradzić z dokumentami. Hopper przyłapał go na obsesyjnej lekturze ostatnich wyników Jankesów zamiast czytaniu akt spraw, które powoli piętrzyły mu się na biurku. Aż w końcu, po uniknięciu co najmniej dwóch serii zwolnień, wypadło na niego i policja nowojorska wysłała go wraz z jego nieodłącznymi beżowymi garniturami na wcześniejszą emeryturę.

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i stanął w nich kapitan LaVorgna. Papieros wypalił mu się aż do filtra. Potężny mężczyzna ocierał spocone czoło, maszerując z powrotem do gabinetu i ponownie trzaskając za sobą drzwiami. Jeśli kapitan nie wyluzuje, klimatyzacja nie będzie jedyną rzeczą na posterunku wymagającą naprawy.

Hopper zerknął w stronę najbliższego zajętego biurka. Detektyw Harris bazgrał coś w aktach, drugą ręką z roztargnieniem podrzucając i łapiąc starą piłkę bejsbolową.

– Harris, masz pojęcie, co się dzieje?

Tamten wzruszył ramionami, nie podnosząc wzroku.

– Skąd niby miałbym wiedzieć, Hopper?

Hopper wrócił do swojej pracy. Chwilę później zza biurka za jego plecami rozległ się przeszywający gwizd. Hopper uniósł głowę, w pomieszczeniu znów zapadła cisza. Potem coś huknęło i poruszyło się przed nim, gdy ktoś upuścił ciężki karton na puste

biurko naprzeciwno.

– I mógłbyś się zamknąć? – rzuciła nowo przybyła.

Stała, trzymając się pod boki, obok pustego biurka, ubrana w parę ciemnoniebieskich dzwonów i białą koszulę z ząbotem pod obcisłą kamizelką. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat, miała sięgające ramion, falujące czarne włosy. Marszcząc czoło, przyglądała się Hopperowi. Lekko uniosła brew.

Rozejrzył się. Reszta detektywów przygląda się im w milczeniu. Paru uśmiechało się szeroko, a siedzący na końcu pokoju Hunt i Marnie – odziani w niemal identyczne jasnoszare garnitury i kolorowe koszule rozchełstane niemal do pasa – wymienili między sobą szeptem kilka słów, po których Marnie prawie zgiął się wpół ze śmiechu, a bujne blond loki tańczyły mu wokół uszu, gdy próbował opanować rozbawienie.

Hopper nie zwracał na nich uwagi, ponownie spojrzął na nieznajomą.

– Ach...

Obejrzała się na niego.

– Ty jesteś Hopper?

Spuścił wzrok tylko na chwilę i bez zastanowienia, ale wystarczyło.

– No co, szukasz odznaki, żeby to sprawdzić?

Zamrugał i popatrzył na kobietę.

– Tak, jestem Jim Hopper – odparł. – A... a ty?

Kobieta wyciągnęła rękę, jej usta wygięły się w wyraźnie wymuszonym uśmiechu. Hopper ujął dłoń i poczuł, jak miażdży mu palce w zaskakująco silnym uścisku.

– Twoja nowa partnerka, detektyw Rosario Delgado.

– Moja nowa... partnerka?

Delgado cofnęła rękę i wróciła za puste biurko. Przyciągnęła do siebie pudło i zajrzała do środka, potem zaczęła wyjmować różne drobiazgi. Zszywacz. Plik papierów. Kubek pełen długopisów, na którego ścianie nadrukowano jakąś flagę i napis po hiszpańsku.

Hopper rozejrzał się po pomieszczeniu. Z twarzy pozostałych zniknęły uśmiechy, Harris przyglądał mu się zmrużonymi oczami, ściskając w dłoni piłkę bejsbolową.

Hopper spojrzał na Delgado.

– Wybacz, powiedziałaś „twoja nowa partnerka”?

– Dziesięć punktów na dziesięć za zrozumienie tekstu mówionego, detektywie – odparła, nie unosząc wzroku i szybko się rozpakowując. – Założę się, że masz zaświadczenie z akademii i takie tam.

Przyglądał się jej. Pozostali detektywi podeszli bliżej, duet Marnie i Hunt opierał się teraz z obu stron o filar pośrodku pomieszczenia; ręce splekli na piersiach, znów uśmiechali się szeroko, mierząc wzrokiem Delgado. Marnie dostrzegł spojrzenie Hoppera i uniół obie brwi.

Hopper zignorował go. Okręcił się na krześle.

– Proszę posłuchać, pani Delgado.

– Detektywie Delgado, detektywie Hopper. – Skończyła wypakowywać swój dobytek z pudła i odstawiła je na podłogę obok biurka, potem stanęła, znów trzymając się pod boki, i przyjrzała się mu spod ciemnej grzywki. – Nie mów: dzięki zdumiewającym zdolnościom policyjnym wydedukowałaś, że jestem kobietą. Gratulacje, na pewno dostaniesz za to pochwałę.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ocaliło go jednak przybycie kapitana LaVorgny. Szef zatrzymał się zlany potem przy ich biurkach i zaczął podwijać rękawy wokół przedramion grubych jak pnie drzew. Rozżarzony koniec wiecznie obecnego papierosa

pulsował w rytm oddechu.

– Widzę, że już się poznaliście – powiedział. – Detektyw Delgado została przeniesiona na nasz komisariat ze sto siedemnastego w Queens. Jest nowa w wydziale zabójstw i zostanie twoją partnerką, więc jeśli masz z tym jakiś problem, to sugeruję, żebyś zachował go dla siebie. A jeśli masz pytania, nie chcę ich słuchać. – Poprawił podwinięty mankiet rękawa tuż pod łokciem. – Wyrażam się jasno?

Hopper wyprostował się na krześle.

– Jak kryształ, szefie. – Na moment zawiesił głos. – Po prostu...

Delgado wyszczerzyła zęby.

– Detektyw Hopper próbuje powiedzieć, że jego nowy partner to najwyraźniej kobieta.

LaVorgna westchnął ciężko, zgasił papierosa w już i tak przepelnionej popielniczce na biurku Hoppera, a potem zwrócił się do zebranych.

– No dobra, słuchajcie. Jesteśmy dumni, że możemy stać się częścią nowej inicjatywy pod patronatem samego komisarza. Od tego miesiąca do wydziału zabójstw będą przyjmowane kobiety. Delgado to jedna z pierwszej dziewiątki nominowanej z komisariatów z pięciu dzielnic. Będzie wykonywać te same obowiązki co reszta z was, pracować nad tymi samymi sprawami co reszta z was i pewnie będzie równie upierdliwa jak reszta z was. Zastąpi detektywa Stafforda, który pożegnał się z nami na dobre. – Dźgnął palcem w stronę Hoppera. – Za długo czekałeś na nowego partnera, więc wesołych świąt.

Detektyw Marnie zaśmiał się krótko. LaVorgna zmiażdżył go wzrokiem.

– Jakiś problem, detektywie?

Marnie poruszył szczękami, żując gumę.

– Chyba faktycznie potrzebowaliśmy kogoś, żeby parzył nam kawę – rzekł.

Hunt znów się zaśmiał nieprzyjemnym tonem.

– Możesz się śmiać, detektywie – odparł LaVorgna. – To miasto potrzebuje gliniarzy, i to dobrych. Jeśli o mnie chodzi, mogą pochodzić nawet z pierścieni Saturna, byleby tylko rozwiązywali i zamykali sprawy. A teraz wszyscy wracajcie do pracy.

LaVorgna zniknął w swoim gabinecie, pozostali detektywi powoli wrócili za biurka. Harris wciąż siedział i gapił się na Delgado, a kiedy odpowiedziała spojrzeniem, upuścił piłkę na blat i zabrawszy kubek, wyruszył na poszukiwanie kawy.

– Życzliwa ekipa. – Delgado przysunęła sobie krzesło i usiadła za biurkiem. – Mroczne podziemie Brooklynu musi drzeć przed nami ze strachu.

Hopper uśmiechnął się.

– Najlepsi w Nowym Jorku.

Delgado pokręciła głową.

– Boże, dopomóż nam wszystkim. – Przełożyła parę kartek, wrzuciła garść długopisów do szuflady i popatrzyła na Hoppera. – Więc jaka jest twoja historia, partnerze?

Uniósł brwi.

– Moja historia?

– Tak, historia. Tylko pominię tę część o znakach Zodiaku i ulubionym kolorze, bo ni cholery mnie to nie obchodzi. – Przyjrzała się popielniczce. – Palisz?

– Jak chyba wszyscy?

– Nie ja. Ale mój tato mówił, żeby nigdy nie ufać mężczyźnie, który nie pali, więc spoko. Nie wyglądasz, jakbyś tu pasował. I tak nie brzmisz.

– Fakt – przytaknął. – Jestem ze środkowego zachodu. Z Indiany.

– Wyraży współczucia.

Odchylił się na krześle, patrząc na nią.

Wzruszyła ramionami.

– No co?

Wskazał ręką kubek na jej biurku.

– To kubańska flaga?

– W dodatku zna geografie! Komisja edukacji stanu Indiana nieźle się spisała.

– Jesteś z Kuby?

– Nie, z Queens.

– Aha.

– Moi rodzice są z Kuby. Uciekli do Miami, a potem znów do Nowego Jorku przed moim narodzeniem.

– A co to znaczy?

Przekrzywiła głowę.

– Co „co znaczy”?

Pochylił się naprzód, krzesło dało mu dubla w górę, i postukał długopisem o kubek Delgado. Pod kubańską flagą widniał napis po hiszpańsku.

– To.

Uśmiechnęła się.

– Ale nie zna hiszpańskiego. Tu jest napisane *Eres la mejor mamá del mundo*.

– Aha.

– Jesteś najlepszą mamą na świecie.

Hopper uśmiechnął się szeroko.

– Masz dzieci?

– Nie – odparła Delgado. – Po prostu spodobał mi się ten kubek.
A ty?

– Jedną córkę, Sarę. Ma sześć lat.

– Sześciolatka w Nowym Jorku. Ciężka sprawa.

Wzruszył ramionami.

– Jakoś sobie radzimy.

– Mówiłeś, że skąd pochodzisz?

– Z Indiany. Z miasta Hawkins.

– W Hawkins w Indianie mają gliniarzy?

– Owszem. A także elektryczność i bieżącą wodę w kranach.

– No proszę, nauczyłam się czegoś nowego. To co, przyciągnęły cię splendory wielkiego miasta czy szukasz śmierci?

Hopper roześmiał się.

– Ależ nie. Uznałem po prostu, że to właściwe posunięcie we właściwym czasie.

Delgado nachyliła się ku niemu.

– Jest jakiś właściwy czas na przeprowadzkę do Nowego Jorku?
Praca gliniarza w Hawkins...

– Hawkins.

– Hawkins, nieważne. Praca gliniarza tam nie przypomina tej tutaj. – Postukała paznokciem w blat. – Nie rozumiem.

Hopper zacisnął wargi.

– Masz rację, jest inaczej. Ale potrzebowałem zmiany. Nim zostałem policjantem, służyłem w wojsku. Wstąpiłem tuż po liceum, odsłużyłem cztery lata w całym kraju. A potem pewnego dnia znalazłem się w dżungli na drugim końcu świata.

Delgado zagwizdała przez zęby.

– Zgłosiłeś się na ochotnika? Nie wyglądasz mi na pobożnego

patriotę.

– I nim nie jestem, ale uznałem, że to dobry sposób, żeby wyrwać się w diabły z Indiany. I faktycznie, z początku nawet mi się podobało. – Oblizął wargi. – Odslużyłem dwie tury od sześćdziesiątego drugiego do sześćdziesiątego ósmego, potem wróciłem do Hawkins z brązową gwiazdą i bez dalszych planów.

– I wstąpiłeś do policji?

Rozcapierzył palce i uśmiechnął się nieszczercze.

– No i tu jestem. A ty?

Delgado roześmiała się.

– Och, to łatwe. Wstąpiłam do nowojorskiej policji. Odslużyłam swoje na ulicy, zostałam detektywem i jesteśmy.

Hopper uniósł brwi.

– Zawsze chciałaś pracować w wydziale zabójstw?

– Jasne, że tak. Wydział zabójstw to szczyt kariery dla detektywa i wierz mi, nigdy się nie poddałam. Witamy w swingujących latach siedemdziesiątych, detektywie. A teraz podaj mi akta i pokaż, jakie tajemnice wszechświata próbuje rozwiązać wasza banda błaznów.

Hopper zaśmiał się i wręczył jej plik akt z biurka, potem patrzył, jak nowa partnerka otwiera pierwszą teczkę i zaczyna czytać. Siedziała z głową pochyloną nad biurkiem, po chwili sięgnęła po ołówek i zaczęła przesuwając nim pod każdą odczytywaną linijką.

Znał ją zaledwie pięć minut, a już kręciło mu się w głowie. Była bystra, szybka i taka... zadziorna.

Oboje unieśli wzrok, gdy po raz drugi tego ranka na ich biurka padł potężny cień LaVorgny.

– Świetnie, zadomowiłaś się. Będziecie dobrym zespołem. Pilnujcie siebie nawzajem. Prawdziwi z was Sonny i Cher – rzekł kapitan. – Cudownie, bardzo się cieszę.

Hopper uniósł brwi, patrząc znacząco na uśmiechniętą Delgado.

– Możemy coś dla pana zrobić, kapitanie?

– Możecie rozwiązać sprawę morderstwa, ot co! – Rzucił teczkę na biurko kobiety.

Delgado przysunęła ją i otworzyła, Hopper pochylił się, żeby sprawdzić. Na górze leżało duże czarno-białe zdjęcie z miejsca zbrodni. Przypominało serię abstrakcyjnych kształtów, dopóki nie zrozumiał, że patrzy na ciało.

– Jezu – wyszeptał. – Co się, do diabła, stało?

– Jak zwykle, detektywie – odparł LaVorgna. – Ktoś zginął, a wy macie ustalić, kto to zrobił.

Pogrążona w lekturze Delgado pokręciła głową.

– Cholernie to dziwne.

Hopper zerknął na nią i na kapitana, jego oczy rozszerzyły się wyczekująco.

– Dziwne to dobre określenie – przytaknął LaVorgna. – Na miejscu jest lekarz sądowy, spodziewa się was od pięciu minut.

Hopper wstał i zdjął marynarkę z oparcia krzesła. Delgado podniosła się powoli, nie odrywając wzroku od akt, w końcu zamknęła teczkę i podała ją partnerowi.

– Gotowa? – spytał Hopper.

– Zawsze.

Hopper wziął teczkę, skinął głową do Delgado i oboje ruszyli zbadać pierwszą wspólną sprawę.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera, Hawkins, Indiana

Hopper widział nadciągające pytanie, umilkł więc i odchylił się na krzesło, zaciskając dłoń wokół kubka z kawą i tuląc go do piersi.

– Czyli... – zaczęła Nastka i umilkła.

Uniósł brwi.

– Czyli?

Nastka przekrzywiła głowę i zmarszczyła nos.

– Inni jej nie lubili.

– Delgado?

– Wszyscy na nią patrzyli – ciągnęła – i nie byli mili... Rozzłościł ją.

O, rany.

– No wiesz. – Hopper umilkł. Jak jej to wytłumaczyć? Pociągnął łyk palącej kawy i wypuścił z ust gorące powietrze. Uznał, że najlepiej będzie niczego nie owijać w bawełnę. – No cóż, nie lubili jej, bo była kobietą i Latynoską.

– Latynoską? – Nastka powoli wymówiła to słowo, naśladując Hoppera.

– To ktoś hiszpańskiego pochodzenia. Tak naprawdę bali się jej.

– Bali? – Nastka pokręciła głową.

– Bali się tego, co może zrobić, że okaże się lepsza od nich w ich pracy. To im się nie podobało. Widzieli w niej zagrożenie. Bali się jej. W tamtych czasach to było coś zupełnie nowego, uważali, że to ich królestwo, a nagle pojawia się kobieta, ostra i zadziorna, gotowa odpowiadać pięknym za nadobne. Uznali, że wtargnęła do ich świata, choć jej miejsce jest gdzie indziej, i powinna tam zostać.

Nowojorska policja nigdy wcześniej nie miała kobiet detektywów, Delgado musiała walczyć o proste prawo wejścia przez te drzwi jako jedna z nas. I części ludzi to się nie spodobało.

Nastka zmarszczyła czoło.

– Nie powinno tak być.

– Nie.

– Mogła przecież tam przebywać.

– Tak.

– Była detektywką.

– Tak.

– Jak ty.

– Tak jak ja.

– A ty chciałeś ją tam mieć?

– Ja? No cóż, zaskoczyła mnie, ale chcę myśleć, że miałem nieco bardziej otwarty umysł. Poza tym, jak powiedziałaś, Delgado była detektywką z wydziału zabójstw, tak samo jak ja. Potrzebowałem partnera i dostałem go, natychmiast zajęliśmy się pracą. Ale musisz też pamiętać, że działo się to dawno temu i wtedy wiele rzeczy wyglądało inaczej.

– Teraz jest tak, jak powinno?

– No cóż.

– Lepiej?

Hopper pokręcił głową. Zaczynał żałować tej rozmowy, choć wiedział, że jest konieczna.

– Nie, nie jest tak jak... powinno. Ale lepiej. Mniej więcej.

Nastka przytaknęła.

– Na jej miejscu też bym się rozzłościła.

Hopper wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie wątpię. Ale Delgado umiała sobie poradzić. Nie przyjmowała tego osobiście – zaśmiał się. – Była z niej twarda policjantka. I okazała się lepsza niż reszta detektywów. Łącznie ze mną.

Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Sprawa, którą przydzielił wam kapitan, to był początek.

Hopper poczuł, jak uśmiech znika z jego warg. Pochylił się, opierając ręce na blacie.

– Tak, to był początek. Kapitan przydzielił nam tę sprawę w pierwszym dniu pracy Delgado.

Nastka przytaknęła.

– Cholernie to dziwne.

Wymówiła słowa powoli, jakby były oficjalne i ważne. Hopper znów się uśmiechnął – to nie był dokładny cytat z Delgado, ale dziewczynka nie musiała o tym wiedzieć. W jego historii pojawią się morderstwa, przemoc i zagrożenie i zamierzał starać się złagodzić te elementy, ile się tylko da. Nie miał problemów z przeklinaniem, ale przynajmniej próbował dać dobry przykład Nastce.

Pociągnął kolejny łyk kawy i podjął przerwana opowieść w „teraźniejszości” – czwartego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku.

Zwykły dzień w pracy

4 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Dochodziła północ, gdy Hopper wsunął klucz w zamek drzwi frontowych, przekręcił delikatnie i wszedł do mieszkania, starając się nie obudzić żony i córki.

O tę pierwszą nie musiał się martwić, w salonie świeciło się światło. Gdy Hopper zamknął za sobą drzwi, usłyszał szelest papierów, cichą muzykę: *Undercover Angel* Alana O'Daya i delikatny, charakterystyczny stukot – to Diane odstawiła kubek z kawą na pamiątkową ceramiczną podkładkę w kształcie krowy, których zestaw kupili w zeszłym roku podczas wakacji.

Położył klucze na blacie kuchennym. Kiedy wszedł do pokoju, Diane uniosła wzrok znad papierów.

– Cześć – rzuciła.

Hopper okrążył stół i pocałował ją w czubek głowy.

– Wybacz, starałem się zachowywać cicho.

– Och, nie martw się, już prawie skończyłam.

Omiótł wzrokiem blat stołu zasłany stertami dokumentów; pośrodku leżała duża kartka z kalendarza pokryta gęstym,

starannym pismem żony. Przy jej łokciu tkwił sporej wielkości notatnik. Hopper nie do końca wiedział, co robi żona, ale poznał plany lekcyjne.

– Jak ci idzie?

Odłożyła długopis na notes i wyprostowała się.

– Prawdę mówiąc, chyba całkiem nieźle. – Wskazała ręką kalendarz. – Przerobiłam plany zajęć na następny rok. Teraz wszystko powinno działać jak w zegarku – zaśmiała się. – Oczywiście Derek wpadnie w szal, kiedy to zobaczy.

Hopper wyszczerzył zęby. Derek Osterman – wicedyrektor szkoły i wyjątkowy upierdliwiec, który nie znosił pomysłów Diane wyłącznie dlatego, że brakowało mu wyobraźni, by samemu wymyślić coś takiego – stanowił nader częsty temat opowieści żony po powrocie z pracy.

– Kiedyś sama obejmiesz jego stanowisko i będziesz musiała zmagać się z ambitną nowicjuską ze wsi.

Diane roześmiała się i wstała od stołu, podeszła do stojącego na kredensie gramofonu i odłożyła jego ramię na widełki. Potem przytuliła męża, obejmowała go kilka sekund i cofnęła się odrobinę.

– Piłeś.

– Tylko jednego. To był ciężki wieczór – odparł. – Z Sarą wszystko w porządku?

Uśmiechnęła się.

– Kamienna Molly zajęła jej niemal całe popołudnie, więc ci się upiekło. Pozwoliłam jej posiedzieć dłużej i obejrzeć w telewizji fajerwerki, ale była zmęczona po przyjęciu i torcie i bez marudzenia poszła spać.

– Czytałaś jej...

Przytaknęła.

– Do końca piątego rozdziału, choć sama nie wiem, ile usłyszała, bo bardzo szybko ją wyłączyło. Z początku nie zauważyłam i czytałam dalej.

Hopper uśmiechnął się szeroko.

– No cóż, to dobra książka. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. Hopper westchnął, delikatnie wyzwolił się z objęć żony i przeszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, przyjrzał się ostatniej puszcze z sześciopaku piw leżącej na górnej półce obok lampki. Nagle zmienił zdanie, zamknął lodówkę i zaczął otwierać górne szafki w kuchni, przesuając się powoli w ciasnym pomieszczeniu.

Za jego plecami Diane splotła ręce na piersi i zmarszczyła czoło.

– Ciężki wieczór, co?

– Oj, tak. – Hopper grzebał w szafkach, zakreślając pełną kuchenną orbitę. Pokręcił głową. – Jutro też muszę być w pracy.

– Szczęśliwego Dnia Niepodległości! – Trąciła dolną szafkę stopą w kapciu.

Schylił się, otworzył drzwiczki i wydobyl ze środka do połowy opróżnioną butelkę szkockiej.

Patrzyła, jak nalewa sobie hojną porcję.

– Wygląda na to, że większość wieczorów zalicza się do tych trudnych. I znaczna część dni.

Na moment zamarł, patrząc na nią, potem pociągnął palący łyk whisky. Przytrzymał ją w ustach, napawając się przyjemnym pieczeniem, potem przełknął, pozwalając, by ogień rozlał mu się w piersi.

O tak, potrzebował tego.

– No cóż, moja droga. – Dolał do szklanki. – Nowy Jork to brutalne miasto, a bycie nowojorskim gliniarzem to brutalna praca.

Zakręcił butelkę, jednym haustem wychylił zawartość szklanki

i odwrócił się, oparty o blat. Mięśnie ramion Diane napięły się, gdy patrzyła na męża.

Hopper oklapł lekko.

– Przepraszam. Naprawdę przepraszam.

Odstawił szklankę i odepchnął się od blatu w stronę żony, wyciągając rękę. Z początku opierała się, potem uniosła swoją, pozwalając, by mąż ją uścisnął. Pokręciła głową, podeszła bliżej i znów objęła go mocno, opierając mu głowę na piersi. On także przytulił ją do siebie.

– W porządku. Starasz się, jak możesz. Nie musisz za to przepraszać.

Hopper oparł policzek o czubek głowy Diane.

– Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Zaśmiała się cicho.

– Szukaliśmy wyzwania, najwyraźniej je znaleźliśmy.

– Istotnie. – Głośno wypuścił powietrze. – Czy czasem miewasz ochotę wrócić do Hawkins?

Odsunęła się, zadzierając głowę, i patrząc na niego, wykrzywiła wargi.

– Żartujesz sobie, Jamesie Hopperze?

Uśmiechnął się.

– Wiesz, o co mi chodzi. Czy przyjazd tutaj to była słuszna decyzja? Do Nowego Jorku? Chryste, całe to miejsce się sypie.

– Może po prostu jesteśmy masochistami – podsunęła. – Ale ja w ciebie wierzę.

– Hej, ja też w ciebie wierzę.

– Nie, słuchaj. Wierzę w ciebie, a to znaczy, że wierzę w to, co chcesz robić. – Pokręciła głową. – Nie mogliśmy zostać w Hawkins. Ja to wiem i ty to wiesz. Nie po wszystkim, przez co przeszedłeś.

Chciałeś wykorzystać to, by móc pomagać innym, a choć policja w Hawkins potrzebowała cię, ty potrzebowałeś czegoś większego. Sam tak mówiłeś, a ja wierzyłam wtedy i wierzę teraz. Zresztą ja też potrzebowałam czegoś większego. To najlepsze dla nas obojga. Słusznie postąpiliśmy i postępujemy.

Hopper objął żonę. Miała rację, dokładnie tak powiedział. Kiedy teraz o tym myślał – a zdarzało mu się to częściej niż powinno – brzmiało to banalnie.

Pocałował Diane, tym razem mocniej, przez kraciastą koszulę czuł ciepło jej ciała, jak jej puls przyspiesza, gdy przesuwiał dłońmi po jej szyi.

Tak, to był długi dzień i tego – tego właśnie potrzebował bardziej niż wódki, bardziej niż kolejnej serii wątpliwości, czy przyjeżdżając tutaj, podjęli właściwą decyzję. Do diabła, mieszkali tu już prawie pięć lat. Gdyby Nowy Jork naprawdę był taki zły, gdyby podjęli błędną decyzję, to czy nadal by tu tkwili?

Diane uwolniła się z objęć i z uśmiechem spojrzała na Hoppera. Odpowiedział tym samym, patrząc jej w oczy.

– Czy wspominałem ostatnio, że cię kocham? – spytał.

Zmarszczyła brwi.

– Hm, pomyślmy. Od czasu do czasu zdarzało ci się napomknąć.

– Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Chodź do łóżka.

Trzymając się za ręce, wyszli z kuchni, kierując się do sypialni.

Inwazja federalnych

5 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper jak przez mgłę zarejestrował zjawienie się Delgado, dopiero donośny łoskot torebki lądującej na biurku przywołał go do rzeczywistości. Nie wiedział, jak długo tkwił zatopiony w aktach. Uniósł wzrok, patrząc na partnerkę, która wciąż stojąc za biurkiem, rozpięła trzy górne guziki zielonej bluzki i zaczęła się wachlować brązową kopertą. Nie było jeszcze ósmej, a temperatura na zewnątrz przekroczyła już trzydzieści stopni, w środku musiała być bliska czterdziestu.

– Wcześniej przyszedłeś – zauważyła Delgado.

– A ty potrafisz spać w takim upale?

– Jestem z Kuby, to nic takiego.

– Nie, jesteś z Queens, a to już coś, nawet jak na Queens.

Roześmiała się i odłożyła kopertę, sięgając po kubek.

– Kawy?

– Teraz naprawdę robisz sobie jaja.

Podparła się ręką pod bok.

– Po pierwsze, do tej pory powinieneś znać mnie na tyle dobrze,

by wiedzieć, że nigdy nie próbuję żartować przed lunchem. A po drugie, wyglądasz, jakbyś potrzebował kroplówki z kofeiny, nie zwykłego napoju. Po trzecie, jest gorąco i...

– I lubisz się torturować, by dowieść własnej wartości i prawa do pracy w wydziale zabójstw?

Jedna z brwi detektyw Delgado uniosła się wysoko wraz z kącikiem ust.

– Prawdziwy z ciebie król dupków, wiesz o tym?

Hopper odchylił się na krześle.

– Wspominałaś raz czy dwa – uśmiechnął się.

Po chwili Delgado westchnęła i pokręciła głową. Po sześciu tygodniach wypracowali sobie rutynę i Hopper musiał przyznać, że ją uwielbia. Wcześniej nie wiedział, czego mu brakuje. Choć Stafford technicznie był jego partnerem, nigdy się nie zgrali. Może kiedyś był dobrym detektywem, lecz Hopper podejrzewał, że działa się to pewnie w czasach, gdy Paul Revere wyruszył ostrzec kolonistów przed atakiem Anglików.

Rosario Delgado natomiast była prawdziwą partnerką. Oddaną, sprawną. Mógł jej zaufać, a nawet powierzyć życie.

– Jest gorąco i... – naciskał.

– I – odparła – gorący napój podczas upałów działa chłodząco.

Zmarszczył brwi.

– Nie chce mi się wierzyć.

– Oto mądrości pana po szkole w Indianie. Może i jestem z Queens, ale wiem co nieco na temat Kuby i kawy.

Hopper wstał, Delgado niecierpliwie machnęła ręką.

– Siadaj, mogę zaparzyć cholerną kawę i nadal pozostać detektywką. Poza tym zamyśliłeś się, a dobrze wiem, ile czasu trzeba, by rozgrzać te twoje szare komórki.

Podał jej kubek, a ona bez słowa poszła do pokoju socjalnego. Przez chwilę patrzył za nią, potem usiadł i znów skupił się na rozłożonych na biurku papierach.

To była seria zdjęć z miejsc zbrodni – trzy duże czarno-białe odbitki ułożone obok siebie pośrodku blatu. Otaczały je mniejsze fotografie, ukazujące te same miejsca pod różnym kątem. Na dole Hopper ułożył w rzędku trzy foliowe torebki na dowody odpowiadające każdej zbrodni.

Trzy miejsca, trzy torebki.

Trzy białe prostokątne karty, puste z jednej strony, z trzema różnymi symbolami nakreślonymi czarnym tuszem na drugiej.

Ofiara numer jeden: Jonathan Schnetzer, biały, mężczyzna, dwadzieścia dwa lata. Kółko.

Ofiara numer dwa: Sam Barrett, biały, mężczyzna, pięćdziesiąt lat. Krzyż.

I z wczoraj, ofiara numer trzy: Jacob Hoeler, biały, mężczyzna, trzydzieści lat. Trzy faliste linie.

Pokręcił głową, próbując rozluźnić mięśnie karku, i zaczął przesuwając karty i zdjęcia, zachowując ogólny układ. Tymczasem jego mózg zmagał się z problemem.

Jedno było pewne: kiedy kapitan LaVorgna przydzielił im pierwszą sprawę – pierwszego dnia pracy Delgado w wydziale zabójstw – miał rację, twierdząc, że jest dziwaczna. Jedno rytualne zabójstwo zamieniło się w dwa, a teraz w trzy.

Z tego, co zdołali ustalić z Delgado, ofiar nic nie łączyło. Wszyscy trzej wyglądali na zwyczajnych obywateli, cokolwiek w Nowym Jorku oznacza słowo „zwyczajny”. Wspólnym mianownikiem było to, że żaden z nich nie miał rodziny ani partnerki – a przynajmniej detektywi nie zdołali ich odnaleźć.

No i oczywiście to, jak zginęli. Każdego pchnięto nożem długości

dziesięciu do piętnastu centymetrów, jak ustalono podczas sekcji zwłok, pięć razy, tak że rany tworzyły charakterystyczny zaplanowany wzór. Każda z nich wystarczyła, żeby zadać śmierć, a choć pięć stanowiło przesadę, to i tak nie było jeszcze najgorzej. Odkąd Hopper rozpoczął pracę w Nowym Jorku, widywał ofiary dźgnięte trzydzieści, pięćdziesiąt, nawet sto razy, gdy napastnik wpadł w szal pod wpływem narkotyków, desperacji bądź choroby umysłowej albo połączenia tych wszystkich czynników.

Tutaj jednak widać było precyzję nie tylko dlatego, że rany układały się w odwróconą pięcioramienną gwiazdę.

– Kawa. – Delgado postawiła kubek Hoppera na brzegu biurka. – Nie mogę niczego obiecać, jeśli chodzi o smak, ale na pewno jest gorąca. – Stała obok partnera, patrząc z góry na zdjęcia i pociągając łyk. – To naprawdę dziwaczna sprawa.

Potarł dłonią szczękę, sięgając po kubek.

– Święte słowa.

– Jak dotąd żadnych przecieków?

Pokręcił głową.

– To już coś – mruknęła Delgado i miała rację.

Poprzedniego lata dwie nastolatki z Bronksu, Donna Laudia i Jody Valenti, zostały postrzelone, gdy siedziały w samochodzie Jody; ona przeżyła, Donna nie. Od tego czasu zginęło jeszcze pięć osób – ostatnia niecałe dwa tygodnie wcześniej – a zabójca pisał listy nie tylko do kapitana policji, ale także parę tygodni temu do „Daily News”, sygnując oba dziwacznym pseudonimem.

Wbrew sobie Hopper poczuł, jak jego wzrok wędruje ku biurku Harrisa. Detektyw jeszcze nie wrócił, toteż wyraźnie widać było domowej roboty tabliczkę, tkwiącą obok starej maszyny do pisania. Stanowiła ona makabryczne, lecz może niezbędne przypomnienie o tym, że w mieście wciąż czai się zło.

MINEŁO 9 DNI OD OSTATNIEGO ATAKU SYNA SAMA

Od dnia pierwszego morderstwa Nowy Jork dostał obsesji na punkcie seryjnego zabójcy, Syna Sama, który królował w mediach od tygodni czy wręcz miesięcy – przynajmniej wtedy, gdy nie zmagaly się z ciągłymi problemami finansowymi miasta bądź chaotycznym, pozbawionym wszelkich zasad wyścigiem do fotela burmistrza. Wybory, może najważniejsze dla całego pokolenia nowojorczyków, zbliżały się w błyskawicznym tempie: zostały tylko cztery miesiące.

A teraz, choć wciąż nie zbliżyli się nawet do schwytania Syna Sama, w mieście najwyraźniej pojawił się kolejny seryjny zabójca. Od znalezienia pierwszej ofiary Hopper i Delgado doszli do tego samego wniosku: tej sprawie, przynajmniej na razie, nie należy nadawać rozgłosu. Kapitan LaVorgna chętnie na to przystał. Syn Sama wystarczył; trudno orzec, jak zareagowałyby opinia publiczna, gdyby w dziennikach poinformowano o kolejnym seryjnym zabójcy.

– Przynajmniej nie wygląda na to, żebyśmy mieli do czynienia z naśladowcą – mruknął Hopper. – Nasz sprawca w żaden sposób nie kopiuje Syna Sama. Nie próbował skontaktować się z władzami – pochylił się nad zdjęciami – a rytuał towarzyszący zabójstwom jest zupełnie inny.

– To oczywiste. – Delgado usiadła za swoim biurkiem, popijając kawę.

– Nie. Chodzi o to, że nie robi tego dla rozgłosu ani uwagi. W istocie nie jestem nawet pewien, czy w ogóle chodzi mu o morderstwa.

Delgado zmarszczyła brwi.

– Kawa chyba poparzyła ci mózg, detektywie. Kiedy zabijasz kogoś nożem, robisz to po to, by popełnić morderstwo. Z całą pewnością nie chodzi o kradzież.

– Ale właśnie w tym rzecz. Posłuchaj mnie: to nie są napady. Zabójstwa owszem, ale może nie to go napędza.

– Nie rozumiem.

Hopper podniósł jedno ze zdjęć z miejsca zbrodni i podał partnerce.

– Przyjrzyj się uważnie. To zabójstwa rytualne, ofiary zabito w szczególny, charakterystyczny sposób, na każdym miejscu zbrodni pozostawiono symbol. Nie tknięto niczego innego. Wszystko to ma znaczenie samo w sobie. Co więc, jeśli zabójca nie pragnie uwagi? Nie przeczytał artykułów o Synu Sama i nie uznał, że potrafi to zrobić lepiej. Ma własny cel i nie dba o sławę ani rozgłos.

Delgado odłożyła zdjęcie, przyjrzała się Hopperowi, odchylona, położyła nogi na blacie, demonstrując mu podeszwy i kwadratowe obcasy.

– Twierdzisz zatem, że karty, które zostawia, nie są przeznaczone dla nas? Nie próbuje przekazać nam jakiejś wiadomości?

Hopper pokręcił głową.

– Nie. Układ ran, nacięcia, karty mają znaczenie, ale nie próbują nam niczego przekazać.

– I co z tego? To fajna teoria, ale w niczym nam nie pomaga. Czyli gość nie próbuje zostawić wiadomości. To pieprzony świr. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Hopper westchnął. Przyjrzał się kolejno torebkom z dowodami, skupiając wzrok na karcie znalezionej wczoraj – trzech falistych liniach.

– Te karty znaczą coś dla zabójcy. Jeśli zdołamy ustalić co, może odpowiemy na pytanie dlaczego.

– A potem na pytanie kto – przytaknęła Delgado. – Ale z tych kart nic nie wynika, Hopper. Nie ma na nich odcisków palców, puste karty można kupić wszędzie, tusz akrylowy jest rzadziej spotykany, jeśli za „rzadziej spotykane” uznasz wszystkie sklepy z materiałami dla plastyków w mieście.

W tym momencie kapitan LaVorgna wyłonił się ze swojego gabinetu. Hopper dostrzegł go kątem oka i odwrócił się dopiero wtedy, gdy dotarło do niego, że coś się święci. LaVorgna stał w drzwiach z ręką na klamce, omiatając wzrokiem ich pomieszczenie.

– Co się dzieje z kapitanem? – spytała Delgado. – Może to udar cieplny?

– Hopper? – LaVorgna dźgnął powietrze mięsistym palcem, po czym zniknął w gabinecie i usiadł za biurkiem, zostawiając otwarte drzwi.

– Czemu mam złe przeczucie? – spytał Hopper, kierując się do gabinetu. Przystanął w progu, kapitan natychmiast wezwał go gestem.

– Zamknij drzwi – poleciał, splatając dłonie na kolanach i wbijając wzrok w bibułę na blacie, nie w twarz detektywa.

Hopper zawahał się, pamiętny zmiennych nastrojów kapitana, potem posłuchał.

– Usiądźcie, detektywie – rzucił LaVorgna, wciąż na niego nie patrząc.

Hopper stanął za jednym z dwóch krzeseł, ustawionych przed biurkiem kapitana, położył dłoń na puchatej niebieskiej tkaninie, palce lepiły mu się od potu.

– To takie złe wieści, że muszę usiąść?

LaVorgna uniósł głowę.

– Nie mam czasu na gierki, detektywie. Siedź sobie czy stój, nie obchodzi mnie to. Nie mam czasu, by się przejmować takimi pierdołami ani wczoraj, ani jutro, a już na pewno nie dzisiaj.

Hopper zagryzł dolną wargę, odsunął krzesło i usiadł.

– Chodzi o sprawę? Delgado i ja właśnie...

LaVorgna zamknął oczy i powoli pokręcił na boki potężną głową, Hopper umilkł.

– A, dobrze, ja...

– Często powtarzacie ja, detektywie.

– No cóż, ja... To znaczy...

Kapitan uniósł dłoń.

– Nie ma żadnej sprawy, detektywie. Już nie.

Hopper zamrugał zaskoczony. Wciągnął powietrze i przytrzymał, rozglądając się po biurze. Czyżby coś przeoczył? Czy doszło do przełomu? Dostali nowe informacje? Nowe dowody? Znalaziono coś na trzecim miejscu zbrodni? Złapano kogoś? Ktoś się przyznał?

Te i inne pytania zaczęły wirować mu w głowie. Powoli wypuścił powietrze, poprawił się na krześle, koszula lepiła mu się do spoconych pleców. W końcu zdecydował się na najbardziej oczywiste pytanie.

– Co?

– Nie ma żadnej sprawy, detektywie. Od tej chwili zabójstwa karciane znikają z naszej tablicy.

Hopper znów się poruszył.

– Co się stało? Dostaliśmy nowe informacje? Jakiś przełom?

LaVorgna milczał, patrzył tylko na Hoppera i znów powoli pokręcił głową, z lewej na prawą, z prawej na lewą, cały czas nie

odrywając od niego wzroku.

Hopper otworzył usta, żeby coś powiedzieć, w tym momencie jednak ktoś bez pukania otworzył drzwi gabinetu. Odwrócił się szybko, sądząc, że to Delgado do nich dołączyła. Owszem, była jedynie młodszą detektywką, ale to także jej sprawa. Ujrzał jednak mundurową wpuszczającą do środka mężczyznę w granatowym garniturze. Uniosła brwi i spojrzała pytająco na LaVorgnę, ten jednak tylko westchnął ciężko i odprawił ją gestem. Cofnęła się, zamykając za sobą drzwi.

Mężczyzna w granatowym garniturze położył na biurku kapitana teczkę i jakby nie dostrzegając obecności policjantów, zaczął majstrować przy zamkach cyfrowych.

Hopper czuł, jak opada mu szczęka. Zerknął na kapitana, który jedynie popatrzył mu w oczy i raz jeszcze przesadnie powoli pokręcił głową.

Hopper przyglądał się, jak mężczyzna walczy z teczką. Pod każdym względem wyglądał przeciętnie – może był ciut za szczupły – i miał jedną z tych twarzy, których wieku nie da się określić dokładnie, poza ogólnym szacunkiem; Hopper oceniał go na gdzieś pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką. Był gładko ogolony, miał bardzo krótkie, ciemne włosy wysmarowane tonikiem i rozdzielone pośrodku – wciąż widać w nich było ślady grzebienia przesuwanego z niemal zegarmistrzowską precyzją. Cienkie usta zaciskały się w wąską białą linię skupienia, gdy obracał zamki cyfrowe. Garnitur miał obcisły, pełen kątów prostych, spodnie odprasowane. W sumie ubranie mężczyzny wyglądało jak świeżo zdjęte z wieszaka w sklepie w roku sześćdziesiątym siódmym, nie dekadę później.

Hopper widywał już podobnych gości – to musiał być prawnik albo jakiś inny urzędnik z biura prokuratora okręgowego, może nawet stanowego. Człowiek, który utrzymywał w swoim biurze porządek tak obsesyjny, że nie dało się stwierdzić, czy ktokolwiek

tam pracuje. Hopper wyobraził sobie rząd mechanicznych ołówków i długopisów ułożonych obok korektora w płynie, bo mężczyzna w granatowym garniturze wyglądał dokładnie jak automat wkładający całą duszę w to, by jego raporty były ściśle, dokładne, bez żadnych literówek ani błędów. Urzędas – zawodowy urzędas – i bardzo z tego dumny. Ktoś, kto istnieje tylko po to, by nieustannie uprzykrzać życie nowojorskim policjantom.

Chociaż mężczyzna jeszcze się nie odezwał, Hopper już go nie lubił.

– Może pomóc? – spytał, skinieniem głowy wskazując aktówkę. – Próbował pan jeden jeden jeden?

W tym momencie zatrzaski teczki otworzyły się ze szczękiem, który odbił się od ścian gabinetu niczym wystrzał. Mężczyzna w granatowym garniturze, wyraźnie zadowolony, wyprostował się i uśmiechnął lekko, choć Hopper widział wyraźnie, że uśmiechał się do siebie, nie do Hoppera ani kapitana.

– Panowie – pozdrowił ich krótkim skinieniem głowy.

– Aaa, przepraszam – zagadnął Hopper. – Ale kim ty, do diabła, jesteś?

Mężczyzna zwrócił ku niemu uśmiechniętą twarz. Miał niebieskie oczy pasujące do garnituru, skóra nad górną wargą lśniła od potu.

Ach, czyli jednak był człowiekiem.

LaVorgna odchrząknął, wskazując ręką mężczyznę.

– To agent specjalny Gallup. Przyjechał, by osobiście doglądać przekazania waszej sprawy jego wydziałowi.

Hopper zmarszczył czoło i pokiwał głową z udawaną wdzięcznością.

– Ach tak, jasne, świetnie, świetnie. – Zmierzył wzrokiem agenta Gallupa. – A jakież to wydział, agencie specjalny Gallupa?

Wargi tamtego zacisnęły się jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe.

– Ta informacja jest zastrzeżona, funkcjonariuszu.

Hopper obdarzył tamtego równie wyniosłym uśmiechem.

– Detektywie.

– Przepraszam. – Gallup odwrócił się do LaVorgny. – Szczegóły pracy w komisariacie – dodał i wzruszył ramionami, jakby kompletnie go to nie obchodziło.

Hopper poczuł, jak robi mu się gorąco, i to nie tylko z powodu duchoty panującej w pomieszczeniu. Wstał, opierając się na poręczach krzesła, i podszedł krok bliżej Gallupa. Przewyższał go niemal o głowę.

– Posłuchaj, przyjacielu – wycedził. – Nie wiem, kim jesteś ani co daje ci prawo, żebyś wchodził tak sobie do naszego komisariatu i do biura kapitana, ale stąpasz po kruchym lodzie.

Gallup uniósł głowę, uśmiech nie schodził mu z twarzy. Hopper przyglądał się żyłce pulsującej na skroni mężczyzny.

– Pracujemy nad tą sprawą od sześciu tygodni – ciągnął. – Robimy postępy, poradzimy sobie. Więc przykro mi, agencie specjalny, ale nie pozwolę, by jakiś federalny w fikuśnym garniturku przyszedł tu i mi ją odebrał.

Gallup oblizwał wargi. Hopper miażdżył go wzrokiem, lecz bez spodziewanego efektu. Gallup nie dał się zastraszyć, cały czas pozostawał pogodny, spokojny, niemal niewzruszony.

W końcu pokiwał głową.

– Rozumiem pańskie obawy, detektywie, ale to już nie wasza sprawa. – Obejrzał się na LaVorgnę, który siedział za biurkiem, nie poruszając ani jednym mięśniem. – Ani nikogo zatrudnionego w nowojorskim wydziale policji. Odbieramy ją wam – urwał i spojrzał na Hoppera. – Możecie zetrzeć ją z tej waszej tablicy. –

Znów rzut oka na kapitana. – Prawdę mówiąc, ta tablica to świetny pomysł. To, jak wymieniacie na niej sprawy i detektywów. Mogę go sobie pożyczyć, przyda nam się w biurze.

– A co to za biuro? – wtrącił Hopper.

– Nie wolno mi powiedzieć, panie Hopper.

– Detektywie Hopper.

– Przepraszam, detektywie. – Gallup znów zwrócił się do kapitana. – Przepraszam, zawsze się gubię w tych tytułach, wasza organizacja jest taka... – pomachał rękami w powietrzu – ...hierarchiczna.

Hopper westchnął, odwrócił się do kapitana, który siedział przy biurku, opierając łokcie na blacie.

– Kapitanie, co się tu dzieje, to jakieś bzdety.

LaVorgna westchnął i potarł dłonią twarz, po chwili namysłu poluzował krawat i rozpiął górny guzik koszuli. Tym razem na ten widok Hopper się uśmiechnął. Cofnął się, splatając ręce na piersi.

No to jedziemy.

– Agencie specjalny Gallup – zaczął kapitan. – Rozumiem, dlaczego pan tu jest, a przełożeni rozkazali, żebym w pełni z panem współpracował, co robię z radością. Ale może gdyby zechciał nam pan podać nieco więcej informacji, zdołalibyśmy przyspieszyć całą procedurę.

– Oczywiście – przytaknął Gallup i otworzył teczkę.

Hopper zajrzał do środka, ale ujrzał tylko brązową kopertę, którą agent wyciągnął i wręczył mu. Na kopercie brakowało adresu, Gallup usiadł i gestem wskazał drugie krzesło.

– Proszę.

Hopper znów westchnął i usiadł. Otworzył teczkę. W środku tkwił cienki plik papierów zszytych w narożniku. Na pierwszej

stronie widniał jakiś formularz, z przedrukowanym w prawym narożniku zdjęciem mężczyzny, tak kiepskiej jakości, że Hopper potrzebował paru sekund, by je rozpoznać, nim przeczytał nazwisko.

To była trzecia ofiara, Jacob Hoeler. W formularzu widniał środkowy inicjał T. Adres pasował do miejsca zbrodni. Resztę kartki zajmowały oficjalne rejestry służby, lecz połowę tekstu ocenzurowano czarnymi liniami. Hopper obrócił kartkę w dłoniach i ujrzał to samo, parę linijek pozostało czytelnych, ale bez kontekstu zdołał zrozumieć tylko kolejny adres.

Agent specjalny Gallup ułożył starannie dłonie na kolanach, zakładając nogę na nogę.

– Wasza trzecia ofiara to niejaki Jacob Hoeler.

– Wiemy – odparł Hopper.

– Nie wiecie natomiast, detektywie, że Jacob Hoeler to jeden z nas: agent specjalny Jacob Hoeler. Pracował właśnie nad pewnym zadaniem i fakt, że zginął podczas pełnienia obowiązków służbowych, bardzo niepokoi mój wydział. Musimy mieć pewność, że śledztwo będzie dokładne i niczego nie pominie. By to zapewnić, przejmujemy sprawę.

Hopper pokręcił głową.

– To tak nie działa – zaprotestował. – Jeśli pracujesz dla federalnych służb śledczych, możesz złożyć oficjalną prośbę. Albo grzecznie poprosić, a my zgodzimy się na współpracę. Nie możesz natomiast przychodzić tutaj i kazać nam przerwać robotę. Nie obchodzi mnie, dla kogo pracujesz, nie tak to działa.

Uśmiech Gallupa wrócił, wargi zacisnęły się jeszcze mocniej. Popatrzył na Hoppera, a potem na LaVorgnę.

– Czy wszyscy pańscy detektywi są tacy obrażalscy?

– Tylko ci dobrzy – odparł kapitan.

Gallup poprawił się na krześle, zmieniając nogi, odwrócił się do Hoppera.

– W istocie mam pełne uprawnienia pozwalające wejść tutaj i zabrać wam dowolną sprawę. Mogę polecić policji nowojorskiej, by przekazała mi wszystkie sprawy i dokumenty związane z tą tutaj. Co więcej, mogę też zabronić NPD jakiegokolwiek dalszego zaangażowania. I jeszcze więcej, mógłbym złożyć dowolną skargę, w tym na zakłócanie pracy organów ścigania. – Uniósł rękę i poprawił kwadratową spinkę tak, by układała się idealnie równolegle do mankietu. – Rozumiemy się, detektywie Hopper?

Hopper przecesał palcami włosy. Spojrzał na kapitana, ale LaVorgna tylko znów pokręcił głową.

– Mam związane ręce, Hopper. Rozkaz pochodzi od samego szefa detektywów. Kiedy zadzwonił, agent specjalny Gallup i jego ludzie już tu jechali. – Wyprostował się na krześle i rozcapierzył palce. – Nic nie mogliśmy zrobić. Sprawa nie należy do nas.

Hopper zmarszczył brwi.

– Ludzie?

W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się z łoskotem i do środka wpadła Delgado, ogarnęła wzrokiem całą trójkę, a potem skupiła się na kapitanie.

– Co, do diabła, się dzieje? Wszystko nam zabierają!

Hopper zerwał się z miejsca i podszedł do okna. Dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach pospiesznie ładowali papiery z obu ich biurka do dużych pudeł na akta, tymczasem trzeci agent prowadził jednostronną rozmowę z sierżantem McGuiganem. To znaczy McGuigan wrzeszczał na niego, a agent uparcie milczał.

– To chyba jakieś jaja! – Hopper wypadł z gabinetu, Delgado podążyła tuż za nim. Kiedy dotarł do biurka, agent, wciąż obrzucany wyzwiskami przez McGuigana, spojrzał na niego.

Sierżant urwał w pół słowa.

– Hopper, co się dzieje, stary? Te palanty nic nie mówią. I kto tam jest u kapitana?

Hopper odwrócił się, widząc nadciągającego LaVorgnę. U jego boku stąpał agent specjalny Gallup, za nimi dreptała kipiąca wściekłością Delgado.

– Wystarczy, sierżancie – uciął kapitan.

Gallup uśmiechnął się i Hopper musiał zwalczyć gwałtowne pragnienie, by zetrzeć mu tę jego minę z twarzy.

Agent specjalny zerknął z ukosa na LaVorgnę.

– To kolejny z pańskich dobrych ludzi, kapitanie?

LaVorgna nie słuchał, stanął pomiędzy sierżantem McGuiganem a drugim agentem. Zgromadzeni dookoła detektywi przyglądali się im. Kapitan ominął sierżanta i zwrócił się wprost do nich:

– Nic nie możemy poradzić. Lepiej im nie przeszkadzać, niech zabiorą wszystko i wyniosą się w diabły. Tymczasem wciąż mamy do wykonania policyjną pracę i sugeruję, żebyśmy się nią zajęli.

Do wtóru pomruków detektywi wrócili za swoje biurka, choć Hopper widział, że tylko nieliczni zabierają się do pracy. Delgado z miną gradowej chmury pomaszerowała do swego biurka i zabrała kubek, nim agent zgarnął go do pudła.

– Tylko akta, idioto – wymamrotała.

LaVorgna poklepał Hoppera po ramieniu.

– Idź na kawę, wróć za pięć minut. Do tego czasu skończą.

– A wtedy co? Zabiorą nam wszystko.

– Co niby mam jeszcze zrobić, detektywie? Zadzwoić do Beame'a do ratusza i poprosić o przysługę? Wierz mi, jest zajęty. Jak my wszyscy. A może zapomniałeś o widniejących na tablicy pozostałych sprawach podpisanych twoim nazwiskiem? – Umilkł

i westchnął. – Może tak będzie najlepiej. Może zabójstwa karciane były dla nas zbyt wielką sprawą. Może sam powinienem był wezwać federalnych. – Odwrócił się i wrócił do swojego gabinetu, starannie zamykając drzwi.

Hopper spojrzał ponownie na agentów pakujących akta. Poruszali się powoli, metodycznie i – poza kubkiem Delgado – sprawdzali każdą teczkę, nim załadowali je do pudeł, pilnując, by zabrać tylko materiały ze śledztwa w sprawie karcianych morderstw. Stojący obok agent specjalny Gallup dyskutował o czymś z trzecim agentem, wymachując trzymaną w dłoni aktówką.

Hopper pomaszerował do pokoju socjalnego. Gdy mijał Delgado, ta klepnęła go w łokieć. Obejrzał się na nią – gestem i skinieniem głowy wskazała miejsce, gdzie i tak już się kierował. Trzymając w dłoni kubek, wyprzedziła go. Kiedy dotarli na miejsce, Hopper zamknął drzwi. Delgado podeszła do okna i wyjrzała na korytarz prowadzący do pokoju detektywów. W kącie stał czternastocalowy czarno-biały telewizor, kompletnie wyciszony. Hopper zgłosił w chwili, gdy Vicky Lawrence zaczęła wychwalać zalety mleka w proszku Carnation. Uznawszy, że nikt ich nie podsłucha, odwrócił się do partnerki.

– W porządku, Delgado?

– To jakieś bzdety – rzuciła.

Pokiwał głową.

– Bez dwóch zdań.

– Ale – Delgado wbiła wzrok w twarz partnera – mam pewien pomysł.

Plan ataku

5 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– Tylko najświeższe wiadomości całą dobę! Tu WINS. Ty dajesz nam dwadzieścia dwie minuty, my tobie cały świat!

Hopper rozparł się wygodnie za kierownicą policyjnego wozu i ściszył radio w chwili, gdy w kabinie zabrzmiał metaliczny ksylofonowy sygnał wiadomości 1010 WINS. To był wielki biały pontiac catalina, w czasach nowości całkiem fajna bryka, teraz jednak rozklekotana i podskakująca na wysłużonych resorach niczym łódź na wzburzonym morzu, jako że cięcia budżetowe zwiększyły odstępstwa między przeglądami technicznymi. Nadal jednak jeździło się nim względnie wygodnie, zwłaszcza komuś tak wysokiemu jak Hopper. A po godzinie czekania na podziemnym parkingu skulony w fotelu kierowcy dziękował projektantom wozu za dodatkowe wsparcie kręgosłupa.

– Dzień dobry, jest godzina siódma i dwadzieścia cztery stopnie. Tu Stan Z. Burns, a oto najnowsze informacje. Burmistrz Beame nalega na wznowienie rozmów pomiędzy miastem a związkami, twierdzi jednak, że związki muszą nieco ustąpić.

Garaż podziemny zajmował dwa poziomy pod Sześćdziesiątym

Piątym Komisariatem, a pontiac stał na niższym, na tyłach, pogrążony w wiecznym mroku z powodu niefortunnego ustawienia oświetlenia. Hopper zastanawiał się, czy nie przesadza, ale komisariat regularnie korzystał z wozów służbowych, a im mniej funkcjonariuszy go zobaczy, tym lepiej. Jeśli zrobi się nieciekawie, nie chciał, by ktokolwiek musiał przyznać, że widział go wraz z Delgado w ów wieczór, gdy agent specjalny Gallup odebrał im sprawę karcianego zabójstwa.

A raczej... sądził, że odebrał.

W garażu przynajmniej panował względny chłód, zwłaszcza w porównaniu z ulicami na górze, jeśli wierzyć wiadomościom radiowym. Hopper otworzył okno – nie tylko po to, by się nie zgrzać, lecz żeby widzieć i słyszeć wszystko, co działo się dokoła.

Miał nadzieję, że Delgado wkrótce się zjawi. Nie uprzedził Diane, że się spóźni – robił to dostatecznie często, by wiedzieć, że nie będzie się martwiła. Wkurzało go jednak, że tym razem z rozmysłem nie zostawił jej wiadomości.

Delgado zmaterializowała się kilka minut później. Zeszła głównym podjazdem z górnego poziomu garażu. Na dole przystanęła, omiatając wzrokiem samochody. Hopper przekręcił kluczyk, żeby włączyć silnik, i mrugnął reflektorami. Ruszyła ku niemu i wsiadła od strony pasażera.

– To wariactwo – oznajmiła.

– Nazwijmy to ostrożnością.

– Raczej paranoją. – Odwróciła się ku niemu, zerknęła na radio i zmarszczyła brwi. Potem sięgnęła po gałkę i wyłączyła je.

Hopper uśmiechnął się złośliwie.

– Nie lubisz Stana Z. Burnsa?

– Osobiście wolę „Łagodne Melodie dziewięćdziesiąt dwa”. Ale kiedy mówiłam, żebyśmy spotkali się później, nie spodziewałam się

takich podchodów.

Uśmiech zniknął z twarzy Hoppera, gdy ten pochylił się ku partnerce.

– Hej, jestem po twojej stronie, ale uważam, że powinniśmy zachować ostrożność. Wiemy, dokąd zmierzamy. Mam przeczucie, że to podróż w jedną stronę: zwyciężymy albo przegramy, a przegrana nie będzie miła. Więc wolę przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Delgado przyjrzała mu się uważnie. Była doświadczoną policjantką, ale wciąż nowicjuską w pracy detektywa – tyle że skłoną naginać przepisy służbowe, jeśli wymaga tego większe dobro. A teraz ukrywali się w samochodzie służbowym, łamiąc bezpośrednio rozkazy. Nie zamierzali tak łatwo oddać swojej sprawy.

W pokoju socjalnym Hopper wysłuchał planu Delgado. Z początku w jego umyśle zakiełkowało zwątpienie, gdy jednak mówiła dalej, dostrzegł na jej twarzy oddanie, a w słowach usłyszał determinację i szybko odrzucił obawy. Miała rację. Słuchał, jak mówiła, że muszą wykonać swoją pracę, muszą chronić miasto, że to ich okolica i mieszkańcy polegają na nich, nie mogą, ot tak, odpuścić. Że mają obowiązek chronić ludzi, których przysięgali chronić, a Gallup nie ma prawa odbierać im sprawy, a... A on się zgodził. Wysłuchał jej, wszystko przetrawił. Szalony pomysł, ale naprawdę dobry – i Hopper natychmiast pojął, że muszą go wcielić w życie. Po kilku minutach wrócili do pokoju i...

Cóż, Hopper rozpoczął kłótnię. Podszedł do Gallupa, stanął naprzeciwko i zaczął wrzeszczeć. Jego wybuch wywarł pożądany skutek. Pozostali agenci i detektywi zebrali się dokoła, a LaVorgna wybiegł z gabinetu, by interweniować. Za plecami wszystkich Hopper ujrzał, jak Delgado wślizguje się do pokoju kapitana. Po paru minutach wyszła, skinęła głową i Hopper demonstracyjnie

porzucił słowne przepychanki.

Przed powrotem do pracy kapitan LaVorgna solidnie mu nagadał. Hopper przeprosił – całkiem szczerze – i życie w Sześćdziesiątym Piątym Komisariacie toczyło się dalej. Hopper zakopał się w aktach innej sprawy, przez resztę zmiany unikali się z Delgado. To też było częścią planu: wybuch Hoppera stanowił kiepski przykład dla młodszej partnerki, mogli zatem rozsądnie założyć, że oboje zareagują zawstydzeniem i przez resztę dnia nie będą się sobie narzucać. I tak właśnie zrobili, prócz przelotnego widzenia w korytarzu, podczas którego Hopper przekazał partnerce czas i miejsce tajnego spotkania.

– W każdym razie przepraszam za spóźnienie – powiedziała Delgado. – Musiałam skończyć parę rzeczy. Ale wypełniłam misję. – Otworzyła torebkę i wyciągnęła cienki plik akt Jacoba Hoelera, tych samych, które powinny tkwić bezpiecznie w teczce na biurku kapitana LaVorgny. – I nim spytasz, owszem, też to widziałam.

Hopper odebrał jej akta i przewrócił pierwszą kartkę. Z tyłu, pośród morza czerni, widniał drugi adres.

– Dikeman Street – przeczytał na głos. – Numer budynku i mieszkania, ale brak kodu.

Delgado przytaknęła i otworzyła schowek na rękawiczki. Ze środka wyciągnęła zatłuszczony plan miasta ze spiralnym grzbietem, otworzyła na indeksie, marszcząc brwi, spojrzała na stronę, a potem włączyła lampkę. Teraz, gdy widziała, co czyta, zaczęła przesuwając palcem w dół gęsto zadrukowanego spisu nazw ulic, w końcu znalazła tę, której szukała. Cofając się kilkanaście stron, znalazła właściwą okolicę.

– Jest tylko jedna Dikeman Street, więc to musi być ta. – Postukała palcem w kartkę. Hopper odebrał jej plan i przyjrzał mu się, mrużąc oczy. – To co chcesz zrobić? – spytała. – Pojedziemy

sprawdzić?

Hopper pokiwał głową.

– Tak, chyba powinniśmy. – Obejrzał się na partnerkę. – Na pewno ci to pasuje? Masz jeszcze czas, żeby się wycofać i wszystkiemu zaprzeczyć.

Delgado pokręciła głową.

– W ogóle nie zaproponowałabym podobnego numeru, gdyby mi nie pasował. Nie lubię, gdy agenci, specjaliści czy nie, wtrącają się w moje sprawy. I nie po to walczyłam, by zostać detektywką w wydziale zabójstw, żeby ktoś, ot tak, odebrał mi moją pierwszą sprawę.

– Wiesz, co się z nami stanie, jeśli nas przyłapią? – Choć Hopper zgadzał się z planem partnerki, wciąż był starszym detektywem i uznał za swój obowiązek przypomnieć jej realia sytuacji, w którą się pakowali, czy tego chce, czy nie. – Jeśli to schrzanimy, niedługo pozostaniesz w wydziale zabójstw. Wiele zależy od tego, co się stanie, i...

Delgado uniosła rękę.

– Wierz mi, rozumiem, ale mamy robotę do wykonania i wykonamy ją. – Poprawiła się w fotelu, by móc lepiej spojrzeć na Hoppera. – Więc pozwól, że spytam: wchodzisz w to?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– O tak, pani detektyw.

– To świetnie – rzuciła. – W takim razie sprawdzmy Dikeman Street.

– Prawdę mówiąc – odparł Hopper – chcę, żebyś wróciła do mieszkania.

Delgado zaskoczona zmarszczyła brwi.

– Na miejsce zbrodni?

– Tak, chcę, żebyś poszła i rozejrzała się tam. Sprawdź, czy coś przeoczyliśmy. Teraz wiemy o wiele więcej niż wcześniej, może zdołasz coś wykopać.

– Dobra – mruknęła. – Spotkamy się tu później?

Hopper spojrzał na zegarek i się skrzywił.

– Prawdę mówiąc, nie, muszę wracać do domu. – Zerknął na partnerkę. – Ty zrób to samo, jutro pogadamy.

– Jasne. – Delgado szczęknęła klamką i otworzyła drzwi. – Szczęśliwych łowów, detektywie – dodała.

Wysiadła, zamykając je za sobą. I zniknęła na podjeździe.

Hopper odczekał jeszcze kilka minut, aby dać jej trochę czasu, potem włączył silnik i pojechał w stronę Dikeman Street i tajemniczego mieszkania.

Dom tajemnic

5 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper zaparkował samochód służbowy parę przecznic od Dikeman Street, wyjął z za siedzenia pasażera policyjną latarkę i resztę drogi przeszedł pieszo. Nie miał pojęcia, co znajdzie w mieszkaniu, ale powtarzał sobie w duchu, że warto zachować optymizm. Coś dziwnego działo się z tą sprawą – sprawą, nad którą w ogóle nie powinien już pracować – i gdzieś w głębi czuł lekkie buzowanie adrenaliny, gdy maszerując, wmawiał sobie raz po raz, że postępuje jak należy.

A nie?

Dikeman Street leżała w okolicy, gdzie budynki mieszkalne sąsiadowały ze sporą liczbą miejscowych sklepów, minimarketów i monopolowych, sklepów meblarskich, salonów fryzjerskich i manicure. Nie była to najlepsza dzielnica w mieście, ale biorąc pod uwagę jego stan, Hopper czuł się całkiem bezpiecznie, maszerując ulicami zalanymi żółtym blaskiem sodowych latarni. Mimo późnej godziny minimarkety i monopolowe wciąż miały wielu klientów i Hopper nie był jedynym przechodniem.

Tajemnicze mieszkanie Jacoba Hoelera mieściło się na piętrze

kamienicy z otwartymi drzwiami. Hopper pokonał kilkanaście stopni i znalazł się w szerokim holu z podłogą wyłożoną linoleum i parami mosiężnych kinkietów zawieszonych w równych odstępach na ścianach. Połowa światel nie działała, linoleum było zdarte i wyświecone, Hopper czuł, jak ślizgają mu się buty. Idąc w głąb korytarza, odczytywał numery na drzwiach i wkrótce dotarł do interesującego go lokalu na końcu. Korytarz wieńczyło duże okno, za którym widniała żelazna koronka schodów przeciwpożarowych.

Staął przy oknie i omiół wzrokiem korytarz. Był sam. Cienka szyba w oknie nie tłumiała odgłosów ruchu ulicznego, a niezrozumiały chór kilkunastu telewizorów odbijał się głośnym echem od ścian innych kamienic. Gdy Hopper spoglądał w głąb korytarza, ktoś w pobliskim mieszkaniu rozkręcił mocniej głos w telewizorze i z wnętrza dobiegła głośna melodia z serialu *M.A.S.H.* Gdy w sypialni sąsiada Sokole Oko i pułkownik Potter dyskutowali, kto pójdzie w diabły, Hopper wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki czystą kraciastą chusteczkę i owinał nią gałkę w drzwiach, po czym spróbował przekręcić. Jego dłoń ześliznęła się po chłodnym metalu, gałka ani drgnęła.

Zamknięte na klucz. Nic dziwnego.

Oglądając się przez ramię, z innej kieszeni wyłowił cienki skórzany portfelik i z uchwytu wyjął zestaw wytrychów. Trzymając portfel w zębach, przykucnął i wziął się do pracy. Trzydzieści sekund później był już w środku. Zamknął drzwi, uważając, by dotykać gałki tylko przez chusteczkę. Działał nieoficjalnie, ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było zostawienie tu odcisków palców. Zza paska spodni wyciągnął wciśniętą tam masywną latarkę, włączył ją i przytrzymał nisko, zdając sobie sprawę z tego, że w ten sposób anonsuje wszystkim na ulicy swą nieautoryzowaną obecność.

Potrzebował chwili, by zrozumieć, co pokazuje mu plama

światła. Nie wiedział, czego może się spodziewać, ale z całą pewnością nie tego.

Mieszkanie – a przynajmniej pomieszczenie, w którym się znalazł – było puste. Drzwi wejściowe prowadziły bezpośrednio do ciasnego salonu. Po lewej mieściła się wąska kuchnia. Świecąc dokoła, dostrzegł drzwi po lewej, okno dokładnie naprzeciwko i pustą ścianę po prawej – zewnętrzny mur budynku. Pokój sprawiał wrażenie nagiego. Podłogę pokrywały gołe deski, ściany także były gołe, pozostały na nich fragmenty tapety o poszarpanych brzegach, spod której wyzierały kolejne warstwy. Sufit ozdobiono pośrodku misterną gipsową rozetą, kolejną pozostałością z czasów, gdy ta dzielnica cieszyła się większym prestiżem. Z rozety zwisał gruby pleciony kabel zakończony gołą żarówką. Upewniwszy się, że jest sam, a w oknie naprzeciwko zaciągnięto zasłony, Hopper znalazł włącznik światła i nacisnął ręką owiniętą w chusteczkę. Żarówka zabrzęczała w proteście, ale się zapaliła. Zgasił latarkę i schował ją za pasek spodni.

Wszedł do pokoju powoli, wiedząc, że drewniana podłoga wzmocni każdy krok. Okrążył pomieszczenie i nie dowiedział się niczego. To miejsce było puste. Opuszczone. Wyglądało na to, że od lat nikt tu nie mieszka.

A może?

Przystanął. W zamkniętym mieszkaniu leżałaby gruba warstwa kurzu, zwłaszcza w tak starym budynku o odsłoniętych ścianach i sypiących się tynkach. Mieszkanie jednak było czyste – może nie wysprzątane, ale i nie brudne. Kurz, który zbierał się latami, został poruszony przez osobę korzystającą z lokalu.

A osobą tą był Jacob Hoeler.

Ale po co mu to mieszkanie? Salon to niewątpliwie niewypał, chyba że coś kryło się pod podłogą. Hopper przeszedł parę kroków,

ale deski były solidne jak żelazo, zamontowano je może sto lat wcześniej i od tego czasu nie tykano. Przeszedł do miniaturowej kuchni, owiniętą w chusteczkę ręką sprawdził szafki. Puste. W kącie stała lodówka: w latach pięćdziesiątych mogła wyglądać imponująco, teraz jednak była wyłączona i także pusta.

Nie znalazłszy nic ciekawego, Hopper podszedł do jedynej widocznych drzwi. Otworzyły się gładko, za nimi ujrzał króciutki przedśionek z otwartymi drzwiami po lewej, wiodącymi do łazienki i zamkniętymi – pewnie należącymi do sypialni – po prawej. Hopper znów wyjął latarkę i poświecił w głąb łazienki. Stała tam wanna, brakowało prysznicza, była też toaleta, a nad nią szafka na ścianie, z lustrem zamiast drzwiczek. Zamrugał, gdy światło odbiło się mu prosto w oczy, i postanowił zajrzeć do sypialni.

Bingo!

W środku brakowało łóżka czy jakichkolwiek mebli, ale pusto nie było. Pośrodku stała kanadyjka, zasłana niezbyt równo prześcieradłem, poduszką i kocem. Obok ustawiono drewniany składany stolik, a na nim lampę, bardziej nadającą się do biura niż sypialni. Obok lampy leżała gruba książka w twardej okładce: *Lśnienie* Stephena Kinga. Hopper jeszcze jej nie czytał.

Odwrócił się i poświecił latarką dookoła pokoju.

I wtedy je zobaczył.

Wzdłuż ściany, w której osadzono drzwi sypialni, stał zestaw pudeł na akta, identycznych, z czarnego grubego kartonu, z białymi etykietami na grzbietach. Na etykietach grubym flamastrem wypisano zgrabnie długie rzędy cyfr. Pod każdą liczbą widniał maszynowy napis:

DEPARTMENT OBRONY USA

WYNOŚZENIE SUROWO WZBRONIONE

Hopper cofnął się, świecąc latarką wzdłuż rzędu pudeł. W sumie było ich piętnaście. Zamarł, pogrążony w myślach.

Działo się coś bardzo dziwnego. Obrócił się na pięcie, oświetlając kanadyjkę.

Co, do diabła, robił tu agent specjalny Hoeler? Bez wątpienia korzystał z tego mieszkania jako bazy operacyjnej, trudniej jednak pojąć dlaczego – i skąd – przyniósł tu akta federalne. Czy Gallup o nich wiedział? Wiedział o mieszkaniu, lecz pudła – „wynoszenie surowo wzbronione” – wciąż tu były.

Hopper pokręcił głową i popatrzył na akta. Musiał się dowiedzieć, co jest w środku, przykucnął i sięgnął po pierwsze pudło.

I wtedy to usłyszał: skrzywienie, ciche, lecz charakterystyczne, identyczne z tym, które towarzyszyło mu kilka minut wcześniej, kiedy przeszedł przez główny pokój.

Ktoś wszedł do mieszkania.

Hopper zamarł. To musiał być jeden z agentów Gallupa – z pewnością obserwowali mieszkanie i może zostawili tu akta z rozmysłem, jako...

Przynętę.

A on wmaszerował prosto w pułapkę.

Wstał, zgasił latarkę i przywarł do ściany obok drzwi sypialni. Aresztowanie przez agentów federalnych nie leżało w jego planach. Wyteżył słuch. Miał szczęście, odgłosy sugerowały, że zjawiała się tylko jedna osoba.

Może, tylko może, zdoła jeszcze stąd uciec.

Opanował oddech, uspokajając się, skupiając na dźwiękach dobiegających z sąsiedniego pokoju. Po minucie cierpliwość się opłaciła – trzeszczące kroki zabrzmiały głośniejsz, gdy intruz dotarł

do niewielkiego przedpokoju przed sypialnią. Chwilę później gałka powoli zaczęła się obracać.

Hopper skorzystał z okazji. Odszedł od ściany, stanął naprzeciw wejścia i sięgnął po gałkę. Gdy się poruszyła, chwycił ją i szarpnięciem otworzył drzwi.

Intruz wpadł do pokoju prosto na Hoppera, ten jednak był gotów: odepchnął go na bok, otwierając sobie drogę do wyjścia. Kątem oka dostrzegł czarną narciarską maskę, a jego dłonie ześliznęły się po skórzanej kurtce.

To nie był agent.

Chwila wahania wystarczyła intruzowi, by odzyskał równowagę, i z zaskakującą siłą odepchnął Hoppera. Ten stracił równowagę i wylądował na podłodze, a tymczasem intruz uciekł.

– Sukinsyn! – rzucił Hopper przez zęby, zrywając się i wbiegając do salonu, by zobaczyć tylko zatrzasnięte drzwi mieszkania. Z zewnątrz dobiegł głośny tupot nóg biegnącego korytarzem.

Hopper znów zaklął i wypadł zza drzwi, nie zatrzymując się w pościgu. Nigdzie nie widział intruza, ale wciąż go słyszał, kroki dobiegały ze schodów. Popędził za nim, skręcając na klatkę schodową i przeskakując po dwa stopnie. Na pierwszym podejściu omal nie stracił równowagi: musiał wyciągnąć ręce i odepchnąć się od ściany. Wykorzystując siłę rozpędu, wyprostował się i zbiegł kolejnymi schodami.

Kiedy dotarł do holu, drzwi frontowe budynku wciąż kołysały się na zawiasach. Hopper pognał za nieznajomym, przystając tylko raz na ulicy, by ustalić kierunek.

Nie okazało się to trudne – chodnik nie był pusty i obiekt pościgu musiał przepchnąć się przez grupkę młodych mężczyzn stojących przed minimarketem na rogu. Było ich czterech, wszyscy półnaczy, obwiązali się koszulami w pasie, ich ciemna skóra połyskiwała od

potu, gdy wymachiwali w powietrzu puszkami z piwem, wznosząc toast za znikającego uciekiniera.

Hopper ruszył za nim. Gdy przemknął środkiem grupy, czwórka młodzików tym razem to jego powitała oklaskami. Przed nim intruz przebiegł przez ulicę i pędził w stronę najbliższego rogu. Hopper musiał go złapać, i to szybko, inaczej zabłądzi w obcym labiryncie krzyżujących się ulic. Tupiąc mokasynami o miękkich podszwach, przemknął na drugą stronę, latarka boleśnie wbijała mu się w plecy. Gdy dotarł na róg sąsiedniej ulicy, czuł, że zaczyna słabnąć. Pierwsza fala adrenaliny opadała zastąpiona kolką w boku. Na podeście uderzył się w prawe kolano, które zaczęło dawać znak ostrymi przebłyskami bólu, że już niedługo pobiega. Chwytając oddech, skręcił za róg. Intruz wciąż biegł, wymachując rękami niczym olimpijski sprinter i pędząc środkiem jezdni. Na tej ulicy przechodniów było mniej, ale wszyscy przystawali, żeby popatrzeć.

Hopper runął za nim, ale dzieląca ich odległość rosła z każdym krokiem. W końcu się zatrzymał – musiał, inaczej by się porzygał. Stał zgięty wpół pośrodku ulicy, opierając dłonie na kolanach i rozpaczliwie chwytając powietrze. Zza pleców dobiegło ostre trąbienie, obrócił się lekko, mrugając oślepiony parą reflektorów. Niewidoczny kierowca znów nacisnął klakson, Hopper pomachał ręką na znak, że słyszy, i zwłókł się z jezdni na chodnik. Samochód przejechał, kierowca, po drodze, przez otwarte okno wyraził barwną opinię na jego temat. Gdy tylne światła zniknęły, Hopper popatrzył w głąb ulicy.

Intruz już dawno zniknął, nie było sensu zgłaszać tego incydentu. Hopper nie mógł podać opisu tamtego, oprócz faktu, że miał na sobie czarną narciarską maskę i czarną kurtkę skórzaną. A poza tym w ogóle nie powinno go być w tym mieszkaniu i nie miał ochoty tłumaczyć się komuś takiemu jak Gallup.

Ale miał rację. Mieszkanie było ważne.

Zawrócił powoli, przyciskając dłoń do bolącego boku, i pokuśtykał na Dikeman Street. Kim był ów mężczyzna? Nie agentem – Hopper nie miał pewności, ale coś w jego ubraniu i zachowaniu, w tym, jak uciekł, świadczyło, że to nie to.

A może zabójcą Hoelera? Czyżby Hopper właśnie starł się z brooklyńskim seryjnym mordercą we własnej osobie? I dlaczego tamten przyszedł do mieszkania – czy zobaczył Hoppera, czy to jedynie przypadek, że obaj zjawili się w tym samym czasie? Jeśli jednak intruz nie przyszedł po Hoppera, to miał jakiś inny powód.

Może akta?

Hopper przyspieszył kroku. Przed sobą ujrzał budynek. Młodzi mężczyźni zniknęli sprzed minimarketu, ulica była pusta.

Wszedł do środka i wspiał się po schodach. Drzwi mieszkania wciąż stały otworem. Przez chwilę nasłuchiwał z zewnątrz, by się upewnić, że w środku nie ma nikogo, ale na korytarzu zbyt dobrze było słychać telewizor sąsiada, śmiech z puszki odbijał się echem od ścian. Hopper zamknął oczy, próbując się skupić, ale na próżno. Jedyne, co zdołał ustalić, to to, że *M.A.S.H.* się skończył.

Jak długo właściwie mnie nie było?

Wszedł do środka, żarówka wciąż się świeciła, ale teraz światło wylewało się też z przeciwległych drzwi. Hopper ruszył tam szybko i odkrył, że stojąca na stoliku w sypialni lampa jest włączona.

Odwrócił się.

– Szlag!

Pudła zniknęły. Wszystkie piętnaście.

Zniknęły.

Rozejrzał się, nie do końca wierząc własnym oczom. Okrążył pokój, jakby w ten sposób mógł coś odkryć. Potem zajrzał do mikroskopijnej łazienki; potrzebował trzech sekund, by potwierdzić, że nic tam nie ma.

Wrócił do sypialni i usiadł ciężko na łóżku polowym. Materac był cienki, lekka metalowa rama zaskrzypiała w proteście. Hopper wbił wzrok w ścianę, przy której wcześniej stały akta. Jak długo go nie było? Zerknął na zegarek i ze zdumieniem odkrył, że dochodzi dziesiąta. Pościg za intruzem i powrót do mieszkania trwały w sumie ponad pół godziny, aż nadto czasu, by ktoś – zapewne więcej niż jedna osoba – zjawił się i zabrał pudła.

Pokręcił głową, rozluźniając napięte mięśnie, i wyprostował prawą nogę, opierając piętę o podłogę. Zaczął masować obolałe kolano. W myślach odtwarzał wydarzenia wieczoru.

I wtedy go zobaczył. Z powrotem zgął kolano, sięgnął pod materac i wyciągnął notes, którego krawędź była widoczna dopiero, gdy łóżko ugięło się pod ciężarem Hoppera.

Notes miał spiralny grzbiet, większość kartek wyrwano, nieliczne, które pozostały, okazały się puste. Zaczął je przeglądać, potem westchnął i rzucił otwarty notes na stolik. Pomasował twarz i oparł się pokusie, by zacząć wrzeszczeć, ile sił w płucach.

Otworzył oczy i spojrzał gniewnie na notes.

Pierwsza kartka nie była czysta. Kąt nachylenia lampy i to, że notatnik wylądował nieco krzywo, ujawniły tajemnicę.

Hopper obrócił lampę, mrugając oślepiiony nagłym jasnym światłem, po czym podniósł notes i przysunął blisko żarówki, przekrzywiając w tę i we w tę. Zagłębienia były wyraźne, widmo liter, którymi ktoś – zakładał, że Hoeler – pokrył poprzednią stronicę. Hopper zmrużył oczy, ale nie zdołał ich odczytać – słowa były zbyt małe, choć ich układ sugerował jakiś spis.

Lecz jeden wyraz wyglądał wyraźnie – zapisany po drugiej stronie kartki wielkimi, mocnymi literami, wielokrotnie zakreślonymi dookoła.

Zmarszczył brwi. Raz jeszcze obrócił w palcach notes,

przyglądając się obu stronom, unosząc każdą z ostatnich kartek i przykładając do światła, żeby sprawdzić, czy ujawni coś jeszcze. Ale wgłębienia pojawiały się tylko na jednej.

Schował notes do kieszeni. W myślach wciąż dźwięczało mu jedno słowo.

Żmije.

Lista

5 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Delgado stała podparta pod boki, rozglądając się po mieszkaniu Jacoba Hoelera, tym, w którym agenta specjalnego spotkał nieszczęsny koniec. Gdy tu dotarła, zastała drzwi wciąż zaklejone taśmą policyjną. Mundurowy pełniący służbę w korytarzu czytał gazetę zwiniętą tak, by eksponować dział sportowy. Stożące obok na podłodze radio tranzystorowe grało na cały regulator coś, w czym Delgado rozpoznała chyba piosenkę Sir Duke Steviego Wondera. Delgado ochrzaniła mundurowego za naruszenie protokołu – świadoma, że jeśli spyta, nie wyrecytuje z pamięci odpowiednich paragrafów, ale też dziwnie pewna, że on również ich nie zna – a potem poleciała znudzonemu funkcjonariuszowi, by ją wpuścił i poszedł na kawę, zostawiając ją samą.

Odszedł z westchnieniem, wciskając jej do ręki gazetę, jakby nie miała nic lepszego do roboty niż sprawdzać wyniki gry w bejsbol. Odprowadziła go wzrokiem, a potem uklękła i wyłączyła radio.

– Wybacz, Stevie – mruknęła.

Zgarnęła odbiornik i weszła do środka. Odłożyła radyjko wraz z gazetą na blat kuchenny i zabrała się do pracy. Miała wrażenie, że

szuka kilka godzin, lecz nie znalazła niczego. Sypialnię opróżniono, łóżko zniknęło wywiezione do laboratorium kryminalistycznego na badania wraz z dużą częścią dywanu wyciętą nierówno, tak że w jej miejscu pozostał tylko postrzępiony kawałek podściółki. Wszystkie śmieci z mieszkania zabrano i zapewne odesłano w torbach do laboratorium, gdzie czekały, aż ktoś je przejrzy.

Delgado pomyślała, że z pewnością zrobią to dokładniej niż ona.

W sypialni stały szafa i komoda. Przeszukała je, ale nie znalazła niczego nietypowego, niczego ukrytego, niczego w kieszeniach marynarek bądź spodni, niczego wciśniętego w skarpetki albo złożonego wraz z bielizną. Salon także okazał się niewypałem. Po uprzątnięciu śmieci pozostało spartańskie wnętrze z wyświeconym kompletem wypoczynkowym i lekkim stolikiem kawowym. Delgado obróciła poduchy, obmacała je, lecz nic nie znalazła.

Lepiej powiodło jej się w kuchni. Gliniarze, a może agenci Gallupa, ją także przeszukali i wszystkie blaty zastawiono garnkami, patelniami i fajansami, puste szafki natomiast wciąż stały otworem. Delgado zaczęła grzebać dokoła bez szczególnej nadziei i już miała wyjść, gdy na tylnej ścianie obok lodówki dostrzegła kawałek tablicy korkowej, niemal w całości ukrytej za stertą garnków.

Chyba jej nie przeoczyli?

Przesunęła kolejno garnki, zapewniając sobie swobodny dostęp do tablicy. Wbito w nią sporo pinesek, przyszpilając z tuzin niedużych karteczek, najczęściej paragonów, ale wzrok Delgado przyciągnęła większa kartka. Szybko odpięła notatkę. To była lista adresów – w sumie pięć, leżących w Queens, Brooklynie i na Manhattanie. Obróciła ją w palcach, ale niczego więcej nie znalazła. Odkładając ją na bok, zaczęła zdejmować z tablicy paragony w nadziei, że natrafi na jakieś wskazówki.

– Hej, co się tu dzieje?

Odwróciła się szybko w chwili, gdy w drzwiach kuchennych pojawił się rosy mężczyzna. Był w średnim wieku, lśniącą od potu czaszkę otaczał wianuszek ciemnych kręconych włosów. Na nosie tkwiły wielkie kwadratowe okulary, był ubrany w spodnie od dresu i w żonobijkę.

Delgado dotknęła wiszącego na szyi medalionu. Mężczyzna pochylił się, unosząc nieco okulary i skupiając wzrok. Po sekundzie pokiwał głową i cofnął się.

– Och, przepraszam, pani władzo, nie miałem pojęcia, że jeszcze tu wrócić. Na zewnątrz stał jeden z waszych, ale wyszedł, więc pomyślałem, że może wreszcie skończyliście – odchrząknął i za jego plecami coś brzęknęło.

Delgado uniosła brwi. Mężczyzna ponownie odchrząknął i z niemądrym uśmiechem zademonstrował kij bejsbolowy schowany za nogą. Wzruszył ramionami.

– Hej, nie wiedziałem, że jest pani glina. Czy można mi się dziwić? Można? W takim mieście trzeba stosować środki ostrożności – przytaknął. – Ostrożności. Tak, psze pani – dodał po sekundzie namysłu, potem wbił wzrok w podłogę, wyraźnie zawstydzony, że przyłapała go z zaimprovizowaną bronią.

– Jestem detektyw Delgado. – Mrużąc oczy, przyjrzała się mężczyźnie. Widziała go podczas poprzedniej wizji lokalnej. – Pan jest zarządcą, tak?

– Zgadza się – odparł mężczyzna i wyciągnął rękę. – Richardson. Tony. Tony Richardson.

Delgado spojrzała na jego dłoń śliską od potu. Zauważył to i opuścił rękę, ocierając ją szybko o nogawkę dresów.

– Przepraszam – zaśmiał się nerwowo. – Pewnie wyglądam okropnie, co? To przez ten upał. W całym budynku siadła

klimatyzacja, a ja nie zdążyłem jeszcze zrobić prania, więc to wszystko, co mam.

Znów wbił spojrzenie w podłogę. Delgado roześmiała się.

– Skąd ja to znam – mruknęła. – Od dwóch tygodni łamię przepisy dotyczące ubrania służbowego, ale niech mnie diabli, jeśli ktoś będzie mi mówił, co mam nosić w taką pogodę.

Tony uniósł wzrok i uśmiechnął się z wyraźną ulgą – podejrzewała, że jego spotkania z nowojorską policją odbywały się zazwyczaj w mniej przyjaznej atmosferze.

– Prawdę mówiąc – rzekł – to dość... ekscytujące, co nie?

Zmarszczyła brwi.

– Ekscytujące?

– No wie pani, w mieszkaniu pod moim zarządem doszło do zbrodni. Morderstwa, co nie? Zupełnie jak u Syna Sama. W sumie nie dzieje się tu zbyt wiele, więc to dość ekscytujące.

Jeszcze mocniej zmarszczyła czoło. Richardson patrzył na nią, jego oczy powoli rozszerzały się, znów odchrząknął.

– To znaczy, podniecające, bo mogę pomóc – dodał, zwracając się głównie do podłogi. – No wie pani, chronić miasto, wykonać obywatelski obowiązek i takie tam.

– Mhm? – Delgado znów skupiła się na korkowej tablicy i zaczęła zdejmować z niej paragony.

– Przepraszam za to przesłuchanie. – Zarządca zakołysał trzymanym w dłoni kijem. – Ale musi pani zrozumieć na czym stoję, to wszystko. – Machnął kijem, wskazując całe mieszkanie. – Za wszystko odpowiadam osobiście. Muszę pilnować mieszkania, patrzeć, kto przychodzi i wychodzi. A gliniarze wszystko rozdeptują. Odpowiadam za to mieszkanie, więc musiałem sprawdzić, kto wchodzi, kto wychodzi. No wie pani.

– No wiem – odparła. – Proszę tylko zrobić mi tę grzeczność

i odstawić kij.

– A, tak, przepraszam. Um, psze pani. – Richardson uniósł kij i położył delikatnie na kuchennym blacie. Sięgnął po gazetę. – Ale wie pani. Co niby mam robić?

Zaczął wachlować się, jedną ręką, potem drugą. Włączył radio.

– ...To była Thelma Huston i Don't Leave Me This Way, piosenka, która w kwietniu zajęła pierwsze miejsce na liście przebojów „Billboardu” i przez całe lato rozbrzmiewała w dyskotekach.

Richardson pochylił się nad radiem, zmieniając stacje, nim Delgado ponownie je wyłączyła.

– Pozwoli pan?

Zarządca uniósł rękę.

– Hej, przepraszam, chciałem sprawdzić, czy gdzieś podają wyniki meczów. – Wziął gazetę i zaczął czytać. – Oczywiście myślałem, że pani jest z tamtymi – dodał, podjąwszy przerwany wątek. – No wie pani, znów tu węszy.

– Z glinami?

Mężczyzna klepnął gazetę grzbietem wolnej dłoni.

– Rany kota, no to już przesada, trzy do jednego? Ile razy Metsi zamierzają przegrać z Phillies? No kurczę, to mnie wykończy. – Zarządca uniósł wzrok. – To znaczy przepraszam, bez urazy, psze pani.

Detektywka uniosła brew.

– Chce pan powiedzieć, że byli tu policjanci czy ktoś inny?

– O nie, nie policjanci, inni, tacy trochę podejrzani. Nie spodobali mi się.

Delgado na moment zamilkła. Zapewne mówił o agentach Gallupa, choć słowo „podejrzani” to dziwne określenie. Spojrzała z uwagą na zarządcę.

– Faceci w garniturach?

Richardson poprawił kciukiem okulary na nosie.

– W garniturach?

– Ci, co tu przyszli.

– A tak. To znaczy nie, nie mieli garniturów, nie. Ci goście byli... No nie wiem, tacy faceci. – Wzruszył ramionami.

– Proszę mi o nich opowiedzieć.

– Pomyślmy, pomyślmy. – Znow poprawił okulary i upuścił gazetę na blat. – Było ich trzech. Nie widziałem, kiedy weszli, ale usłyszałem łomot. Byłem na dole, mieszkanie zarządcy jest dokładnie pod tym, psze pani. To było... a, po południu. A może wieczorem? W każdym razie nie późno. Usłyszałem walenie, łup, łup, łup, jakby próbowali rozwalić drzwi. Krzyczeli coś do Jacoba, ale oczywiście nie odpowiedział.

Delgado pokręciła głową.

– Chwileczkę, kiedy to było?

– Och, dwa dni temu? Nie, trzy. W zeszłym tygodniu. Przed, no wie pani, tym wszystkim. W każdym razie wołali go i walili w drzwi, łup, łup, łup, więc poszedłem na górę, żeby sprawdzić, co to za hałas, i powiedzieć, żeby się wynieśli. Widzi pani, sąsiedzi nie lubią hałasów. I komu się wtedy obrywa? Mnie, oto komu. Mówię pani, przed moim biurem ustawiają się kolejki jak do pieprzonego peep show na Times Square. – Zarządca zdjął okulary, potarł palcem oprawki, znow założył. – W każdym razie podszedłem do nich i powiedziałem, żeby zostawili w spokoju drzwi i zapoznali się ze schodami. No wie pani, żeby spadali – zawiesił głos, jakby oczekiwał jakiegoś znaku ze strony Delgado, że wciąż jest przytomna i słucha.

Ona jednak tylko uniosła brew. Zarządca potraktował to jako potwierdzenie.

– W każdym razie przestali się dobijać i wszyscy spojrzeli na mnie, a ja byłem gotów wrócić po kij, na wszelki wypadek, no wie pani. Ale niech mnie, jeśli gość, który walił najgłośniej, nie uśmiechnął się do mnie i nie przeprosił. Najlepiej wychowana banda łobuzów, jaką widziałem.

– Łobuzów?

– No, może nie łobuzów, ale wie pani, dzieciaków. No może nie dzieciaków, starszych, w każdym razie starszych od pani i młodszych ode mnie, takich trochę twardzieli. A te ich kurtki, przysięgam, upiekłbym się żywcem w czymś takim.

– Jakie kurtki?

– No wie pani, zielone. Takie, no, khaki, no wie pani, wojskowe. Nie mundurowe, chyba że w dzisiejszych czasach w skład munduru wchodzi dzinsy dzwony. Może i tak? Skąd niby mam to wiedzieć.

Delgado zmrużyła oczy, próbując odsiać ważne informacje z usłyszanej historii.

– I co było dalej?

– No wie pani, powiedzieli, że szukają Jacoba, a ja odparłem, że nie ma go w domu. I oczywiście wtedy to zauważyłem.

– To?

– No tak, to. Ten smród. To znaczy, sąsiadka obok – spod czternastki – wspominała coś dzień wcześniej, ale ona zawsze się czegoś czepia. Kiedy jednak poszedłem na górę, ja też zacząłem to czuć. Z początku myślałem, że to ci trzej goście w wojskowych kurtkach, ale kiedy wyszli, smród został. Więc zastukałem do drzwi, chociaż sam nie wiem po co, bo jeśli w ciągu ostatnich kilku minut Jacob nie wspinał się po ścianie i nie wlaźł przez okno, to wciąż go tam nie było. No to poszedłem, ale parę dni później ta spod czternastki zagląda mi do biura i zaczyna narzekać na smród, i nie daje mi spokoju, upierając się, żebym to sprawdził. Więc

wziąłem klucz uniwersalny, zajrzałem i... resztę pani zna.

Delgado przytaknęła. Kilka razy czytała zeznanie Richardsona, ale zaczynało się dopiero od skargi sąsiadki na nieprzyjemny zapach. Reszta była dla niej nowa.

– Sporo rzeczy opuściłeś w swoim zeznaniu, Tony.

Słyszając to, dozorca w obronnym geście uniósł ręce.

– Hej, proszę posłuchać, co niby miałem zrobić? Gliniarzy to przecież nie interesuje. Żaden z nich o nic nie pytał, tylko o to, jak znalazłem ciało. No i – urwał i podniósł kij. Delgado spięła się, ale jedynie wyciągnął go ku niej, jakby się popisowywał. – Czasami trzeba pomyśleć o sobie. Gliniarze sobie poszli, zostawili jednego przy drzwiach i tyle. Spytałem, co się dzieje, i czy mi powiedzieli? Jasne, że nie. Co niby mam robić? Jestem zarządcą budynku, mam swoje obowiązki, a teraz jeszcze muszę pilnować tego mieszkania.

Delgado pokiwała głową. Miało to pewien sens. Policjanci – a przynajmniej mundurowi – starali się załatwić wszystko jak najszybciej i przekazać miejsce zbrodni wydziałowi zabójstw. Nie powiedzieli nic Richardsonowi, bo nie mieli nic do powiedzenia. To nie ich wydział. A choć Gallup odebrał już sprawę jej i Hopperowi, najwyraźniej jeszcze nie przysłał tu swoich agentów. Dozorca nie miał pojęcia, co się dzieje.

– Bardzo mi dziś pomogłeś.

Zarządca uśmiechnął się szeroko i poprawił okulary.

– Hej, zawsze do usług. Jestem na dole, proszę wpaść, kiedy pani chce, chętnie pomogę. Żałuję, że inni gliniarze nie są tacy. Wie pani, co mam na myśli?

Delgado niestety wiedziała aż za dobrze. Zaczęła zbierać kawałki papieru z tablicy korkowej, tasując je w dłoni. Zdjęła ze stosika wąski kartonik i spojrzała na niego. Richardson zmaterializował się u jej boku, poprawił okulary i przeczytał.

– Bilety na Franka Sinatrę!

Delgado zmarszczyła brwi i odsunęła się na bok, dając sobie więcej przestrzeni. Zarządca postukał palcem w kartonik w jej dłoni.

– Stadion Forest Hills, szesnastego lipca – dodał i zaświstał bezdźwięcznie przez zaciśnięte wargi. Delgado domyśliła się, że miał to być dowód uznania. – Rany kota, co ja bym dał, żeby mieć bilety na Franka Sinatrę, mówię pani. To będzie koncert, o tak, o tak.

Spojrzał na Delgado. Poprawił okulary. Delgado patrzyła mu w powiększone oczy, widziała, jak mrugają za kwadratowymi szklami.

Zarządca wzruszył ramionami i znów postukał w bilet.

– Bo on przecież nie pójdzie, co nie? Pan Hoeler. To znaczy, słyszała pani kiedyś o nieboszczyku, który wybrałby się na koncert?

Delgado poczuła, jak jej usta wyginają się w uśmiechu.

– Przyznaję, że nie – odparła, starając się, by zabrzmiało to poważnie.

Richardson przytaknął.

– Właśnie, właśnie.

Zagryzła dolną wargę, żeby powstrzymać się od wybuchu śmiechu.

– No cóż, może po prostu zostawię bilet tu na blacie. Gdyby coś się z nim stało, nie będę nikogo winić.

Dozorca zmrużył oczy, przetrawiając jej słowa, w końcu uśmiechnął się szeroko i przytaknął. Delgado położyła bilet, Richardson nie odrywał od niej wzroku. Potem szybko przejrzała resztę notatek i papierów zdjętych z tablicy. Uniosła największy, spis adresów, obróciła go i przełożyła na górę sterty.

– Chwila, czy to Reid i Andrew?

– Co?

Dozorca sięgnął po listę, wygładził ją, poprawił okulary i dźgnął w nią palcem.

– Tutaj, ulice Reid i Andrew, Reid sześćdziesiąt pięć. To Dixon. Dixon's Boxing.

Delgado odebrała mu kartkę.

– Klub boksinerski?

– Tak – potwierdził Richardson. – No, nie tylko klub boksinerski, to znaczy owszem, to jest klub boksinerski, ale mają też tam taką salkę, którą można wynająć. No wie pani, na spotkania i tak dalej. Przyjaciół Billa Wilsona.

Delgado przyjrzała się dozorcy, rozpoznając eufemizm.

– Anonimowych alkoholików?

Dozorca znów uniósł ręce.

– Hej, nie ja. To mój kuzyn. Zabieram go tam od sześciu miesięcy.

– Do Dixona?

– Tak, psze pani. I bardzo mu to pomaga.

Delgado znów pokazała mu listę.

– Poznajesz jeszcze któryś z tych adresów?

Zarządca wziął kartkę i przytknął do nosa, drugą ręką unosząc okulary i przesuwając papier tak, by wyraźniej móc odczytać.

– Nie, żaden. – Oddał jej kartkę. – Ale może to wszystko spotkania AA? – Wzruszył ramionami. – Nie trzeba stale chodzić w jedno miejsce, czasami ludzie tak robią, bo im się podoba, bo choć to niby anonimowe, to kiedy zaczyna się poznawać innych, już takie nie jest. Inni traktują to pierwsze A poważnie i przenoszą się między spotkaniami. I nie szkodzi, ważne, żeby na nie chodzić.

– Jak często chodzisz tam z kuzynem?

– Co tydzień. Dixon to dwa przystanki metra stąd, łatwo tam dotrzeć, a kuzyn lubi odwiedzać wielką wyspę, jak to nazywa. To znaczy Manhattan, wie pani.

– Widziałeś tam kiedyś Jacoba Hoelera?

Zarządca uniósł dłoń, jakby chciał przeczesać nią włosy, choć tak naprawdę tylko pokiwał palcami w powietrzu.

– Nigdy. Ani razu. Nigdy go nie widziałem. Nie wiedziałem nawet, że tam chodzi. Do diabła, praktycznie z nim nie rozmawiałem, mieszkał tu ledwie parę miesięcy. Ale jeśli chodził do Dixona, to nie, nie widziałem go tam.

– Czy spotykają się tam częściej niż raz w tygodniu?

– AA? Jasne. My zawsze jeździmy we wtorki. Mają też chyba spotkania w piątki. Może Jacob był z piątku? A może po prostu boksował?

Richardson przyjrzał się jej okrągłymi oczami, jakby właśnie odkrył ważny trop. Delgado uśmiechnęła się złośliwie.

– Nigdy nie wiadomo. Dzięki za pomoc, baw się dobrze na koncercie.

Zarządca podziękował jej gestem.

– Hej, dzięki! Zawsze chętnie pomogę, zawsze chętnie!

Wyprowadziła go z mieszkania. Mundurowy jeszcze nie wrócił. Zastanawiała się, czy w ogóle się zjawi.

– Ja zamknę – powiedział Richardson, kiedy ruszyła w głąb korytarza. – Hej, ma pani może pojęcie, kiedy tu skończą?! – zawołał przez ramię. – Muszę uporządkować mieszkanie i przyszykować dla kolejnych, no wie pani.

– Poproszę, żeby ktoś się odezwał – odparła. – Jestem pewna, że już niedługo.

– Tak, pani może być pewna – odparł dozorca, ale Delgado zdążyła już wyjść.

Informator

6 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Kiedy następnego ranka Hopper przybył do komisariatu, Delgado siedziała już za biurkiem, popijając kawę. Pozdrowił ją skinieniem głowy, a ona natychmiast wstała i gestem pokazała, żeby przeszli do holu wiodącego do pokoju socjalnego. Kapitan LaVorgna udaremnił jednak ich plan tajnej wymiany informacji, wzywając Hoppera do siebie.

Hopper westchnął.

– Zaraz po – zapowiedział.

Delgado przytaknęła i wróciła na miejsce, on tymczasem przeszedł przez pokój w stronę kapitana, który stał oparty o framugę drzwi gabinetu i nie spuszczał z niego wzroku. Gestem polecił Hopperowi, by ten usiadł, po czym zamknął drzwi.

– Znowu mamy cholerny upał – zauważył Hopper.

LaVorgna mruknął i wrócił za biurko.

– Mówią, że przed końcem tygodnia dojdzie do czterdziestu.

– Wiadomo coś o terminie naprawy klimatyzacji?

– Mam większe szanse wysłania jednego z moich detektywów na

Księżyc niż naprawienia tej klimatyzacji – odparł LaVorgna, a potem zajął miejsce, wciągając brzuch, żeby się zmieścić. Hopper wiedział, co to oznacza: czas skończyć z pogaduszkami i przejść do konkretów. – Mam dla ciebie nową sprawę.

Hopper westchnął.

– Zabójcy nie robią sobie przerwy nawet w taki upał.

LaVorgna pokręcił głową i pogładził palcem wskazującym dolną krawędź wąsa.

– To nie zabójstwo. W areszcie trzymają faceta. Twierdzi, że ma informacje, i chce je przekazać w zamian za ochronę.

Hopper zmarszczył brwi.

– Ochronę przed czym?

– Tego właśnie masz się dowiedzieć, detektywie.

Hopper pokręcił głową.

– Sam nie wiem, kapitanie. Pracuję w wydziale zabójstw, nie obyczajówce i...

– Jestem w pełni świadom tego, jakim wydziałem dowodzę, detektywie! – LaVorgna podniósł głos. – I jeśli mówię, że daję ci tę sprawę, to daję ci tę sprawę, jasne? Może nie zauważyłeś, ale nie tylko temu wydziałowi brakuje zasobów. W całym komisariacie brak ludzi i pieniędzy, czasami zatem mogę poprosić, żebyś pomógł innemu wydziałowi, a ty podziękujesz mi za tę szansę poszerzenia horyzontów.

Hopper znów westchnął, przecesał dłonią włosy, potem klepnął się nią w udo.

– Tak jest, przepraszam. – Znów pomasował twarz. – Zobaczę, co uda mi się z niego wyciągnąć.

LaVorgna uśmiechnął się szeroko, Hopper nie był do końca pewien, czy podoba mu się ten uśmiech.

– I dlatego cię lubię, Hopper.

– Kapitanie? – Hopper zmarszczył czoło.

– Bo robisz to, co ci każę, i nie awanturujesz się.

Hopper poczuł, jak mięśnie jego ramion i szczęki się napinają.

Kapitanie, co do tego...

Wskazał kciukiem przez ramię.

– Dogadał pan to z Delgado?

– Będę się martwił o jej przydział, detektywie. Teraz proponuję, żebyś zabrał się do pracy. Oczekują cię na dole.

– Tak jest, kapitanie. – Hopper wstał i żartobliwie zasalutował, ale kapitan zajął się już czekającymi na biurku papierami.

– O co w tym chodziło? – spytała po powrocie Delgado Hoppera.

– Nie słyszałaś? Okazuje się, że nie pracuję już w wydziale zabójstw.

Delgado omal nie zadławiła się kawą.

– Słucham?

Uniósł rękę.

– Spokojnie, tylko chwilowo. Tymczasowo przydzielił mnie do obyczajówki. Ktoś się do nich zgłosił, chce ochrony w zamian za informacje. Nie wiem. Pewnie jakiś naćpany śmieć.

Delgado cmoknęła między zębami.

– Myślisz, że kapitan chce nas rozdzielić?

Brzmiało to sensownie.

– Może – przyznał Hopper, obejrzał się w stronę gabinetu. – Sądziś, że wie, że kopujemy w tej sprawie?

Podążyła za jego spojrzeniem.

– Skąd miałby wiedzieć? Ale musimy pogadać.

Przytaknął, wstając.

– Owszem, musimy. Chodź, zanim zejdem na dół, muszę się napić kawy.

Pokój socjalny był pusty – sierżant McGuigan wyszedł z niego w momencie, gdy się tam zjawili. Hopper i Delgado przywitali się, odczekali, aż tamten wróci na swoje miejsce i usiądzie zwrócony tyłem do holu. Wówczas Hopper zamknął drzwi i podszedł do ekspresu.

Delgado wyciągnęła kubek, Hopper napełnił go z dzbanka.

– Co znalazłeś przy Dikeman Street?

– Coś ciekawego.

Sobie też nalał kawy, pociągnął łyk, skrzywił się z powodu temperatury i goryczy, a potem szybko streścił partnerce przygodę z poprzedniego wieczoru – puste mieszkanie, pudła z aktami i etykietami „własność rządowa”, nieudany pościg za intruzem i zniknięcie akt.

Delgado słuchała, powoli kiwając głową, gdy chłoneła kolejne informacje. Cały czas wodziła wzrokiem od Hoppera do drzwi pokoju socjalnego i ponownie do Hoppera, pełniąc straż.

– Wiedziałam. Dzieje się tu coś nie halo.

Hopper przytaknął i znów napił się kawy.

– Coś nie halo to dobre określenie. Masz. – Sięgnął do kieszeni koszuli na piersi i wyjął kartkę z notatnika z mieszkania na Dikeman Street. – Gdy będę na dole, zobacz, czy zdołasz coś z tego wyciągnąć.

Delgado odebrała mu kartkę i wsunęła za koszulkę polo.

– A jak miejsce zbrodni? – spytał Hopper.

Opowiedziała mu o trzech mężczyznach, którzy przyszli do Hoelera, opisała też znalezioną listę adresów. Hopper słuchał,

marszcząc brwi.

– Mieli na sobie kurtki wojskowe? – upewnił się.

Delgado wzruszyła ramionami.

– Tak twierdził zarządca. Ale przecież takie kurtki można kupić w sklepie z demobilu, więc chyba nam się to nie przyda. A co?

– Też mam taką kurtkę – odparł Hopper. – Zostawiłem ją sobie z wojska.

Delgado uniosła brew.

– Chcesz powiedzieć, że to mogą być weterani?

– Zarządca mówił, że u Dicksona organizują spotkania AA, tak?

– Tak.

– Może inni też wynajmują tę salę, na przykład grupa wsparcia kombatantów.

– A jest coś takiego?

Hopper przytaknął.

– Jest. Wiesz chyba, że mnóstwo ludzi wróciło z Wietnamu i potrzebuje pomocy.

– Hej, nie wątpię. Pogrzebię wokół Dicksona, sprawdzę inne adresy, przygotuję listę grup. Ty idź na dół.

Hopper spojrzał na zegarek. Drzwi pokoju socjalnego otworzyły się, Harris przekroczył próg. Na ich widok zatrzymał się i wyszczerzył zęby.

– Och, nasze dwie papużki nierozłączki urządziły sobie tajne spotkanie?

Hopper z westchnieniem wyszedł, zostawiając Harrisa zdanego na morderczą siłę spojrzenia jego partnerki.

Nim Hopper dotarł na dół, mężczyznę przeniesiono do pokoju przesłuchań. Detektyw wszedł do środka, skinieniem głowy pozdrawiając stojącego w kącie pokoju mundurowego, który

odepchnął się od ściany, kręcąc głową.

– Powodzenia z tym facetem. – Uchylił palcami czapkę, a potem wymaszerował z pokoju, wsuwając kciuki za pas.

Hopper zamknął drzwi. Czuł coraz mocniejszy ucisk w żołądku. To będzie strata czasu. Postawił na stole kawę, położył teczkę z aktami i przyjrzał się osobie, z którą miał rozmawiać. Przesłuchiwany był młodym mężczyzną – sądząc z wyglądu, może jeszcze nie przekroczył dwudziestki. Miał na sobie cienką skórzaną kamizelkę i zapinaną koszulkę bejsbolową z długimi rękawami, podwiniętymi do łokci. Gdy tak siedział, skrzyżował ręce przed sobą i oparł na nich głowę, odwrócony twarzą od drzwi, jakby spał. Włosy miał przystrzyżone w równe okrągłe afro.

Zachowanie informatora – choć Hopper nie wiedział jeszcze, czy tak o nim myśleć, bo na razie nie przekazał jeszcze żadnych informacji – nie było niczym nowym. Ludzie w areszcie reagują na różne sposoby, a Hopper widział już wszystkie. W tym przypadku zgadywał, że informator pewnie coś odsypia: alkohol albo prochy. Siedząc naprzeciwko, poczuł otaczającą go słodkawą woń i uznał, że druga opcja jest bardziej prawdopodobna.

Przez chwilę popijał kawę, potem zerknął na zegarek i z westchnieniem zastukał kostkami o stół. Informator podskoczył na krześle, oblizując wargi i mrugając.

– Przepraszam – rzekł Hopper z ironią – trzeba było poprosić recepcję o budzenie, zanim się zgłosiłeś.

Mężczyzna nadal oblizywał usta. Spojrzał na Hoppera oszołomiony.

– Co? – spytał w końcu.

Hopper prychnął i sięgnął po długopis.

– Nieważne. – Otworzył teczkę i przesunął długopisem po częściowo wypełnionym formularzu. – No dobra, ty jesteś

Washington Leroy.

– Nie, nie, nie. – Mężczyzna pomachał ręką nad formularzem. Hopper spojrzał na niego i stwierdził, że tamten wbija w niego wzrok. Oczy miał przekrwione, lecz Hopper bez latarki nie mógł zbadać stanu jego źrenic, które wydawały się mocno poszerzone. – Leroy Washington. Leroy. Źle napisałeś imię i nazwisko, stary – zagwizdał i opadł na krzesło. – Leroy Washington.

– Mój błąd. – Hopper skreślił nazwisko i imię i poprawnie wpisał do formularza. – Leroy Washington.

– Kim ty w ogóle jesteś?

Hopper nie odrywając wzroku od formularza, jedną ręką sięgnął do górnej kieszeni koszuli, wyciągnął wizytówkę i wręczył mu. Młody człowiek wziął ją i przysunął do nosa.

– Detektyw James Hopper... – Leroy uniósł wzrok. – Wydział zabójstw?

Hopper puścił to pytanie mimo uszu. Popatrzył na niego.

– Twierdzisz, że masz jakieś informacje.

Na te słowa Leroy się rozpromienił.

– Informacje! Tak, tak, zgadza się. – Patrzył na Hoppera rozkojarzonym wzrokiem.

Ten wzruszył ramionami.

– No dobra, posłuchajmy.

Leroy przytaknął i oblizał wargi, potem położył ręce na stole. Hopper zerknął na nie i przekonał się, że paznokcie ma brudne i połamane, oba przeguby okalały liczne bransoletki, prawą zestaw kolorowych gumek do włosów, a lewą szeroki skórzany pasek ze srebrną klamrą, większą niż ta, na którą Hopper zapinał swój pas.

– No dobra, stary, słuchaj. – Leroy zabębnił o blat złamanym paznokciem. – Zbliża się coś wielkiego i to naprawdę wielkiego. –

Wyprostował się na krześle i zaczął gestykulować w powietrzu. – Wielkiego, stary, planuje to od bardzo dawna. Od miesiący, stary, od miesiący. Może nawet od lat.

Leroy pokręcił głową, po czym pochylił się naprzód, wsparty na łokciu, i wbijając wzrok w Hoppera, popukał palcem w skroń.

– Nie znasz Sainta, stary, po prostu nie znasz. Gość ma tutaj wszystko. Wszystko.

Hopper zacisnął wargi, przyglądając się Leroyowi.

– No dobra, zbliża się coś wielkiego? – spytał.

Tamten przytaknął i ciężko opadł na krzesło.

Hopper obserwował go jeszcze chwilę, po czym pociągnął nosem.

– Słuchaj, potrzebuję czegoś więcej. Jeśli chcesz ochrony, jeśli grozi ci niebezpieczeństwo, potrzebujemy czegoś namacalnego.

Leroy zmarszczył brwi.

– Namacalnego?

– Właśnie, namacalnego – powtórzył Hopper. – Nazwisk, adresów, dat, godzin. Musimy poznać szczegóły. Jeżeli potrzebujesz ochrony, możemy to załatwić, ale musisz dać nam coś, co możemy wykorzystać, coś, co poprowadzi bezpośrednio do zapobieżenia zbrodni albo zatrzymania przestępcy. Nie zapewniamy ochrony każdemu, kto przyjdzie do nas z ulicy.

Leroy pokręcił głową i znów postukał w stół.

– Tak, ale przecież powiedziałem, stary. Powiedziałem ci, podałem ci imię. Saint. To on wszystko zaplanował.

Hopper westchnął.

– Co zaplanował, Leroy?

Leroy najwyraźniej nie słuchał. Zamknął oczy i odchylił głowę.

Gościowi wyraźnie kompletnie odbiło, Hopper jeszcze raz westchnął i już miał wstać, zamarł jednak, bo tamten przemówił.

– Zbliża się. Ciemność, noc, czarny wąż. – Nie otwierał oczu, ale skrzywił się. – On nadchodzi, tu i teraz, tu i teraz. Tron z płomieni już gotowy, a wąż zasiądzie na swym tronie i będzie rządził wszystkimi swoim ogniem i mocą, a jego płaszcz z cieni opadnie na całe miasto.

No właśnie, naćpany wręcz wzorcowo, Hopper widział to jasno i wyraźnie. Policja ma dość do roboty bez ulegania kaprysom nafaszerowanych prochami świrów, którzy chcą opowiedzieć im, że świat się kończy. Otworzył trzymaną w dłoniach teczkę, sprawdzając dwukrotnie, czy na pewno podpisał w odpowiednim miejscu. Już miał prosić mundurowego, by wykopał Leroya na ulicę, gdy młody mężczyzna nagle szarpnął się na krześle. Otworzył oczy, zamrugął i zaczął macać po kieszeniach.

– Zaczekaj – rzekł. – Chcesz czegoś, stary? Mam coś dla ciebie.

Z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki wyciągnął jakiś przedmiot.

Serce Hoppera zabiło mocniej. Z powrotem usiadł za biurkiem, wbijając wzrok w obiekt, który Leroy Washington położył przed nim na blacie.

To była biała karta, większa niż zwykle do gry. Na jednej stronie widniał symbol nakreślony zręczną ręką grubym akrylowym tuszem: pusta pięcioramienna gwiazda. Hopper nie widział wcześniej tego symbolu, ale karta wyraźnie należała do zestawu, który znał aż za dobrze. Przyglądał się jej i miał wrażenie, że minęło tysiąc lat. Leroy coś mówił, ale Hopper nie słyszał, bo wszystko zagłuszał ryk krwi w uszach.

A potem Leroy zapowietrzył się, chwytając głośno oddech, i nagle zmiana wyrwała Hoppera z transu.

– Skąd wzięłeś tę kartę?

Mężczyzna nie słuchał. Znów zamknął oczy, mówiąc między

haustami powietrza.

– Dzień ciemności nadejdzie... i dzień stanie się nocą, a noc będzie czarna jak węgiel, a tron będzie czekał na jego przybycie... Tak mówi Saint... Tak mówi Saint. – Leroy zapanował nad oddechem i zwinął się ciężko na krześle. Nagle wybuchnął śmiechem, broda odbijała mu się od piersi, oczy wciąż miał zamknięte.

– Hej! – rzucił Hopper.

Leroy nie zwracał na niego uwagi.

Hopper rąbnął pięścią w stół.

– Hej!

Tamten szarpnął się gwałtownie, mrugając jak wyrwany z głębokiego snu. Popatrzył na Hoppera.

– Skąd wzięłaś tę kartę?! – ryknął Hopper. Jego podniesiony głos odbił się echem od ścian małego pokoju.

Leroy jakby nie zauważył zmiany w nastroju Hoppera. Siedział tam, oblizując wargi i rozglądał się po pokoju przesłuchań.

– Masz może dymka, stary? Gardło mnie pali, potrzebuję czegoś, czegokolwiek. – Otarł usta grzbietem dłoni.

Hopper nie zdołał się powstrzymać. Chwytał tamtego za przegub, Leroy wrzasnął przerażony, gdy szarpnął go ku sobie.

– Twierdzisz, że masz informacje, a ja chcę ich wysłuchać! Czy to ma coś wspólnego z tą kartą? Wiesz, skąd się wzięła? Kto ją zrobił? Jeśli wiesz cokolwiek o morderstwach, musisz mi powiedzieć, i to natychmiast.

Leroy zaczął wrywać rękę, Hopper ustąpił. Chłopak poleciał ciężko na oparcie.

– To wszystko część planu. Tak powiedział. Wszystko część planu.

– Kto powiedział? Jakiego planu?

– Święty.

– Kto to jest Saint? Leroy, kto to jest Saint?

– Saint John. Przybył ocalić nas wszystkich, przygotować tron i wszystko na Jego przybycie.

– Co? Przybycie? – Hopper potarł ręką twarz. – Czyje przybycie?

– Nie, stary, nie mogę wymówić Jego imienia, nie mogę wymówić Jego imienia.

Hopper zerwał się z krzesła, pochylił nad stołem. Czuł krew pulsującą w skroniach.

– O czym ty mówisz, Leroy? Czyje przybycie?

Leroy popatrzył na niego, pokręcił głową, do oczu napłynęły mu łzy, wargi poruszały się, jakby próbował znaleźć właściwe słowa.

– Szatana, stary – wyszeptał. – Szatan przybywa, a Nowy Jork stanie się jego tronem.

Karta

6 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper siedział zamknięty w kabinie toalety, opierając łokcie na kolanach. Potarł dłońmi twarz. Znalazł się tu dwadzieścia minut wcześniej, nie ukrywał się, ale pragnął побыć sam na sam z myślami, a stara toaleta na tyłach komisariatu była najmniej uczęszczanym miejscem w budynku, jakie znał. Wpatrywał się w białe, gładkie drzwi kabiny. Tkwiąca w kieszeni na piersi koszuli karta ciążyła mu jak ołów.

Wstrząsnęła nim rozmowa z Leroyem i o to miał do siebie pretensje. Owszem, pojawienie się karty stanowiło niespodziankę, ale na miłość boską, był przecież gliną, znów dał się ponieść nerwom – doskonale zdawał sobie sprawę z tej wady charakteru.

Ale karta stanowiła dobre wieści.

Ponieważ była tropem.

Leroy Washington coś wiedział. Może nawet brał w tym udział – choć zapewne sam nie był mordercą, biorąc pod uwagę, iż zaproponował informacje w zamian za ochronę. Otumaniony narkotykami nie dał mu wiele więcej prócz karty, ale ewidentnie coś wiedział i wiedza ta najwyraźniej czymś mu zagrażała. Może

sprawiła, że znalazł się na celowniku mordercy. A pozostała gadanina? Szatan przybywający do Nowego Jorku, miasto w płomieniach i ciemności? To nic nowego, podobne teksty można usłyszeć od wielu świrów wystających na rogach ulic wokół Times Square. Koniec jest bliski, jasne, koleś, to Nowy Jork. Tu zawsze świat się dla kogoś kończy.

Nagle rozległ się łoskot i szcęk otwieranych drzwi, Hopper uniósł głowę wyrwany z zamyślenia. Ktoś wszedł do kabiny obok i zatrzęsnął za sobą drzwi.

Hopper wyszedł pospiesznie. Przyjrzał się sobie uważnie w lustrze nad umywalką. Wyglądał fatalnie i właściwie czuł się fatalnie. Za mało snu, za dużo kawy i fakt, iż działał wbrew rozkazom kapitana – wszystko to stresowało go bardziej, niż przypuszczał.

Powtarzając sobie, żeby się ogarnął, wyszedł z łazienki i skierował się na górę.

Kiedy Hopper wmaszerował z powrotem do pokoju detektywów, ujrzał Delgado stojącą w drzwiach jednego z pomieszczeń z aktami. Na widok partnerki natychmiast poczuł się lepiej, chmura, która zasnuła jego umysł, rozplynęła się nagle.

Widok Delgado przypominał, że nie tkwi w tym sam. Kiedy ruszył do swojego biurka, przechwyciła go po drodze i zaprowadziła do pokoju socjalnego.

– Nie śpieszyłeś się – mruknęła. – Ale słuchaj, coś mam.

W pokoju było pusto, Delgado zamknęła drzwi, pogłośniła telewizor i ruszyła do wielkiego stołu pośrodku pomieszczenia. Położyła na nim kartkę, którą przekazał jej wcześniej.

– Możemy podziękować naszemu przyjacielowi, świętej pamięci Jacobowi Hoelerowi za to, że miał ciężką rękę. – Wskazała kartkę lekko pocieniowaną szarym ołówkiem. – To bardzo proste,

bawiliśmy się tak w szkole.

Teraz wyraźnie widzieli odcisnięte na kartce litery, a także słowo ŻMIJE, wypisane drukowanymi literami i zakreślane. Reszta tekstu faktycznie okazała się spisem, Hopper odczytał na głos.

– Brutalne Rany. Królowie Zabójcy. Bronx 45. Legion z East Village. Furie z Fulton. Mercy Nation. – Spojrzał na Delgado. – To gangi.

Partnerka przytaknęła.

– Tak, ale nie zwykłe gangi, sprawdziłam. Ten spis obejmuje pięć dzielnic. Wszystkie gangi, prócz Żmij, są doskonale znane zarówno policji, jak i federalnym i wszystkie łączą tylko jedno, znów oprócz Żmij.

Hopper z namysłem pogładził podbródek.

– Czyli?

Delgado postukała palcem w kartkę.

– Wszystkie już nie istnieją. Zniknęły. Z tego, co wiadomo, przestały działać. Żaden z tych gangów nie istnieje. Zlikwidowane, rozwiązane, może wyprowadziły się z miasta, kto wie?

– Oprócz Żmij?

– Oprócz Żmij – potwierdziła. – O nich wcześniej nie słyszeliśmy, nikt nie słyszał. – Wzruszyła ramionami. – Zakładając, że to faktycznie gang.

– Nazwa pasuje – mruknął Hopper. – To może być nowa grupa. Gangi cały czas muszą powstawać i się rozwiązywać.

– Ale słuchaj, Hopper, wiesz, co to znaczy, prawda?

Zerknął na swoją partnerkę.

– Jacob Hoeler, trzecia z naszych ofiar, był agentem federalnym działającym z tajnej kryjówki. Miał spis gangów, w tym tego nowego. Zginął na służbie, a potem na naszym progu zjawia się

agent specjalny Gallup i odbiera nam tę sprawę. To ma totalnie sens. Może i nie chcą nam powiedzieć, co się dzieje, ale nie trzeba mistrza dedukcji, żeby to ustalić.

– Jacob Hoeler należał do federalnej grupy zwalczania gangów.

– Właśnie. Tworzą ją FBI, może ATF, może jedno i drugie. To wiele wyjaśnia. Agent specjalny Gallup może i ma kij w dupie, ale chroni o wiele więcej niż tylko własny stołek.

Hopper przytaknął.

– Jeśli kieruje grupą, to ma agentów w mieście działających wewnątrz gangów pod głęboką przykrywką. Możliwe, że grupa działa od miesięcy czy nawet lat. – Wskazał ręką papier. – Może to właśnie stało się z owymi gangami. Pracowali nad tym, by zniszczyć je od wewnątrz.

– Jasne – mruknęła Delgado. – A potem jeden z zakonspirowanych agentów daje się zabić, zjawia się policja, a wraz z nią pojawia się ryzyko, że schrzanią całą operację. Gallup musi się zjawić i przejąć sprawę, musi chronić swoich agentów niezależnie od wszystkiego. Koniecznie musi przejąć wszystko. Nie ma wyboru.

Hopper pokręcił głową. Wszystko zaczynało składać się w jedną całość. Wyciągnął z kieszeni kartę z symbolem i zademonstrował Delgado. Na jej widok oczy partnerki rozszerzyły się ze zdumienia.

– Skąd to, do diabła, wzięłeś?

Hopper rzucił kartę na stół.

– Dzieciak, którego miałem przesłuchać, ten, który prosił o ochronę, nagadał mi mnóstwo bzdur na temat końca świata...

– Co takiego?

Hopper pokręcił głową.

– Był czymś naćpany po uszy, ale miał kartę. Twierdził, że to dowód, że ma też informacje, i to takie, które nas zainteresują.

– A jakie miał te informacje?

– Nie powiedział. Spróbujemy ponownie, kiedy wytrzeźwieje, ale to się musi łączyć z karcianymi zabójstwami. – Hopper wskazał kartę. – I mamy też powiązanie z gangiem. Ten dzieciak, Leroy Washington, nie mówił, że należy do gangu, ale idealnie pasuje. Możliwe, że to członek Żmij.

Delgado z namysłem pomasaowała skronie.

– Rytualne zabójstwa nie są zazwyczaj w stylu gangu – zauważyła, ale Hopper wzruszył ramionami.

– Zgadza się, nie ma mowy, żeby to był przypadek. Jacob Hoeler jest tego częścią. Podobnie Leroy Washington.

– Co się z nim dzieje?

– Kazałem go odesłać do celi. Musi wytrzeźwieć po tym, co zażył, żeby móc nam przekazać informacje. – Popatrzył na partnerkę. – Ale wiesz chyba, co to znaczy, prawda?

Delgado westchnęła.

– To koniec.

Hopper przytaknął. Miała rację, to już koniec sprawy. Wpakowali się w sam środek czegoś znacznie większego, niż oczekiwali, operacji federalnych, i gdyby się wtrącili, mogli narazić życie wielu agentów.

– Ale nasza praca nie pójdzie na marne – rzekł Hopper. – Zaniesiemy wszystko kapitanowi, poprosimy, by przekazał Gallupowi i federalnym. Przy odrobinie szczęścia puszczą płazem nasze zaangażowanie.

Delgado nie odpowiedziała, pokiwała tylko głową. Oboje usiedli przy stole, z głośnika telewizora dobiegały niewyraźne słowa, dość głośno jednak, by tania plastikowa obudowa odbiornika wpadła w rezonans. W nadawanym dzienniku powtórzono ostatnią, żarliwą przemowę na temat zbrodni w mieście kandydata na

burmistrza, Eda Kocha. Delgado zmarszczyła brwi i spojrzała na partnera.

– Co? – spytał.

– Wyglądasz okropnie.

Hopper zaśmiał się słabo.

– Powiedz mi coś, o czym nie wiem.

Ona jednak pokręciła głową.

– Wracaj do domu, Hop. Urwij się dziś wcześniej, spędź trochę czasu z Diane, zabierz ją do kina czy coś. Będę cię kryła przed kapitanem. Jutro mu to wszystko pokażemy. Wygląda na to, że twój informator i tak do jutra niczego nie powie, więc to może poczekać.

Hopper długą chwilę przyglądał się Delgado, w końcu westchnął.

– Dobra, dzięki.

– Bardzo proszę, detektywie. Bardzo proszę.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera

Hawkins, Indiana

Na zewnątrz wciąż padał śnieg i zaczęło zmierzchać. Hopper zakrzętnął się w kuchni: bardzo długo mówił i oboje z Nastką potrzebowali chwili wytchnienia. Zaprotestowała, kiedy przerwał swoją opowieść, ale na wzmiankę o ulubionym przysmaku – nie, ulubionym jedzeniu – jej oczy rozbłysły.

Czas na gofry.

– Czarny... jak wąż.

Hopper obejrzał się przez ramię. Nastka wróciła, siedziała teraz na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła na niego.

– Co to znaczy?

Hopper zebrał na talerz przygotowane gofry, nalał sobie kubek świeżej kawy i wrócił do stołu. Nastka ruszyła w jego ślady.

– Kto opowiada tę historię? – spytał, stawiając pośrodku stołu talerz ze stertą gofrów, potem pomaszerował po dwa mniejsze. Kiedy wrócił, zobaczył, że Nastka wgryzła się już w pierwszego gofra. Podsunął jej talerzyk.

– Pytania są dobre – oznajmiła, przeżuwając przysmak.

– Hej, pamiętaj o manierach, młoda damo. – Hopper zsunął gorącego gofra na swój talerzyk. – I owszem, pytania są dobre, ale cierpliwość także.

– Leroy to powiedział. – Zmarszczyła brwi. – I Lisa.

Hopper sięgnął po widelec i zamarł, patrząc na nią.

– Chcesz to robić teraz?

Odpowiedziała spojrzeniem, ale milczała, lekko mrużąc oczy.

Hopper odłożył sztućce.

– No dobrze, owszem, oboje to powiedzieli i prawdę mówiąc, też to od razu zauważyłem, ale gdy doszliśmy do wniosku, o co naprawdę chodzi z grupą zwalczania gangów, uznaliśmy, że to nieważne. Powiedziałem Delgado o Lisie na przyjęciu urodzinowym i o tym, co mówił Leroy. Uznałem, że może to tekst piosenki czy też fraza z telewizji. Wiesz, jak to jest, czasami natykasz się na nowe słowo, którego nie znasz, i nagle słyszysz je zewsząd.

Nastka wciąż wpatrywała się w niego, jej szczeka poruszała się, gdy dziewczynka żuła przysmak. Hopper westchnął.

No dobra, zły przykład.

– W każdym razie – spojrzał na gorący gofr – owszem, zauważyłem to, ale dopiero znacznie później poskładaliśmy wszystko do kupy.

Nastka przestała przeżuwać, przełknęła i została z otwartą buzią.

Hopper zmarszczył brwi.

– O co chodzi?

– Dopiero później?

– No cóż.

– Mówili o wężu.

Hopper pokiwał głową.

– Żmija to też wąż.

– Zgadza się.

– Wąż, żmija. Węże! – Pomachała rękami.

Hopper jedynie uniósł brew.

Dziewczynka westchnęła głęboko, poirytowana.

– Wszystko pasuje do siebie.

– Kto? Leroy, Lisa, Żmije... Ten trzeci.

– Trzeci? Masz na myśli agenta specjalnego Jacoba Hoelera?

Dziewczynka przytaknęła z zapalem.

Hopper odgryzł kęs gofra i popił kawą, z otwartej paczki leżącej na bocznym stoliku wyjął chusteczkę i wytarł ręce.

Nastka sprawiała wrażenie podekscytowanej. Czy rzeczywiście zrozumiała jego opowieść? Pojęła, co się naprawdę wydarzyło wiele lat temu? To trudne pytanie, Hopper sam nie miał pewności, czy zna odpowiedź. Była sprytna i wyrosła na mądrą kobietę, w to nie wątpił. Ale jej wychowanie pod opieką – jeśli można to tak nazwać – doktora Brennera powodowało pewne... no cóż, problemy. Pod

niektórymi względami Nastka była starsza, niż wskazywałby na to jej wiek, pod innymi mniej dojrzała niż jej równolatki.

Nie żeby Hopper miał zbyt wiele doświadczenia z dziewczynkami.

– Owszem, Jacob Hoeler – powtórzył, kładąc nacisk na to nazwisko, niepewny, czy to ważne. Ale istniało niebezpieczeństwo, że mógłby strywializować tę historię, a przecież to nie była fantastyka czy bajka na dobranoc. To była prawda, przynajmniej o ile sam wiedział.

– Cierpliwości, a się dowiesz – rzekł.

Nastka zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy, ale nie przeszkodziło jej to zabrać się za trzeciego gofra. Przez chwilę oboje jedli w milczeniu.

– To było dziwne – odezwała się w końcu.

– Co takiego?

– Kapitan wiedział – uniosła wzrok – o karcie.

Hopper uśmiechnął się, pokiwał dzierżącą widelec ręką.

– Brawo, młoda, uważasz na szczegóły. Tak, kapitan wiedział o karcie: Leroy zaczął nią wymachiwać, gdy tylko wszedł do komisariatu. Funkcjonariusz, który zadzwonił do kapitana, wspomniał o niej, więc kapitan wybrał mnie. Dlaczego mnie nie uprzedził, nawet na osobności? Bo wiedział, że nie może się do tego mieszać. Jemu też nie podobało się, że inny wydział odebrał nam śledztwo, ale gdybym był na jego miejscu, również nie wspomniałbym o tym ani słowa. I pamiętaj, nie wiedział też o grupie do spraw zwalczania gangów, póki nie domyśliliśmy się prawdy z Delgado. Później opowiedział mi, co zaszło.

Nastka pokiwała głową, wyraźnie usatysfakcjonowana, i jadła dalej.

Po chwili spytała.

– Czy twoja praca jest niebezpieczna?

Hopper zmarszczył czoło.

– Owszem, może być.

– Powstrzymujesz ludzi od... morderstwa.

– Powstrzymanie ludzi przed popełnieniem morderstwa to trudna sprawa. Zwykle w naszej pracy dowiadujemy się, kto popełnił morderstwo, już po fakcie. – Wzruszył ramionami. – Nie zawsze. Zabójstwa karciane to była wyjątkowa sprawa. Kiedy mamy do czynienia z, jak to nazywają, seryjnym mordercą, istnieje spore ryzyko, że będzie zabijał dopóty, dopóki go nie powstrzymamy. Więc owszem, w tych przypadkach usiłujemy powstrzymać ich przed kolejną zbrodnią, ale to bardzo rzadkie sprawy. Większość detektywów nigdy się z nimi nie zetknie.

– Szukasz złych ludzi.

– Zgadza się.

– Żli ludzie robią ci krzywdę.

Patrzyła na niego, jakby oczekiwała czegoś więcej.

Hopper nie był pewien, czy ma cokolwiek więcej. Jej pytanie było pozornie proste, ale odpowiedź... skomplikowana. Westchnął.

– Tak – rzekł. – Praca gliniarza oznacza, że mam do czynienia ze złymi ludźmi i niebezpiecznymi sytuacjami. To część naszej roboty, ale niejedyna. Pomagam też ludziom. Wiesz przecież. Pomogłem ci.

Zawiesił głos i nagle jakby go oświeciło. Czy Nastka właśnie po raz pierwszy zastanowiła się, na czym polega jego życie? Jego praca? I co ważniejsze, jak jego życie i praca wiązały się z nią. Nie tylko w przeszłości, gdy musieli walczyć z Demogorgonem i Łupieżcą Umysłów, ale teraz i później. Jak jego praca i życie wpłyną na nią w przyszłości, którą będą ze sobą dzielić.

W przyszłości, którą będziemy ze sobą dzielić.

Hopper zamrugał, próbując przegnać napływające do oczu łzy. Patrzył na adoptowaną córkę, której życiem jeszcze do niedawna rządziły strach i ból.

Nastka uniosła pustą szklankę, stojącą obok talerza, i podsunęła Hopperowi. Uśmiechnął się, wziął ją bez słowa, wstał i wrócił do kuchni. Po chwili zjawił się ze szklanką pełną lemoniady. Dziewczynka napiła się, po czym odstawiła szklankę.

– Niebezpieczna praca...

Hopper uniósł brwi, obserwując, jak dziewczynka powoli próbuje poskładać logicznie następne pytanie. To niesamowite patrzeć, jak rozgryza sprawę, które dla dziewczynki w jej wieku powinny być bardzo prostymi zagadnieniami, ale z którymi ona sama nigdy się nie zmagala. Nie po raz pierwszy Hopper w duchu przeklął Brennera, ale... jej stan się poprawiał. Hopper widział to wyraźnie, a choć dokładał wszelkich starań, by ją uczyć, wiedział też, że będzie znacznie lepiej, gdy mała zajmie swoje miejsce w realnym świecie.

To jednak zmartwienie na inny dzień. Na razie krzywiła się, jakby coś ją bolało. Wyraźnie szukała właściwych słów. Pokręciła głową.

– Chciałeś zostać gliniarzem... – Spróbowała podejść do problemu z innej strony.

I wtedy Hopper zrozumiał. To było jak jedna z zabaw w słowa, łączenie dwóch różnych zdań, tak by dojść do logicznego wniosku. Uśmiechnął się i wyprostował.

– Zatem skoro bycie gliną jest niebezpieczne – rzekł – a ja chciałem zostać gliną, czemu pragnąłem tak niebezpiecznej pracy?

Nastka przytaknęła i odprężyła się. Zagubienie i frustracja dziewczynki, widoczne wcześniej jak na dłoni, wyparowały. Pociągnęła kolejny łyk, spokojna, opanowana czekała na

odpowiedź. Oczywiście niebezpieczeństwo wcale jej nie przerażało – Hopper o tym wiedział. Wiedział też, że reakcja dziewczynki na zagrożenie częściowo wynika z jej wychowania, a częściowo z tego, że potrafiła... no cóż, się chronić.

Może jednak dzięki tej historii zaczęła rozumieć, że inni ludzie czasami muszą z rozmysłem narażać się na niebezpieczeństwo.

Uczy się. Uczy.

– Owszem – przyznał – ta praca bywa niebezpieczna, ale nie zdecydowałem się zostać gliniarzem, ponieważ jest niebezpieczna. Chciałem zostać gliniarzem, by móc pomagać ludziom. Chronić ludzi. Owszem, są wśród nich źli, ale pamiętaj, są także dobrzy. A dobrzy, jeśli naprawdę czegoś zechcą, potrafią zdziałać wiele dobrego, nawet jeśli oznacza to odrobinę niebezpieczeństwa. Stąd właśnie wiedziałem, że chcę zostać gliną, bo miałem doświadczenie i umiejętności pozwalające radzić sobie z zagrożeniem. I mogłem czynić jak najwięcej dobra.

Nastka spojrzała mu w oczy. Mijały sekundy. W końcu pokiwała głową i dopiła lemoniadę.

– I pamiętaj – dodał – historia kończy się dobrze. Jestem tu, prawda? Czyli dobrze. A teraz, co z tobą? Jak się czujesz? Chcesz, żebym mówił dalej?

Przytaknęła radośnie, a potem podsunęła mu swój pusty talerz.

Hopper uśmiechnął się szeroko.

– Zaraz podaję.

Pan buntownik

6 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– No proszę cię. Kiedy ten wielki statek kosmiczny wyleciał z góry kadru? Nie żartuję, przysięgłbym, że ściany kina zaczęły się trząść!

Hopper uniósł ręce, ułożył dłonie w szeroką literę V, a potem, poczynając od głowy, zaczął naśladować ruchy statku kosmicznego, opadającego ku żonie siedzącej naprzeciwko, po drugiej stronie stołu.

– Brrrrrammmmmfwwww!

Diane śmiała się tak mocno, że łzy pociekły jej po policzkach, podczas gdy mąż nadal odtwarzał film, z którego wyszli zaledwie pół godziny temu. Wyprostował się na krzeselku, zgarbił ramiona i złożył dłonie przed twarzą, tak by odbijało się od nich powietrze, usiłując uzyskać efekt echa i możliwie najbardziej dramatycznego świszczącego oddechu.

– Jim! – Diane machnęła ręką, z trudem chwytając oddech, i rozejrzała się po maleńkim barze, ale nikt nie zwracał na nich uwagi.

Hopper opuścił ręce i ułożył dłonie w kształt pistoletów.

– Pew! Pew! Pewpewpew!

– Przepraszam. – W końcu odzyskała oddech. – Ile właściwie lat ma mój mąż? Trzydzieści pięć czy trzynaście?

Hopper odpuścił sobie i także się roześmiał. Między nimi stał krem jajeczny w dużym staroświeckim naczyniu, bardziej przypominającym wazon niż szklankę. Gdy Hopper pochylił się, biorąc w usta słomkę po swojej stronie, Diane zrobiła to samo. Pociągnęła łyk kremu jajecznego, a potem puściła słomkę i cmoknęła męża w nos.

– Cieszę się, że ci się podobało – rzekła. – Hej, myślisz, że Luke i Leia się... No wiesz.

Hopper niemal zadławił się swoim kremem jajecznym.

– Się co, dokładnie?

– No wiesz – znów wybuchnęła śmiechem – się zaprzyjaźnią. Ale tak bliżej.

Hopper wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tylko tyle zapamiętałaś z najlepszego filmu, jaki widziałaś w życiu? I to mnie nazywasz nastolatkiem?

– Najlepszego filmu, jaki widziałam w życiu?

– No dalej, przyznaj się. Był naprawdę świetny, co nie?

Diane otarła wilgotne policzki.

– No dobra, zgoda, przyznaję, był naprawdę świetny. – Poszukała słomki i zamieszała napój. – Sarze chyba by się podobał. Może następnym razem ją zabierzemy?

Hopper oparł łokcie na blacie.

– Nie sądzisz, że bardziej spodobałaby się jej Annie?

– Ten nowy musical, który miał właśnie premierę w... Gdzie to było?

– Chyba Alvinie. Na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy.

Wzruszyła ramionami.

– Może, ale widziałam w gazecie ceny biletów.

Hopper skrzywił się.

– Aż tak źle?

– Powiedzmy, że jeszcze jedna wizyta w kinie to pod względem finansowym znacznie rozsądniejsza opcja.

Przytaknął.

– Hej, to przecież Nowy Jork, jestem całym sercem za finansową odpowiedzialnością. I teraz ma już poparcie zarówno mamy, jak i taty. – Usiadł wygodniej i uśmiechnął się. – Widzisz?

– Co widzę? – Pokręciła głową.

– Uznałaś, że film jest tak świetny, że chcesz go obejrzeć jeszcze raz, i wykorzystujesz ukochaną córkę jako najslabszy pretekst, jaki w życiu słyszałem.

– Sprzeciw! – jęknęła z udanym oburzeniem.

Hopper pociągnął kolejny łyk kremu jajecznego.

– Może nie zauważyłaś – rzekł przełknąwszy – ale jestem gliniarzem, nie prawnikiem, i ta sztuczka na mnie nie działa.

– No cóż, detektywie, i tak nieźle sobie radzisz z unikaniem odpowiedzi na trudne i ważne pytania.

Hopper zamieszał w szklance.

– Jak brzmiało pytanie?

– Luke i Leia. Tak czy nie?

– Nie.

– Nie?

– Dziewczyny zawsze wolą buntowników.

– Czyżby, panie buntowniku?

– Jasne – odparł Hopper. – Wybierze Hana. Bez dwóch zdań.

Wzruszyła ramionami, odsuwając napój od Hoppera. Przechyliła szklanekę, mieszając słomką. Po chwili uniosła wzrok. Mąż wpatrywał się w nią.

– No co? – spytała.

Kącik jego ust lekko się unióśł.

– Kocham cię, Diane Hopper.

Diane oparła się na łokciach.

– A ja kocham ciebie, panie buntowniku. Wyglądasz na szczęśliwego.

Twarz Hoppera zastygła w uśmiechu. Diane najwyraźniej dostrzegła zmieszanie w jego oczach, bo chwyciła go za rękę.

– Hej, spokojnie! Wyglądasz na szczęśliwego, to wszystko. Od wielu tygodni nie byłeś taki odprężony. To z pewnością coś więcej niż tylko film i krem jajeczny.

Hopper zastanowił się chwilę i odkrył, że faktycznie jest odprężony, wręcz szczęśliwy.

Miała rację. Jak zawsze.

– No to o co chodzi? Coś się stało w pracy? – Przekrzywiła głowę. Skrzyżował ręce na stole.

– Prawdę mówiąc, fakt, coś się wydarzyło – zniżył głos. – Pamiętasz sprawę tych, um, wielokrotnych zabójstw?

Diane pochyliła się ku niemu.

– A co, mieliście przełom?

– Bynajmniej – odrzekł Hopper. – W istocie to już w ogóle nie nasza sprawa. Odebrano nam ją.

– Co? I to cię ucieszyło? – Zmarszczyła brwi.

– O nie, nie zrozum mnie źle. Chcieliśmy rozwiązać tę sprawę, ale zjawili się federalni i przejęli pałeczkę. Okazuje się, że ma to powiązania z gangiem, a oni zorganizowali specjalną grupę, sami

muszą się tym zająć, bez udziału nowojorskiej policji, więc nam ją zabrali.

– No dobra – zgodziła się. – I jak się z tym czujesz?

Hopper wydał policzki.

– No, to znaczy... Jasne, chcieliśmy sami schwytać sprawcę, ale ta sprawa jest wielka. Za duża dla nas. Za duża dla mnie. Chętnie zostawię ją federalnym i... – zawiesił głos, zastanawiając się chwilę.

– I...? – Diane popatrzyła na niego z ukosa.

– I fakt, jestem szczęśliwszy. Jakaś część mnie chciała to rozwiązać, ale inna cieszy się, że już się tym nie zajmuję. Jest jeszcze wiele spraw, które mogą rozwiązać detektywi Delgado i Hopper.

I wtedy się uśmiechnął.

– Co teraz? – spytała.

Zsunął się ze stołka.

– Teraz chcę tylko porcję frytek. Zaraz wrócę.

Podszedł do lady, pozostawiając żonę chichoczącą wprost w szklankę z resztką kremu jajecznego.

Wieczór był ciepły. Hopper otworzył przed Diane drzwi baru i zdążył już pożałować, że włożył marynarkę. Podczas gdy żona zapięła torebkę i czekała, zsunął okrycie i zarzucił je sobie na ramię. Gdy to robił, na chodnik spadła duża karta, niemal lśniąca bielą w blasku latarni ulicznych.

Diane schyliła się, żeby ją podnieść.

– Co to?

– A! – odparł Hopper. – Nie powinienem nawet jej mieć. – Wyciągnął rękę. – Musi wrócić na komisariat razem ze mną.

Żona nie od razu oddała mu kartę, uniosła ją i przyjrzała się jej.

– To karta Zenera.

Hopper odebrał jej kartę i obrócił w palcach, jakby nie oglądał jej już godzinami.

– Wiesz, co to jest?

Wzruszyła ramionami.

– No, nie do końca, tylko tyle, że używa się jej w testach zdolności paranormalnych. Jest ich cały zestaw.

Hopper oblizwał wargi i podszedł bliżej żony. Na jej twarzy odbił się niepokój.

– Jim, co to jest?

– Po jednej z takich kart zostawiono w każdym z trzech miejsc, gdzie dokonano rytualnego morderstwa. To tę sprawę badaliśmy, zanim wtrącili się federalni – odparł cicho. – Wszystkie ręcznej roboty, każda z innym symbolem narysowanym akrylowym tuszem. Najwyraźniej dla zabójcy coś znaczą, ale jeśli próbuje przesłać nam wiadomość, to ni cholery jej nie odbieramy.

Diane przez moment poruszała bezdźwięcznie ustami.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, czym są te karty?

Hopper pokręcił głową.

– Nie. Od tygodni próbujemy odgadnąć ich pochodzenie i znaczenie – zawiesił głos. – Skąd w ogóle wiesz, czym są?

– Pamiętasz Lisę Sargeson z przyjęcia urodzinowego w niedzielę?

– Tę wróżkę? Jak mógłbym zapomnieć?

Uśmiechnęła się złośliwie.

– No cóż, myślę, że używa ich do czegoś w ramach swojego występu. W niedzielę do nich nie doszła, ale wygłosiła krótką przemowę na temat swojej pracy i wspomniała, że ma taką talię. Chyba mówiła, że to karty Zenera, ale mogłam coś źle usłyszeć.

Hopper zmarszczył czoło.

– To coś jakby karty tarota używane do przepowiadania przyszłości?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Słuchaj, tak naprawdę w ogóle mało o nich wiem. Wspomniała coś o eksperymentach nad mocami nadmysłowymi, ale wydało mi się, że to tylko część jej zwykłej gadki. No wiesz, żeby ludzie myśleli, że coś ma podstawy naukowe, nie magiczne sztuczki.

Hopper z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Jim?

Westchnął, po czym wsunął kartę z powrotem do kieszeni koszuli. Wziął żonę za rękę i poszli w stronę metra.

– Przez cały ten czas próbowaliśmy odgadnąć, czym są te karty, a świrnięta czarodziejka z dziecięcego przyjęcia urodzinowego mogła nam powiedzieć – urwał, pociągnięciem zatrzymując Diane, która popatrzyła na niego, unosząc wysoko brew.

– Mogłabyś coś dla mnie zrobić? – spytał Hopper.

– Co? Oczywiście.

– Myślisz, że Lisa opowiedziałaby mi więcej o kartach Zenera? To znaczy, o ich znaczeniu?

– A, chyba tak. Ale czy aby nie wspominałeś, że nie prowadzisz już tej sprawy?

Hopper przytaknął.

– Owszem, ale karta pochodzi od informatora, który sam zgłosił się na komisariat. Wygląda na to, że ma powiązania z gangami, więc jutro przekazujemy go federalnym. Jeśli zdołamy do tego czasu zgromadzić więcej informacji, to może im pomóc. Masz jej numer? Wspominałaś, że Lisa to jedna z matek.

– Tak, mam, mogę zadzwonić do niej rano, jeśli...

Hopper skrzywił się.

– Prawdę mówiąc... Czy mogłabyś zadzwonić jeszcze dzisiaj?

– Robi się późno, Jim.

– Nie prosiłbym, gdyby to nie było ważne.

– Dobra, jasne – westchnęła.

Kiedy wrócili, w mieszkaniu panowała cisza – Sara twardo spała, a Rachel, opiekunka, zameldowała, że wszystko w porządku, czekając, aż Hopper wygrzebie z portfela gotówkę i wręczy jej. Na widok sumy oczy nastolatki błysnęły.

– Dziękuję, panie Hopper! – Pomachała im obojgu na dobranoc.

Gdy wyszła, Hopper ruszył do kuchni. Stał przy telefonie, czekając na żonę.

– Trochę cierpliwości, detektywie.

– Wybacz. – Uśmiechnął się.

Diane położyła torebkę na blacie i wyjęła z niej cienki, oprawny w skórę adresownik. Zaczęła przerzucać kartki. Potem podeszła do telefonu wiszącego na ścianie obok lodówki. Przytrzymując słuchawkę ramieniem, odczytała numer i wykręciła go. Odwróciła się do Hoppera. Oboje stali w milczeniu.

Czując się, jakby minęły wieki, Diane pokręciła przecząco głową i już miała odwiesić słuchawkę, gdy Hopper usłyszał szczeł i słaby, stłumiony szmer. Ktoś odebrał.

Diane przekrzywiła głowę.

– Cześć, Liso. Tak, tu Diane... O nie, nic się nie stało. Przepraszam, że dzwonię tak późno... Dobra – zaśmiała się i Hopper się rozluźnił. Oparty o blat kuchenny z rękami skrzyżowanymi na piersi czekał.

Diane wyjaśniła, że mąż chce ją o coś spytać i zapewniwszy Lisę, że nie ma to nic wspólnego z występem na przyjęciu, podała

słuchawkę Hopperowi.

– Jest twoja, szefie – rzekła, po czym zniknęła w drugim pomieszczeniu, po drodze całując go w policzek.

Hopper podszedł do blatu, odwinął skręcony kabel i oparł się na łokciach.

– Pani Sargeson, tu James. Posłuchaj, dzięki, że zgodziłaś się porozmawiać. – Potarł dłonią czoło. – Przepraszam cię za to, co wydarzyło się w niedzielę. Chciałbym też ci zadać kilka pytań.

26 grudnia 1984

**Domek Hoppera,
Hawkins, Indiana**

– No i? Zamierzasz spróbować czy nie?

– Gdzie jest jajko?

Hopper pokręcił głową.

– Nie. Nie ma jajka.

– Ani kremu?

– Zgadza się.

Nastka spojrzała na wysoką szklanę stojącą na kuchennym blacie między nią a Hopperem. Co prawda nie zdołał znaleźć odpowiedniego naczynia, ale krem jajeczny wyglądał całkiem niezłe, miał ładny kolor jasnego brązu. Hopper zdołał nawet uzyskać efekt piany. Nastka przymknęła jedno oko, przyglądając się szklance drugim. Wyraźnie nie ufała Hopperowi i jego dziwacznej

staroświeckiej miksturze.

– Mleko, syrop czekoladowy...

– Mnóstwo syropu czekoladowego – wtrącił Hopper.

– I sodówka? – Zmarszczyła nos, powoli wymawiając nieznane słowo.

Hopper przytaknął.

– Tak, woda z mnóstwem bąbelków. – Pochylił się nad blatem podparty na rękach tak, że głowę miał mniej więcej na poziomie twarzy dziewczynki. – No to co, spróbujesz? Chciałaś, żebym go zrobił.

Nastka otworzyła oko, przekrzywiła głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Dlaczego krem jajeczny?

– No cóż, to długa historia...

– Brzmi paskudnie.

Hopper wyprostował się.

– Żartujesz? Jest przepyszny, popatrz. – Podniósł szklanekę i jedną z dwóch słomek leżących obok na blacie przebił kremową warstwę piany i pociągnął głęboki łyk. – Mmm. – Uniósł napój na odległość ręki i przyjrzał mu się, jakby oceniał zalety doskonałego starego wina. – Powiem ci coś, młoda, to jest smaczne. Brooklyński klasyk. Zobaczysz, że ci posmakuje. – Odstawił szklanekę na blat. Dziewczynka zajrzała do środka, patrząc z góry na pianę.

– No dalej – nalegał Hopper. – Spróbuj.

Nie odpowiedziała, wziął drugą słomkę i podał jej.

I wtedy zeskoczyła ze stołka.

– Nie – rzuciła i pomaszzerowała z powrotem do stołu.

– Niech ci będzie – odparł Hopper, biorąc szklanekę, i ruszył za nią. – Zostanie więcej dla mnie.

Ptaki i klatki, koty i worki

7 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper włókł się przez pokój detektywów w budynku komisariatu, owładnięty tylko jedną myślą.

Kawa.

Zeszłej nocy późno poszedł spać. Rozmowa z Lisą Sargeson nie trwała długo: właściwie okazała się bardzo krótka, Lisa dopiero niedawno wróciła do domu, a rano wcześniej zaczynała, więc prośba o odpowiedź na kilka pytań zakończyła się ustaleniem, że zajrzy do niej jutro po południu. Przez następne kilka godzin dręczyła go bezsenność, podczas gdy Diane spała obok błogo, nieświadoma tego, jak mąż przewraca się z boku na bok, powtarzając w myślach wydarzenia ostatnich dni. W końcu jednak wymyślił plan, który mu odpowiadał, był prosty i pozbawiony komplikacji. Znów porozmawia z Leroyem Washingtonem – Hopper miał nadzieję, że tym razem, po odespaniu tego, czym się naćpał poprzedniego dnia, będzie mówił bardziej logicznie. Wyciągnie z Lisy informacje na temat natury kart Zenera i przedstawi wszystko kapitanowi LaVorgnie. Kapitan pewnie się rozzłości, demonstrując staroświeckie oburzenie po to, by móc

stwierdzić, że o niczym nie wiedział, lecz Hopper podejrzewał, że jego przełożony słyszał o karcie Leroya. Niemożliwe, by powierzenie mu zadania rozmowy z informatorem stanowiło zbieg okoliczności.

Zsunął z oparcia krzesła marynarkę i rozpiął mankiety, by podwinąć rękawy w drodze do pokoju socjalnego. Było wcześniej i choć raz w pracy nie panował upał. Hopper ucieszył się z tego, podobnie jak z dzbanka pełnego kawy pozostawionego przez jakąś życzliwą duszę. W stojącym obok pudle pączków, o dziwo, zostało ich jeszcze kilka.

Niech Bóg błogosławi nocną zmianę i wszystkich, którzy pełnią wówczas straż.

Napełnił kubek kawą – była tłusta i przepalona, ale wiedział, że potrzebuje kofeiny. Sięgnął po pączka i nadgryzł, żeby pozbyć się smaku kawy. W drodze powrotnej do biura przelotnie przywitał się z detektywem Harrisem i sierżantem McGuiganem. Na widok tego, co jadł, ich oczy rozbliły.

Hopper zasiadł za biurkiem, ciesząc się, że przyszedł odrobinę wcześniej niż koledzy i zdoła uniknąć zaciętej bitwy, która zaraz wybuchnie pomiędzy Harrisem a McGuiganem.

Sprawdził godzinę, dokończył pączka, strzepnął z palców cukier wprost na spodnie, a potem sięgnął po telefon. Sierżant dyżurny z dołu odebrał natychmiast i Hopper ze zdumienia omal nie zakrztusił się kawą, po czym powiedział:

– Och, przepraszam, dzień dobry, sierżancie, tu detektyw Jim Hopper z siódmego piętra. Tak, cześć. Słuchaj, ten człowiek, z którym wczoraj rozmawiałem, Leroy Washington. Możecie go przyprowadzić do pokoju przesłuchań?

Odpowiedź sierżanta dyżurnego obudziła Hoppera skuteczniej niż kawa krążąca w żyłach. Nie mogąc się powstrzymać, wstał

szybko, zaciskając palce niczym imadło na słuchawce.

– Co to znaczy został zwolniony?

Przez chwilę słuchał, potem zacisnął powieki, wolną ręką masując czoło. Kiedy sierżant skończył, Hopper pokręcił głową, wciąż nie otwierając oczu.

– No tak, dzięki. Bardzo mi pomogliście.

Rąbnął słuchawką o widełki. Detektyw Harris wyłonił się właśnie z korytarza wiodącego do pokoju socjalnego, w rękach trzymał pączka i kawę, za nim stąpał nadąsany sierżant McGuigan, któremu została tylko jedna z tych rzeczy.

Harris wycelował pączkiem w Hoppera.

– Hej, jeśli zaczynasz rzucać telefonem już przed ósmą, to czeka cię trudny dzień. Tak to działa.

Hopper usiadł ciężko na krześle.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

Harris uniósł pączka i natychmiast pociągnął łyk kawy. Odezwał się z pełnymi ustami, a Hopper skrzywił się z niesmakiem.

– To co słyszeć?

– Ten dzieciak z wczoraj? Nastoletni gangster proponujący informacje? Pamiętasz?

– Tak – odparł Harris. – Chciał ochrony czy coś takiego. Czy w końcu powiedział ci wszystko?

Hopper zirytowany pokręcił głową.

– To właśnie zamierzałem dziś załatwić. Ale jakiś dupek wypuścił go rano.

Harris zaklął.

– Co takiego?

Hopper wskazał gestem biurko, jakby leżała na nim odpowiedź.

– Wczoraj poprosiłem, by zatrzymali go w areszcie, ale jakiś

mundurowy zobaczył, w jakim jest stanie, i zamiast tego wsadził go wraz z innymi pijakami. O piątej rano opróżniają tę część aresztu.

– Ha, osobliwy sposób zapewnienia ochrony temu dzieciakowi.

– Ty mi to mówisz?

– Chcesz, żebym zszedł na dół i skopał dupy kilku gościom? Znam sierżanta dyżurnego, jest mi winien to i owo.

Hopper pokręcił głową.

– Nie, ale dzięki. – Niechętnie podniósł się z krzesła. – Muszę porozmawiać o tym z kapitanem w cztery oczy.

LaVorgna niewiele pomógł, ale zareagował całkiem nieźle, gdy wściekły Hopper wpadł do jego gabinetu niezapowiedziany, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że sam dopiero co zjawił się w pracy. Zwolnienie Leroya Washingtona zaskoczyło go i rozczerowało równie mocno jak Hoppera i nim ten wyszedł z gabinetu, kapitan już zaczął wrzeszczeć do słuchawki na kogoś z dołu.

Hopper zmierzał do biurka, gdy rozdzwonił się jego telefon. Nie widząc śladu Delgado, przyspieszył kroku i odebrał, spodziewając się, że usłyszy partnerkę.

– Hopper, wydział zabójstw.

Telefon ryknął mu w ucho niczym odległy ocean, a potem hałas przycichł zastąpiony szybkim płytkim oddechem. Potem ryk powrócił i umilkł i Hopper zrozumiał, że osoba po drugiej stronie szoruje mikrofonem o zarośnięty policzek.

Usiadł, jeszcze chwilę słuchał oddechu. Już miał się rozłączyć – świry dzwoniące do policji to ryzyko zawodowe – gdy dzwoniący w końcu się odezwał.

– Detektywie Hopper? To ja, stary, to ja – rzekł niewiele głośniejszym szeptem.

Hopper zamrugał, rozejrzał się po pokoju, ale nikt na niego nie patrzył. Odwrócił się na krzesło, by mieć naprzeciwko tylko ścianę.

– Leroy?

Tamten odetchnął głośno. Gdy znów się odezwał, Hopper słyszał w jego głosie wyraźną nutkę wdzięczności.

– O rany, detektywie, dzięki, kurde, że odebrałeś.

Hopper zamknął oczy.

– Gdzie ty, do diabła, jesteś? Sierżant dyżurny mówił, że zwolnił cię zeszłego wieczoru.

– Zwolnił? Stary, złapali mnie za tyłek i wywalili na ulicę.

Hopper westchnął i pomasażował dłonią czoło.

– No dobrze, ale słuchaj...

– Detektywie, musisz mi pomóc. Proszę. Proszę o pomoc. Serio.

I znów to szuranie; Hopper oczami wyobraźni widział, jak Leroy kuli się w budce, z telefonem przyciśniętym mocno do ust, a potem odwraca głowę w lewo, w prawo, w lewo, w prawo, czuwając, czekając, aż jego numer padnie. Przynajmniej brzmiał nieco lepiej – znacznie trzeźwiejszy, bardziej świadomy, panujący nad swoimi myślami, mówił cicho, lecz wyraźnie.

– Gdzie jesteś? – spytał Hopper.

– Proszę, stary, proszę – powtórzył Leroy.

Najwyraźniej go nie słuchał. I wtedy Hopper dosłyszał w jego głosie coś jeszcze.

Strach.

– Słuchaj – rzucił Leroy – Saint John coś planuje, stary, coś bardzo wielkiego, coś, co uderzy w to miasto niczym ogromna fala. Mówię serio. Saint John nie żartuje, jasne? Jest niebezpieczny, ma mnóstwo pomysłów dotyczących diabła i końca świata. Może nie wierzysz w to wszystko, może ja też nie, ale owszem, stary, on

szczerze w to wierzy. Słuchaj, muszę uciec i naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Sam nie dam rady. Zupełnie jak... jakbyś nie mógł nawet się do niego zbliżyć, bo tobą owładnie jak... jak...

Hopper zmrużył oczy, skupiony na głosie Leroya.

– Jak co? Leroy?

Tamten westchnął do słuchawki.

– Sam nie wiem. To dziwne, zupełnie jakby miał jakąś moc, to znaczy prawdziwą moc, jakby umiał czytać ci w pieprzonych myślach, jakby wiedział, co zamierzasz zrobić, nim jeszcze ty cokolwiek zdecydujesz. Jak mówiłem, jest niebezpieczny. Musisz mi uwierzyć. I musisz mi pomóc, stary. Muszę stąd zniknąć, i to szybko.

– Dobra, zgoda, mogę ci pomóc – obiecał Hopper. – Powiedz, gdzie jesteś, a ja po ciebie przyjadę.

– I po moją siostrę.

– Twoją siostrę?

– Tak, moją siostrę. Ona też w tym tkwi, Saint John głęboko wbił w nią swoje szpony. Musisz mi pomóc ją wydostać, nim ten syf zwali się nam na głowę, nam i całemu miastu.

– No dobrze, słuchaj, Leroy...

– Słyszałeś, co powiedziałem, detektywie? Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Jest źle, stary, bardzo źle.

– LEROY!

Hopper zerknął w górę, McGuigan i Marnie, stojący nieopodal i naradzający się cicho, obejrzeni się na niego, ale demonstracyjnie ich zignorował. Znów przyłożył słuchawkę do ust, w telefonie słyszał chrapliwy oddech przerażonego człowieka.

– Powiedz, gdzie jesteś, a ja przyjadę i cię zabiorę, w tej chwili. Możemy porozmawiać, opowiesz mi o Saint Johnie i twojej

siostrze, dobrze? Opowiesz mi o wszystkim, żebyśmy mogli przygotować jakiś plan, jasne?

Jedynym dźwiękiem, jaki Hopper słyszał w telefonie, był drżący, urywany, zalekziony oddech i szuranie nieogolonego policzka o mikrofon, gdy jego właściciel sprawdzał, czy okolica jest czysta.

– Leroy, czy ty mnie słuchasz?

– Tak, słyszę cię. Przyjedź po mnie, proszę, jak najszybciej możesz, stary. Jak najszybciej możesz.

Leroy w końcu podał adres, a potem w słuchawce zapadła cisza. Hopper odwrócił się na krześle, odkładając słuchawkę na widełki, i zanotował miejsce spotkania. Wyrwał kartkę, a potem szybko nabazgrał kolejny liścik, tym razem do Delgado. Wstał, wsunął list pod jej kubek, potem chwycił z oparcia marynarkę i wybiegł z pokoju.

Porwanie

7 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Miejsce spotkania podane przez Leroya leżało w Sunset Park, dzielnicy portowej pełnej magazynów i przestępców – Hopper wolał nie myśleć o tutejszych statystykach. Wychodząc z komisariatu, upewnił się, czy ma przy sobie broń, w drodze na parking podziemny cztery czy pięć razy sprawdził kaburę pod pachą. Z floty maszynowej wybrał catalinę, która nie wyglądała aż tak przeciętnie i nieciekawie, jak by chciał, biorąc pod uwagę miejsce, do którego się wybierał. Kiedy dotarł do punktu spotkania, zaparkował obok magazynu przeładunkowego, w którym roilo się od robotników. Miał nadzieję, że może nawet zareagują, jeśli zobaczą, jak ktoś spróbuje włamać mu się do samochodu. Resztę drogi Hopper przebył pieszo, trzymając się głównych ulic.

Podany przez Leroya adres był skrzyżowaniem. Zbliżając się, Hopper odkrył, że całą przecznicę zajmuje wielka stacja przeładunkowa, niższa od poziomu ulicy niczym ogromne wykopaliska archeologiczne. Otwarta przestrzeń zaskoczyła go, ale nie stanowiła problemu. Jeśli czekały go kłopoty, teraz przynajmniej wiedział, że je zobaczy.

Na stacji panował spory ruch, wagony towarowe, ciężarówki i maszyny, wszystko przemieszczało się, większość powoli, z łaskotem pokonując tory. Tymczasem robotnicy w brudnych, zaplamionych smarem, niebiesko-brązowych kurtkach, kombinezonach i kaskach krzętała się dokoła i między nimi. Hopper, przyglądając się wszystkiemu z poziomu ulicy, zauważył, że każdą dostępną powierzchnię pokrywa graffiti – dotyczyło to też ścian i dachów pociągów, wagonów, cystern i samochodów, które albo poruszały się, albo też stały przy stacji. Po prawej i lewej dziesiątki torów znikwały w tunelach oświetlonych jedynie słabym żółtym blaskiem latarni technicznych.

Stacja, pomyślał Hopper, to idealna kryjówka, bo mimo obecności robotników stało tam wiele maszyn i sprzętu tak ciężkich i wielkich, że świetnie nadawały się na tymczasowe schronienie. Gdy tak patrzył, dostrzegł ruch w wylocie tunelu po lewej: kiedy na otwartą przestrzeń wyjechała lokomotywa, grupa trzech osób, umorusanych tak jak robotnicy, wbiegła do tunelu. Dwaj z nich ciągnęli za sobą worek. Najpewniej bezdomni, uznał Hopper. To miejsce niebezpieczne do życia, ale nie wątpił, że w ciemnych korytarzach znajdzie znacznie więcej ludzi.

Leroya Washingtona nie dostrzegł. Rozejrzał się po ulicy. Na najbliższym rogu mieścił się sklep z papierosami i pismami dla panów, obok mały barek, do którego zaglądali głównie robotnicy. Oba zakłady nie imponowały wielkością, w środku nie miały miejsca dla klientów, jedynie ladę, za którą stali właściciele trzymający zapewne pod ręką pistolet albo dwa. Przed narożnym sklepikiem stała skorupa budki telefonicznej. Reszta otoczenia to typowa dzielnica przemysłowa – płaskie wysokie budynki, pozbawione jakichkolwiek cech szczególnych, od dołu do góry pokryte graffiti, niegdyś jaskrawym i wielokolorowym, obecnie przypominającym morze wyblakłych szarości i brązów.

Hopper odczekał jeszcze chwilę. Ani śladu Leroya. Rozglądając się uważnie, postanowił okrążyć stację. Obchód zajął mu kwadrans – szedł powoli z szeroko otwartymi oczami, od czasu do czasu zatrzymywał się, patrząc w dół pod różnymi kątami i próbując odkryć, czy Leroy faktycznie się tam nie chowa. Otaczał go beton, już rozpalony od porannego słońca, choć nie minęło jeszcze południe. Dotarłszy do punktu wyjściowego, Hopper zerknął na sklep i bar. W obu widział ludzi, ale żaden z nich nie był Leroyem, który, musiał to przyznać, się nie zjawił.

Sięgnąwszy do kieszeni, Hopper przekonał się, że został mu ostatni papieros. Z westchnieniem raz jeszcze powiódł dookoła wzrokiem, potem odwrócił się i ruszył przez ulicę do sklepiku. Od mężczyzny za ladą kupił paczkę papierosów i czekając na resztę, zerknął na stoiska z pismami. Obok zdjęcia modelki w bikini, tulącej do siebie wielki balon w kształcie króliczej głowy, ze zdumieniem ujrzał egzemplarz „Time’a”, na którego okładce wypisano dumnie „Nadchodzi lato” wielkimi drukowanymi literami.

– Ktoś musiał to głośno powiedzieć, co? – Hopper wskazał gestem okładkę w chwili, gdy właściciel wręczył mu kilka wytłuszczonych banknotów dolarowych. Mężczyzna jednak najwyraźniej nie był w nastroju do rozmów: dokończył transakcję, jedynie marszcząc brwi.

Hopper podziękował, po czym wrócił na ulicę, schował paczkę papierosów do kieszeni i wyciągnął ze starej ostatniego papierosa. Podszedł do budki telefonicznej z zapalniczką w gotowości. Zerwał się wiatr, niosący ze sobą nie tylko letni upał, toteż Hopper postanowił schować się za budką, osłaniając papierosa dłonią, gdy go zapalał. Potem wyprostował się i zaciągnął głęboko dymem. Uznał, że czekał już dość długo. Był we właściwym miejscu. Leroy – nie. Może się wystraszył, wycofał. Może złapały go Żmije, właśnie

ten gang, przed którym pragnął uciec?

A może to był tylko żart, dowcip. Uliczny gang czcicieli diabła? Człowiek o nazwisku Saint John, próbujący wezwać do miasta szatana we własnej osobie? Pomijając kartę Zenera, historyjka Leroya brzmiała przecież idiotycznie. Hopper niespiesznie palił papierosa, rozważając następne posunięcie. Nawet bez informacji od Leroya mieli dość, by przekazać kapitanowi, zwłaszcza – zakładając, że partnerka przeczytała jego liścik – gdy Delgado wróci ze spotkania z Lisą Sargeson w sprawie kart Zenera.

Czekała go teraz daleka droga z powrotem, więc postanowił zadzwonić do pracy, sprawdzić, czy Delgado już wróciła i ma jakieś wieści. Przyszło mu też do głowy, że Leroy mógł ponownie zadzwonić, może żeby podać nowe miejsce i czas spotkania. W przypadku uciekiniera to przecież całkiem prawdopodobne.

Nagle usłyszał dobiegający z ulicy ryk silnika. Hopper spojrzał w tamtą stronę i ujrzał błysk światła odbijającego się od srebrnych boków wielkiej ciężarówki dostawczej, pędzącej przez skrzyżowanie. To była ciężarówka pocztowa. Hopper nie winił ich, że starają się jak najszybciej dostarczyć przesyłki w tej okolicy.

Przeszedł na drugą stronę budki, gotów zadzwonić tylko po to, by odkryć, że jacyś chuligani wyrwali w niej aparat, zostawiając jedynie pomazaną graffiti skorupę, zasłaną niedopalkami i starymi gazetami. Hopper zaciągnął się papierosem. Zza pleców dobiegał go coraz głośniejszy ryk silnika – ciężarówka zmieniała biegi, potem zapiszczały opony i w powietrzu rozszedł się smród gorących dieslowych spalin oraz palonej gumy, tak mocny że Hopper zauważył to mimo papierosa.

Odwrócił się, by zobaczyć, jak ciężarówka wjeżdża pod kątem na chodnik, tuż przy sklepie. Była wielka, kanciasta i srebrna, z wymalowanym na boku znajomym błękitnym orłem i czerwonymi pasami służb pocztowych Stanów Zjednoczonych.

Silnik wciąż pracował, gdy z ciężarówki wyskoczyło pięć postaci. Hopper ogarnął to wszystko, a potem papieros wypadł mu z ust, a pusta paczka z dłoni, gdy cofnął się, potykając o własne stopy.

On sam nie był ułomkiem, lecz każdy z pięciu zbliżających się mężczyzn budową przypominał futbolistę. Mieli na sobie zbieraninę strojów sportowych – szare spodnie, niebieską dresową kurtkę, czerwoną dresową kurtkę, żółtą koszulkę, opinającą potężne mięśnie. Ale to maski wbiły w pierś Hoppera sztylet strachu – czarne, gładkie, anonimowe, pozbawione otworów na usta i nos, jedynie pięć par oczu spoglądających na niego przez okrągłe wyloty.

Hopper odwrócił się na pięcie, powietrze otaczające go jakby nagle zgęstniało, chodnik stał się zbyt śliski. Poczul dłonie na ramionach – nie szkodzi, bo lekkim szarpnięciem i obrotem rąk pozwolił pierwszemu napastnikowi zedrzeć z siebie marynarkę, co tylko pomogło mu w ucieczce. Ale wystartował pod niewłaściwym kątem i poleciał naprzód. Uderzył palcami o chodnik, wykorzystując siłę rozpędu, by odepchnąć się niczym sprinter z bramki startowej.

Stracił już jednak zbyt wiele czasu. Machnął za sobą lewą ręką, by zyskać równowagę, ktoś jednak chwycił go poniżej łokcia i szarpnął w tył. Nagła zmiana kierunku omal nie wyrwała mu kości ze stawu. Hopper zacisnął zęby i wykorzystując uchwyt jako punkt obrotu, zamachnął się pięścią. Uderzył napastnika w pierś z prawej strony, przypominało to jednak walenie rękami o pień drzewa. Poczul, jak jego kostki ześlizgują się, przegub przeszył ból, gdy ręka wygięła się zbyt mocno w niewłaściwą stronę. Próbował się wyprostować, ale to jedynie odsłoniło brzuch, w który natychmiast trafiła pięść kolejnego napastnika, pięść jak się zdawało rozmiarów świątecznej szynki, która wypchnęła mu z płuc całe powietrze. Hopper poczul żółć napływającą do gardła, splunął palącym kwasem, w brzuchu

rozkwitał mu ból, promieniując, jakby ktoś przytknął tam przewód pod napięciem podciągnięty ze stacji kolejowej.

Hopper skulił się, tracąc wolę walki. Kopnął raz, drugi, trzeci, ale oznaczało to, że musiał podnieść nogi dość wysoko, by tamci go za nie złapali. Kolejny cios, tym razem w kark, sprawił, że przed oczami zatańczyły mu czarne gwiazdy. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, gdy wlekli go na tył srebrnej ciężarówki, był mężczyzna stojący za ladą narożnego sklepiku. Zmarszczone brwi, ręce splecione na piersi – ktoś, kto chętnie wszystko ogląda, ale nie ma zamiaru kiwnąć palcem.

Tajna historia Lisy Sargeson

7 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Delgado stała pośrodku salonu, rozglądając się po otaczających ją sprzętach. Lisa Sargeson zachęcała ją, by się rozgościła.

– Dzięki – odparła Delgado, podchodząc do jednego z regałów ustawionych pod niemal wszystkimi wolnymi fragmentami ścian dostępnymi w niewielkim mieszkaniu. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam nadzieję, że to nie potrwa długo. – Przekręciła głowę, by odczytać napisy na grzbietach identycznych, oprawionych w skórę tomów. *Annaly Amerykańskiej Akademii Psychiatrii i Prawa*, tomy od pierwszego do czwartego, od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego, zajmowały chyba z metr na półce. To ci dopiero lekka lektura przed snem.

Z głębi mieszkania dobiegł ją śmiech.

– Nie, proszę, to ja muszę przeprosić! – zawołała Lisa. – Dopiero wróciłam. Ostatnia wizyta się przedłużyła i muszę dopilnować, by zdążyć na kolejną.

Delgado wyprostowała się i spojrzała na następną półkę. Tu zamiast rzędów jednolitych grzbietów ustawiono ciasno upchniętą

kolekcję podręczników: *Psychiatria współczesna: wydanie V, Zasady psychologii klinicznej, Praktyczna ocena i analiza przypadków, część druga, Wewnątrz ludzkiego umysłu*. Delgado przesunęła palcem wzdłuż półki, naliczyła ponad tuzin kolejnych tomów. Rozglądając się po mieszkaniu, stwierdziła, że reszta regałów wygląda podobnie – oprawne w skórę zbiory dzienników i teksty akademickie. Po tylu ciężkich, poważnych tomach niemal z ulgą dostrzegła półkę, na której znajdowały się powieści Arthura C. Clarke’a i Ursuli K. Le Guin ustawione przy kanapie zajmującej dużą wnękę okienną po drugiej stronie pokoju. Na tej samej półce przed książkami leżała para kajdanek i kolorowe boa z piór zwinięte w kulkę. Delgado odgadła, że to kolejne magiczne rekwizyty Lisy.

Podeszła do okna, rozkoszując się słońcem wpadającym do środka.

– No cóż, jak mówiłam, mam nadzieję, że to nie zajmie dużo czasu.

– Chętnie pomogę! – Lisa pojawiła się w drzwiach. Zamiast cylindra magika i rajstop, w których przywitała Delgado, miała na sobie żółto-czerwoną sukienkę w kwiaty i sięgające kolan skórzane botki. Wsuwając na palec duży złoty pierścień nastroju dostrzegła, jak Delgado mierzy ją wzrokiem od stóp do głów i znów się roześmiała. – Wiem, wiem, niezła przemiana, ale byłoby dziwnie, gdybym zjawiała się tam w kabaretkach. – Przeszła przez pokój i podwijając sukienkę pod nogi, usiadła w fotelu po lewej stronie okna. – Proszę usiąść.

Delgado uśmiechnęła się i skorzystała z zaproszenia. Ponownie zerknęła na regały.

– Muszę przyznać, że nie tego się spodziewałam – rzekła.

Lisa zaśmiała się.

– Nie wiem, co powiedział pani partner, ale przepowiadanie

przyszłości i iluzje to w dzisiejszych czasach kiepski zawód.

Delgado przekrzywiła głowę.

– To czym właściwie się pani zajmuje? Oczywiście kiedy nie wyciąga pani królików z kapeluszy. – Wskazała ręką półki. – Ma pani tu więcej książek niż moja miejscowa filia Biblioteki Nowojorskiej.

– Proszę wierzyć czy nie, pani detektyw, ale jestem w pełni wykwalifikowaną i certyfikowaną psycholożką kliniczną. – Przekręciła się w fotelu, wyginając plecy tak, by móc sięgnąć do półki za sobą. Wyciągnęła z niej kolejny oprawny w skórę tom i podała rozmówcy.

Delgado wzięła go, niepewna, na co właściwie patrzy. Skóra była czarna i twarda, ze srebrnymi wytłaczanymi napisami na grzbiecie i okładce.

– *Socjologiczne niezgodności w psychologii dostosowawczej. Schematy reintegracji społecznej: metaanaliza historyczna i metodologia praktyczna* – przeczytała tekst na okładce Delgado. – *Praca doktorska, Lisa Sargeson, Wydział Psychologii, Uniwersytet Miskatonic, Massachusetts.* – Spojrzała na Lisę. – Ma pani tytuł doktora?

– Doktora psychologii klinicznej i kryminalistycznej, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty czwarty rok.

Delgado przytaknęła i zaczęła przeglądać książkę. Mimo podwójnych interlinii tekst wydawał się gęsty, przetykany licznymi wykresami i rysunkami.

– W dziewiątej klasie dostałam złoty certyfikat pływacki – powiedziała, zamykając pracę doktorską i oddając ją Lisie. – Psychologia kryminalistyczna i uliczna magia to niezbyt zbliżone dziedziny – dodała, wskazując ręką cylinder stojący na stoliku, gdzie zostawiła go Lisa.

– Czasem tak bywa. Sądzisz, że wiesz, co chcesz robić,

poświęcasz temu mnóstwo czasu, tyle że... – Wzruszyła ramionami Lisa.

– Tyle że? – Delgado uniosła brwi.

Lisa uśmiechnęła się.

– Tyle że gdy osiągasz cel, okazuje się nie taki, jak oczekiwałaś.

– Nie podobało się pani życie uniwersyteckie?

– Niestety, to nie dla mnie. Kiedy skończyłam pisać – uniosła tom – i tak spędziłam tam za dużo czasu. Nie mogłam doczekać się chwili, kiedy to zostawię.

– I to panią sprowadziło do Nowego Jorku?

– Praca – odparła Lisa. – Był to Instytut Rookwooda, ośrodek resocjalizacji więźniów federalnych czekających na zwolnienie. Nie mówimy tu o zbrodniarzach z więzień o zaostrowym rygorze, ale tych, którzy odsiedzieli swoje i czekali na powrót do społeczeństwa. Czy uwierzy pani, że ktoś w federalnym biurze więziennictwa uświadomił sobie, że może tych ludzi nie powinno się wyrzucać na ulicę, może potrzebują resocjalizacji, pomocy w ponownej integracji ze społeczeństwem. Bo jeśli wypuszcza się ich bez żadnego wsparcia, to co wtedy robią? Wracają do tego, przez co trafili do więzienia. Jeśli dostaną pomoc, jeśli nauczy się ich, jak wieść zwyczajne życie, współistnieć z innymi ludźmi, prawdopodobieństwo recydywy spada o tak. – Pstryknęła palcami.

Delgado pokiwała głową.

– To ma sens.

– Prawda? I świetnie mi pasowało. Przecież napisałam doktorat na ten temat! Biuro odrobiło zadanie domowe, urządzając instytut: między innymi wykorzystali moją rozprawę doktorską. No i zaproponowali mi pracę.

– Rany – mruknęła Delgado, potem jednak zmarszczyła czoło. – Ale nie pracuje tam pani teraz?

Lisa pokręciła przecząco głową.

– Nie, Instytut Rookwooda zamknięto rok temu i... może to moja wina, choć myślę, że koniec i tak zbliżał się nieuchronnie.

– Co się stało? Dlaczego go zamknęli?

Lisa zaśmiała się.

– To przecież Nowy Jork, jak pani myśli? Z powodu pieniędzy! Ale wie pani, i tak nie szło nam najlepiej. Kiedy mnie zatrudnili, twierdzili, że dołączę do trwającego już programu. Gdy jednak się zjawiłam, odkryłam, że nie mają nic. Nic się tam nie działo. Sama miałam wszystko urządzić i zorganizować.

– Żartuje pani.

Lisa pokręciła głową.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, byłam gotowa to zrobić, a w instytucie pracował świetny zespół. Lecz wkrótce zrozumiałam, że jedyną rzeczą, jakiej potrzebuję najbardziej, było coś, czego nie miałam: finansowanie. Stworzenie czegoś takiego jak Rookwood, pełne uruchomienie programu wymaga czasu i pieniędzy. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, czego oczekiwali. Zdołałam uruchomić program pilotażowy, ale wkrótce okazało się, że nie dam rady zrobić tego, do czego mnie zatrudnili. Więc odeszłam.

– Odeszła pani?

Lisa pomachała ręką.

– Odwróciłam się i wyszłam. Do tego czasu przynajmniej rozumiałam, co się działo – i nadal dzieje – w tym mieście. Rookwood był wspaniałym pomysłem, ale w żaden sposób nie mógł osiągnąć tego, do czego go powołano. Traciłam tylko czas, który mogłam lepiej spożytkować na zewnątrz, naprawdę pomagając mieszkańcom miasta.

Delgado pozwoliła sobie na lekki uśmiezek.

– Pracując jako magiczka?

Lisa roześmiała się.

– Magiczka uliczna i terapeutka resocjalizacyjna. – Wyciągnęła rękę i uniosła cylinder, przerzucając go z dłoni na łokieć z teatralnym namaszczaniem, a potem odkładając z powrotem. – To zajęcie dodatkowe. Jeszcze na uniwersytecie znalazłam pracę na pół etatu jako pomocniczka iluzjonisty. Było super, dzięki temu mogłam spłacić rachunki, no i bawiłam się znacznie lepiej niż przy smażeniu hamburgerów. Okazuje się, że ludzie naprawdę lubią magiczne sztuczki. Proszę.

Lisa sięgnęła na podłogę obok kanapy i podniosła otwarte pismo, którego Delgado wcześniej nie zauważyła. Obróciła je w dłoniach i podała detektyw.

– Środkowa kolumna, gdzieś w połowie.

Delgado wzięła czasopismo i mrużąc oczy, przyjrzała się gęstemu drukowi płatnych ogłoszeń.

– Magia – odczytała na głos. – Magiczka... Wszystkie okazje... Różne stawki. Lisa. – Potem nastąpił numer telefonu. Delgado spojrzała na okładkę i przekonała się, że trzyma w rękach egzemplarz magazynu „New York”. Na okładce mężczyzna w średnim wieku, w garniturze, wylewał szampana na głowy trzech mężczyzn w średnim wieku, ubranych w garnitury. Cała czwórka wyglądała na zachwyconych sytuacją. Dwóch z nich unosiło tryumfalnie pięści, a pan w środku ścisnął w dłoniach dużą drewnianą nagrodę ze złotym modelem samochodu.

Delgado jedynie pokręciła głową i oddała czasopismo gospodyni.

– W każdym razie – podjęła Lisa – kiedy Rookwood zamknął swoje podwoje, wróciłam do tego zajęcia, żeby móc kontynuować prawdziwą pracę.

– Czyli?

Lisa zwinęła czasopismo w rulon i włożyła do odwróconego

cyindra.

– Jak mówiłam, doradztwo resocjalizacyjne, mniej więcej to, co chciałam robić w Rookwood. Kiedy odeszłam, zamierzałam podjąć prywatną praktykę, ale wtedy znalazłam organizację dobroczynną skupioną na podobnych celach, więc zaproponowałam swoje usługi. Pasują mi idealnie, ale płacą jedynie podstawowe stypendium, więc nadal muszę nosić cylinder i machać ręką nad szklaną kulą, w zależności od tego, kto mnie zatrudnia.

– Ale czy problem z Rookwood nie polegał właśnie na braku pieniędzy?

– Owszem – przyznała Lisa. – Tyle że z Rookwood było inaczej. To tylko trybik w olbrzymiej maszynie federalnej. Owszem, miał potencjał, ale by osiągnąć nawet najmniejsze rezultaty, potrzebował nieproporcjonalnie dużych funduszy. Tak zwykle jest z inicjatywami rządowymi. Organizacje dobroczynne to co innego: mniej ludzi, mniej zasobów, ale mogą objąć swoim działaniem całe miasto. Wprawdzie zakres jest skromniejszy, podobnie cele, ale nie wiem, mam wrażenie, jakbyśmy naprawdę coś robili... w jakiś sposób pomagali tym ludziom. – Usiadła. – Na razie wszystko wygląda świetnie, mamy dobre wyniki i czuję się, jakbym coś zmieniała. Może mniej niż dotychczas, ale bardziej skutecznie. To bardziej skoncentrowana praca, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Delgado pokiwała potakująco głową.

Lisa odchyliła się w fotelu, żeby sprawdzić na ściennym zegarze, ile ma jeszcze czasu.

– No dobrze, przepraszam, naprawdę zaczynam się spieszyć.

Delgado przytaknęła i wyjęła z torebki grubą brązową kopertę. Położyła ją na kolanach. Z jej wnętrza wysunęła serię dużych, błyszczących czarno-białych zdjęć. Każde przedstawiało jedną

z osobliwych kart znalezionych w trzech miejscach zbrodni, które do niedawna badali wraz z partnerem. Na każdej fotografii linijka pokazywała skalę kart.

– Mielіśmy nadzieję, że opowie nam pani o nich coś więcej... Z tego, co wiem, to karty Zenera? – Rozłożyła zdjęcia na stole: kółko, krzyż, trzy falujące linie.

Lisa skinęła głową i sięgnęła po zdjęcie karty z kółkiem.

– Zgadza się – patrząc nad trzymanym zdjęciem, obejrzała dwa pozostałe – a przynajmniej trzech z nich. W sumie jest ich pięć.

Delgado wyciągnęła notatnik.

– Mamy jeszcze jedną, pięcioramienną gwiazdę.

Lisa przyjrzała się uważnie trzymanemu w ręce zdjęciu.

– To ręczna robota?

– Tak uważamy. Wszystkie wykonane ręcznie, zapewne przez tę samą osobę, która nie zostawiła żadnych odcisków palców. Zakładamy, że pozostawiono je nie bez powodu, ale chcielibyśmy dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Tu liczymy właśnie na panią.

Lisa uniosła brwi.

– Chce pani powiedzieć, że karty te zostawiono na miejscu zbrodni? Jakich zbrodni?

– Niestety, nie mogę tego zdradzić. – Delgado pokazała palcem zdjęcia, a potem wyjęła z torebki notatnik. – Ale gdyby mogła nam pani pomóc z kartami, byłoby świetnie.

Lisa poprawiła się w fotelu.

– Oczywiście. Kart Zenera używa się, czy przynajmniej używało, przy doświadczeniach z jasnowidzeniem.

Długopis Delgado zamarł.

– Jasnowidzeniem?

Lisa przytaknęła.

– To znaczy, coś jak z telepatią? Czytaniem w myślach?

– Zwykle w kręgach naukowych nazywa się to postrzeganiem pozazmysłowym.

Delgado odłożyła długopis.

– W kręgach naukowych? Mówi pani serio?

– Ależ tak – odparła Lisa. – To znaczy to było bardzo dawno temu: co najmniej czterdzieści lat. Karty te opracował psycholog Karl Zener w latach trzydziestych. Chodzi o to, że bierze się talię z dwudziestu pięciu kart – po pięć każdego symbolu – tasuje, a potem odwrócone pokazuje obiektowi badań, który ma określić, jaki symbol widnieje na karcie.

Delgado znów zaczęła notować.

– I to wszystko?

Lisa wzruszyła ramionami.

– Miało być proste. Problem w tym, że jest zbyt proste. Zener opublikował prace mające dowieść, że istnieje efekt paranormalny, ale niestety nikt nigdy nie zdołał powtórzyć wyników eksperymentów. W grę wchodzi wiele mylących czynników: złe tasowanie sprawia, że łatwo odgadnąć karty, albo obiekt widzi ich odbicia w oczach badacza. Kiedy uwzględnimy te czynniki, efekt znika.

Delgado zerknęła na karty.

– Ale te karty wciąż istnieją? To znaczy ludzie nadal ich używają?

– O tak – odparła Lisa. – W parapsychologii.

– Para... psychologii. – Delgado spojrzała na nią znad notatek.

Lisa przytaknęła.

– Parapsychologii. Psychologii wykraczającej poza normalny zakres nauki.

– Coś jak telepatii?

– Coś jak telepatii, ale nie w tym rzecz. Nieważne, czy istnieje, czy nie, niektórzy psycholodzy sądzą, że zachowania i reakcje ludzi na pewne rzeczy są równie znaczące, jak same zjawiska. – Lisa odwróciła zdjęcie, by Delgado mogła je zobaczyć. – Stąd właśnie karty Zenera. Są tacy, którzy wciąż ich używają.

– A pani ich używała? Na uniwersytecie?

Lisa pokręciła głową.

– Nie, psychologia kryminalistyczna to badanie zachowań anormalnych, nie paranormalnych. Ale kilku pracowników wydziału założyło niewielki klub parapsychologiczny z kilkoma doktorantami, tak dla zabawy. Skoro sprzęt już i tak był na miejscu... Czasami im pomagałam, kilka razy przeprowadzaliśmy doświadczenia z kartami Zenera, ale nie na poważnie.

– Rozumiem. – Delgado skończyła notować, ponownie wskazała zdjęcia końcem długopisu.

– Czyli poza doświadczeniem Zenera te karty nie mają innego znaczenia? Symbole nie znaczą niczego szczególnego?

– Nie, tylko do tego służą. Symbole zaprojektowano tak, by były proste, a jednocześnie dostatecznie charakterystyczne, aby dało się je łatwo rozpoznać. To kluczowa sprawa, jeśli ktoś chce czytać w myślach.

Delgado pokiwała głową.

– I twierdzi pani, że jest pięć symboli?

– Zgadza się, te trzy, gwiazda, o której pani wspominała, i piąty to kwadrat. Chwileczkę.

Lisa ześliznęła się z fotela i podeszła do biblioteczki naprzeciwko Delgado, z dolnej półki wyciągnęła pudło ozdobione godłem Uniwersytetu Miskatonic i postawiła na stoliku. Zaczęła szperać w plikach papierów, aż w końcu wydobyła stosik kart obwiązanych dwiema gumkami. Zsunęła gumki i przetasowała karty.

– Wiedziałam, że gdzieś je mam. Kółko, gwiazda, krzyż, linie i proszę. – Wybrała jedną i podała Delgado. – Kwadrat.

Delgado wzięła kartę. Była większa niż zwykła do gry, zrobiona ze sztywnego lśniącego papieru z zaokrąglonymi narożnikami. Z przodu widniał czarny rysunek kwadratu. Obróciwszy kartę, ujrzała tylko nazwę producenta i miejsce, skąd pochodziły, Cincinnati, Ohio, wydrukowane małymi literami na samym dole.

Delgado uniosła kartę.

– Są dostępne w handlu?

Lisa wstała, zamknęła pudło i odstawiła na biblioteczkę.

– Oczywiście. Jak mówiłam, karty Zenera wciąż są w użyciu. W Nowym Jorku jest kilka sklepów, w których kupi pani podobną talię. Choć te pani to domowa robota.

– Tak, a sklepów, które sprzedają takie same karty i taki sam akrylowy tusz, jest w Nowym Jorku nieco więcej niż kilka.

Lisa zerknęła na zegarek.

– Rozumiem. Przepraszam, ale...

Delgado przytaknęła, schowała notes i długopis do torebki. Wzięła kartę Lisy.

– Mogę ją zatrzymać?

– Proszę. Tkwi w tym pudle od trzech lat. Raczej nie zacznę nagle przeprowadzać doświadczeń Zenera.

– Dziękuję. – Delgado wstała. – I dzięki za informacje.

– Przydadzą się do czegoś?

Delgado zmarszczyła brwi.

– Tego nie wiem. Ale wiem teraz więcej, niż kiedy przyszłam, więc punkt dla mnie – zawiesiła głos. – Dokąd pani jedzie? Mogę podrzucić. I tak zbyt długo panią zatrzymałam.

– Nie odmówię.

Lisa pierwsza ruszyła do drzwi. Gdy zamykała mieszkanie za Delgado, podała jej adres i poszła w głąb korytarza. Delgado zajęta przetrawianiem w myślach adresu, który właśnie usłyszała, nie ruszyła się.

Na końcu korytarza Lisa zatrzymała się i odwróciła.

– Da pani radę?

– Tak, oczywiście – odparła Delgado. – Bez problemu.

Jej rozmówczyni uśmiechnęła się. Delgado ruszyła za nią, jej myśli pędziły, raz po raz powtarzając adres.

Dupuis Street osiemnaście. Stara świetlica kościoła metodystów. Używana przez różne miejscowe grupy i organizatorów pomniejszych wydarzeń – jak się okazało, również sesji terapeutycznych prowadzonych przez Lisę.

Był to też drugi adres z listy agenta specjalnego Jacoba Hoelera.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera

Hawkins, Indiana

– Delgado dostała kartę?

Hopper urwał w pół zdania.

– No cóż, nie jedną z tych kart, ale Lisa dała jej kartę Zenera z symbolem, którego nam brakowało. Zgadza się.

Nastka chwyciła się oburącz za pokrytą lokami głowę.

– Jest następna.

– Chwileczkę, nie. – Hopper wyciągnął dłoń do dziewczynki w nadziei, że zdoła ją uspokoić. – To nie była taka sama karta. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Jeszcze nie skończyłem historii.

Oddech Nastki powoli zwalniał. Wypuściła swoje włosy, pozwalając rękom opaść na blat.

– Delgado nic nie jest?

Hopper zaśmiał się.

– A co, nagle martwisz się o to, że dostała kartę, ale nie o to, że mnie porwali w środku dnia?

– Ty jesteś tutaj – odparła Nastka. – Nic ci się nie stało. Czy Delgado też?

– Zupełnie nic, wierz mi.

– A czy wszystko z nią teraz dobrze?

– Pewnie, że tak. – Hopper podrapał się po brodzie, na jego twarzy zatańczył uśmiech. – Żyje, nieźle się miewa i mieszka w Waszyngtonie.

– W Waszyngtonie?

– Tak, była świetną policjantką, ale jeszcze lepszą agentką. Jakiś rok po tych wszystkich wydarzeniach Gallup zaproponował jej pracę w agencji. Wierz mi, nie mogła doczekać się chwili, gdy opuści komisariat. Wciąż tam pracuje, Gallup chyba też. Od dawna się nie odzywała, ale kiedyś przysyłała mi pocztówki na Boże Narodzenie.

Nastka pokręciła głową, mrużąc oczy. Jej usta zaczęły układać się w serię pytań, ale nie wypowiedziała ich, jakby nie wiedziała, które zadać jako pierwsze.

Hopper zaśmiał się.

– Wiesz, w jakiś dziwny sposób mi ją przypominasz.

Nastka wypuściła powietrze... a potem uśmiechnęła się lekko.

– A skoro już mowa o agencji specjalnym Gallupie – podjął Hopper – to lepiej opowiem ci, co było dalej.

Propozycja

7 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Podróż Hoppera była krótka, ale nieszczególnie przyjemna. Wrzucili go na tył ciężarówki, związali mu ręce i naciągnęli na głowę gruby worek z jasnobezowej juty, który okropnie drapał. Hopper nie mógł się podeprzeć, bo ręce miał ciasno związane za plecami, a mężczyznom – jadącym z nim z tyłu ciężarówki – nie przeszkadzało, gdy turlał się i obijał po całym wnętrzu rozpędzonego pojazdu. Każdy zakręt rzucał Hopperem na ścianę, każde hamowanie ciskało nim w przód, każde dodanie gazu – na drzwi.

Była to stara, ale skuteczna technika. Hopper widywał ją czasem w wykonaniu policji – jak zmiękczyć więźnia, nawet nie dotykając go palcem. Ale wszystko to działo się... ile to, godzinę temu? Może dłużej. Teraz siedział na zimnej cementowej posadzce, jego świat wciąż ograniczał się do śmierdzącego stęchlizną worka. Zrezygnował już z krzyków – był sam i jedynie nadweręzał sobie gardło. Postanowił zatem oszczędzać siły. Siedział, rozmyślając nad sytuacją, od czasu do czasu przesuwiał nogi, by nie zdrętwiały. W końcu po niego przyjdą. Był cierpliwy.

Mógł zaczekać.

Gdy tylko to pomyślał, ktoś się zjawił. Do wtóru ciężkiego, metalicznego dźwięku drzwi się otworzyły i usłyszał kroki. Wyteżył słuch – był w jakimś pomieszczeniu przemysłowym, może magazynie, może nawet gdzieś na bocznicy...

Usłyszał szelest – ktoś zaczął coś mówić, lecz został uciszony, nim zdążył cokolwiek powiedzieć, do wtóru charakterystycznego dźwięku pięści uderzającej o ciało. Odpowiedział mu świst powietrza z ust osoby, na którą spadł cios. Chwilę później Hopper poczuł czyjeś ciało, zderzające się z jego własnym i wywracające go na bok na podłogę, gdy do środka wrzucono kolejnego więźnia.

Hopper przeturlał się na bok, słuchając trzasku ciężkich drzwi. Poczul, jak obok drugiego więźnia gramoli się i próbuje podnieść, kopiąc na oślep i trafiając w niego.

– Hej!

Tamten na moment przestał się poruszać, potem Hopper usłyszał, jak się obraca i wstaje. Hopper też usiadł prosto, krzywiąc się, gdy wyciągnął spod siebie skrępowane ręce.

I wtedy ktoś zerwał mu z głowy worek.

Hopper zamrugał i zakasłał, gdy jego twarz otoczyła chmura pyłu wysypującego się z juty.

– Czyli ciebie też dorwali, stary.

Nad nim stał Leroy Washington. Nie był związany i uśmiechał się, dolną wargę pokrywała świeża krew.

Hopper wbił w niego wzrok.

– Leroy? Co się tu, do diabła, dzieje? – Przekręcił się na pośladkach, demonstrując towarzyszewi skrępowane przeguby. – Rozwiąż mnie i wynośmy się stąd w diabły.

– Rany, stary, nie mam pojęcia, co się dzieje – odparł tamten i klękawszy, zabrał się za więzy Hoppera. – Nie wiem, gdzie

jesteśmy, nie wiem, kim oni są, wiem tylko, że czekałem na ciebie, tak jak mówiłem, i nawet cię zobaczyłem, stary. Patrzyłem, żeby mieć pewność, że wszędzie czysto, i myślałem, że tak, ale wtedy cię capnęli. Nic nie mogłem poradzić, stary. A potem...

Szarpnął i uwolnił ręce Hoppera. Kiedy się cofnął, w rękach trzymał kawałek konopnej liny. Hopper roztarł przeguby i wstał.

– A potem co?

Z twarzy Leroya zniknął uśmiech. Przez chwilę bawił się trzymanym w dłoniach sznurem, potem odrzucił go na bok.

– Chyba mnie śledzili, tak jak ciebie. Odwróciłem się i bam, byli tam. No i jesteśmy.

Hopper przytaknął. Istniała możliwość, że Leroy kłamie, że to jakiś podstęp, ale coś, jakieś przeczucie podpowiadało mu, że młody gangster mówi prawdę. Przypomniał sobie ich rozmowę telefoniczną. Strach w jego głosie, pierwotny, przeszywający.

Wciąż masując przeguby, Hopper zaczął okrążyć pomieszczenie w poszukiwaniu jakichś wskazówek co do tego, gdzie mogą przebywać. Nie wymagało to wielkiej dedukcji. Pomieszczenie było kwadratowe i dość małe, może sześć na sześć metrów. Ciężkie zielone drzwi wyposażono w przemysłowy zamek składający się z poziomych i pionowych prętów, które wyglądały na bardziej skomplikowane, niż pewnie musiały być. Z sufitu zwisały jarzeniówki.

Ale to worki okazały się kluczową wskazówką – długie, brezentowe, niemal jak boksyerskie, ustawione rzędami pod tylną ścianą. Większość była pełna i zawiązana u góry kawałkami żółtego sznura przewleczzonego przez duże metalowe kółka. Hopper odwrócił się i dostrzegł sterty pustych worków ułożone w metalowym stojaku przy drzwiach. Wszystkie wyglądały identycznie – były oznakowane tym samym logo z błękitnym orłem

i czerwonymi pasami, jakie widniało na boku ciężarówki, która przywiozła tu Hoppera.

W tym momencie zablokowany mechanizm zamykający drzwi ożył. Hopper i Leroy wycofali się, gdy do środka wcisnęło się dwóch rośłych mężczyzn w garniturach. Tym razem nie nosili masek narciarskich ani strojów treningowych, ale Hopperowi wydało się, że rozpoznaje ich ze starcia pod narożnym sklepikiem.

Stojąc tuż przy workach poczty, Hopper poczuł, jak Leroy się napina. Zerknął na bok. Młody mężczyzna dygotał ze zdenerwowania. Dwaj rośli mężczyźni odstąpili na bok i stali niewzruszeni, z rękami splecionymi z przodu. Po chwili do środka wszedł trzeci mężczyzna. Miał na sobie granatowy garnitur i przy podwładnych wydawał się niemal karłem.

Hopper poczuł, jak prawie wszystkie mięśnie ciała napinają mu się gwałtownie, gdy agent specjalny Gallup potraktował swoich więźniów przepisowym uśmiechem.

– Detektywie Hopper, panie Washington, tak się cieszę, że mogliście do nas dołączyć.

– Ty sukin...

Hopper nie dokończył, z zaciśniętymi pięściami rzucił się na agenta, bryzgając z ust drobinkami śliny w ataku wściekłej furii. Był to bezużyteczny gest, a i on doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale gdy zbir w garniturze chwycił go pod pachami i odciągnął od szefa, wciąż walczył z całych sił. Zupełnie jakby próbował mocować się z dębem. Zbir pchnął Hoppera z powrotem na worek z pocztą i stanął nad nim, gotów znów interweniować, gdyby więzień nie zrozumiał przesłania.

Hopper złapał oddech, otarł usta grzbietem dłoni. Wypróbował już siłę przeciwnika.

– Kiedy mówiłeś, że pracujesz dla agencji rządowej, nie

spodziewałem się, że to będzie poczta. Nic dziwnego, że nie mogłeś powiedzieć – wycedził.

Gallup uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale tylko przez moment, potem wzruszył ramionami.

– Agencja, dla której pracuję, nadal musi pozostać tajna – rzucił.
– Ale to doprawdy niesamowite, na jakie ustępstwa potrafi pójść poczta, jeśli tylko dysponuje się odpowiednimi uprawnieniami.

Hopper dźwignął się z worka i spojrzał z ukosa na Leroya.

– Czyli nie jest listonoszem.

Leroy wpatrywał się w niego przerażonymi oczami. Hopper zmarszczył brwi, lecz reakcja gangstera potwierdziła jego wcześniejsze domysły – tamten również jest więźniem, a jego historia jest prawdziwa. Fakt, iż zgarnięto go tuż po Hopperze, oznaczał, że federalni wiedzieli o ich spotkaniu – co sugerowało, że podsłuchiwali telefon Hoppera w komisariacie. Pewnie także telefon Delgado. Nic dziwnego, że tak długo zabierali akta sprawy.

Hopper odwrócił się do Gallupa.

– No dobra, słuchaj, agencie specjalny – zaczął, wypluwając jego tytuł niczym zniewagę. – Jestem detektywem nowojorskiego wydziału policji, Sześćdziesiątego Piątego Komisariatu, a ty tkwisz w bagnie po uszy. Właśnie porwałś funkcjonariusza policji i – wskazał kciukiem przez ramię na Leroya – świadka pod naszą ochroną. Nie wiem, jakie według ciebie masz uprawnienia, ale dam ci wybór. Albo wypuścisz nas natychmiast i zostawisz w spokoju, albo będziesz odpowiadać przed komisarzem policji i szefem detektywów. Wyrażam się jasno?

W magazynie pocztowym zapadła cisza. Dwaj agenci Gallupa wbijali wzrok w Hoppera, nie poruszali się jednak i nie odzywali. Hopper słyszał, jak Leroy wierci się obok worków z pocztą. Z przodu agent specjalny Gallup poprawiał mankiety, potem

strzepnął klapę marynarki i powiódł wzrokiem po suficie.

– Rany, jak tu gorąco! Pewnie poczta nie potrzebuje klimatyzacji.

Hopper zaryzykował krok w stronę Gallupa. Widząc to zbir, który wcześniej go przytrzymał, zrobił to samo, popychając mięsistą łapą w pierś. Hopper napał na rękę, ale siła tamtego była nieprawdopodobna.

– Czyżbym wyrażał się niejasno?

Gallup znów uśmiechnął się tym swoim wkurzającym uśmieszkiem. Świdrował wzrokiem Hoppera. Mijały sekundy. Hopper poczuł, jak fala gorąca oblewa mu twarz, czuł pot ściekający z głowy na kark.

I nagle Gallup potrząsnął głową, jakby właśnie ktoś potraktował go prądem.

– Och, wybaczyć, skończyłeś? Czy chcesz jeszcze chwilę odgrywać uczciwego nowojorskiego gliniarza?

Hopper poczuł, jak znów ogarnia go wściekłość. Nie mógł się powstrzymać i jeszcze mocniej napał na rękę przytrzymującą jego pierś. Tym razem może nawet drgnęła, choć odrobinę.

– Oczywiście, masz rację – podjął Gallup.

Hopper potrząsnął głową.

– Rację co do czego?

– Nie wiesz, jakie mam uprawnienia. – Gallup spojrzął na Hoppera i Leroya. – Świetnie – orzekł w końcu. – A teraz, panowie, skoro już to rozstrzygnęliśmy, proponuję, żebyśmy przeszli do interesów. Wygląda na to, detektywie, że doszło do pewnego nieporozumienia. Wyraźnie pamiętam, że złożyłem panu i pańskiemu kapitanowi krótką wizytę... kiedy to? W poniedziałek? – Zerknął na zbiorów w garniturach. – Doprawdy, to był długi tydzień. W każdym razie pamiętam, że wydałem konkretne instrukcje. Mieliście zakończyć pracę nad karcianymi zabójstwami,

a sprawa przeszła pod jurysdykcję władz federalnych i moją bezpośrednią kontrolę.

Hopper nawet nie drgnął pod niewzruszonym wzrokiem Gallupa. Agent podszedł krok bliżej i splótł ręce na piersi.

– Cóż – podjął – wiem, że nowojorscy gliniarze lubią myśleć, iż stanowią wyjątkową grupę, i może faktycznie tak jest. Trzeba wielkiej odwagi i determinacji, by krążyć po tych ulicach zła. Podziwiam te cechy. Odwagę i determinację. Są dobre. A potem w waszym sąsiedztwie pojawia się seryjny zabójca. Proszę poprawić mnie, jeśli się mylę, detektywie, ale to chyba najgorsza sprawa zabójstwa, jaką mieliście? To nie jest kłótnia o narkotyki, wojna między gangami, brutalna napaść czy napad z bronią w ręku. To szalenie na swobodzie. W dodatku przez cały ten czas staraliście się prowadzić dochodzenie i ukrywać je przed okiem opinii publicznej, ponieważ miasto dostało obsesji na punkcie tak zwanego Syna Sama. – Gallup zagwizdał. – Dwóch seryjnych zabójców jednocześnie. – Wzruszył ramionami. – Pochodzę z Vermontu. Więcej tam drzew niż ludzi i tak właśnie lubię.

– Brawo – mruknął Hopper.

– Myślę, że i panu by się spodobało. Moje rodzinne miasteczko przypomina nieco Hawkins. – Gallup postukał palcem we własne usta. – A, chwilę, może i nie, może nie spodobałoby się panu, bo trochę przypomina Hawkins w stanie Indiana. Bo małomiasteczkowe życie nie jest dla pana, zgadza się? Po Wietnamie brakowało panu czegoś, mam rację? Ile pan odsłużył? Dwie tury, tak? I to na ochotnika. Nie był pan w wieku poborowym, ale nadal chciał wspomóc sprawę. – Gallup pokręcił głową. – Zabawne, nie postrzegam pana jako wyjątkowego... patrioty? Szarlotka? Jasne! Gwiazdzisty sztandar? – Cmoknął. – Nie, nie widzę tego.

– Odrobiłeś zadanie domowe – rzekł cicho Hopper.

Gallup leciutko pokiwał głową.

– Lubię myśleć, że jestem dokładny. W każdym razie, choć uwielbiam pogawędki o dawnych czasach, proponuję, żebyśmy wrócili do chwili obecnej.

Hopper westchnął i cofnął się o krok od pomagiera Gallupa. Rosły agent opuścił rękę i z powrotem przybrał neutralną postawę. Hopper nie miał racji i dobrze o tym wiedział. Nadal pracował nad zabójstwami karcianymi – oboje pracowali, on i Delgado. To partnerka wykradła akta Hoelera i Hopper mógł odwiedzić jego drugie mieszkanie. Zaangażowanie Leroya mogło stanowić przypadek albo nie. W ostatecznym rozrachunku jednak zgodzili się z Delgado, że przekażą wszystko federalnym. Była to słuszna decyzja, ale być może podjęli ją za późno.

– No dobra, słuchaj – powiedział Hopper. – Owszem, myśleliśmy, że możemy pociągnąć dalej sprawę. To znaczy, sam mówiłeś, to nasza okolica, nasi ludzie, których próbujemy chronić. Przekroczyliśmy granicę: nie powinniśmy, ale zamierzaliśmy przekazać ci to wszystko. Zebraliśmy jeszcze trochę informacji, które, jak sądziliśmy, przydałyby się twojej grupie roboczej.

Hopper wstrzymał oddech. Gallup przyglądał mu się z doprowadzającym do szału błogim uśmiechem. Detektyw zaryzykował podejście bliżej – tym razem potężny agent nawet nie drgnął, jedynie odwrócił głowę, by móc obserwować detektywa.

– Ale słuchaj, możemy sobie pomóc. Zanim agent Hoeler dał się zabić, pracowaliśmy z partnerką nad tą sprawą przez kilka tygodni. Teraz wiem, że Hoeler był jednym z waszych i że to łączy się z grupą zwalczania gangów, a to wszystko zmienia, rozumiem to. Ale mogę pomóc. Może nie macie zbyt dobrego zdania o policji nowojorskiej, ale jestem naprawdę dobry w swoim fachu i moja partnerka również. Pozwólcie sobie pomóc.

Hopper oblizwał wargi. Spojrzał na Gallupa, unosząc brwi. Gdyby tylko zdołał dotrzeć do agenta, może, tylko może...

– Ty – rzekł Gallup.

Hopper zamrugał.

– Co?

– Czemu myślisz, że cię tu ściągnąłem? Owszem, pomożesz mi, detektywie Hopper. Pan Washington też. Obaj. – Gallup zawiesił głos. – I – podjął – nie macie w tej materii nic do powiedzenia.

Hopper zerknął na Leroya, który w oszołomieniu słuchał całej rozmowy, a potem znów obejrzał się na Gallupa.

– O czym ty mówisz?

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy agenta. Hopperowi wcale się to nie spodobało, a jego twarda męska mina spodobała mu się jeszcze mniej.

– Pozwól, że wyrażę się absolutnie jasno – oznajmił. – Pomożesz mi. Albo już nigdy nie ujrzysz Diane i Sary. Ani nikogo innego.

Stracone popołudnie

7 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Detektyw Delgado odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Nie udało jej się skontaktować z Hopperem i zdawała sobie sprawę, że próby znalezienia partnera zaczynają przeszkadzać jej w pracy. Bo choć bardzo chciała przegadać nowe pomysły z partnerem, sama też była detektywem i potrafiła poprowadzić dalej swoją część śledztwa bez pomocy.

Bez pomocy i bez wzbudzania podejrzeń kapitana LaVorgny. Na szczęście dla niej większość dnia spędził na jakimś spotkaniu szarż i Delgado mogła swobodnie sprawdzać nowe tropy, zajmując się też demonstracyjnie innymi przydziałowymi sprawami.

Nowe tropy jak Lisa Sargeson, która przypadkiem prowadziła warsztaty resocjalizacyjne pod jednym z adresów, wymienionych na liście nieżyjącego agenta specjalnego Jacoba Hoelera. Z pozoru nie było w tym nic podejrzanego. Delgado podwiozła Lisę i wraz z nią weszła do budynku starej świetlicy kościoła metodystów, przyglądając się zatłoczonej tablicy informacyjnej w holu. Grupa Lisy była jedną z wielu – wyglądało na to, że ze świetlicy cały czas ktoś korzystał; mnóstwo różnych organizacji, a także Kościół.

Potem Delgado obserwowała przez minutę Lisę przez okienko w drzwiach sali spotkań. Lisa stanęła na przedzie, przed nią, na twardych krzesłach, zasiadło około tuzina mężczyzn. Wyglądało to jak zajęcia szkolne i Delgado podejrzewała, że tym właśnie było. W drodze powrotnej na komisariat pozwoliła sobie odpłynąć, by jej myśli wędrowały bez kontroli. Stanowiło to część procesu myślowego, gdy umysł przesiewał różne teorie i pomysły – te przyziemne i te szalone – podświadomie ciężko pracując nad problemem. Delgado odkryła, że jeśli zanadto skupiła się na czymś, konkretna myśl czy trop w dochodzeniu zaczynał się rozrastać i dominować, przytłaczając inne, tworząc założenia, do których mózg próbował dopasować teorie i dowody, niezależnie od okoliczności.

To dla detektywa niebezpieczny nawyk. Zamiast tego kluczem – przynajmniej dla niej – pozostawało odrzucenie wszystkiego, choćby na jakiś czas. Jeśli jej się poszczęści, czasami z chaosu wyłoni się coś bardziej racjonalnego, podczas gdy ona będzie pracować nad innymi śledztwami.

Już w komisariacie odkryła, że jej myśli wciąż krążą wokół Lisy Sargeson. Coś w tym było, bez dwóch zdań. Coś.

Ale co jej to dało? „Coś”? No super. A może tylko jeden wielki zbieg okoliczności? Przez resztę popołudnia wbijała wzrok w spis z mieszkania Hoelera i zastanawiała się, gdzie, do diabła, podziewa się Hopper. I wtedy wrócił kapitan LaVorgna. Drzwi na końcu pokoju huknęły o framugę, gdy wpadł przez nie do środka i do swojego biura, zatraskując za sobą kolejne. Przez okna Delgado widziała, jak kapitan zdejmuje marynarkę i zrywa krawat. Stał na środku gabinetu, pokręcił głową i wyjrzał w głąb pokoju detektywów, grzebiąc w kieszeniach, najpewniej w poszukiwaniu papierosa.

Delgado zamarła. Czowała się – co śmieszne, biorąc pod uwagę, że LaVorgna w żaden sposób nie mógł sprawdzić, czym się zajmuje

przy biurku – jakby przyłapał ją na gorącym uczynku, na pracy nad sprawą, którą nie powinna się zajmować. Potem jednak kapitan zmarszczył brwi i zaciągnął żaluzje.

O rany.

Delgado wsunęła spis Hoelera pod teczkę i skupiła się na innej sprawie, ale przez cały czas jedno nazwisko odbijało się echem w jej głowie.

Lisa Sargeson.

Operacja

7 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper zatrzymał się przy końcu stołu i zawrócił, po raz piąty pokonując całą szerokość sali spotkań ukrytej gdzieś głęboko w labiryncie biur urzędu poczty. Przy stole siedzieli agent specjalny Gallup i Leroy Washington. Przed nimi na blacie stał do połowy opróżniony srebrny termos z kawą, a obok pusty, który ich trójka zdążyła już opróżnić. Hopper miał wrażenie, że od tego czasu minęło kilka godzin.

Gallup przyglądał mu się uważnie.

– Skończyłeś już, detektywie?

Hopper zatrzymał się i przeczesał palcami włosy. Odwrócił się do agenta.

– Czy skończyłem? Pytasz mnie, czy skończyłem?

– Owszem, bo im szybciej zrozumiesz powagę sytuacji, w jaką się wpakowałeś, tym prędzej będziemy mogli przejść do działania.

Hopper pokręcił głową.

– To obłąd.

– Wcale nie, i dobrze o tym wiesz. Jeśli chcesz, powtórzę

wszystko jeszcze raz, i może tym razem coś sobie zapiszesz, bo najwyraźniej masz problem ze zrozumieniem tego, co mogę zrobić tobie, twoim przyjaciołom i twojej rodzinie, jeśli odmówisz współpracy.

– To wariactwo. – Hopper znów zaczął krążyć.

– Jeśli się nie zgodzisz, zniszczę wasze życie, i to nie będzie moja wina, tylko twoja, bo wybór należy wyłącznie do ciebie.

Hopper zatrzymał się na środku pokoju. Zamknął oczy, pod powiekami tańczyły mu czerwone cienie.

– Będziesz działał dla mnie, pod przykrywką – podjął Gallup gdzieś z odległości miliona mil. – Albo znikniesz. Diane straci pracę. Rodziną zajmie się urząd skarbowy. Straci mieszkanie. To samo dotyczy detektyw Delgado. A to dopiero początek, wierz mi.

– Nie możesz tego zrobić. – Hopper otworzył oczy. – Nie możesz zrobić niczego takiego. Nikt nie może.

Gallup zerknął na Leroya.

– Czyż nie wyrażam się jasno, Leroy? – Wskazał Hoppera. – A może twój przyjaciel detektyw przestał rozumieć po angielsku? Albo moi agenci za mocno uderzyli go w głowę? – Odwrócił się do Hoppera. – Spróbuję jeszcze raz. Zgnijesz w dziurze, do której cię wsadzę, a wszyscy, których znasz, pożałują, że nie ma ich tam z tobą. Czy to zrozumiałeś, detektywie?

Hopper oparł dłonie na stole i pochylił się w stronę agenta.

– Nie możesz zrobić czegoś takiego!

Gallup pokręcił głową.

– Mam uprawnienia pozwalające mi robić dokładnie to, co zechcę. Wybór należy wyłącznie do ciebie.

Spojrzeli sobie w oczy. Hopper wytrzymał kilka sekund, potem westchnął i znów zaczął krążyć po pokoju. Leroy podążał za nim wzrokiem, patrząc, jak tamten maszeruje z jednego końca pokoju

na drugi i z powrotem.

– Hopper, daj spokój, stary. Jeśli dzięki temu będę mógł wyciągnąć siostrę i powstrzymać Saint Johna, to może ten plan ma sens. Usiądź i go posłuchaj.

Hopper westchnął. Znów zamknął oczy, próbując opanować furię. Gdy je otworzył, wrócił na miejsce, usiadł ciężko i popatrzył na Gallupa.

– Co, jeśli się zgodzę?

Gallup splótł palce na blacie.

– Będiesz współpracował?

– Nie, zadałem pytanie. A Saint John? Jak mamy go powstrzymać? Nawet nie wiemy, co planuje, prawda? To znaczy oprócz przywołania diabła.

– No cóż – odrzekł Gallup. – Zakładamy, że oddawanie czci diabłu, o którym mówił pan Washington, to tak naprawdę przykrywka dla czegoś bardziej realnego i poważnego. I mam nadzieję, że zdołasz dowiedzieć się czego. Dlatego właśnie proponuję ci udział w tej akcji.

Hopper odchylił się na krześle i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Gallup rozłożył ręce i skupił uwagę na własnych mankietach, poprawiając je, by były idealnie proste.

– Nasza grupa od jakiegoś czasu obserwuje Żmije, detektywie. To nowy gang. Oczywiście w Nowym Jorku roi się od gangów, ale informatorzy sugerują, że Żmije są czymś wyjątkowym. Uważamy, że ich przywódca, człowiek przedstawiający się jako Saint John, gromadzi nie tylko nowych rekrutów, ale także sprzęt wojskowy. Jak się zdaje, rekruci pochodzą z innych gangów. W jakiś sposób Saint Johnowi udało się coś, co osiągnęło niewielu przywódców przed nim: zjednoczył różne frakcje i gangi, organizując je razem

pod własnym parasolem. Łączenie gangów oznacza też łączenie zasobów i wiemy, że zdołał zgromadzić sporo pieniędzy i broni. Ale wygląda na to, że rekrutuje też z innych źródeł i tworzy coś w rodzaju wewnętrznego kręgu, wyszukując do niego ludzi o niezbędnym doświadczeniu. Nie wiemy jeszcze, jakie to doświadczenie, nie wiemy też, czego od nich chce, ale sądzimy, że planuje coś wielkiego, coś, co poważnie i znacząco zagrozi temu miastu i jego mieszkańcom.

Leroy pokiwał głową, huśtając się na krześle.

– Coś wielkiego, stary. Mówiłem ci wtedy i mówię teraz, zbliża się obłęd. Dzień Węża, wtedy to nastąpi.

Hopper zerknął na gangstera, po czym przeniósł wzrok na Gallupa.

– Tyle że nie wiemy, co to jest, a cała ta gadanina o oddawaniu czci diabłu i wezwaniu szatana... Myślisz, że to tylko przykrywka?

Gallup ściągnął wargi.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że nowojorskie gangi potrafią być... barwne, tak to ujmijmy. Każdy z nich tworzy sobie własną niszę i tożsamość. Saint John, kimkolwiek jest, uprawia coś w rodzaju kultu jednostki. Podejrzewamy, że tak właśnie zdołał przekonać inne gangi, by do niego dołączyły. Charyzmatyczny przywódca mówiący o końcu świata i o tym, że jego gang nie tylko przywoła diabła, ale też będzie mu służyć w nadciągającej apokalipsie, podkreślający znaczenie swoich słów serią rytualnych zabójstw? To czyste fantazje, ale w takim mieście mogą przyciągać ludzi, pewnie łatwiej niż sądzimy, nieważne czy faktycznie w nie wierzą, czy nie.

Hopper potarł rękami twarz i położył je na blat.

– Wygląda na to, że macie już sporo informacji.

– Pan Washington bardzo nam pomógł – odparł Gallup. – No i, jak słusznie podejrzewałeś, mamy też innych informatorów, którzy

przekazują nam to i owo. A jednym z nich był agent Hoeler.

– Informator, którego złapali i zabili – dokończył Hopper.

Gallup przytaknął, ale nic nie powiedział.

Hopper znów pokręcił głową.

– To po co właściwie jestem wam potrzebny? Czemu nie wsadzicie mnie do paki za przeszkadzanie w śledztwie? Macie już dane, macie informatorów, czemu nie zaatakujecie i nie wyeliminujecie tego Saint Johna i jego gangu?

Ale Gallup już kręcił przecząco głową.

– Nie możemy ryzykować pochopnego działania. Jeśli zaczniemy, musimy mieć pewność, że możemy to skończyć, musimy wiedzieć, co planuje Saint John. Potrzebujemy szczegółów, planów, dat, godzin, nazwisk. Wszystkiego. Jeśli wejdziemy teraz, może zaszkodzimy Zmijom, ale możemy też przedwcześnie zmusić Saint Johna do działania albo do realizacji planu awaryjnego. To zbyt wielkie ryzyko. Potrzebujemy czegoś konkretnego, co możemy wykorzystać, i to najszybciej jak się da. Dlatego właśnie potrzebujemy ciebie.

– Ale czemu mnie?

– Bo jesteś nie tylko detektywem z wydziału zabójstw, ale także odznaczonym kombatanem. Masz umiejętności i doświadczenie. Potrafisz sobie poradzić w nawet najbardziej ekstremalnych warunkach, świadczą o tym twoje akta. I...

Gallup uśmiechnął się. Hopperowi wyjątkowo nie spodobał się ten uśmiech.

– I?

– I – podjął Gallup – chcesz pomóc.

Hopper spojrzał na niego. Tkwił w bagnie głęboko – znacznie głębiej niż chciał, głębiej niż kiedykolwiek.

Ale.

Gallup miał rację. Faktycznie chciał pomóc. Chciał powstrzymać karcianego zabójcę, chciał go schwytać i postawić przed obliczem sprawiedliwości. Co więcej, chciał chronić swoją okolicę. Swoje miasto. Swoją rodzinę.

Agent specjalny Gallup czytał w nim jak w książce i Hopper nienawidził go za to. Ale wiedział też, że nie zdoła się oprzeć. Nie miał pojęcia, czy groźby Gallupa są szczerze, lecz gość najwyraźniej dysponował tajemniczymi i wielkimi uprawnieniami. Hopper uznał, że woli nie ryzykować. Nie podobało mu się to i nie lubił ludzi takich jak agent specjalny Gallup.

Ale nawet bez gróźb... musiał to zrobić.

Musiał.

Popatrzył na siedzącego obok Leroya. Młody mężczyzna bębnił palcami o stół, jego kolana dygotały.

– Muszę wyciągnąć moją siostrę, stary. Saint John to zły człowiek. Muszę ją wyciągnąć. I muszę wyciągnąć siebie.

Hopper przyglądał mu się bardzo długo, w końcu odwrócił głowę i skupił wzrok na Gallupie. Agent specjalny znów się uśmiechnął i po raz pierwszy uśmiech ów wydał się szczerzy.

– Wszystkim nam chodzi o to samo, detektywie Hopper.

Hopper milczał.

– Oto zatem twoje opcje – oznajmił Gallup. – Możesz odmówić i jasne, owszem, znikniesz, a życie twojej rodziny zamieni się w piekło. – Pomachał rękami, jakby nie miało to żadnego znaczenia. Ot, drobna niedogodność, odprysk wielkiego planu. – I może zdołamy to załatwić bez ciebie i wszystko się ułoży. – Pochylił się nad stołem. – A może nie. Może Saint John i Żmije zwyciężą. Może Belzebub faktycznie wzniesie sobie tron na szczycie Empire State Building i będzie władał płonąącym światem. Albo może wydarzy się

coś znacznie bardziej rzeczywistego i jeszcze gorszego.

Hopper popatrzył na Gallupa. Na Leroya. Nozdrza gangstera rozszerzały się, oddychał powoli, głęboko.

– Zatem – podjął Gallup – tak naprawdę pytanie brzmi, czy pomożesz mi ocalić to miasto, czy nie.

Hopper trącił językiem wewnętrzną stronę policzka. Czuł, jak serce wali mu w piersi.

W końcu skinął głową. Tylko raz.

– Doskonale – rzucił Gallup. – Pierwszym krokiem, detektywie, jest zorganizować twoje zniknięcie.

Zniknięcie detektywa Jamesa Hoppera

8 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper siedział na rogu, w służbowym samochodzie z opuszczonymi szybami, napawając się mizernym wietrzykiem. Nie musiał zachowywać się dyskretnie czy ukrywać za deską rozdzielczą, gdy obserwował akurat ten rząd kamienic.

Jego mieszkanie mieściło się w środkowej z nich. Z samochodu miał świetny widok na ganek i wszystkich, którzy wchodzili i wychodzili z budynku.

Czyli, w tej chwili, na nikogo. Dom podzielono na trzy mieszkania: pani Schaefer pod numerem pierwszym na parterze, była w pracy; Van Sabbenowie, numer trzy, wyjechali na parę dni. Również mieszkanie numer dwa, Hopperów, było puste.

Zerknął na zegarek. Minęła dziewiąta. Diane i Sara o tej porze były w szkole. Spotkanie – jeśli można je tak nazwać – z Gallupem i Leroyem trwało całą noc. Agent przedstawiał szczegóły planu i z niewymuszonym irytującym spokojem odpowiadał na grad pytań Hoppera. Jak się okazało, Gallup nawet go krył: załatwił, by

ktoś zadzwonił do Diane twierdząc, że jest z komisariatu, i informując, że mąż zajmuje się czymś ważnym i nie wróci do domu. Hopperowi rzadko zdarzało się nocować poza domem, ale czasem praca tego wymagała. Nie zmieniało to faktu, że nie cierpiał Gallupa jeszcze bardziej za manipulowanie jego rodziną.

Odetchnął głęboko. Sama myśl o nich uruchamiała emocje.

Wiedział, że postępuje słusznie – poza groźbami, tajemnicami i brutalami w czerni, agent specjalny Gallup także próbował robić swoje, używając do tego wszelkich dostępnych środków. A teraz nadarzyła się okazja, by za jednym zamachem zniszczyć gang Żmij i powstrzymać to, co planował ich przywódca, Saint John.

Rozwiązać morderstwa karciane. Zapewnić sprawiedliwość miastu.

A także Samowi Barrettowi. Jonathanowi Schnetzerowi. Jacobowi Hoelerowi.

Nagle jednak Hopperowi wydało się, że to za mało. I oznacza zranienie jego żony i dziecka. Bo agent specjalny Gallup dał mu wybór, w którym oba wyjścia oznaczały ból, strach, niepewność – jedno trwałe, drugie, dzięki Bogu, bardzo krótkie.

Ponieważ detektyw James Hopper miał zniknąć. Sam nie wiedział, na jak długo. Zostawić swoje codzienne życie i rzucić się prosto w wir niebezpieczeństwa. Powrót do żony i dziecka to tylko jeden z możliwych wyników.

Rąbnął w kierownicę kantem dłoni, upominając się w duchu, by dać sobie spokój z rozmyślaniami. Może to zrobić. Da sobie radę. Dlatego właśnie Gallup chciał go mieć po swej stronie.

Nie po raz pierwszy Hopper zastanowił się, do jak obszernej części jego akt wojskowych zdołał dotrzeć agent. Część z nich utajniono, o niektórych nie wiedziała nawet Diane. Fakt, iż Gallup liczył na zdolności i doświadczenia Hoppera, mocno go

zaniepokoił.

Czyżby tamten wiedział, co robił w Wietnamie?

Hopper oczyścił umysł. Musiał się skupić.

Nic z tego. Znow powrócił myślami do rodziny. Część jego umysłu zaczęła usprawiedliwiać własne postęпки. Owszem, Diane będzie się martwić i denerwować, bez wątpienia, ale kiedy to się skończy, zrozumie. Sara wyczuje zdenerwowanie matki. Sama także zacznie się niepokoić, szczęśliwie jednak jest za mała, żeby to pojąć, i istnieje spora szansa, że w ogóle nie zapamięta tego, co się wydarzyło. To będzie rodzinna opowieść, świetna historia powtarzana przez następne lata o tym, jak jej tato, James Hopper, detektyw z wydziału zabójstw w Nowym Jorku, zniknął – tylko po to, by wrócić kilka dni później po załatwieniu jednego z najniebezpieczniejszych nowojorskich gangów, ocaleniu miasta przed katastrofą i przy okazji rozwiązaniu zagadki seryjnego mordercy.

Tak, to doprawdy niesamowita historia.

Jeśli plan zadziała. Plan, który wyglądał następująco:

Leroy Washington nadal pozostawał członkiem Źmij, a choć uprzedzał, że nie należy do wewnętrznego kręgu zaufanych Saint Johna, wciąż plasował się w hierarchii całkiem wysoko jako rekruter, któremu tajemniczy szef kazał uważnie i starannie wybierać potencjalnych kandydatów.

Takich jak Hopper. Czegokolwiek szukał Saint John, Hopper miał tego aż nadto – przynajmniej według Leroya. Hopper był odznaczonym kombatantem. Już w przeszłości dowiódł, że niestraszna mu przemoc. Może to dziwnie brzmi, ale wiedział, że taka jest prawda. Fakt, że był także gliną, stanowił ciekawostkę, która, jak sądził Leroy, spodoba się Saint Johnowi.

Ponieważ Hopper stawał się właśnie byłym gliną. I nie chodziło

o to, by po prostu zniknął.

Miał uciec. Jeszcze w magazynie pocztowym Hopper oddał swoją służbową broń, Smith & Wessona Model 10, stary, lecz porządny rewolwer. Zabrał go jeden z ludzi Gallupa – wysoki agent, tym razem w białych rękawiczkach jak u kuratora muzeum, pospiesznie wyniósł broń z pokoju. Rewolwer miał się stać gwiazdą jego zniknięcia, bronią podrzuconą na zainscenizowane miejsce zbrodni, rozstrzygającą o winie Hoppera. Wówczas ten zniknie, a jego nazwisko wyląduje na tablicy komisariatu, w którym pracował, obok nowego numeru sprawy.

Oficjalnie poszukiwany, uda się z Leroyem do Żmij – otoczony niesławą, skorumpowany brutalny gliniarz, proponujący Saint Johnowi swe usługi. Po zrekrutowaniu jego zadanie wyglądało prosto: dowiedzieć się, na czym polega wielki plan i jak go powstrzymać. Wewnątrz gangu Hopper i Leroy pozostaną zdani wyłącznie na siebie. Jeśli będą musieli się ewakuować, mogą poinformować oddział Gallupa, ale to rozwali całą operację w drzazgi, zmuszając federalnych do działania. Gallup raz po raz wbijał im do głowy, że w takim przypadku lepiej, by zebrali dość informacji, nim zdecydują się na ucieczkę.

Po tym, jak Gallup ich wypuścił, Leroy i Hopper rozdzielili się. Leroy miał nawiązać kontakt ze Żmijami i zarządzić przesłuchanie nowego kandydata. Hopper zajął się sprawami osobistymi. Gallup odradzał mu to, twierdząc, że musi gładko odciąć się od pracy, przyjaciół i rodziny, ale nie nalegał. Hopper opowiedział mu parę rzeczy na temat zaufania i agent specjalny ustąpił.

Wieczorem mieli spotkać się z Leroyem. Wówczas rozpocznie się cała akcja.

Tymczasem Hopper musiał załatwić kilka spraw. Wsiadł ze służbowego samochodu i ruszył w stronę budynku. Wspiął się szybko na schodki i bez wahania wszedł do kamienicy. Nagle

odniósł wrażenie, jakby cała okolica obserwowała jego każdy ruch, mimo że ulica wciąż była pusta.

W ich mieszkaniu poszedł wprost do sypialni głównej. Najpierw musi wziąć prysznic i się zdrzemnąć, potem się przebierze. Może to niemądre, ale czuł, że w kraciastej koszuli i spodniach za dużo rzuca się w oczy. Jeśli miał stać się złym gliną, chciał odpowiednio wyglądać – nawet nie dla gangu, lecz dla samego siebie. Hopper doskonale zdawał sobie sprawę, że musi odegrać rolę – i to dobrze – potrzebował więc każdej dostępnej pomocy.

Położył się na kapie, nastawił budzik i odpłynął.

4 czerwca 1972

Brooklyn, Nowy Jork

– Jabłkowa zieleni?

Hopper cofnął się i przekrzywiając w dłoni wałek z farbą tak, żeby nie kapła, zadął głowę, przyglądając się efektom ostatniej godziny pracy nad ścianą w sypialni. Dobrze się spisał i sam o tym wiedział – malowanie ściany to nie najtrudniejsza rzecz, jakiej musiał stawić czoło w swoim życiu. Ale chciał zrobić wszystko jak trzeba, bo, co kluczowe, wraz z Diane zgodzili się, że sami wyremontują swoje mieszkanie zamiast wynajmować zawodowców. Przeprowadzka z Hawkins teoretycznie wyglądała łatwo, ale w praktyce okazała się znacznie trudniejsza. Najbardziej ucierpiało ich konto bankowe. Hopper zaledwie od miesiąca pracował w policji – zaczął dosłownie dzień po ich przybyciu, na

początku maja – i nie mogli się doczekać pierwszej wypłaty.

Teraz jednak, gdy przyglądał się schnącej na ścianie farbie, zastanawiał się, czy nie powinni wydać więcej na lepszy kolor.

– Hej, jak ci idzie?

Hopper obejrzał się przez ramię na Diane, która podkradła się cichutko, dźwigając na ramieniu pogrążoną w głębokim śnie czternastomiesięczną córeczkę. Ostrożnie wyminęła stertę zwiniętych płacht przy drzwiach i dołączyła do męża pośrodku pomieszczenia. Hopper cmoknął delikatnie Sarę w policzek, a żonę pocałował mocniej w usta. Gestem wałka wskazał ścianę.

– Na puszcze było napisane „Jabłkowa zieleń”.

Diane przytaknęła. Hopper zerknął na nią z ukosa.

– Czy mina ta ma wyrażać cichy podziw dla mojego malarskiego talentu? – spytał. – Czy może raczej zastanawiasz się, jakie jabłka mają taki upiorny kolor?

Diane roześmiała się i przysunęła bliżej męża, gdy jednak spróbowała objąć go w pasie, uniósł wałek i zamarła.

– Zaczekaj – polecił. Pochylił się i położył wałek na tacce z farbą przy ścianie, po czym obrócił się, by powitać żonę i dziecko. Tym razem to Diane go powstrzymała. Zastygł w miejscu.

– Och, Jim!

– Co?

Diane pokręciła ręką i wskazała palcem. Spojrzał w dół na swoją pierś, na żółtą koszulkę Jima Croce. Kupił ją po koncercie w zeszłym roku. Uśmiechniętą twarz piosenkarza folkowego pokrywały teraz rozbryzgi zielonej farby.

– Niech to szlag!

Diane cofnęła rękę, zasłaniając usta. Sara na jej ramieniu zaczęła się wiercić i żona instynktownie zakolysała ją lekko z boku na bok,

by nie zbudzić małej.

Hopper przyjrzał jej się, mrużąc oczy.

– Czy ty się śmiejesz?

Diane opuściła dłoń, odsłaniając usta wygięte w szerokim uśmiechu.

– Och, Jim, uwielbiałeś tę koszulkę.

Westchnął.

– Faktycznie. Uwielbiałem.

Patrzył, jak ramiona żony trzęsą się, gdy próbowała zapanować nad rozbawieniem.

– Cieszę się, że choć jedno z nas to śmiesz.

Ale nic nie mógł poradzić. Chwilę później w piersi wezbrał mu bulgoczący śmiech. Podszedł spokojnie do Diane w chwili, gdy zbudzona hałasem Sara poruszyła się na ramieniu matki.

Przysunął się do Diane; razem zdołali zetknąć się bokami, tuląc Sarę pomiędzy sobą. Gdy córka ziewnęła i rozejrzała się, rodzice raz jeszcze obejrzelili efekty pracy Hoppera.

– No wiesz, mówiłeś, że pragniesz zmiany – odezwała się Diane.

– Nowe miasto, nowy początek. Tak właśnie mówiłeś. Prawda?

– No jasne – odrzekł Hopper. – Nowe miasto, nowy początek, nowa lekcja, by nigdy nie kupować farby od... Kto właściwie wyprodukował tę farbę?

Wyciągnął szyję niczym żuraw, próbując przyjrzeć się porzuconemu kubełkowi.

Diane uśmiechnęła się i wyciągnęła szyję, raz jeszcze całując męża.

– Ja uważam, że wygląda super. Chcieliśmy zieleni i mamy zieleni.

Hopper wyszczerzył zęby.

– To na pewno.

Spojrzał na Sarę, która ziewnęła, powracając do świata żywych.

– Hej, skarbie, jak myślisz? Podoba ci się kolor? Co? Myślisz, że tatuś świetnie się spisał?

Zdjął córkę z ramienia Diane i posadziwszy na biodrze, przysunął bliżej ściany. Delikatnie ściskając dłoń Sary, podrzucił ją lekko i wskazał głową.

– Popatrz, tak najwyraźniej wyglądają nowojorskie jabłka.

Stojąca pośrodku pokoju Diane roześmiała się. Hopper okręcił się, żeby na nią spojrzeć, a potem poprawił Sarę w objęciach i poczuł drobniutkie dłonie na twarzy. Małe, mokre dłonie.

– Uch-och – mruknął, patrząc w dół. Sara znalazła plamy farby na jego koszulce i teraz, zaaferowana, przenosiła je z piersi ojca na jego twarz – a także własną.

– Jabłka! – rzuciła i zachichotała.

Diane, kręcąc głową, dołączyła do nich i ostrożnie wydobyła córkę z objęć męża.

– No dobrze, zostawmy tatusia w spokoju. Ma jeszcze wiele do zrobienia. – Zerknęła na niego. – A wiemy, że nie należy przeszkadzać mistrzowi w pracy.

Hopper roześmiał się i odprawił je gestem. Gdy Diane i Sara zniknęły za drzwiami sypialni, znów zerknął na pierś, pociągnął brzeg koszulki, sprawdzając, czy da się ją jakoś uratować. Nie wydawało się to prawdopodobne.

Z westchnieniem sięgnął po wałek i wrócił do malowania.

Kawa i kontemplacja

8 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Parę godzin później Hoppera obudził dźwięk budzika. Usiadł, czując się gorzej niż wcześniej, wstrząśnięty wyrazistością ni to snu, ni sennego wspomnienia, z którego wyrwał go alarm. Remont w mieszkaniu... Ile lat temu? Nie pamiętał. Ściany sypialni wciąż pozostały zielone, na szczęście kolor zbladł nieco po wyschnięciu farby.

Wyłączył budzik i odkręcił prysznic.

Pół godziny później przyjrzał się sobie w lustrze. Zniknęły wygodne spodnie, koszula i krawat. Miał na sobie stare dzinsy, które zachował do pracy w nieistniejącym ogródku, oraz zaplamioną farbą koszulkę z Jimem Croce, wydobytą z osobliwym poczuciem *déjà vu* z głębi szuflady. Na to narzucił krótką skórzaną kurtkę. Zwykle pantofle zastąpił starymi butami wojskowymi, kolejną pamiątką zachowaną na wypadek, gdyby kiedyś materializował się im ogródek. Zastanawiał się też, czy nie wyciągnąć zniszczonej wojskowej kurtki khaki, ale nie chciał przesadzić. Następnie, przez minutę czy dwie, eksperymentował z tajemniczymi miksturami do włosów Diane. W końcu znalazł coś

dość tłustego, by przygładzić włosy i zaczesać do tyłu.

Względnie zadowolony ze swego przebrania, wrócił do szafy i zanurkował głęboko, szukając ukrytego panelu w tylnej ścianie. Z niewielkiego schowka wyciągnął ciężki przedmiot, owinięty w folię. Trzymając go w dłoni, rozwinął plastik, odsłaniając półautomatyczny pistolet, Colta M1911, który służył mu wiernie podczas obu tur w Wietnamie. Sprawdził magazynek, uniósł broń, przyglądając się własnemu odbiciu w lustrze. Zadowolony, wepchnął pistolet za pasek z tyłu spodni i naciągnął na niego ściągacz kurtki, tak by ukryła fakt, że ma broń; udało się to znakomicie.

Jak dotąd świetnie.

Starannie zamknął panel, wsunął na miejsce stojak z butami i ostrożnie odwiesił stare spodnie i koszule, układając resztę ubrań w szafie tak, żeby wszystko trafiło na miejsce. Szybko okrążył sypialnię. Wyglądała jak wtedy, gdy do niej wszedł.

Łącznie z oprawionym w ramkę zdjęciem na toalecie Diane. Hopper przystanął, sięgnął po nie, powstrzymał się, w końcu poddał i podniósł fotkę. Ramka składała się z dwóch części z zawiasem pośrodku. Z jednej strony widniało zdjęcie Hoppera i Diane. On miał na sobie ciemny garnitur, ona szafirową sukienkę. Siedzieli na gładkich w ogrodzie botanicznym parę godzin po ślubie.

Przez chwilę przyglądał się zdjęciu, po czym odwrócił ramkę. Ta fotografia przedstawiała trzy osoby, rodzinę – ojca, matkę, córkę. Spoglądały na niego trzy pary błyszczących oczu. Cała trójka siedziała tak cholernie prosto, iż Hopper niemal znów poczuł ból pleców, pamiątkę godziny spędzonej w studiu fotograficznym, gdzie zamówili portret. Zaśmiał się i odstawił ramkę na toaletkę. Poprawił, by stała idealnie tak jak przedtem, cofnął się, nie odrywając od niej wzroku, póki kolanem nie uderzył w łóżko.

A potem odwrócił się, przeczesując dłonią natłuszczone włosy. Szybko wyszedł z sypialni. Zostało mu do załatwienia jeszcze jedno.

W kuchni chwycił słuchawkę telefonu przy lodówce i wykręcił numer. Osoba po drugiej stronie odebrała niemal natychmiast.

– Delgado, wydział zabójstw.

– To ja – rzekł cicho Hopper, unosząc rękę do telefonu, jakby partnerka mogła zobaczyć ten gest. – Nic nie mów, tylko słuchaj. Dobrze?

Słyszał jej oddech w słuchawce. Czekał.

– Dobrze?

– Właśnie kazałeś mi nic nie mówić – odparła Delgado zniżonym tonem.

Hopper nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Dobra, słuchaj, musimy się spotkać. – Zerknął na zegarek. – Za godzinę, bar U Toma, na rogu Washington i Sterling...

– Tak, wiem – rzuciła Delgado. – To nie jest zbyt blisko, Hop.

– W takim razie lepiej już ruszaj – odpowiedział i się rozłączył.

Wiedział, że dzwoniąc do niej ryzykuje, ale nie miał wyboru.

Bo na czas swojej ucieczki miał dla niej zadanie.

Bar U Toma od lat trzydziestych stanowił nieodłączny element Prospects Heights i, pomyślał Hopper, najpewniej w tym czasie niewiele się zmienił. Na zewnątrz zajmował parter przysadzystego, kwadratowego budynku, pozbawionego jakichkolwiek cech szczególnych. Wewnątrz śmierdziało starym tłuszczem i papierosami, ale tutejsza kawa była znakomita, a kubki, w których ją podawano, wydawały się dostatecznie czyste. Hopper tulił swój w dłoniach, siedząc w najdalszym kącie baru. Wyglądał na ulicę przez brudne okno, a rozmowy klientów za ladą i muzyka z radia

mieszały się, tworząc przyjemną ścianę dźwięków.

Delgado zjawiała się niecałe dwadzieścia minut po Hopperze – akurat w chwili, gdy w barze ryknęły trąbki *Gonna Fly Now* Billa Contiego. Kiedy weszła, wyciągnęła szyję, rozglądając się po łóżach i stolikach. Hopper uniósł głowę i pokiwał jej. Podeszła prosto do niego, wślizgując się za stół i rzucając obok torebkę.

– Nie cierpiałam tego filmu. – Zmarszczyła brwi, zerkając w stronę źródła drażniącej ją muzyki, dała znak kelnerce przy ladzie i oparła się o stolik. – Co się, do diabła, dzieje, Hop? – Nagle wyprostowała się i uśmiechnęła, bo zjawiała się kelnerka w uniformie równie żółtym jak jej włosy.

– Mam przynieść jadłospis? – spytała, po czym wypluła gumę, otwierając szczękę tak szeroko, iż Hopper oprócz zapachu kawy poczuł też ostrą miętę.

– Tylko kawę – odparła Delgado.

Kelnerka przytaknęła i odeszła w stronę lady.

Delgado posłała Hopperowi jedno z tych spojrzeń, ale Hopper jedynie uniósł lekko palec, podążając wzrokiem za kelnerką, która dźwigała dzbanek kawy i świeży kubek. Postawiła je przed Delgado i napełniła kubek kawą, a potem dołała Hopperowi.

– Dzięki – rzekł z uśmiechem.

Kelnerka nie odpowiedziała tym samym, ale odeszła szybko.

– No dobra – powiedziała Delgado – na czym to skończyłam? A tak, co do diabła, Hop? Wyjaśnisz mi, skąd te wszystkie podchody? I gdzie się podziewałeś od wczoraj? Parę razy zwiódłam kapitana, ale twoja nieobecność nie poprawia mu humoru.

– Wyjaśnię wszystko – zdecydował Hopper, stawiając kubek na blacie przed sobą. Oplótł go mocniej palcami; w mieście nadal panował upał, ale z jakiegoś powodu zrobiło mu się zimno. – Chcę, żebyś nie przerywała i dała mi skończyć. Jeśli masz jakieś pytania,

zachowaj je na koniec, dobrze?

Delgado wzruszyła ramionami.

– Potraktuję to jako „tak”. I musisz mi zaufać, jasne?

Partnerka tylko pokręciła głową.

– Skończ z tymi bzdetami, Hop. Wiesz, że ci ufam. Nie musisz nawet pytać.

– Racja.

– No to skąd to zamieszanie? I ten strój?

Hopper zerknął na własną pierś; Jim Croce spoglądał przed siebie nad stołem z poplamionego farbą portretu.

– Teraz pracuję dla agenta specjalnego Gallupa.

Delgado pociągnęła łyk kawy i uniosła brew, Hopper przyglądał się jej.

– I co, żadnych uwag?

Pokręciła głową.

– Mnóstwo, ale kazałeś zaczekać do końca.

Hopper wyduł policzki.

– Dobra, zatem zjawił się u nas dzieciak, szukający ochrony...

– Leroy Washington, tak. Tyle że go wypuścili i zniknął gdzieś w ciemnościach.

Hopper pokręcił głową.

– Gallup zwerbował też jego, w istocie pracujemy razem nad tą sprawą. Trochę nas nie będzie i wkrótce zaczniesz słyszeć o mnie różne... rzeczy. – Wyciągnął rękę w stronę partnerki, jakby z góry zamierzał ją uspokoić. – Nieważne, co usłyszysz, to nie jest prawda, tylko przykrywka. Gallup zaaranżował coś, co pozwoli mi i Leroyowi zająć się tą robotą. Cokolwiek wydarzy się na komisariacie i ludzie zaczną o mnie mówić, najpewniej skrupi się na tobie, bo jesteś moją partnerką. Pomyślą, że wiesz coś o tym, co

się dzieje i gdzie jestem, ale przez jakiś czas musisz wytrzymać. Dołączyć do nich. Stać się moim wrogiem. Ludzie z komisariatu będą wkurzeni, wierz mi, ale jeśli ma się udać, chcę, żebyś była tego częścią.

Hopper zawiesił głos. W milczeniu napili się kawy, żadne nie odwracało wzroku. Usta Delgado między łykami wyginały się w nieszczęśliwy grymas.

– Kiedy wrócę, wszystko odkręcę – ciągnął Hopper. – Pamiętaj, to tylko bzdura i przykrywka, nie ma się czym martwić. Skończę robotę, wrócę i wszystko wyjaśnimy.

Delgado dopiła kawę. Hopper zaczekał, aż skończy.

– Dobra, pytania.

Pokiwała głową.

Dlaczego tutejsza kawa smakuje jak asfalt i czemu mam ochotę na dolewkę? – Uniosła kubek i podniosła się z miejsca, próbując zwabić żującą gumę kelnerkę. Chwilę później, z nową dolewką, pociągnęła łyk gorącego naparu. Hopper patrzył, jak z ust ulatuje jej obłoczek pary.

– No dobra – rzuciła Delgado. – Dlaczego Leroy? Czemu nie ja?

– Leroy to moja przepustka – odparł Hopper. – A dla ciebie mam inne zadanie na czas mojej nieobecności.

Delgado przekrzywiła głowę.

– Przepustka? Chcesz wstąpić do Żmij, zgadza się?

Hopper pił w milczeniu.

Delgado wyjrzała przez okno.

– Kurczę, Hop, jak długo cię nie będzie?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że kilka dni. Ale tak naprawdę tyle, ile trzeba. Kiedy już się tam znajdziemy, to na dobre, nie możemy wyjść.

Delgado wciąż wyglądała przez okno.

– A co to za zadanie, jakie dla mnie masz, oprócz bycia detektywką w wydziale zabójstw, szukającą nowego partnera?

Hopper zacisnął wargi. Gdy nie odpowiedział natychmiast, odwróciła się i spojrzała na niego; dostrzegła jego minę i pokiwała głową.

– Diane.

Hopper przytaknął.

– I Sara.

– I Sara. Będę mieć na nie oko.

Westchnął i zajrzał do kubka z kawą.

– Najbliższe dni będą dla nich trudne. Sara na szczęście jest za młoda, by zrozumieć czy nawet pamiętać, ale Diane... – urwał, poczuł fale gorąca w głębi głowy, pierś zdawała się ściśnięta, serce waliło z prędkością miliona mil na godzinę.

– Hop?

Rozluźnił mięśnie, zamknął oczy, ale widział tylko rodzinne zdjęcie na toaletce, całą ich trójkę uśmiechającą się tak, że aż rozbolały ich twarze. Otworzył oczy.

– Diane usłyszy o mnie to samo, co ty. Chcę, żebyś tam była. Zaopiekuj się nimi, rozumiesz?

Delgado przytaknęła.

– Nie martw się, partnerze, możesz na mnie liczyć. Będę przy nich.

Hopper westchnął. Dziwne, ale naprawdę poczuł się, jakby z ramion spadł mu wielki ciężar.

– Dziękuję, Rosario.

– Och, teraz wiem, że jest naprawdę źle. – Twarz Delgado rozjaśnił uśmiech. – Skoro zaczynasz mówić do mnie po imieniu, to

znaczy, że zaczynają się prawdziwe kłopoty.

Hopper z uśmiechem pociągnął łyk kawy.

– Ale zanim wejdiesz w rolę tajnego agenta – ciągnęła – lepiej opowiem ci o moich własnych przygodach w wariatkowie.

Hopper rozcapierzył dłonie.

– Każda informacja się przyda.

– Pamiętasz spis adresów, który znalazłam w mieszkaniu Jacoba Hoelera?

– Jasne. Pod jednym z nich odbywały się spotkania AA.

– Zgadza się. A drugi to grupa reedukacyjna, pomoc wspólnoty w ramach organizacji dobroczynnej. Dwa razy w tygodniu przychodzi terapeuta, by pracować z niedawno zwolnionymi przestępcami, próbować zreintegrować ich, wprowadzić do świata cywilnego. To grupa wsparcia, nieduża, taka jak anonimowi alkoholicy, pomagają sobie nawzajem pod okiem terapeuty.

Hopper zmarszczył brwi...

– No i...?

– I tą terapeutką jest Lisa Sargeson.

Zamarł, kubek zastygł w połowie drogi do ust. Hopper odstawił go na stół, słuchając, jak Delgado relacjonuje wizytę w mieszkaniu Lisy, gdzie dowiedziała się o kartach Zenera i jej pracy, dawnej i obecnej.

Słuchając, gładził zarośnięty podbródek.

– A pozostałe adresy?

Delgado odliczyła je na palcach:

– Dwie świetlice kościelne, jedna świecka, klub boksinowski, każde z nich wykorzystywane do spotkań najróżniejszych grup i klubów – AA, grup wsparcia weteranów z Wietnamu, grup wsparcia osób cierpiących na choroby nieuleczalne, nocne zajęcia dla

bezrobotnych. Wybierz, co chcesz, cała kupa organizacji. Grupa Lisy to jedna z kilkunastu, ale...

– Kiedy dodasz karty Zenera...

Delgado przytaknęła.

– Gdzieś coś się tu łączy, Hop. Sam widzisz.

Hopper wciągnął powietrze przez zęby.

– Dobra, chyba musimy... – urwał poprawiając się. – Ty musisz znów pogadać z Lisą. Dowiedz się czegoś więcej na temat tego, co robi na zajęciach, czy znała którąś z ofiar bądź inne podobne grupy.

Jego partnerka uniosła brwi.

– Czyli... nadal pracujemy nad tą sprawą?

Na te słowa Hopper wzruszył ramionami.

– Cała sytuacja uległa zmianie. Pomagam Gallupowi. Ty pomagasz mnie.

Delgado dokończyła kawę.

– Zajmę się tym.

– Dzięki – mruknął Hopper. Jego kawa zaczynała stygnąć, spojrzał na zegarek. – Dobra, mój czas już się skończył. Ty idź pierwsza, ja jeszcze chwilę odczekam.

Delgado wstała.

– Powodzenia, Hop. Uważaj na siebie.

Hopper uśmiechnął się, patrząc, jak partnerka wychodzi z baru. Przez okno widział, jak przecina ulicę i znika mu z oczu.

Po kilku minutach kelnerka w żółtym znów podeszła, dźwigając w dłoniach dzbanek z kawą.

– Dolać, skarbenku?

Hopper pokręcił głową.

– Nie – rzekł. Już się odwróciła, kiedy zmienił zdanie. –

Chwileczkę. Prawdę mówiąc, tak, poproszę. I macie może szarlotkę?

– Owszem.

– Super. Świeża kawa i szarlotka. Może lepiej dwa kawałki.

– Ma być gorąca?

– Tak, proszę.

– Z lodami?

– O, tak.

Kelnerka jedynie uniosła brwi, po czym wycofała się za ladę, by przekazać zamówienie Hoppera. To drobiazg, mała rzecz, ale zamierzał się nią rozkoszować.

Bo mógł mieć tylko nadzieję, że nie będzie to jego ostatni posiłek.

Martha

8 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Hopper siedział na przednim siedzeniu stareńkiego kombi z Leroyem za kierownicą. Samochód toczył się niespiesznie na północ, przecinając numerowane manhattańskie ulice i zmierzając w stronę gniazda Żmij, gdzieś w południowym Bronksie. Okna miał otwarte i Hopper cieszył się z tego, bo powiew chłodził rozpalone wewnątrz pojazdu, a także porywał ze sobą większość smrodu trawki, który zdawał się przenikać każdy skrawek tkaniny w samochodzie. Wóz był wielki – bardziej niż zwykle kombi przypominał karawan – i w dobrym stanie stanowiłby łakomy kąsek dla bystrookiego kolekcjonera.

„Stan” był tu kluczowym słowem, gdyż stan tego samochodu można nazwać opłakanym. Wewnątrz siedzenie było popękane, skóra boleśnie sztywna, ze szczelin wylaziły kłęby żółtawej pianki. Panele sufitowe usunięto. Hopper nie miał nawet pewności, czy wskaźniki na desce rozdzielczej działają tak jak powinny. Na zewnątrz na pewnym etapie ktoś zeszkrobał lakier do gołego metalu, a potem samochód pokryto wieloma warstwami graffiti, wyblakłe tagi sąsiadowały z wielkimi wyspami rdzy, tak że bardziej

przypominał przeciętny wagon nowojorskiego metra. To, że w ogóle się poruszał, było niemal cudem, biorąc pod uwagę chmury dymu od czasu do czasu wylatujące z rury wydechowej i przedśmiertny grzechot dochodzący z silnika za każdym razem, gdy Leroy naciskał prawy pedał.

Hopper nie pytał, skąd wziął się ten wóz, miał teraz na głowie większe zmartwienia. Czekał na umówionym rogu i wsiadł do środka, gdy tylko Leroy zajechał, nie zadając pytań.

Leroy prowadził, wystawiając lewą rękę przez okno, opierając pachę o ramę spuszczonego okna. Dźwignia zmiany biegów mieściła się na kolumnie sterowniczej i Leroyowi najwyraźniej podobało się to, że kiedy puszczał kierownicę, aby zmienić biegi, samochód odbijał w lewo, a jego ręka zaczynała się kołysać.

Hopper milczał. Wóz nie miał pasów bezpieczeństwa, toteż szybko nauczył się przytrzymywać paska nad drzwiami, by nie ześlizgiwać się na kolana Leroya przy niemal każdym skręcie.

Z Brooklynu skierowali się na północ, do Queens, potem na zachód przed Manhattan i znów na północ. Ruch, z początku bardzo gęsty, stopniowo przerzedził się, kiedy zmierzali dalej w stronę Bronksu, i nie była to jedyna zmiana. Centrum Manhattanu, zbiorowisko monolitycznych drapaczy chmur i ulic wiecznie zakorkowanych przez stada żółtych taksówek, wyglądało tak jak zawsze i Hopper podejrzewał, że raczej takie pozostanie. Rojne, choć wieczór powoli przeradzał się w noc. Mnóstwo ludzi. Mnóstwo turystów. Mnóstwo pracowników.

Na frontowych ścianach budynków i wokół skrzyżowań wisiały bilbordy reklamowe. Większość zachwalała papierosy Winston bądź Salem albo jeden z pół tuzina gatunków whiskey. Pozostałe zachęcały do obejrzenia nowego filmu o Jamesie Bondzie: Szpieg, który mnie kochał.

Hopper przeczytawszy ten tytuł parsknął śmiechem i dostrzegł, że Leroy zerka na niego pytająco. Machnął ręką, nadal przyglądając się przesuwającemu się za oknami miastu.

Centrum to centrum, żadne problemy ekonomiczne, kryzys finansowy, czy jakkolwiek nazywa to miejscowa prasa w tym tygodniu, zbyt wiele tu nie zmieni.

Inaczej sprawy miały się po przekroczeniu Czterdziestej Drugiej Ulicy. I to bardzo inaczej. Hopper wiedział, że Times Square to paskudna dziura, ale zaskoczyło go, jak daleko na południe sięgał już rakowaty rozkład. Wyglądało na to, że co drugi sztyd po obu stronach ulicy zachwalał rozkosze spotkań z dziewczętami bez ubrań, na żywo na scenie, na żywo na taśmie filmowej, na żywo na lśniących, śliskich kartkach kolorowych pism. Kobiety kręciły się też na dworze, stały w drzwiach, przy krawężniku, w minispódniczkach, sięgających uda kozakach i kusych, futrzanych narzutkach, a mężczyźni w obcisłych poliestrach czyhali w mniej odsłoniętych miejscach. Parę przecznic dalej samochód wciągnął pod przednie koła wyrzuconą gazetę, pełną wczorajszych wieści i statystyk przestępczości.

Za Times Square budynki zaczęły maleć, a wyspa Manhattan falowała niczym zamarznięty ocean. Jacht samochodu żeglował swym kursem po betonowych falach. Ruch malał, za to na chodnikach pojawiała się coraz więcej ludzi, gromadzących się wraz z gazetami na rogach, schodach i gankach. Mnóstwo osób, spoconych, przeklinających, toczących rozmowy. Dzieciaki tańczyły pod hydrantami, z których tryskały mieniące się tęczą łuki wody, podczas gdy starsi dyskutowali przed sklepem meblarskim pozbawionym mebli i szyby wystawowej. Przy krawężnikach drzemały samochody, Hopper widział śpiących wewnątrz ludzi, tych, których miasto zużyło i wypluło wraz z budynkami, z ulicami. Jechali dalej w górę wyspy.

Leroy odbił w lewo, w stronę Hudson, a potem znów skierował samochód na północ. Hopper wyrzwał nad głową kierowcy ku rzece i górującej nad wszystkim konstrukcji starej estakady drogi szybkiego ruchu West Side. Ów rdzewiejący pomnik klęski miasta zbyt biednego, by go rozmontować, zbyt biednego, by znów posłać nań samochody, zbyt biednego, by zrobić cokolwiek poza pozostawieniem go wyrzuconego na plażę, niczym olbrzymi mityczny potwór, zajmował niemal cały zachodni brzeg Manhattanu. Zimą siedemdziesiątego trzeciego część rdzewiejącej estakady runęła – o ile Hopper dobrze pamiętał, przy Czternastej Ulicy – pod ciężarem wywrotki wiozącej asfalt na naprawę tej właśnie drogi. Po katastrofie została zamknięta na dobre. Fakt, iż kolejne odcinki estakady wciąż stały, zdumiewał wszystkich, a to, że pusta droga nadal tu jest cztery lata później, nie dziwił nikogo.

Samochód skręcił z powrotem na wschód i na północ – Leroy podążał szlakiem wytyczonym wyłącznie w jego głowie. Hopper siedział wygodnie i patrzył, jak miasto wokół nich zamienia się w ruiny.

Gdzieś na wschodzie płonął świat, czarny dym wznosił się w niebo niemal pionową kolumną w nieruchomym letnim powietrzu. Zaglądając w głąb bocznych uliczek, Hopper widział porzucone auta, porzuconych ludzi, porzucone życia. Słyszał śmiechy i krzyki, dzieciaki grały w kości na chodnikach, pliki zielonych przechodziły z rąk do rąk graczy zadowolonych i świadomych, że nie zjawi się żaden policjant, by ich powstrzymać. Starzy mężczyźni i kobiety popychali przed sobą sklepowe wózki pełne śmieci, młodzi mężczyźni i kobiety popychali tłoczki strzykawek pełnych śmieci prosto w swoje żyły na rogach ulic, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by ukryć mroczne interesy na brudnych ulicach bądź w budynkach.

Gdy zatrzymali się na światłach w Harlemie, z boku od strony

Hoppera podjechał do nich policyjny radiowóz. Hopper oparł się pokusie, żeby spojrzeć, po prostu siedział tam, gdzie był, patrząc przed siebie, obserwując światła. Cały czas czuł na sobie wzrok gliniarzy. Potem światła się zmieniły, radiowóz nawet nie drgnął, Leroy dodał gazu i kombi szarpnęło ciężko naprzód. Zaledwie kilka sekund później Hopper zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że radiowóz w końcu ruszył z miejsca i skręcił w prawo.

Hopper wyprostował się i pokręcił głową, próbując rozluźnić mięśnie. Siedzący obok Leroy zacmokał.

– Jesteś na to gotów, stary?

Hopper obrócił się do niego, młody mężczyzna wbijał wzrok w drogę przed sobą, wolna ręka kreśliła kręgi w powietrzu za oknem. Kolejna zmiana biegów, wypuszczenie kierownicy, odbicie w lewo.

Znów skupił uwagę na drodze. Tak, jestem gotów, rzekł do siebie, a potem powtórzył raz jeszcze, nim w końcu odpowiedział głośno.

Leroy jedynie zasyczał przez zęby. Hopper obejrzał się i przekonał, że kierowca powoli kręci głową, jego afro kołysało się lekko z boku na bok.

– A ty, jesteś gotów, Leroyu?

Tamten zmarszczył brwi. Nie odpowiedział.

– Musisz mi powiedzieć – ciągnął Hopper – bo ja tak, i potrzebuję też ciebie. Wiesz, w co się pakuję, ja nie, więc musisz być gotów, inaczej bardzo szybko zrobi się diablo ciężko.

Leroy coraz mocniej marszczył czoło.

– Leroy?

Samochód zaczął zwalniać. Leroy skinął głową, oblizał wargi, jego nozdrza rozszerzyły się.

– Mamy towarzystwo.

Hopper popatrzył przed siebie, zapadał zmierzch, uliczne latarnie zapalały się kolejno. Byli gdzieś na szczycie Manhattanu – Hopper stracił rachubę – ale z pewnością zbliżali się do celu. Ruch wciąż małał, w istocie po ulicy toczył się tylko ich wóz.

Ktoś zagradzał im drogę.

Zaledwie cztery osoby, ale według Hoppera o cztery za dużo. Stali w poprzek pasa – dwaj czarni mężczyźni, jeden biały oraz czarna kobieta. Kobieta wysunęła się nieco naprzód, ręce wciskała głęboko do kieszeni białej sportowej kurtki, o numer za dużej, którą narzuciła na czerwony stanik; białe dżinsy, obcisłe w udach i rozszerzające się na łydkach dopełniały stroju. Za jej plecami czekali mężczyźni o zgarbionych ramionach, rozstawieni leniwie, jakby pozowali do sesji zdjęciowej w magazynie – sesji z gołymi klatkami pod skórzanymi kurtkami bez rękawów. Głowy przewiązali bandankami.

Kobieta uśmiechała się. Jej towarzysze nie.

Leroy zahamował przed grupą. Kobieta ruszyła ku nim, zastukała kostkami o maskę, a potem przeszła do okienka od strony kierowcy. Leroy po raz pierwszy, odkąd siadł za kierownicą, cofnął rękę. Kobieta oparła się o drzwi łokciem.

Hej, hej, hej! – rzucił Leroy. – Co słychać, Martho W.?

Siedzący obok Hopper poruszył się lekko. Obserwował Leroya. Zachowanie młodego mężczyzny zmieniło się – może nie był do końca nerwowy, ale to spotkanie przepełniło go nową, inną energią.

Martha uśmiechnęła się do Leroya, żując gumę, była młodsza od Hoppera, ale starsza od jego towarzysza, może przed trzydziestką. A w jej postawie kryło się coś, co Hopper dostrzegł natychmiast.

Władza.

Martha spojrzała na Hoppera leniwym wzrokiem i znów skupiła

się na Leroyu.

– Gdzie się podziewałeś, braciszku? Zaczynałam się już martwić – rzekła bez cienia troski w głosie.

Braciszku.

Hopper poczuł, że się spina. Nie wiedział, czego oczekiwał, ale z pewnością nie kogoś takiego. Po tym, jak Leroy opowiadał o swoim pragnieniu wyciągnięcia siostry z gangu, wyobrażał sobie, że będzie się ona bała równie mocno.

Natomiast w kobiecie stojącej obok wozu w ogóle nie było widać strachu.

Leroy poklepał oburącz kierownicę.

– Wiesz, jak jest, kręciłem się tu i tam. – Uśmiech na jego twarzy wydał się Hopperowi nieco wymuszony, ale jeśli nawet Martha to zauważyła, nie dała tego po sobie poznać. Zamiast tego przytaknęła i zwróciła swój zużywający gumę uśmiech w stronę Hoppera.

– Wszystko dobrze, Leroy?

Ten przytaknął szybko, znów klepiąc kierownicę.

– A tak, Martho W. O tak, bez dwóch zdań, dziewczyno, bez dwóch zdań. Hej, to ten gość, o którym opowiadałem Saintowi. Hopper. Hopper, to moja siostra Martha.

Martha przerwała żucie, choć tylko na moment.

– Jasne, dobra. – Wyprostowała się i machnęła do pozostałych. Trójka mężczyzn – tak naprawdę chłopców, na oko wyglądali na rówieśników Leroya – skończyła zabawę w posągi i zapakowała się z tyłu wozu. Martha tymczasem okrążyła go z przodu i zajęła drugi fotel pasażera. Naparła na Hoppera biodrem, strzelając mu gumą tuż przy uchu. Hopper przesunął się w stronę Leroya, Martha z szerokim uśmiechem pokiwała bratu głową.

– Kiedy usłyszałam, że wracasz, pomyślałam, że spotkam cię tutaj, a ty mnie podrzucisz.

Leroy wrzucił bieg i mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

– Zachodnia Dwieście Siódma i Decker – oznajmiła siostra.

– Co? – zawahał się.

Martha usiadła wygodnie i położyła dłoń na ramieniu Hoppera. Przytuliła się do niego, jakby wciąż była w liceum: cherleederka i sportowiec.

– Zanim wrócimy do domu, mamy jedną drobną robótkę – odrzekła. – I musimy sprawdzić, jak twardy jest twój kumpel. Nie przeszkadza ci lekka zwłoka, świeże mięcho?

Hopper odwrócił się, żeby spojrzeć Marcie w twarz z tak bliska, iż ich nosy niemal się zetknęły.

– Nie przeszkadza – odparł. – A nazywam się Hopper.

Martha wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Trójka z tyłu roześmiała się, jeden z nich klepnął dłonią w zagłówek przedniego siedzenia.

– Dobra, jazda, jazda! – rzucił i cała trójka znów ryknęła śmiechem. Martha też się zaśmiała.

Hopper zerknął na Leroya. Ten pokiwał głową.

– W porządku, mój bracie. Wszystko w porządku.

A potem pchnął dźwignię biegów i ruszyli okrężną drogą.

Zbrodnie i wykroczenia

8 lipca 1977

Górny Manhattan, Nowy Jork

Podążając za wskazówkami Marthy, Leroy zaparkował swoje kombi przed sklepem z dużą, oszkloną witryną, chronioną kratą z grubych, metalowych prętów. Trójka z tyłu umilkła, gdy się zbliżyli, i za to przynajmniej Hopper czuł wdzięczność. Po drodze krzyczeli, wiwatowali, wrzeszczeli i zaśmiewali się jak trzech małolatów na wagarach i od ich ryków dzwoniło mu w uszach. Leroy milczał, skoncentrowany na jeździe, tymczasem jego siostra skupiała się na przyciskaniu do boku Hoppera. On sam siedział pośrodku i zastanawiał się, czego może się spodziewać na tym „objeździe”, jakiej poddadzą go próbie. Rozważał w duchu opcje: wszystkie sprowadzały się do niczego.

Martha zamieniła kilka słów z chłopakami z tyłu, nadal jednak nie przedstawiła im Hoppera. W parę minut po tym, jak ich zabrali, w przedniej szybie odbił się pomarańczowy błysk, a samochód zaczął wypełniać słodkomdłący zapach bardzo mocnej marihuany. Pasażerowie z tyłu podawali sobie jointa, dali go też Marcie, która zaciągnęła się głęboko i wręczyła go Hopperowi.

Nie odmówił; musiał robić to, co trzeba, by dopasować się do

reszty, a poza tym w obliczu wszystkiego, co go czekało, odrobina trawki raczej nie zaszkodzi. Uważał, by przytrzymać gryzący dym w ustach najdłużej, jak się udało, tak by wyglądało na to, że zaciągnął się głęboko. Potem oddał jointa Marcie.

Wzięła go.

– Braciszek nie potrzebuje uspokojenia?

Hopper zerknął na nią. Nagle zorientował się, że nie podał trawki Leroyowi. Ale ten odezwał się pierwszy, ratując mu skórę:

– Nie, w porządku, Martho W., w porządku.

Teraz siedzieli w samochodzie przed sklepem. Był wieczór, sklep zamknął już podwoje, ale ze środka wciąż padał słaby blask światła gdzieś na zapleczu. Pracownicy jeszcze nie wyszli, szykowali wszystko do snu.

Hopper wyciągnął szyję, by przyjrzeć się lepiej wystawie. To był sklep z elektroniką i to spory, za hektarem grubego szkła i metalowych krat ustawiono sprzęty z wyższej półki, wielkie sterty czarnych głośników, z przodu okryte ciężkimi kratami albo gładką, lśniąca czernią rogów. Były tam też konsole, duże i małe, niektóre przypominały stoły pokryte guziczkami, suwakami, pokrętłami i przełącznikami, a także inne przedmioty, bardziej znajome – zestawy magnetofonów szpulowych, odtwarzacze ośmiościeżkowe, seria gramofonów na wielkich, srebrnych kolumnach.

To był sprzęt audio-wideo, ale nie taki, jaki ustawia się w salonie, tylko przemysłowy, profesjonalny sprzęt studyjny. Żaden z wystawionych przedmiotów nie miał etykiety z ceną, bo jeśli musisz pytać o cenę, zdecydowanie nie jest to towar dla ciebie.

Jeden z chłopaków z tyłu klasnął w dłonie.

– Zaczynajmy, zaczynajmy, zaczynajmy!

Wysypali się tylnym wejściem, Leroy wysiadł ze swojej strony. Hopper czuł na sobie wzrok Marthy, gdy podążył za nim, chwytając

się kierownicy i podciągając. Nagle zamarł, czując, jak chwyta go za biceps. Odwrócił się i popatrzył na sąsiadkę.

– Coś na wzmocnienie – oznajmiła Martha, wyciągając z kieszeni sportowej kurtki małą, błękitną, foliową torebkę. Odwinęła boki, ukazując wielobarwny zbiór pigułek. Długimi, pomalowanymi na czerwono paznokciami wydłubała z niego jedną okrągłą, białą tabletkę.

Hopper obserwował ją czujnie. Z uśmiechem podała mu pigułkę. Wziął ją bez namysłu i włożył do ust, wsuwając pod język; wiedział, że nie może sobie pozwolić na okazanie wahania i niepewności. Nie teraz.

Kąciki ust Marthy uniosły się w złośliwym uśmiechu. Szybko wysiadła z wozu. Hopper odwrócił się do drzwi naprzeciwko, błyskawicznie wyciągając pigułkę z ust. Po dotknięciu rozpadła się w pył, pod językiem wyczuł kredowy osad. Miał nadzieję, że narkotyk nie działa w tak małych dawkach, jakiej nie zdołał uniknąć.

Przed sklepem trójka pasażerów wierciła się i kołysała na piętach, rozmawiając szybko i cicho. Leroy stał z boku, splótł ręce na piersi i oparł się o wystawę.

Jeden z chłopaków zapał głośno i zaczął boksować się z cieniem. Pozostali klaskali ze śmiechem.

Światło w sklepie zgasło. Grupka zamarła, wszyscy odwrócili się jednocześnie. Ktokolwiek był w środku, dostrzegł ich obecność.

I wtedy Martha wyłoniła się z tyłu samochodu. W jednej szczupłej ręce trzymała ciężki młot. Któryś z chłopaków zagwizdał z uznaniem, patrząc, jak podchodzi do drzwi frontowych i bez sekundy namysłu bierze zamach.

Klamka i zamek wygięły się pod uderzeniem, wbite głębiej w drewno. Jeszcze parę ciosów Marthy i cały zamek oddzielił się od

reszty – pozostał w miejscu, strzaskany przy framudze, lecz trójka mężczyzn bez trudu zdołała otworzyć pchnięciem drzwi i wpaść do środka.

Leroy podążył za Marthą. Hopper za Leroyem.

Sklep, choć wielki, był dosłownie wypchany towarem. Na podwyższeniach między potężnymi stosami wzmacniaczy i zestawów głośnikowych ułożono kolejne profesjonalne sprzęty audio. Chłopcy, biegnąc na tył sklepu, popychali wieże głośników i mikserów, tak że wały się na ziemię. Górne światła zapłonęły nagle. Hopper patrzył, jak tamci prą naprzód, zostawiając za sobą wiodący na zaplecze szlak bezsensownego zniszczenia.

Przystanął, bo świat przed oczami nagle mu się rozmazał. Przez moment widział sześciu biegnących chłopaków, potem żadnego. Kiedy znów zamrugał, zobaczył starszego białego mężczyznę z dubeltówką w dłoniach. Mężczyzna coś krzyczał.

Huk dubeltówki przywołał Hoppera do rzeczywistości. Wzrok znów mu się wyostrzył i ustabilizował pośród deszczu gipsu opadającego z sufitu po strzale ostrzegawczym. Za wolno zareagował z pigułką, w połączeniu z trawką, którą musiał wciągnąć w płuca, narkotyk zaczął działać. Kręciło mu się w głowie, czuł się lekki, jak po zbyt wielu piwach, tyle że bez ciężkiej alkoholowej mgły.

Krzyki znów wyrwały go z zamyślenia, zamrugał i spojrzał na starszego mężczyznę. Dubeltówka leżała na ziemi obok sporej kałuży krwi ofiary, pokrywała również pięść Hoppera. Ta sama pięść ścisnęła kołnierz mężczyzny, dławiąc go przyciśniętego do ściany sklepu. Mężczyzna stał na palcach, Hopper przytrzymał go w górze.

Zamrugał i potrząsnął głową. Nie pamiętał, kiedy wyrwał właścicielowi strzelbę, nie pamiętał, jak go uderzył, nie pamiętał,

jak przycisnął do ściany. Świat znów zaczął osuwać się i wirować. Starszy mężczyzna jęknął, Hopper przycisnął go mocniej i mocno zagryzł sobie policzek.

Ból, choć niewielki, podziałał elektryzująco, oczyszczając umysł. Hopper zerknął przez ramię na zamieszanie za plecami.

Leroy i trójka chłopaków ustawiali sprzęt w sterty, które mogli wynieść ze sklepu. Wzmacniacze, gramofony, pudła kabli, kosze płyt, szafkę głośnikową rozmiarów niewielkiej lodówki.

Gdzieś z głębi sklepu dobiegł dźwięk. Hopper odwrócił się i ujrzał otwarte drzwi, prowadzące do niewielkiego biura na tyłach. Wewnątrz Martha odrzucała na bok sterty papierów, przeglądając wszystkie szuflady wielkiego biurka zajmującego niemal całe pomieszczenie. W końcu znalazła to, czego szukała – dużą stalową kasetkę. Uniosła ją, potrząsnęła, z wnętrza dobiegł charakterystyczny szelest banknotów i brzęk monet. Hopper patrzył, jak dziewczyna przez moment mocuje się z zamkiem z przodu, potem poddała się, dźwignęła kasetkę za rączkę i wybiegła z biura. Zatrzymała się za ladą, zanurkowała pod nią, by podnieść strzelbę właściciela, i wybiegła ze sklepu.

Pod naciskiem ręki Hoppera właściciel wydał z siebie gulgoczący jęk. Hopper odwrócił się i spojrzał na niego. Oczy miał pełne łez, z nosa płynęła jaskrawoczerwona struga krwi, jej kolor pulsował pośród mgły, zasnuwającej pole widzenia Hoppera.

Przez moment patrzyli na siebie, aż w końcu ktoś zawołał go głośno.

– Przepraszam – wyszeptał Hopper do mężczyzny. Zwolnił uchwyt i cofnął się. Właściciel osunął się w dół na zakrwawioną wykładzinę. Próbował odpełznąć w stronę biura, ale po paru centymetrach zrezygnował. Jego ciałem wstrząsały szlochy, z trudem chwycił oddech.

– Przepraszam – powtórzył Hopper.

A potem wytarł dłoń o koszulkę i wybiegł ze sklepu.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera

Hawkins, Indiana

Hopper wstał i pod pretekstem, że musi się przeciągnąć, odszedł od stołu, okrążając pokój. W rzeczywistości, choć faktycznie potrzebował przerwy, wspomnienie napadu na sklep, do którego zmusiły go Żmije, nie należało do najprzyjemniejszych. A choć w swej opowieści pominął co brutalniejsze szczegóły, wciąż pozostawało kilka niemiłych, niezaprzeczalnych faktów i wiedział, że Nastka spyta go o nie, a on będzie musiał stawić temu czoło. Przystanął obok telewizora, splótł ręce za głowę, zwrócony plecami do czerwonego stołu i siedzącej za nim dziewczynki.

– W porządku – rzuciła Nastka.

Hopper opuścił ręce i odwrócił się.

– Co?

Poruszyła się na krześle.

– Nie twoja wina.

Zmarszczył brwi i pokręcił głową, ale Nastka mówiła dalej.

– Zmusili cię... – Złożyła dłonie na oparciu, obracając się, żeby patrzeć na Hoppera. – Tatuś też mnie zmuszał... czasami...

Hopper podszedł do stołu i usiadł. Nastka wyprostowała się na

krześle, ale wbijała wzrok w blat.

– Czasami co, młoda?

– Czułam się, jakbym... to nie była ja. Jakbym... patrzyła. –
Uniosła wzrok. – Jak ci ludzie.

– Jacy ludzie?

– Za lustrem.

Serce Hoppera zatrzepotało w piersi. Gdy wyciągnął rękę i potargał włosy Nastki, poczuł, że pod powieki napływają mu gorące, mokre łzy.

– Co było dalej? – spytała dziewczynka.

Zamarł, zerkając na nią niepewnie. Patrzyła na niego wyczekująco, kompletnie niewzruszona mrocznym wspomnieniem, którym właśnie się z nim podzieliła.

– No cóż. – Potarł dłonią twarz. – Potem spotkałem Żmije i ich przywódcę.

Na te słowa oczy Nastki zrobiły się wielkie i okrągłe.

– Poznałeś Saint Johna?

– Tak.

– Dobra. – Usadowiła się wygodniej. – Jestem gotowa.

Gniazdo Żmij

8 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Reszta podróży na północ okazała się jeszcze głośniejsza. Nabuzowani adrenaliną, chłopcy z tyłu wozu rozmawiali głośno i szybko o tym, co właśnie zrobili. Hopper nic z tego nie rozumiał – mieszanina ulicznego slangu brzmiała obco i dobiegała ze zbyt daleka, by mógł chociaż próbować poddać ją analizie. Czuł mdłości, trząśnięcie z zimna, a kiedy pokręcił głową, świat zdawał się poruszać w innym tempie niż jego ciało.

Zamknął oczy. Wyczuwał popękaną skórę siedzenia pod nogami, napierające na niego biodro Marthy, nogę Leroya poruszającą się, gdy naciskał pedały w pełni załadowanego kombi. Hopper nie miał pojęcia, jak upchnęli wszystko w środku, ale obecnie samochód rzeźił ciężko i z brzmienia wydawał się równie stary i zmęczony, jak z wyglądu. Przedśmiertny grzechot silnika zastąpił głuchy, niski warkot zwiastujący koniec trasy dla tego wytworu inżynierów z General Motors.

– Hej, więcej życia, więcej życia! – rzucił Leroy.

Hopper uniósł powieki i spojrzał na kierowcę. Gdy samochód zwolnił, Leroy oderwał palec od kierownicy i pokazał przed siebie.

Najwyraźniej zaledwie parę minut temu przekroczyli granicę Bronksu. Teraz dotarli do czegoś na kształt alejki, z trzech stron otoczonej gładkimi, wysokimi ścianami. Dokładnie naprzeciwko nich widniał mur i osadzone pośrodku potężne, podwójne wrota. Kiedy padł na nie blask reflektorów samochodu, z jednej strony otworzyło się mniejsze przejście normalnej wielkości i na zewnątrz wypadło zeń paru mężczyzn. Ten z przodu pomachał do samochodu, potem obaj zajęli się bramą. Wspólnie przesuwali ciężkie dźwignie mechanizmu bramy, a potem pchnęli, otwierając ją do wewnątrz. Kiedy otwór poszerzył się dostatecznie, Leroy ruszył naprzód.

Za bramą mieścił się magazyn, obszerny i zdecydowanie nie pusty. Ich wóz mijał kontenery, czasem ustawione po dwa na sobie, a także mniejsze sterty skrzyń transportowych, niektórych odsłoniętych, innych przykrytych grubym brezentem. Dalej Hopper dostrzegł rząd kanciastych, przypominających niemal szkielety motocykli motocrossowych, zaparkowanych pod ścianą. Były tu też inne samochody, a obok ciężarówka z płaską naczepą, także przykryta brezentem, ukrywającym coś dużego i kanciastego.

Leroy zatrzymał samochód na końcu rzędu. Dokładnie przed nimi, w kącie magazynu urządzono niby-kącik socjalny, w którym trwał ożywiony ruch. Z czterech beczek z olejem strzelały płomienie, wokół rozstawiono zbieraninę mebli – kanap i krzeseł, niektórych wciąż zapakowanych w folię. Były tu też stoły, pufy, składane krzeselka, stołki kempingowe, krzesła jadalniane, mogące pochodzić z rezydencji gubernatora.

Gdy tylko się zatrzymali, otoczyli ich ludzie, którzy otworzyli drzwi i bagażnik, i zaczęli rozładunek. Trójka z tyłu wyskoczyła na zewnątrz, witana przez resztę wiwatami i serią poklepywań.

Na przedzie pozostali Martha, Hopper i Leroy, który zgasił silnik.
– Witajcie w domu, witajcie w domu, witajcie w domu! – rzucił.

Spojrzał na Marthę. Hopper siedział pośrodku, patrząc na nich oboje, po chwili Martha wysiadła.

Leroy powoli wypuścił powietrze.

– Wszystko dobrze, stary? – spytał cicho.

– Zapytaj później – odparł Hopper i wysiadł.

Obecni w magazynie natychmiast zamarli; Hopper czuł na sobie wzrok wszystkich zebranych. Słyszał jedynie trzask ognia. Rozejrzał się, usiłując spojrzeć kolejno w każde zimne oczy. Może sprawiła to pigułka Marthy, albo trawka, nagle jednak poczuł się kompletnie nie na miejscu, zupełnie jakby wszedł w sam środek Żmij ubrany w stary mundur policyjny z odznaką lśniąca dumnie na piersi.

Leroy podszedł do niego i objął go ciasno ramieniem za szyję.

– Hej, pozwól, że przedstawię ci część naszych ludzi, bracie – rzekł bardzo głośno, ze śmiechem.

Na te słowa wszyscy odrobinę się rozluźnili. Zebrani zajęli się wyładunkiem skradzionych towarów, ale podczas pracy zerkali na siebie. Hopper patrzył, jak Martha wyciąga z tyłu wozu kasetkę i odchodzi, niosąc ją pod pachą na drugą stronę magazynu, gdzie mieściła się seria biur i wznosiły się zewnętrzne, metalowe schody. W biurach paliło się światło. Hopper podążył wzrokiem wzdłuż schodów – i zobaczył go.

Mężczyzna stał w oknie najwyższego biura, cztery poziomy wyżej. Płonące jasno światła sprawiały, że jawił się jako czarna sylwetka.

Czy to był Saint John we własnej osobie?

Nagle Hopper poczuł mocny zawrót głowy. Zamknął oczy i skulił ramiona.

– Hej, bracie, czaisz mnie?

Zamrugnął i uniósł wzrok. Wokół kręciło się kilku członków

gangu, wszyscy go obserwowali. Mężczyźni, kobiety, czarni, biali, Latynosi, Azjaci. Najmłodszy sprawiał wrażenie – wedle oceny Hoppera – ledwie nastolatków, a najstarsi, para białych mężczyzn, mieli pomarszczone twarze, siwe włosy i długie brody, niczym bliźniacy z dawno zapomnianej baśni. Niezależnie od wieku ich twarze przybierały surowy, twardy wyraz.

I, zgodnie z oczekiwaniami Hoppera, nosili identyczne skórzane kurtki bez rękawów, takie same, jak trzech kumple Marthy. Hopper rozejrzał się, po raz pierwszy dostrzegając czerwonego węża, wymalowanego na plecach mężczyzn dźwigających sprzęt muzyczny z ich napadu. Lecz poza kurtkami wyglądało na to, że pozostali wciąż czuli potrzebę zachowania kolorów dawnych gangów.

– Okay, Smoker, Cookie, Betty, Liz, Jackie O. – Leroy kolejno wskazywał ręką członków gangu. Hopper pozdrawiał ich skinieniem głowy. Odpowiedział tylko jeden, Smoker, gładko wygolony młody mężczyzna o długich, ciemnych włosach, uczesanych idealnie w stylu Farrah Fawcett. Jego zapięty na zamek błyskawiczny, jednoczęściowy błękitny kombinezon pod kurtką Żmij, bardziej pasował do nocy w Studio Pięćdziesiąt Cztery niż do brudnego magazynu w Bronksie.

Obok niego stały trzy czarne kobiety, przyglądając się Hopperowi. Ich szczęki poruszały się niemal unisono, żując gumę, gdy mierzyły go wzrokiem. Nosily identyczne dżinsowe kombinezony i białe koszulki, nogawki podcięty, tak że odślaniały wysokie, ciężkie buty wojskowe. Kobiety tuliły się do siebie, ich stroje różniły się tylko kolorami elastycznych gumek, którymi związały końskie ogony – czerwonej u Betty, niebieskiej u Liz, białej u Jackie O.

Hopper zacisnął wargi. Jackie O. głośno wydmuchnęła balona. Stojący obok Cookie nie pasował do reszty. Czarne, obcisłe dżinsy

i pasująca koszulka; ufarbowane na czarno włosy – kontrastujące mocno z bladą skórą – nosił obcięte w długiego, miękkiego pazia, z grzywką kończącą się dokładnie na poziomie oczu. Hopper nie miał nawet pewności, czy tamten w ogóle na niego patrzy.

Leroy podprowadził go do kolejnej grupki.

– Ci tutaj to Bravo, City i Reuben.

Bravo okazała się kobietą o długich, jasnych włosach, ubraną w obcisłą koszulkę, z wypisaną pełnymi zakrętasów literami nazwą Three's Company. Koszulkę wsunęła w dżinsowe szorty, kciuki zatknęła za pętelki szerokiego pasa z klamrą w kształcie gwiazdy szeryfa, pasującą do wykończonych frędzlami kowbojskich butów.

City, chudy jak szczapa nastolatek, nie miał na sobie koszulki. Jego żebra odcinały się boleśnie, włosy, równie długie i falujące jak u Bravo, opadały na plecy. Zacmokał w głębi gardła, Hopper uświadomił sobie, że to śmiech, i szturchnął łokciem Reubena, wyższego od niego o prawie pół metra. Jego towarzysz stał z rękami splecionymi na piersi i obojętną twarzą ukrytą w znacznej części pod gęstą, czarną brodą, jedynie odrobinę ciemniejszą od skóry.

Strój Reubena – pasiasta koszulka Metsów, numer czterdzieści dwa, i dżinsy – przynajmniej wydał się Hopperowi mniej więcej normalny.

Cokolwiek w dzisiejszych czasach oznacza słowo normalność.

– I Leroy Washington znów zapomina o swoich.

Na dźwięk nowego głosu Leroy obrócił się szybko. Hopper patrzył, jak podchodzi do nich masywny, ciemnoskóry mężczyzna, wycierający ręce w zatłuszczoną ścierkę. Ubrany był w standardową kurtkę, narzuconą na goły tors, jego pierś połyskiwała od potu, na ramię zarzucił parę ciężkich, roboczych rękawic. Twarz miał wysmarowaną sadzą i smarem, jakby pracował przy jakiejś maszynie.

– Chłopie, chłopie, chłopie! – rzucił Leroy. – A niech mnie!

Obaj chwycili się za ręce i przyciągnęli do siebie, chwytając się w objęcia. Rosły mężczyzna klepnął znacznie mniejszego Leroya w plecy dłonią dzierżącą ścierkę.

– Za długo cię nie było, Leroy. Za długo. Ludzie się martwili. Ludzie gadali.

Leroy odsunął się i pokręcił głową.

– Nie, stary, wszystko spoko, wszystko spoko.

Słyszając to, rosły mężczyzna przestał się uśmiechać.

– Nie, Leroy, ludzie gadali. Czaisz? Ludzie gadali.

Leroy oblizał wargi i wzruszył ramionami.

– No wiesz, co mogę rzec? Potrzebowałem trochę czasu i przestrzeni, to wszystko. Do diabła, to nie jest przedszkole, wiesz, o czym mówię? Czasem człowiek potrzebuje odrobiny świeżego powietrza, wiesz?

Potężny mężczyzna przez chwilę patrzył na Leroya, potem jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Czaję cię, stary – rzekł. – I słyszałem, że poszczęściło ci się na łowach – odwrócił się do Hoppera. – To jest ten nowy?

– Ano. – Leroy znów objął ramieniem szyję Hoppera. – To mój człowiek, Hopper. I jest w porzo, stary, naprawdę w porzo. – Odwrócił się do Hoppera. – Jesteś w porzo, co nie?

– O tak, całkiem w porzo – odparł Hopper.

Rosły mężczyzna zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, potem przeżuł coś i wypluł na cementową podłogę. Leroy poklepał Hoppera po piersi.

– A to mój człowiek, Lincoln.

Hopper powitał go skinieniem głowy. Lincoln wyciągnął rękę, Hopper ujął ją i odkrył, że tamten ściska mu przedramię.

Przypominające imadło palce obejmowały coraz ciasniej zgięcie w łokciu. Lincoln pociągnął Hoppera ku sobie, Hopper spiął się, po czym pojął, że tamten wita go takim samym klepnięciem jak Leroya. Kiedy oparł mu brodę o ramię, Hopper poczuł na uchu gorący oddech.

– Lepiej, żebyś był poprawny, gościu – wyszeptał Lincoln.

Hopper odsunął się, tamten patrzył na niego w milczeniu.

– Hej, to nazywacie imprezą powitalną? – Leroy klepnął Lincolna w ramię. – Jestem zawiedziony, i to jak! Chodź, musimy to uczcić.

Lincoln uniósł brwi, potem zaśmiał się i pokręcił głową. Zawrócił w stronę kanap ustawionych w niskim kręgu wokół płonących beczek z olejem. Leroy dreptał tuż za nim.

Hopper został w miejscu i rozejrzał się dokoła. Większość z pozostałych wróciła do zajęć, w których im przeszkadzili. Towary z kombi upchnięto z boku pomieszczenia obok innych skrzyń i pudeł.

Obejrzał się na część biurową. Ani śladu Marthy. Zerkając w górę odkrył, że człowiek w oknie zniknął.

– Ej, nie chcesz się napić czy co? – Lincoln, jawiący się na tle ognia tylko jako ciemna sylwetka, uniósł wysoko butelkę z czymś nieznanym.

Hopper odetchnął głęboko i ruszył ku niemu.

Hopper miał mocną głowę, ale mimo wszystko uznał, że sytuacja robi się idiotyczna. Obok brudnego fotela, na którym usiadł, stały trzy puste butelki po piwie, on sam od bardzo dawna tulił w dłoni opróżnioną do połowy czwartą. Piwo było ciepłe, ale go nie brakowało: pod przeciwległą ścianą ustawiono całe skrzynki. Płonąca beczka nie grzała aż tak mocno jak się obawiał, bo ogromna przestrzeń magazynu wsysała gorące powietrze w górę

nad ich głowy. Uniósł wzrok i dostrzegł rdzewiejące podpory i belki podtrzymujące dach. Niektóre oderwały się i zwisały niczym połamane gałęzie drzew.

Pozostali zebrali się wokół niedobranego zbiorowiska mebli i już dawno przeszli od piwa do mocniejszych trunków, podając sobie butelki whiskey, wódki i innych alkoholi, których Hopper nie potrafił nazwać. Zapalono kilka blantów i puszczono w kółko. Hopper zdołał przekazać je dalej, nie częstując się trawką.

Ku jego zdumieniu członkowie gangu nie interesowali się nim zbyt. Siedział, patrzył i słuchał, kiwał głową i śmiał się wraz z pozostałymi, nawet jeśli nie rozumiał większości padających zdań. Nowy, obcy, wprowadzony w sam środek gangu, musiał rozegrać to na spokojnie. Był gościem i wiedział, że gościnność Żmij może w mgnieniu oka zmienić się w przemoc, jeśli uznają, że go nie lubią albo że do nich nie pasuje, albo że znalazł się tu z przyczyn innych niż te, które podał im Leroy.

Był obserwowany. Lincoln siedział naprzeciwko i Hopper przez większość czasu czuł na sobie jego wzrok. Bez wątpienia miał zdać raport o nowym rekrucie Saint Johnowi.

A potem wróciła Martha, do wtóru okrzyków części zebranych. Uśmiechnęła się, zaśmiała i pomaszzerowała wprost do Hoppera. Ku jego zdumieniu przysiadła na poręczy fotela, prowokując serię gwizdów i śmiechów.

Powiodła wzrokiem po pozostałych, po czym spojrzała w dół na Hoppera. Odebrała mu piwo, pociągnęła długi łyk z butelki i wstała. Podała mu rękę.

– Chodź ze mną – poleciła.

Hopper obejrzał się na zebranych, po czym ujął dłoń dziewczyny i pozwolił się podnieść. Gwizdy powróciły; obejrzawszy się przez ramię, dostrzegł spojrzenie Leroya, który niemal niedostrzegalnie

pokręcił głową i ze zdecydowaną miną napił się z butelki wyglądającej jakby kryła tequilę. Lincoln wciąż przyglądał mu się w milczeniu.

Hopper pozwolił poprowadzić się Marcie za rękę. Skręcili w stronę biur.

– Dokąd idziemy?

– Saint chce się z tobą zobaczyć.

Hopper zatrzymał się, Martha wypuściła jego dłoń, ale szła dalej. Tylko raz obejrzała się przez ramię, po czym zaczęła wspinaczkę po schodach.

Zerknął za siebie. Reszta grupy wróciła do przerwanej zabawy.

Obrócił się i uniósł wzrok, przy oknie na najwyższym poziomie znów ujrzał sylwetkę mężczyzny.

Saint John. Przywódca Żmij.

Nagle otrzeźwiały, myślący jasno – i przerażony – Hopper podążył za Martha.

Bracia z szeregów

8 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Przestrzeń administracyjna w starym magazynie okazała się labiryntem korytarzy i biur, znacznie większym niż Hopper oczekiwał. Nic nie wskazywało na dawne przeznaczenie budynku – większość mijanych biur opróżniono z pierwotnych sprzętów, a teraz ewidentnie służyły do przechowywania zdobyczy. Stąpając za Martha, Hopper zaglądał przez każde otwarte drzwi i widział skrzynie transportowe, kolejne skrzynie i kolejne, wszystkie identyczne i nieoznakowane.

– Czyli jesteś gliniarzem?

Hopper z powrotem skupił uwagę na Marcie, która nadal maszerowała, oglądając się na niego przez ramię.

– Byłem.

Ogarnęła go szybkim spojrzeniem i z powrotem popatrzyła przed siebie.

– To wszystko? – spytał Hopper. – Nie chcesz wiedzieć nic więcej?

– A powinnam chcieć?

Nie odpowiedział. Wciąż jej nie rozumiał. Była pierwszą ze Żmij,

która otwarcie kwestionowała jego przeszłość. Z pewnością jednak nie ona jedyna miała wątpliwości.

I pewnie był wśród nich przywódca... Saint John we własnej osobie.

Martha poprowadziła go na samą górę i dalej, do biura. Okazało się przestronne, z dwoma wykuszowymi oknami, które pozwalały każdemu dyrektorowi zajmującemu to pomieszczenie patrzeć z góry na magazyn. Pośrodku pokoju ustawiono duży stół konferencyjny – Hopper nie miał pojęcia, jakim cudem zdołano go tu wnieść – a po przeciwnej stronie, naprzeciw okien, mamucie biurko od kompletu. Za biurkiem dostrzegł dwoje zamkniętych drzwi.

Pod drugą ścianą stały wąskie szafki na akta oraz szersza komoda. Hopper wiedział, iż przeznaczono ją do przechowywania większych dokumentów – planów, odbitek, szkiców architektonicznych itp.

To jednak człowiek stojący przy oknie przyciągnął jego uwagę. Stał zwrócony plecami do pokoju, spoglądając na swoje królestwo. Ubrany był w fioletową szatę, przewiazaną w pasie i sięgającą do pól uda, przypominającą strój instruktora sztuk walki.

– Witam wśród Żmij – powiedział.

A potem się odwrócił.

Mężczyzna okazał się starszy od Hoppera. Włosy miał ostrzyżone brzytwą na brutalnie krótkiego jeża, szczękę okalał wąziutki pasek brody. Na nosie pozostał ślad niegdysiejszego złamania, oczy przesłaniały lustrzanki. Kiedy podszedł bliżej, Hopper ujrzał w srebrzonych szklach własne odbicie. Pod szatą mężczyzna miał czarną jedwabną koszulę, rozpiętą niemal do pasa, z uniesionym kołnierzykiem. Szyję okalał srebrny łańcuszek, na nagiej piersi spoczywały dwa małe, prostokątne medaliki.

Para nieśmiertelników. Hopper miał identyczną, tkwiła w szufladzie przy łóżku.

Nim Saint John zdążył powiedzieć coś jeszcze, Hopper zaryzykował. Gestem wskazał nieśmiertelniki.

– Która jednostka?

Saint John zamarł. Za plecami Hopper usłyszał, jak Martha przesuwa się lekko.

– Ja byłem w Pierwszej Piechoty – podjął. – Dwie tury. – Pokręcił głową. – Widziałem mnóstwo syfu, zrobiłem swoje, dali mi medal w kształcie gwiazdy i odesłali do pocziwych, starych USA.

Saint John uśmiechnął się, odsłaniając rząd wielkich, oślepiająco białych zębów. Wyciągnął rękę, Hopper ją ujął. Uścisk tamtego okazał się silny, ale z łatwością mu dorównał.

– Sto Pierwsza Powietrzna.

Hopper uśmiechnął się szeroko.

– Wrzeszczące Orły.

– Najlepszy okres mojego życia – Saint John przekrzywił głowę. – Odznaczyli cię?

– Brązową gwiazdą.

Tamten z cichym uznaniem pokiwał głową.

– Jakże ci zazdroszczę, żołnierzu. Mnie przeznaczono do zadań specjalnych, przez nie pozostałem tam dłużej niż większość, ale to, co robiłem, nie kwalifikowało się do żadnych medali, w kształcie gwiazdy ani innych.

– Nie prosiłem się o swój. Po prostu wykonywałem obowiązki.

Uśmiech Saint Johna zwęził się lekko.

– Och, wszyscy tylko wykonywaliśmy obowiązki, prawda?

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Hopper widział jedynie odbicie własnych w okularach szefa gangu. A potem Saint John

odwrócił głowę i ruszył w stronę wielkiego stołu. Hopper zerknął na Marthę – stała przy drzwiach i ze znudzoną miną żuła gumę – po czym dołączył do rozmówcy przy stole, pokrytym wielką mapą Nowego Jorku, a także serią jakichś planów. Nim zdołał się przyjrzeć, Saint John zgarnął wszystkie dokumenty, złożył wpół i znów wpół.

– Leroy twierdzi, że miałeś drobne kłopoty ze swoimi kolegami z policji nowojorskiej? – spytał, zerkając na Hoppera i układając dokumenty w równy stosik.

Ten wzruszył ramionami.

– Nic, z czym nie dałbym sobie rady.

Saint John przytaknął.

– Świetnie, bo to twoja sprawa, nie moja. Jeśli przyniesiesz tu dawne problemy, odkryjesz, że nie jesteśmy tak mili, jak się wydaje.

– Skończył zbierać papiery i gwałtownie uniósł głowę; lustrzanki spojrzały wprost na Hoppera. – Bo Żmije miło cię przyjęły, prawda?

– O tak, to świetna ekipa. Doskonała.

Na twarzy Saint Johna na moment znów błysnął uśmiech. Potem mężczyzna wyciągnął spod szaty pęk kluczy, otworzył szufladę komody i wsunął do środka papiery. Zamknąwszy ją znów na klucz, schował pęk do kieszeni.

– Żmije to nie jest zwykły gang bandziorów i złodziejów – oznajmił, zwrócony plecami do pokoju, dłonie opierał na komodzie.

– W istocie w ogóle nie podoba mi się to słowo. – Obrócił się i Hopper raz jeszcze ujrzał swoje odbicie. – Jesteśmy organizacją. Mógłbyś nawet nazwać nas kongregacją. Kongregacją, której poświęciłem własną duszę. Rozumie pan to, panie Hopper? Czy w ogóle potrafi pan to zrozumieć?

Hopper oblizwał wargi.

– Posłuchaj, jestem tu, bo szukam dla siebie miejsca. Wróciłem

z tego piekła i miałem żyć dalej jak gdyby nigdy nic się nie stało. Owszem, to było dawno temu, i tak, wypełniałem swoje obowiązki, ale zrobiłem swoje i to dobrze. A potem powiedzieli: dzięki, papa, proszę, oto medal, możesz go sobie schować do szuflady i o wszystkim zapomnieć.

Postąpił krok bliżej Saint Johna. Przyglądał się swemu odbiciu w lustrzankach: zobaczył zarost, worki pod oczami i krew na koszulce, pamiątkę napadu na sklep audio-wideo.

Poczuł nagły przypływ adrenaliny i wykorzystał go, aby wyostrzyć umysł, starannie dobrać słowa.

– Więc tak, robiłem swoje, tak jak my wszyscy. Ale jak można wrócić po czymś takim? Poszliśmy na wojnę z przyczyn, które jak sądziłem, rozumiałem, ale teraz nie jestem wcale taki pewien, i wróciłem – do czego? Do tego? Z jednej strefy wojennej do kolejnej, zamieniając jedną dżunglą na drugą? Tyle że teraz nie miałem zadań do wykonania, rozkazów do wypełnienia, kraju, za który mógłbym walczyć. Więc owszem, szukam dla siebie miejsca. Nie znalazłem go w policji, może znajdę je tutaj. – Zawiesił głos. Zerknął na nieśmiertelnik na szyi Saint Johna i zobaczył, jak pierś tamtego porusza się: przywódca oddychał głęboko. – I podejrzewam, że jesteś tu z tego samego powodu. Mam rację?

Hopper uniósł wzrok ku lustrzankom. Saint John milczał. Martha żuła gumę. A potem mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie martw się, bracie, trafiłeś w dobre miejsce. Znajdziesz tu nie tylko własne zbawienie, ale i zbawienie nas wszystkich, całego miasta, tego piekła na ziemi – przytaknął i wrócił do stołu. Oparł się o niego, łącząc łokcie. Stół był pusty, plany zniknęły, ale Hopper odkrył, że podąża za lustrzanym spojrzeniem szefa Żmij, jakby tajemniczy plan, którego realizacją zajmowała się jego organizacja, miał nagle zmaterializować się przed ich oczami.

– Nadchodzi czas, panie Hopper. Nasz czas.

– Dzień Węża?

Saint John zaśmiał się.

– Wygląda na to, że Leroy za dużo gada.

– Jestem tu przecież, prawda?

Hopper przekrzywił głowę to w tę, to we w tę. Saint John zmierzył go wzrokiem.

– Wciąż zostało wiele do zrobienia – rzekł. – Miasto ma nadal sporo do dania, nim obdarzę je słodczą wolności.

Hopper cały czas wbijał wzrok we własne, pełne powątpiewania odbicie. Słodczą wolności? Nie rozumiał, o czym mówi Saint John, ale jedno było pewne. Facet to wariat.

Nie, wróć. To było nie fair i Hopper doskonale o tym wiedział. Musiał pogrzebać głęboko, wyciągnąć dawno skrywane uczucia do Wietnamu, ale udało się i dzięki temu zdołał pojąć stan umysłu tamtego.

Saint John nie był szaleńcem.

Był człowiekiem złamanym. Hopper często to widywał, wojna działa tak na ludzi – łącznie z nim samym. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że Hopper mimo tego, co powiedział, znalazł nowy cel w życiu. Wrócił i chciał coś zmienić. Dzięki temu trafił na ścieżkę, która doprowadziła go do nowej misji.

Saint John dokonał innego wyboru. Hopper zastanawiał się, w którym miejscu ich drogi rozeszły się, czy wystarczyła jedna decyzja, by mimo wspólnej przeszłości podążyli w zupełnie innych kierunkach.

Przywódca odepchnął się od stołu i skinął na Marthę.

– Zabierz go na dół. Może dołączyć do ekipy Leroya i Lincolna. – Zerknął na Hoppera. – Myślę, że znajdziemy wiele pracy dla twych

próżnych rąk.

To rzekłszy, przeszedł przez pokój i znów stanął przy wielkim oknie, dokładnie tam gdzie wcześniej, z rękami splecionymi za plecami, patrząc z góry na magazyn.

Hopper obejrzał się na Marthę, która przestała żuć gumę i po raz pierwszy, odkąd ją poznał, wyglądała jakoś... inaczej. Nie bała się, nie denerwowała, lecz część jej władczości – arogancji – jakby zniknęła. Dziewczyna wydawała się teraz drobniejsza, młodsza.

Tak jak Leroy na komisariacie.

– Służ mi, Hopper, i służ Żmijom, a będzie na ciebie czekało miejsce przy płonącym tronie.

Hopper obejrzał się na plecy przywódcy gangu i pojął, że Saint John widzi w szybie odbicie całego pokoju.

Nie odpowiedział. Usłyszał Marthę idącą do drzwi.

– Chodź – rzuciła. – Muszę się napić.

Odprawa nadzwyczajna

9 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

To było to. To musiało być to.

Delgado siedziała na swym zwykłym miejscu, gdzieś pośrodku głównej sali odpraw Sześćdziesiątego Piątego Komisariatu. Krzesła wokół niej powoli zajmowali inni detektywi. Była sobota, a choć Delgado i tak miała służbę, po paru minutach zorientowała się, że mimo weekendu kapitan LaVorgna musiał wezwać wszystkich do pracy. Wolne miejsca zapełniały się szybko, a do środka wciąż napływali nowi detektywi. Delgado rozpoznała kilka twarzy z nocnej zmiany sierżanta Connelly'ego. Nowo przybyli tłoczyli się z tyłu i po bokach sali.

To było to.

Delgado zebrała się w sobie. Zaraz usłyszy, w co wrobiono jej partnera. Obróciła się na krześle i pomachała do Harrisa, udając, że nie wie, czemu w sali panuje taki tłok.

– Może w końcu złapali Sama – mruknął tamten i z powrotem wsadził nos w kubek z kawą.

Rozmowy ucichły, gdy do środka wmaszerował kapitan LaVorgna. W sali stał pulpit, z którego kapitan rzadko korzystał,

pozostawiając bardziej szczegółowe odprawy sierżantowi McGuiganowi. Lecz tego ranka wszystko wyglądało inaczej. Kapitan podszedł do pulpitu, położył na nim teczkę i zacisnął dłonie na drewnianej krawędzi. Powiódł wzrokiem po zebranych policjantach. Zajrzał w papiery.

– Dziś o godzinie drugiej nad ranem funkcjonariusze zostali wezwani na miejsce strzelaniny w South Slope. Znalezione dwie ofiary, obie to informatorzy współpracujący z detektywami z naszego komisariatu. Po przeszukaniu miejsca zbrodni znaleziono wyrzuconą broń, rozpoznaną jako policyjna. W centralnym laboratorium kryminalistycznym niezwłocznie przeprowadzono analizę balistyczną, która potwierdziła, że z tej właśnie broni zginęły obie ofiary.

Delgado czuła, jak na policzki występuje jej rumieniec. Siedziała w miejscu, nieruchomo, wbijając wzrok w kapitana, przedstawiającego kolejne szczegóły. Miała wrażenie, że jakakolwiek reakcja może zniweczyć cały plan.

Rany, źle to wyglądało.

Kapitan przerwał relację i powiódł wzrokiem po sali. Delgado zareagowała na lekkie poruszenie. Odwróciła się w stronę Harrisa, który siedział dwa krzesła dalej, kręcąc z niedowierzaniem głową. Widziała, jak inni detektywi patrzą po sobie.

Kapitan odchrząknął, z powrotem przyciągając uwagę zebranych.

– Broń była zarejestrowana na detektywa Jamesa Hoppera.

Na te słowa zebrani chóralnie sapnęli ze zdumienia. Kapitan znów się rozejrzał; gdy zaczęły padać pytania, uniósł rękę i w sali zapadła cisza.

– Detektyw Hopper od ponad dwudziestu czterech godzin nie zgłosił się na służbę, mimo że powinien się stawić na swojej

zmianie. Uważamy, że ucieka. Z tego powodu James Hopper jest naszym głównym podejrzanym w sprawie podwójnego zabójstwa. Do odwołania zawieszam wszystkie urlopy, sierżanci McGuigan i Conelly dodatkowo poinformują swoje zmiany.

Kapitan znów otworzył usta i zamknął je. Potem westchnął, pocierając palcami grzbiet nosa.

– Słuchajcie – rzekł – wiem, że to źle wygląda, i uwierzcie mi, jest źle. Ale jeszcze nie wiadomo, co się stało. Proponuję zatem, abyśmy kontynuowali pracę i rozwiązali tę sprawę, niezależnie od wyniku. Mamy obowiązek wobec miasta i oczekuję, że każdy z nas wywiąże się z niego. Czy wyrażam się jasno?

W sali rozeszły się potakujące szmery. Delgado nie dołączyła do nich. Gdy obejrzała się na Harrisa, odkryła, że kilku detektywów wbija w nią wzrok.

– To wszystko – zakończył kapitan. – Sierżancie McGuigan, proszę.

McGuigan oderwał się od ściany. Gdy się mijali, kapitan położył mu dłoń na ramieniu. Delgado patrzyła, jak LaVorgna wychodzi z sali. Ich sierżant rozpoczął własną odprawę.

– No dobra, ludzie, słuchajcie, i to uważnie, bo nikt z nas stąd nie wyjdzie, póki tego nie wyjaśnimy.

Podczas gdy detektywi i mundurowi rozsiedli się wygodnie, mając w perspektywie dłuższą odprawę nadzwyczajną, Delgado otworzyła notes i zaczęła starannie zapisywać najważniejsze informacje od sierżanta. Pochylała głowę i wbijała wzrok w papier, starając się usilnie podtrzymać nadzieję, że jej partner naprawdę wie, co robi.

Tajne wiadomości

9 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Patrząc na Diane przez dwustronne lustro, Delgado przeglądała w myślach różne możliwe scenariusze. W drugim pokoju Diane siedziała przy stole przesłuchań, ze złożonymi rękami i stanowczym wyrazem twarzy. Patrzyła wprost przed siebie, i choć Delgado wiedziała, że jej nie widzi, nie czuła się z tym ani trochę bardziej komfortowo.

Ściągnięcie Diane na przesłuchanie w sprawie nieobecności męża – Delgado kategorycznie odmawiała myślenia o niej jak o „zniknięciu”, biorąc pod uwagę to, co wiedziała – należało do standardowej procedury.

Natomiast przetrzymywanie w pokoju przesłuchań – już nie.

Ponieważ żona Hoppera nie była podejrzaną ani nawet świadkiem. Radiowóz zaczekał, aż Diane załatwi Sarze opiekę u sąsiadów z góry, Van Sabbenów, po czym zawiózł ją na Sześćdziesiąty Piąty Komisariat. Tam zaprowadzono ją wprost do gabinetu LaVorgny i kapitan osobiście poinformował ją o sytuacji dotyczącej męża.

Delgado przyglądała się wszystkiemu z pokoju detektywów –

przynajmniej dopóki kapitan nie zasunął rolet w oknach gabinetu. Podczas gdy rozmawiali w cztery oczy, Delgado udała się do sierżanta McGuigana i poprosiła o to, by to ona mogła spisać zeznania Diane. McGuigan zgodził się chętnie – gdy tylko odprawa nadzwyczajna dobiegła końca, Delgado stała się przedmiotem powszechnego zainteresowania. Niemal wszyscy koledzy, zarówno z jej zmiany, jak i tej nocnej, składali kondolencje, zupełnie jakby usłyszeli, że zmarło któreś z jej rodziców. Przyjmowała je z godną miną, świadoma, że jedyną osobą zwracającą uwagę na jej reakcje jest ona sama. W opinii pozostałych Hopper stał się skorumpowanym gliną, który wmieszał się w coś przerastającego chłopaka z farmy w Indianie – z oplakany skutkiem.

Delgado sama nie wiedziała, czy zaskoczyło ją to, jak szybko cały komisariat zwrócił się przeciwko Hopperowi. Wyglądało na to, że mówił prawdę – faktycznie, wielu policyjnych weteranów wciąż postrzegało go jako przybysza z zewnątrz.

Starła się nawet nie zastanawiać, jak by zareagowali, gdyby to ją agent specjalny Gallup wysłał na tajną akcję.

Gdy tylko Diane stanęła w drzwiach gabinetu kapitana, Delgado porwała ją stamtąd. Żona Hoppera wyraźnie ucieszyła się na jej widok, a choć wyglądała na zdenerwowaną, zdumiewająco spokojnie zniosła słowa kapitana.

Teraz, siedząc w pokoju przesłuchań, wyglądała głównie na rozdrażnioną.

I dobrze, pomyślała Delgado. Oczywiście, iż nie wierzyła, że jej mąż jest zamieszany w podwójne zabójstwo, a co dopiero, że to on nacisnął spust. Delgado nie była pewna, jak głęboko sięga przykrywka – czy faktycznie w kostnicy leżą teraz dwa ciała? Czy Gallup posunąłby się aż tak daleko? A może to tylko skomplikowane oszustwo, obmyślane tak, by utrzymać się dość długo, aby Hopper mógł dostać się w szeregi Żmij i wydostać bez szwanku?

Delgado nie dysponowała odpowiedziami na te pytania. Ale dysponowała żoną Hoppera, ukrytą w pokoju przesłuchań. W zwykłych okolicznościach rozmowa odbyłaby się w pokoju spotkań albo nawet przy biurku Delgado. Tutejszy pokój przesłuchań był ciemny i cuchnący, płyty sufitowe w jednym miejscu odgięły się pod wpływem przenikającej mur wilgoci.

Idealne miejsce, żeby nastraszyć podejrzanego.

Idealne miejsce, żeby odbyć rozmowę na osobności.

Delgado odetchnęła głęboko i wyszła z pokoju obserwacyjnego. Kiedy stanęła w drzwiach pomieszczenia poniżej, Diane uniosła głowę i pokręciła nią szybko.

– Rosario, co się, do diabła, dzieje? Mam nadzieję, że potrafisz mi to jakoś wyjaśnić.

Delgado usiadła naprzeciwko, zerknęła na zegar na ścianie. Choć nie istniał żaden szczególny powód, by nie skorzystać z pokoju przesłuchań do spisania zeznania Diane, wiedziała, że wcześniej czy później ktoś zacznie ich szukać. Może przesadzała z ostrożnością, ale lepsze to niż zaniedbanie.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – zaczęła, nim Diane pokręciła głową i uniosła ręce z kolan na stół.

– Co to znaczy? – Popatrzyła na nią z ukosa. – Słuchaj, Rosario, nie ma mowy, żeby Jim wmieszał się w... w cokolwiek to, do diabła, jest. Nic z tego, co mówił kapitan, nie ma cienia sensu.

Twarz kobiety poczerwieniała. Diane usiadła wygodniej na krześle i pomasowała czoło. Delgado zauważyła, że mimo dzielnej miny trzęsie jej się ręka.

– Posłuchaj, Diane, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Chcę, żebyś słuchała mnie uważnie, dobrze? Nie powinnam tego robić, ale obiecałam Hopperowi...

Diane pochyliła się ku niej.

– Obiecałaś? Rozmawiałaś z nim?

I wtedy Delgado to usłyszała – dźwięk, bardzo słaby, dobiegający gdzieś zza pleców. Nie odwróciła się, ale popatrzyła głęboko w oczy Diane i niemal niedostrzegalnie pokręciła głową. Tamta zmarszczyła czoło wyraźnie oszołomiona, ale przynajmniej Delgado wiedziała, że dotarła do niej wiadomość.

Ktoś był w pokoju obserwacyjnym. Rozpoznała odgłos zamykanych drzwi. Zwykły podejrzany nic by nie zauważył, a zresztą nie miałyby to znaczenia. Ale Delgado wiedziała.

Ich rozmowa nie odbywała się w cztery oczy.

Zacisnęła zęby, po czym sięgnęła do kieszeni marynarki i wyciągnęła jedną z wizytówek i długopis. Szybko odwróciła wizytówkę, zanotowała adres i podsunęła kartonik Diane, ukrywając go jak tylko mogła pod przegubem. Diane, trzeba przyznać, połapała się natychmiast – zasłoniła wizytówkę dłonią i zgarnęła pod stół.

W ostatniej chwili.

Drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się i do środka wszedł kapitan LaVorgna.

– Detektyw Delgado, poproszę do gabinetu.

Delgado odwróciła się na krzesło.

– Tak jest, kapitanie. Właśnie przyjmowałam zeznanie Diane...

– Natychmiast, pani detektyw.

To rzekłszy, kapitan zatrzymał się z jedną ręką na klamce, drugą gestem nakazując Delgado, by wyszła.

Delgado wstała szybko i ruszyła do drzwi. Przed wyjściem udało jej się jeszcze pochwycić spojrzenie Diane. Za sobą usłyszała głos kapitana.

– Przepraszam za to, pani Hopper. Każę odwieźć panią do domu.

Dziękuję za cierpliwość.

Delgado, trzymając się pod boki, stała przed biurkiem kapitana LaVorgny. Pozycja ta stanowiła nowy nawyk, zwykle ona sama nie wiedziała nawet, że to robi.

Teraz jednak miała tego świadomość.

Drzwi były zamknięte, rolety zasunięte. Kapitan poprawił kilka przedmiotów na biurku, potem spojrział na podwładną.

– Możecie się odprężyć, detektywie.

– Dziękuję, postoję, kapitanie. Może mi pan powiedzieć, po co mnie wezwał? Mam teraz mnóstwo zajęć.

Kapitan przytaknął.

– Rozumiem, że chcesz pomóc.

Delgado zmarszczyła brwi.

– Chcę pomóc? Kapitanie, po prostu wykonuję swoją pracę. Wszyscy detektywi zajmują się tą sprawą i chciałabym także wziąć w tym udział.

– To nie będzie konieczne.

– Chyba nie rozu...

– Partnerstwo detektywów to bardzo szczególna więź, Delgado. I bardzo bliska. Wiele od niej zależy, zarówno osobiście, jak i zawodowo.

– Nie musi mi pan mówić.

– Prawdę powiedziawszy, detektywie, może muszę, bo nie wiem, czy rozumiesz, co chcę ci powiedzieć. – LaVorgna odchylił się na krześle i rzucił długopis na biurko. – Jesteś zbyt blisko tego dochodzenia. Co więcej, wciąż jesteś młodszą detektyw, a to poważne śledztwo.

Delgado zmrużyła oczy, ale kapitan westchnął tylko.

– Idź do domu, detektywie. Weź tydzień pełnopłatnego urlopu administracyjnego. Nie odnotuję go nawet w dokumentach.

Zaczęła protestować.

– Naprawdę sędzę, że zdołam pomóc, kapitanie.

– A ja naprawdę sędzę, że nie zdołasz, detektywie. Chcę wiedzieć, że moi podwładni pracują nad tą sprawą bez przeszkód, bez dodatkowych pytań i przeszkód ze strony innych, którzy nie powinni się angażować.

– Przeszkód? Kapitanie, ja...

– Jedź. Do. Domu. To rozkaz. Zobaczymy się za siedem dni. Może do tego czasu wszystko się rozwiąże. Oczywiście zadzwonię, jeśli cokolwiek odkryjemy, zgoda?

Delgado odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

– Tak jest.

Kapitan popatrzył na nią. Ani drgnęła.

– Wychodząc, możecie zamknąć drzwi, detektywie.

Delgado zacisnęła usta i wyszła bez słowa. Gdy zamykała, zerknęła szybko na zegar na przeciwległej ścianie.

A potem zabrała z biurka torebkę i opuściła komisariat, nie przejmując się zdumionymi minami innych detektywów.

Zmierzała wprost do baru U Toma. Tam planowała siedzieć i czekać nawet cały dzień, jeśli będzie trzeba.

Oby tylko Diane zrozumiała wiadomość.

Dzień drugi

9 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Hopper z pewnością nie nazwałby nocy spędzonej w magazynie wygodną, ale bywało gorzej. Po powrocie do kącika socjalnego wypił jeszcze parę piw. Siedzieli razem z Marthą na obstrzępionej kanapie z połamanymi sprężynami. Ta sama kanapa posłużyła mu za łóżko, gdy pozostali w końcu zdecydowali się zakończyć pijacką sesję i iść spać. Hopper zakładał, że w magazynie są też inne miejsca noclegowe, bo gdy się obudził, pomieszczenie było puste. Czuł skurcz mięśni karku.

– Głodny?

Podniósł się gwałtownie i uniósł wzrok. Obok zmaterializowała się Martha, niosąca pudełko z pizzą. Rzuciła je na stół, a potem klapnęła na kanapę obok Hoppera, otworzyła pudełko i wyciągnęła jeden z dwóch kawałków zimnego placeka. Oparła się wygodnie i zjadła z szeroko otwartymi ustami.

Zimna pizza na śniadanie. Hopper westchnął i sięgnął po drugi kawałek. Tak naprawdę potrzebował kawy i to całe mnóstwo.

Jedząc zaschnięty placek, rozglądał się dookoła, ale wciąż pozostawali jedynymi ludźmi w magazynie.

– Gdzie są wszyscy?

– W pracy – odparła Martha. – I my też powinniśmy tam być. Długo śpisz przyjacielu. Pierwsza noc – spoko, druga? Nie ma mowy. Chcesz należeć do Żmij, musisz grać według zasad.

– A te zasady obejmują zimną pizzę na śniadanie?

Martha roześmiała się.

– To najlepsze, co mogłam znaleźć. Przespałeś poranny posiłek w mesie.

Hopper przeżuwał, przetrawiając jej słowa. Odwrócił się do siedzącej obok Marthy.

– Macie mesę?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Jasne. Saint lubi wszystko organizować na swój sposób. Nazywa to pomieszczenie mesą. Ja tam nie wiem, to tylko sala ze stołami i krzesłami. Siedzimy tam i jemy z puszek, racje wojskowe czy coś takiego. Wierz mi, w porównaniu z tym syfem stara pizza to przysmak.

Hopper pokiwał głową.

– No to gdzie śpimy?

– Przypomniałeś mi, musimy wyznaczyć ci miejsce – oznajmiła Martha. – Jesteś w ekipie Leroya i Lincolna, więc śpisz z nimi. – Zeschniętą skórką pizzy wskazała najbliższą stertę skrzyń. – Idź po siennik.

– Siennik?

– Jasne.

Dźwignął się z kanapy i podszedł do skrzyń, wskazanych przez Marthę, rozprostowując po drodze ręce i nogi po nocy spędzonej na kanapie.

Stos skrzyń częściowo przesłaniała brezentowa płachta. Hopper

zsunął ją i odkrył, że górna skrzynia nie ma wieka. Wewnątrz leżały wielkie zwoje materiału, obwiązane brezentowymi paskami. Wyciągnął jeden z nich.

To było posłanie, wojskowe, dokładnie takie, na którym spędził wiele nocy w Wietnamie. Obracając je w dłoniach, przekonał się, że to autentyk – nieco zatechły, ale zupełnie cały. Żmije musiały napaść na sklep z rzeczami z demobilu.

– No chodź – rzuciła Martha, wstała z kanapy i ruszyła w stronę biurowej części magazynu. – Znajdziemy ci miejsce, a potem poszukamy pracy.

Odeszła, Hopper odprowadził ją wzrokiem.

Członkowie Żmij mieli mesę. Jedli racje. Spali na siennikach. Coraz mniej przypominali gang, coraz bardziej prywatną armię.

Zarzucił rulon na ramię i podążył za Marthą w głąb kompleksu.

Wyjaśnienia

9 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Kawa w barze U Toma okazała się tak paskudna, iż Delgado zastanawiała się, czy przypadkiem nie pije z tego samego dzbanka co wczoraj, nie powstrzymało jej to jednak przed opróżnieniem trzech – nie, czterech kubków tej lury, zanim zjawiła się Diane. Przyprowadziła Sarę i Delgado nie zdołała powstrzymać uśmiechu na widok dziewczynki, która ujrzała stos naleśników polanych syropem, niesiony właśnie przez jedną z ponurych kelnerek do stolika obok. Gdy podeszły do jej łoży – przypadkowo tej samej, którą zaledwie wczoraj dzieliła z Hopperem – Diane negocjowała właśnie z córką, że jeśli będzie grzeczną dziewczynką i zachowa się spokojnie, podczas gdy mamusia porozmawia z przyjaciółką, dostanie naleśnika. Sara entuzjastycznie kiwała głową. Chwilę później na stole zmaterializował się samotny naleśnik i mały metalowy dzbanek syropu, a także kawa dla Diane.

Dobry pomysł, pomyślała Delgado; jedzenie zajmie Sarę, podczas gdy matka usłyszy prawdę o mężu. Ale to Diane odezwała się pierwsza.

– Posłuchaj, Rosario, lepiej niech to będzie coś dobrego, bo

muszę wiedzieć, w co się wpakował Jim. Wiem, że nie było to podwójne zabójstwo i od chwili, gdy zobaczyłam cię na komisariacie, zrozumiałam, że orientujesz się, co się dzieje. Więc skończ z...

Diane urwała i zerknęła na Sarę, z zajęciem krojącą widelcem naleśnika na równe kwadraty. Pochyliła się ku Delgado.

– Skończ z tymi pierdołami – niemal wyszeptała – i powiedz, czy z Jimem wszystko w porządku.

Delgado wstrzymała oddech. Tak naprawdę niezbyt dobrze знаła Diane – spotkały się może dwa razy w ciągu sześciu tygodni jej współpracy z Hopperem – wiedziała jednak, że jest ona równie uparta i silna jak jej mąż. Szczerze mówiąc, nie spodziewała się niczego innego.

I dobrze, bo to powinno ułatwić sprawę.

Tyle że...

Zerknęła na blat stołu. Siedząca naprzeciwko Diane wyczuła zmianę nastroju rozmówczyni i pochyliła się jeszcze bliżej.

– O co chodzi?

Delgado uniosła wzrok.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, bo nie znam odpowiedzi.

Diane westchnęła i wyprostowała się.

– Nie wiesz, czy z moim mężem wszystko w porządku? Sądziłam, że orientujesz się, co się dzieje!

– Chwileczkę, chwileczkę. – Delgado uniosła dłoń. – Owszem, wiem, co się dzieje: nie wszystko, ale dosyć. I jak mówiłam, obiecałam twojemu mężowi, że zaopiekuję się tobą. W ramach tej opieki chcę cię uspokoić. Albo przynajmniej spróbować.

Diane pokręciła głową. Sara uniosła swoją, jej broda lepiała się od

syropu. Uśmiechnęła się do matki, a Diane odgarnęła córce włosy z czoła. Uśmiech, którym odpowiedziała, nie był jednak tak szczery, jak ten małej.

– Skoro zatem wiesz, co się dzieje – podjęła – dlaczego nie możesz mi powiedzieć, czy z Jimem wszystko dobrze?

– Bo nie wiem, czy jest dobrze, i taka jest prawda. Nie wiem nawet, gdzie on jest.

Diane westchnęła. Delgado widziała, jak część energii, część woli walki umyka z niej, gdy opadła nieco ciężej na winylowe siedzenie.

Próbowała. Walczyła. Ale stwierdzenie, że to dla niej za dużo... Cóż, Delgado wiedziała, że to niedopowiedzenie stulecia.

– Posłuchaj, Diane, nie powinnam ci tego mówić, i jeśli ktokolwiek się dowie, będziemy miały kłopoty. Twój mąż nie uciekł. Może nie wiem, gdzie jest, ale nie zniknął. Podwójne zabójstwo to przykrywka. Pracuje dla federalnej grupy dochodzeniowej próbującej rozbić duży gang przestępczy: gang powiązany z seryjnymi zabójstwami i kartami Zenera.

Delgado zawiesiła głos. Diane wpatrywała się w nią, uśmiechnięta, z jej oczu płynęły łzy.

Sara przerwała destrukcję naleśnika i popatrzyła na nią.

– Co się stało, mamusiu?

Diane znów pogładziła jej włosy.

– Nic, czym musiałybyś się martwić, skarbie – rzekła i odwróciwszy się do detektyw, otarła łzy. – Opowiedz mi wszystko, co wiesz – poprosiła.

Delgado przytaknęła, pociągnęła łyk kawy i zaczęła.

Śledztwa w całym mieście

9 lipca 1977

Manhattan, Nowy Jork

Kiedy Delgado dotarła pod ostatni adres z listy Jacoba Hoelera, do ośrodka dzielnicowego na dolnym Manhattanie, przysadzistego, nowoczesnego budynku wciśniętego pomiędzy wiekowe kamienice, podzielonego na mniejsze przemysłowe części, było już późne, niedzielne popołudnie.

Tego dnia Delgado odwiedziła już wcześniej dwa miejsca i w tym czasie wzięła udział w dwóch spotkaniach anonimowych alkoholików i dwóch grup wsparcia dla kombatantów. Nie była pewna, jak uczestnicy zniosą jej obecność, ale okazało się, że na każdym ze spotkań przyjęto ją ciepło. Oczywiście szybko pojęła, że wszystkich tak witano, że nikogo się tu nie osądza, na tym właśnie polegały te grupy. Co więcej, udział w zajęciach był równie nieobowiązkowy, jak przychodzenie na spotkania, więc Delgado mogła siedzieć cichutko i obserwować wszystko, bez ściągania na siebie podejrzeń.

Sama nie wiedziała czy to właściwe podejście do śledztwa. Z czterech spotkań tylko jedna grupa wsparcia – przeznaczona dokładnie dla weteranów z Wietnamu – zdawała się mieć

jakiegokolwiek powiązania z karcianymi zabójstwami.

I powiązanie to nie było nawet bezpośrednio, rozmawiając z częścią uczestników podczas przerwy na kawę, Delgado dowiedziała się, że grupa, do której dołączyła, jest względnie nowa, utworzyli ją członkowie wcześniejszej grupy wsparcia. Tamta rozpadła się nagle po tym, jak zniknął jej organizator.

Organizatorem tym był Jonathan Schnetzer.

Pierwsza ofiara.

A kiedy Delgado pokazała zdjęcie Jacoba Hoelera z pożyczonych akt, dwóch członków grupy rozpoznało go, mimo kiepskiej jakości fotki. Tak, parę razy bywał na spotkaniach.

Wreszcie robiła postępy – choć jednak wiedziała, że to właściwa droga, nadal czekał ją ogrom pracy. Znalazła trop, ale tylko na jednym spotkaniu z czterech, które dotąd odwiedziła, a dochodziła już czwarta po południu. Tak naprawdę potrzebowała sposobu, by sprawdzać po kilka spotkań jednocześnie, ale to przecież niemożliwe.

Działała sama, pracując nad sprawą, której w ogóle nie powinna już tykać.

Kiedy Delgado zajrzała przez frontowe okno ośrodka, dostrzegła zawiadomienie przyklejone do szyby, niemal zagubione pośród podobnych informacji, rozwieszonych tak, by dało się je przeczytać z ulicy.

Trafiła we właściwe miejsce. Ale czy się spóźniła?

Informacja brzmiała: warsztaty grupy weteranów z godziny szesnastej odwołane.

Grupy weteranów? To musiało być to.

Delgado odetchnęła głęboko, weszła do ośrodka i znalazła recepcję. Siedząca za nią kobieta przełożyła okulary na czubek głowy, pośród gęste loki, i spojrzała na Delgado.

– Szuka pani czegoś?

Delgado uznała, że czas rozegrać to inaczej, wyłowiła z torby odznakę detektywa i pokazała. Kobieta przyjrzała jej się, z powrotem zsuwając okulary na nos, potem popatrzyła na nią ponad oprawkami.

– Coś się stało?

– Jestem detektyw Delgado.

Uch-huch.

Schowwała odznakę i pokazała palcem przednią szybę pokrytą mnóstwem ogłoszeń.

– Grupa weteranów miała spotkać się o szesnastej?

– A, to. – Kobieta wstała z krzesła i podeszła do okna, pochylając się, by sprawdzić, czy na pewno wybierała właściwą kartkę, po czym oderwała ją. – Powinnam to zdjąć, ta grupa już się tu nie spotyka.

– Kiedy odbyło się ostatnie spotkanie?

Kobieta wróciła na swe miejsce.

– Zobaczmy. – Obok jej łokcia leżała wielka, otwarta już, księga, recepcjonistka zaczęła przeglądać kolejne kartki, przesuwając palcem wzdłuż każdego nagłówka. – Proszę, jest, w sumie minął cały miesiąc, mieli rezerwację dwa razy w tygodniu, w środę wieczór, w niedzielę po południu. – Kobieta zmarszczyła brwi i sprawdziła następną stronę. – Zgadza się, zapłacili z góry za cały miesiąc, ale do ostatnich ośmiu sesji nie doszło. Przykro mi, powinnam zdjąć to powiadomienie już jakiś czas temu. – Na chwilę urwała, po czym uniosła wzrok. – Ach, tak, zgadza się.

– Przypomniała coś sobie pani?

Kobieta znów przebiegła wzrokiem księgę, postukując w jeden wiersz palcem, a potem ponownie przełożyła okulary na głowę.

– W pierwszą środę, kiedy spotkanie odwołano, grupa zjawiała się, ale moderator nie. Wypytywali, gdzie jest. Linda, moja koleżanka, nie ma jej dzisiaj, próbowała się do niego dodzwonić, ale nie odebrał. Tak samo wyglądało to w niedzielę, przyszło tylko parę osób, dzwoniłiśmy. Bez skutku.

Delgado miała przeczucie, że wie, jak brzmi odpowiedź na jej następne pytanie.

– Może mi pani podać nazwisko moderatora?

– No cóż, Lindy dziś nie ma. Mogłabym sprawdzić numer, choć, czy nie potrzebuje pani do tego nakazu?

Delgado wzruszyła ramionami.

– Chodzi mi tylko o nazwisko.

Kobieta pociągnęła nosem, po czym znów otworzyła księgę, ponownie zaczęła przesuwając palcem po nagłówkach, w końcu postukała palcem w stronę.

– Sam Barrett.

Uniosła księgę i odwróciła tak, by Delgado mogła przeczytać.

Dobrze zgadywała, grupą dla weteranów kierował Sam Barrett.

Druga ofiara.

Delgado miała jeszcze tylko jedno pytanie, wyjęła fotografię Jacoba Hoelera i podała kobiecie.

– Widziała pani tu kiedyś tego mężczyznę?

Okulary powróciły na nos, kobieta przysunęła blisko fotkę, a potem odsunęła, zmarszczyła brwi.

– Może. Nie wiem. Trudno rzec. To bardzo kiepskie zdjęcie.

Delgado przytaknęła.

– Spróbuje pani jeszcze raz?

Kobieta westchnęła, jakby Delgado naprawdę jej się uprzykrzała, ponownie popatrzyła na zdjęcie i oddała je.

– W środę, był tu w środę, kiedy cała grupa wypytywała, gdzie jest ich moderator. O co w ogóle chodzi, nie chcemy tu żadnych kłopotów.

Delgado schowała zdjęcie do torebki.

– Nie, to żadne kłopoty, dziękuję, bardzo mi pani pomogła.

Odwróciła się i wyszła. Przechodząc przez drzwi, usłyszała, jak kobieta za biurkiem wzdycha ciężko.

Już na chodniku Delgado przystanąła, porządkując wszystko, czego dowiedziała się na temat Jonathana Schnetzera, Sama Barretta i Jacoba Hoelera.

A potem odwróciła się na pięcie i ruszyła do centrum.

Teraz zależało jej na tylko jeszcze jednym spotkaniu. Jeszcze jednej osobie, z którą musiała porozmawiać.

Doktor Lisie Sargeson.

Zerknęła na zegarek – jeśli się pospieszy, może zdąży.

Spóźnienie

10 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Delgado dotarła na zajęcia Lisy zaledwie kilka minut przed ich rozpoczęciem. Gdy weszła do środka, mijając grupkę uczestników szykujących się do zajęcia miejsc, pomachała do prowadzącej i spotkały się w głębi sali.

– Witam, pani detektyw. Nie spodziewałam się pani tutaj. – Lisa zmarszczyła brwi. – Czy coś się stało?

– Zastanawiałam się, czy mogłabym ci zadać jeszcze parę pytań.

Lisa zmarszczyła nos.

– Czy to ważne? Bo zaraz zaczynam warsztaty.

Delgado otworzyła torebkę.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo. – Wyjęła zdjęcie Jacoba Hoelera. – Poznajesz tego człowieka?

Ale Lisa już kręciła głową.

– Przykro mi, nie. Kto to?

Warto było spróbować.

– Nazywa się Jacob Hoeler – odparła Delgado. – Mamy powody sądzić, że w ostatnich tygodniach mógł brać udział w spotkaniach

kilku różnych grup wsparcia w całym mieście.

Lisa zacisnęła wargi.

– No cóż, to nie jest grupa wsparcia, a uczestników dobiera panel. Nigdy wcześniej go nie widziałam ani nie słyszałam jego nazwiska.

– Jasne. A znasz może Jonathana Schnetzera albo Sama Barreta?

Lisa pokręciła głową.

– I znów nie. Nigdy wcześniej o nich nie słyszałam.

Delgado odetchnęła głęboko.

– No cóż, dzięki. – Ramiona jej oklapły, ale na widok pytającej miny Lisy nie zdołała powstrzymać znużonego śmiechu. – Naprawdę w porządku. Po prostu sprawdzam kolejne tropy.

– Jeśli mogłabym jakoś pomóc, proszę dzwonić o dowolnej porze.

– Oczy Lisy rozszerzyły się. – Czy to ma coś wspólnego z tymi kartami?

– Obawiam się, że nie mogę o tym mówić – odparła Delgado.

I faktycznie nie mogła, choć w tym przypadku bardziej kryła własny tyłek. Gdyby wyszło na jaw, że zajmowała się sprawą podczas urlopu udzielonego przez kapitana, solidnie by jej się oberwało.

– Zostawię cię z podopiecznymi. Gdyby wypłynęło coś nowego, dam znać.

Wymknęła się szybko przejściem między krzesłami i pchnięciem otworzyła podwójne drzwi na końcu pokoju. Kiedy wyszła do głównego holu, minęła wysokiego mężczyznę z krótkimi włosami przyciętymi w stylu wojskowym; jego oczy zakrywały srebrne lustrzanki, ostry podbródek okalało wąskie pasmo brody. Delgado uznała, że to pewnie spóźniony uczestnik warsztatów.

Więcej o nim nie myślała.

Wejście Węża

10 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– To była świetna sesja. Muszę pogratulować pani techniki.

Lisa nadal wkładała rzeczy do torby. Spotkanie grupy reedukacyjnej właśnie się zakończyło i paru uczestników wciąż kręciło się przy drzwiach, paląc dymka, podczas gdy ich terapeutka sprzątała salkę.

Mężczyzna ruszył przejściem pomiędzy rzędami starych, wyświeconych krzeseł w dawnej świetlicy kościoła metodystów. Gdy Lisa uniosła wzrok, wskazał je gestem, a choć jego oczy skrywały szkła lustrzanek, dotarło do niej przesłanie.

– Och, dziękuję. – Machnęła plikiem papierów. – I dzięki, przydałaby mi się pomoc. Wcześniej prosiłam uczestników, żeby po skończonej sesji pomagali mi posprzątać, ale potem uznałam, że wówczas za bardzo przypomina to szkolne zajęcia.

Mężczyzna zaśmiał się i zaczął zbierać krzesła, ustawiając je jedno na drugim obok starego pianina. Lisa przyglądała mu się, podpierając się ręką pod bok. Kiedy zajął się następnym rzędem, zmarszczyła brwi.

– Przepraszam, ale my się chyba nie znamy? Nie należy pan do

grupy.

Mężczyzna przystanął, po chwili kontynuując sprzątanie. Był wysoki, miał oliwkową skórę, krótko ostrzyżone włosy i wąską brodę okalającą szczękę. Oprócz lustrzanek nosił fioletową koszulę pod czarną skórzaną kurtką i łańcuszek na szyi; z łańcuszka zwisały dwa prostokątne wisiorki.

Lisa spięła się, nagle spłoszona. Chociaż członków grupy reedukacyjnej dobierano wyłącznie na zaproszenie, we współpracy z dyrektorami kościelnych grup dobroczynnych, kierującymi programem, sam kościół metodystów był przestrzenią publiczną, zawsze otwartą dla potrzebujących. Ich grupa co prawda rezerwowała salę, ale Lisa nie zamykała przecież drzwi na początku każdej sesji. Każdy mógł wejść do środka.

Łącznie z tym mężczyzną. Musiała przyznać, że wygląda zupełnie jak inni członkowie grupy – w odróżnieniu od Instytutu Rookwood, organizacja dobroczynna nie miała dostępu do więźniów, zamiast tego działała w nadziei na resocjalizację już zwolnionych, którzy próbowali stworzyć sobie nowe, zwyczajne życie poza więzieniem. Pracownicy organizacji starali się odnaleźć świeżo zwolnionych więźniów najbardziej zagrożonych recydywą – im wcześniej zaczęli z nimi pracować, tym lepsze wyniki – toteż przynajmniej część członków grupy zaliczała się do tak zwanych twardzieli, nawet jeśli sami zgłosili się na ochotnika, pragnąc zmienić coś w życiu, by znów nie wylądować za kratkami.

Mężczyźni – a byli to sami mężczyźni – którzy dołączyli do grupy Lisy, należeli też do innej grupy ryzyka, ich bezradność, niepewność życia pośród zwykłych obywateli czyniły z nich idealne cele dla rekrutujących gangów – a w Nowym Jorku działało całkiem sporo podobnych organizacji.

Takich jak ta, do której należał ów nieznajomy. Ponieważ układał właśnie w stos trzeci rząd krzesel, udając, że jej pomaga, Lisa

dostrzegła naszywkę na plecach kurtki – zwiniętego ciasno czerwonego węża z wysuniętym rozdwojonym językiem. Pod spodem widniało jedno słowo: ŻMIJE.

Odetchnęła głęboko i podeszła do mężczyzny. Miewała już do czynienia z podobnymi przypadkami. Trzeba czegoś więcej niż naszywka gangu, by nią wstrząsnąć.

– Przepraszam – zagadnęła, wkraczając w jego przestrzeń osobistą. – Musi pan wyjść, natychmiast; w przeciwnym razie wezwę policję.

Mężczyzna uniósł ręce i pokiwał głową – Lisa instynktownie cofnęła się o krok, poza jego zasięg. Może mogłaby krzyknąć – istniała szansa, że w pobliżu wciąż pozostała część grupy, kilku członków zwykle rozmawiało po spotkaniach – i dobrze, bo stanowiło to część procesu, pozwalało im nawiązać przyjaźń, stworzyć więzy lub własną grupę wsparcia.

Torebka Lisy została w głębi sali. W środku miała puszkę gazu i pałkę teleskopową. Kobieta w Nowym Jorku musi przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Poradzi sobie.

Poradzi sobie z nim.

– Przepraszam – podjął mężczyzna – nie chciałem się narzucać, ale zapewniam, nie mam złych zamiarów. I nie chcę wzbudzić pani obaw.

Lisa postąpiła kolejny krok w tył. Zachowywał się dziwnie, mówił w sposób nieprzypominający typowego ulicznego bandziora, był wykształcony, inteligentny. Inny. I trzymał ręce na widoku.

– Mówiłem serio, robi tu pani coś wspaniałego. Niezwykłego. Coś, czego to miasto i jego mieszkańcy bardzo potrzebują. Muszę pani pogratulować. W istocie dlatego właśnie tu przyszedłem.

Lisa przekrzywiła głowę.

– Przyszedłeś mi pogratulować?

Mężczyzna roześmiał się.

– Tak. Ale też zaproponować pani pracę.

Lisa zamrugła.

– Przepraszam, czy powiedziałeś to, co zdawało mi się, że powiedziałeś?

Mężczyzna przytaknął.

– Reprezentuję pewną organizację...

– Chcesz powiedzieć gang. – Lisa machnęła ręką. – Żmije. Zapomniałeś, że ogłaszasz to wszem wobec na swojej kurtce?

Nieznajomy roześmiał się.

– Owszem, Żmije. Ale, jak mówiłem, nie jesteśmy gangiem, tylko organizacją. Istotnie, zapożyczyłem pewne elementy z innych źródeł, ale to nie jest przedsięwzięcie kryminalne. I fakt, trudno nas nazwać organizacją charytatywną, lecz cele mamy podobne: zapewnić pomoc tym, którzy jej potrzebują. Podobnie jak pani grupa. Chciałbym, żeby pani do nas dołączyła.

Lisa pokręciła głową. Upewniwszy się, że mężczyzna nie zaatakuje, wróciła w głąb sali. Szybko przełożyła przez głowę pasek torebki i zgarnęła resztę rzeczy, wpychając je do środka.

– Przykro mi, ale cokolwiek sprzedajesz, ja tego nie kupuję. Powodzenia z waszą grupą, ale ja jestem zupełnie zadowolona z pracy tutaj.

– Z pieniędzy też?

Lisa przystanęła.

– Słucham?

Mężczyzna rozejrzał się po sali, rozkładając ręce.

– Wsadzili panią do takiej dziury, płacą grosze, a pani haruje jak wół, próbując ratować tuzin osób naraz. Proszę pracować u mnie.

Będzie mogła pani ratować setki i opłacać w terminie czynsz.

Znów pokręciła głową.

– Naprawdę czas już, żebyś wyszedł.

Mężczyzna ruszył ku niej w głąb sali.

– Nie chce pani czegoś zmienić? Osiągnąć? Czegoś ważnego? Pomaga pani ludziom, tym właśnie się pani zajmuje, do tego się pani urodziła. Proszę pracować dla mnie, a razem pomożemy całemu miastu.

Lisa westchnęła z irytacją. Zbyt długo traktowała go uprzejmie, ale coś w tym człowieku zdecydowanie jej się nie podobało.

– Skąd w ogóle wiesz, kim jestem i co robię? Nie należysz do mojej grupy. Znasz kogoś z członków? Rozmawiałeś z kimś o tym?

– Och, doktor Sargeson, wiem, kim pani jest. Znam pani prace. Pani doktorat na temat metodologii reintegracji socjologicznej to prawdziwe dzieło sztuki, jeśli mogę tak to ująć. Studiowałem pani prace. Ma pani fascynujący umysł.

No świetnie, czyli miała do czynienia ze stalkerem, tyle że ten, zamiast zaglądać przez okna, spędził mnóstwo czasu, przeszukując katalogi biblioteki publicznej.

Lisa nabrała powietrza, żeby powiedzieć mu, co o nim myśli, ale mężczyzna uniósł rękę.

– Ma pani długopis?

Zamknęła już otwarte usta, by po sekundzie znów przemówić.

– Ja... długopis?

Mężczyzna przytaknął. Z wewnętrznej kieszeni wyłowił czerwone pudełko zapalek, obrócił je w dłoniach, jakby sprawdzał, czy go nie potrzebuje, po czym wyciągnął do niej pustą rękę. Lisa zmarszczyła brwi, ale ku swojemu zdumieniu odkryła, że szuka

w torebce długopisu i wręczyła mu go.

Mężczyzna podszedł do pianina, oparł się i zapisał coś wewnątrz pudełka.

– Oto, gdzie jesteśmy. Proszę to przemyśleć. Mam przeczucie, że zmieni pani zdanie. Kiedy będzie pani gotowa, proszę przyjść mnie odwiedzić. Czekam.

Oderwał kawałek wieszka i podał jej. Po pustej stronie napisał adres, gdzieś w Bronksie. Popatrzyła na niego.

– Co to...

– Pani długopis – przerwał, oddając go jej. Wzięła długopis.

A potem odwrócił się i wyszedł. W połowie drogi do drzwi zatrzymał się i zawołał przez ramię:

– Miło było znów panią widzieć, doktor Sargeson. Mam nadzieję, że podejmie pani słuszną decyzję.

Wyszedł. Lisa została sama w sali.

Stała tam, dygocząc, po czym spojrzała na kawałek kartonu w dłoni.

Westchnęła, wrzuciła go do torebki i nagle uświadomiła sobie, że wciąż musi odstawić połowę krzesel.

Rzuciła zatem torbę na podłogę i zabrała się do pracy, cały czas rozmyślając o dziwnym nieznanym.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera

Hawkins, Indiana

Widząc oszołomienie na twarzy Nastki, Hopper urwał. Zerknął na zegarek. Robiło się późno, ale podejrzewał, że sam męczy się szybciej niż ona.

Usta Nastki ułożyły się na kształt litery O.

Hopper uniósł brew.

– Jakies pytania z sali?

Nastka splotła ręce na piersi.

– Jak? Skąd wiesz?

– Skąd wiem: co?

– Delgado. Lisa – odparła Nastka. – Nie było cię tam.

– Słuszna uwaga – przyznał Hopper – ale my, to znaczy ja i Delgado, po wszystkim poskładaliśmy to do kupy. Musieliśmy przesłuchać wiele osób i uwzględnić wszystko w długim, oficjalnym raporcie; napisanie go trwało dłużej niż samo śledztwo. Zabrali nas potem do Waszyngtonu, żebyśmy przedstawili go bandzie anonimowych garniaków w budynku federalnym. Porządnie nas wymaglowali, choć nigdy nie dowiedziałem się, kim byli – uśmiechnął się szeroko. – W gruncie rzeczy to niezłe podsumowanie całej tej historii.

Nastka powoli pokiwała głową, ale wyraz jej twarzy jasno świadczył, że nie czuje się przekonana.

– I pewnie, przyznaję, że część informacji była trochę niekompletna. Staraliśmy się jak mogliśmy, ale nie udało nam się uzyskać pełnego obrazu wszystkich wydarzeń i tego, o czym myśleli ludzie. – Hopper pochylił się naprzód. – To kolejny aspekt pracy detektywa. – Przesunął dłońmi po blacie, jakby rozkładał talię niewidzialnych kart. – Musisz zebrać mnóstwo różnych informacji, zeznań z przesłuchań, twoich własnych odkryć i ustalić, jak pasują do siebie. To niełatwe, bo czasami mnóstwo informacji z początku nie ma cienia sensu, a to, co mówi jakaś osoba, tak naprawdę się

nie zdarzyło, nawet jeśli sądzi, że zeznaje tylko prawdę. Ja opisuję ci tę większą historię. Mogę to zrobić, bo od lat tkwi mi w głowie. Czasami trzeba tyle czasu, by móc spojrzeć wstecz i przekonać się, co naprawdę zaszło.

Odsunął się z rękami na kolanach i wzruszył ramionami.

– Lecz owszem, niekiedy są pewne luki i trzeba je wypełnić najlepiej, jak umiemy, nawet jeśli nie mamy pewności, czy tak było w istocie. Jak mówiłem, to część naszej pracy: detektyw bierze to, co wie, i buduje obraz sprawy. Jeśli wykonał wszystko jak należy, to można liczyć, że elementy dopasują się do siebie.

Nastka wbijała wzrok w stół. Hopper nie widział jej twarzy, ale też chyba nie musiał. Cała historia była wielka, skomplikowana i diablo długa – znacznie dłuższa, niż zamierzał.

A jednocześnie bardzo mroczna. Z początku nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz choć cenzurował pewne elementy i tak zastanawiał się, czy aby nie posunął się za daleko. Z drugiej strony, musiał powiedzieć prawdę o tym, co zaszło – robił to nie tylko dla niej, ale i dla siebie. To były wspomnienia, do których od dawna nie sięgał, a Nastka musiała – i chciała – poznać jego przeszłość. Jednak... no cóż, może historia o kulcie satanistycznym i seryjnym mordercy to nie porywająca przygoda, jaką chciał opisać swojej młodej podopiecznej. Próbował sobie przypomnieć, jaki był w wieku Nastki i jak zareagowałby na tę samą opowieść.

Nie znalazł jednak odpowiedzi.

Znów się pochylił.

– Słuchaj, młoda, już późno. Może lepiej wróćmy do tego rano i...

Nastka uniosła głowę.

– Nie!

– Uhm, no dobra. – Hopper przekrzywił swoją. – Ale to nie jest, no wiesz, za straszne dla ciebie?

Nastka zawahała się, jakby bardzo starannie rozważała jego pytanie.

– Jest w porządku – rzekła i uśmiechnęła się. – Tylko... w połowie straszne. – Uśmiech zniknął. – Po prostu...

– Co po prostu?

– Naprawdę nic ci się nie stało? – Zmrużyła oczy, jakby analizowała logicznie problem. – Jesteś tu... więc nic się nie stało.

Hopper uśmiechnął się, a potem grymas zamienił się w chichot. Twarz Nastki pojaśniała, odniósł wrażenie, że dziewczynka odprężyła się, i to mocno.

– Tak, Nastko, nic mi się nie stało. Wciąż żyję.

Pokiwała głową, wyraźnie usatysfakcjonowana.

– Czyli chcesz, żebym mówił dalej?

Uśmiechnęła się.

– No dobrze, na czym skończyłem?

Gdy Hopper podjął przerwany wątek, pomyślał o pytaniu Nastki, o jej obawach.

Tak, wyszedł z tego cało.

Ledwie.

Delgado sięga po telefon

12 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Delgado sięgnęła po telefon, po czym odłożyła go, uczyniła to jeszcze trzykrotnie, aż w końcu warknęła sama na siebie i zaczęła krążyć po swoim ciasnym mieszkaniu.

Nim zrobi to, co zamierza, musi się upewnić, że to właściwa decyzja. Po prawdzie analizowała to raz po raz cały wczorajszy dzień i każdy argument „za” przywoływał w jej umyśle kolejny, „przeciw”.

Bo jeśli zadzwoni, to koniec – nie zdoła się już wycofać. Będzie musiała zaangażować się bez reszty, i do diabła z konsekwencjami.

Więc owszem, musiała mieć pewność, czy postępuje jak należy. A jeśli nie zrobi nic dzisiaj i tak będzie za późno.

Wróciła do salonu, uważając, by nie pośliznąć się na żadnej z dziesiątek kartek papieru rozrzuconych po podłodze. Na kanapie leżał notatnik, w którym przez kilka wieczornych godzin przetrawiała swoje myśli i teorie, tworząc z nich coś, co – miała nadzieję – wygląda choć trochę spójnie.

Teraz sięgnęła po niego i raz jeszcze odczytała ostatnią stronę notatek. Na górze widniały dwa nazwiska, zakreślone kółkami

połączonymi linia.

Jonathan Schnetzer. Sam Barrett. Obaj kierowali grupami wsparcia dla kombatantów z Wietnamu. Grupami odnoszącymi sukcesy – przynajmniej dopóki ich moderatorzy nagle nie zniknęli, a one same się nie rozpadły.

Trzecia ofiara, Jacob Hoeler, odstawała od reszty – ale jego zabójstwo pasowało do teorii Delgado. Może to zbyt eleganckie i wyciąga pochopne wnioski, ale... pasowało. Była tego pewna.

Ponieważ Jacob Hoeler, agent specjalny, działający pod przykrywką członek grupy specjalnej Gallupa, odwiedził każde z miejsc na swej liście – a dokładniej te, w których pracowali Schnetzer i Barrett.

I po każdej wizycie przywódca grupy był mordowany, a grupa rozwiązana. Wkrótce potem samego Hoelera także spotkał podobny koniec – zginął z ręki karcianego zabójcy, bo tamten go widział. Dlatego, że zabójca wziął sobie na cel grupy terapeutyczne, ich przywódców – z przyczyn wciąż dla Delgado niepojętych – a Hoeler deptał mu po piętach.

Należało go zatem usunąć. Stał się trzecią ofiarą.

Delgado zamyśliła się i pokręciła głową. Czy teoria trzyma się kupy? A może po prostu chce, żeby się trzymała? To dwie bardzo różne rzeczy.

I jak to wszystko łączyło się z Lisą? Czy w ogóle istniała jakaś więź? Owszem, Lisa wiedziała, czym są karty Zenera i moderowała grupą w jednym z miejsc uwzględnionych na liście Hoelera. Ale Delgado sama widziała, że organizacji urządzających spotkania w świetlicy metodystów jest całe mnóstwo.

I czym dokładnie zajmował się Hoeler? Rozgryzał Żmije, ale w jakiś sposób natknął się na seryjnego mordercę? A może skrzyżowanie śledztwa w sprawie gangów i zabójstw karcianych to

czysty zbieg okoliczności? Czyżby Hoeler zginął przez pomyłkę, bo zabójca uznał, że go śledzi, podczas gdy Hoeler pracował nad czymś zupełnie innym? Delgado wpatrywała się w notatki, aż w końcu własne pismo zaczęło rozpląwać jej się przed oczami. Odrzuciła notatnik na kanapę, jeszcze raz okrążyła mieszkanie i w końcu podjęła decyzję.

Ponieważ istniała szansa, że odkryła coś ważnego. Użytecznego. Coś, co może nawet pomóc jej partnerowi, gdziekolwiek przebywa.

Wróciła do telefonu, podniosła słuchawkę i wybrała numer miejscowego biura FBI. Telefon odebrano po zaledwie kilku dzwonekach.

– Nazywam się detektyw Rosario Delgado, pracuję na Sześćdziesiątym Piątym Komisariacie. Muszę natychmiast rozmawiać z agentem specjalnym Gallupem.

Czas decyzji

13 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– Słuchaj, Jerry, nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć?

Lisa chodziła po mieszkaniu, ciągnąc za sobą długi kabel telefoniczny. Okrążała własny salon, wbijając wzrok w podłogę i próbując zrozumieć, co właściwie mówi jej „szef” – o ile prezesa zarządu organizacji dobroczynnej, opłacającej program reedukacyjny, można nazwać jej szefem.

To nie miało krzty sensu. Ani odrobiny.

– Przykro mi, doktor Sargeson – powtórzył Jerry wprost do jej ucha; wyobrażała sobie, jak siedzi w ciasnym, dusznym gabinecie gdzieś na dolnym Manhattanie. – Ale nie wiem, jak jeszcze mam to ująć. Zamykamy twój program ze skutkiem natychmiastowym. Zarząd zgodził się opłacić ci stypendium do końca miesiąca, obawiam się jednak, że więcej pieniędzy nie mamy.

Lisa przystanąła pośrodku własnego przedpokoju i plasnęła dłonią w czoło.

– Nie rozumiem.

Po drugiej stronie Jerry westchnął w słuchawkę.

– Przykro mi, naprawdę, ale i tak już brakuje nam funduszy i nie możemy kontynuować twojego programu pilotażowego.

Lisa zacisnęła dłoń na słuchawce.

Czy właśnie powiedział...

– Pilotażowego? Żartujesz sobie Jerry? To nie jest program pilotażowy. Zobowiązaliście się opłacać spotkania grupy przez cały rok, a po półrocznej kontroli stwierdziliście, że wyniki są znakomite. W istocie uznaliście je za lepsze, niż mogliście liczyć. Nawet cholerna policja nowojorska napisała list pochwalny. Chcesz, żebym go znalazła i przeczytała ci przez telefon, Jerry?

– Doktor Sargeson, Liso, naprawdę rozumiem.

– A ja nie.

Jerry znów westchnął.

– Posłuchaj, będę z tobą szczery. Chodzi o pieniądze. Po prostu już ich nie mamy.

– Co to znaczy: już?

– Wyjrzyj za okno, Liso. – W głosie Jerry’ego dźwięczała nuta desperacji. – Nowy Jork nie jest już taki jak kiedyś. Część ludzi poddała się i spisała go na straty, uznała, że nie da się nic naprawić. I, niestety, wśród nich znalazła się część naszych dobroczyńców. Przykro mi zatem, ale nie możemy sobie pozwolić na kontynuowanie twojego programu.

Lisa wróciła do salonu i klapnęła ciężko na kanapę przy oknie wykuszowym. Potrząsnęła głową.

– Nie możemy ich tak po prostu zostawić, Jerry. Ludzie z mojej grupy świetnie sobie radzą. Musimy to pociągnąć. Odwołanie spotkań nie wchodzi w grę. Wiesz, co się wtedy z nimi stanie.

– Sądzę, że nie docenia pani siebie, doktor Sargeson. Ani nas.

– Słucham?

– Zarząd zgodził się pomóc w umieszczeniu uczestników programu w innych grupach. Owszem, twoja była najlepsza w mieście, ale nie tylko ty próbujesz pomóc tym ludziom, a twoje dokonania były znakomite. Naprawdę im pomogłaś. Owszem, zakłócenie procesu nie jest zbyt fortunne, ale postaramy się je zminimalizować. Poradzą sobie i to tobie mogą za to podziękować.

Rozmowa, a właściwie monolog Jerry'ego trwał dalej; Lisa pozwoliła swojemu umysłowi odpłynąć, podczas gdy prezes zarządu gadał i gadał. Nie mogła uwierzyć, tyle pracy, tyle czasu, tyle wysiłku. I koniec. Ot tak.

Oczywiście nie pierwszy raz dostała kopniaka od losu, ale przynajmniej w Instytucie Rookwood rozpoznała oznaki zwiastujące, że statek tonie i odeszła sama. Natomiast organizacja dobroczynna... Tak dobrze jej szło przy tak niewielkich kosztach.

Nie może z tego zrezygnować, nie może. I nie zrezygnuje.

W tej chwili jednak wyglądało na to, że nie ma wyboru. Zakończyła rozmowę, Jerry znów przeprosił, wspominając o współczuciu i zapewniając, że idealnie spisywała się w pracy, wręcz wzorcowo.

To nie jej wina, to oni.

Lisa opuściła słuchawkę na widelki i odchyliła się na kanapie, unosząc głowę i wrzeszcząc w sufit. Zamknęła oczy, siedziała tak kilka minut.

Potem wstała. Nie pozwoli, by to ją powstrzymało. Owszem, jest dobra w swojej pracy. Tak, pomagała ludziom.

I może zdoła to kontynuować.

Wstała i niemal zanurkowała w stronę torebki leżącej na podłodze przy drugim fotelu. Otworzyła ją szarpnięciem i zaczęła wyrzucać zawartość, aż w końcu znalazła to, czego szukała – kawałek tekturki, który dał jej wczoraj człowiek z gangu Żmij.

Obróciła go w palcach; z jednej strony wydrukowano nazwę lokalu, z którego pochodziły zapalki – gdzieś w Bronksie, restauracja U Louiego – a na odwrocie wypisano ciemnym długopisem adres, nieco trudny do odczytania na czerwonym tle.

Czy to słuszna decyzja? Bo przecież niewątpliwie szalona, bez dwóch zdań. Nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek. Był mądry, dobrze się wysławiał, ale wyglądał jak gangster i nosił naszywkę, choć nazywał swą grupę „organizacją”.

Tak, jasne.

Lecz z drugiej strony... Co, jeśli mówił prawdę? Bo to dość dziwaczna historia. Jeśli należał do gangu, po co mieliby ją zatrudniać? Gangi nie słyną z dobroczynnej natury, troski o innych obywateli, pragnienia pomagania ludziom w potrzebie. Wręcz przeciwnie.

Może więc mówił prawdę.

A może nie.

Ale czy nie warto tego sprawdzić? Nie żeby miała inne naglące zajęcia.

Albo pracę, pomijając karierę magiczki do wynajęcia. Jeśli ten człowiek mówił prawdę i mógł opłacić własny program, taki, jaki próbowała zorganizować w Rookwood i jakim kierowała w organizacji dobroczynnej, tyle że z odpowiednimi funduszami, pozwalającymi jej poświęcić cały czas pracy...

Podjęła decyzję. Pojedzie i sprawdzi. W najgorszym przypadku oznacza to jedną niepotrzebną wycieczkę do miasta.

A w najlepszym?

Lisa spakowała kartonik do torebki, sprawdziła, czy wciąż ma tam gaz i palkę, a następnie ruszyła do Bronksu.

Wizyta domowa

13 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Delgado wciąż przyglądała się spisowi nazwisk obok przycisków domofonu, gdy otwarły się drzwi frontowe kamienicy. Uniosła wzrok i odkryła, że osoba, do której przyszła, stoi w wejściu.

– Detektyw Delgado! – zawołała Diane. Córka stała tuż obok, kurczowo ściskając dłoń matki. – Masz jakieś wieści?

– Och, nie, przepraszam – Delgado wyprostowała się. – Ach... nie chciałam zaskoczyć was w domu.

Ale Diane pokręciła głową.

– Nie, w porządku. Cały dzień siedziałam przy oknie na górze. Zwolniłam Sarę ze szkoły na kilka dni, póki wszystko się nie ułoży. Ale kiedy zobaczyłam cię na ulicy... pomyślałam, że coś się stało. Nie chciałam tak na ciebie naskoczyć.

– No, wydarzyło się parę rzeczy, i nie, Hopper się nie odzywał, ale pomyślałam, że przyjdę i opowiem ci osobiście. Uznałam, że tak czy owak przyda ci się towarzystwo i obiecałam twojemu mężowi, że się tobą zajmę. Toteż to właśnie robię. To co, zaprosisz mnie na herbatę i ciasteczka, czy nie?

Diane uśmiechnęła się i szerzej otworzyła drzwi.

– Hej, jesteś tu mile widziana. Odchodzę od zmysłów, tkwiąc w tym mieszkaniu. Wejdź, proszę.

Delgado przekroczyła próg kamienicy, Diane poprowadziła ją na górę.

– Tędy.

Delgado poszła za nią.

Święty z Południowego Bronksu

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

– Dobra, przyznaję, to był błąd.

Lisa była dość dorosła, by to przyznać. I jeśli miała być szczerą wobec samej siebie, już po wyjściu z mieszkania ogarnęły ją wątpliwości. Ale czuła też gniew i frustrację, i potrzebowała czasu do namysłu. Podróż pod adres zapisany na oddartym kawałku pudełka zapalek stanowiła miłą odmianę.

Teraz jednak, wędrując pełną dziur ulicą w kwartale przemysłowym i rozglądając się po mieszaninie rozległych, zarośniętych chaszczami działek, otoczonych wysokimi ogrodzeniami z siatki i wielkich, anonimowych magazynów rozmiarów hangarów lotniczych, wiedziała, że nie powinna tu dłużej zabawić. Dzień był upalny, niebo jasne i błękitne, ale okolica nie należała do gościnnych, zwłaszcza dla zwykłych obywateli. Nawet taksówkarz, dzięki któremu pokonała ostatnią część trasy, odmówił wysadzenia jej pod podanym adresem; zamiast tego zatrzymał się parę przecznic dalej. Gdy Lisa zaprotestowała, wyraził jedynie niezbyt przekonującą obawę o jej bezpieczeństwo.

Dotarła do końca ulicy, która zwężała się, aż zamieniła w alejkę

wciśniętą między dwa wysokie budynki. Przed nią widniał kolejny: może wszystkie stanowiły część połączonego kompleksu? Przed sobą widziała podwójne drzwi, dość duże, by przepuścić wielką ciężarówkę, ale poza tym żadnego przejścia dalej.

Odwróciła się i rozejrzała. To głupota. Pewnie nawet nie trafiła pod właściwy adres – jeśli ktoś nie znał wcześniej tego kompleksu przemysłowego, właściwie nie dało się nigdzie trafić, musiałaby wiedzieć, gdzie jest i dokąd idzie. Odkąd wysiadła z taksówki, przeszła jakieś półtora kilometra, jeśli jednak się nie myliła, główna ulica biegła równolegle do tej, na której właśnie stała. Gdyby przecięła jedną z pustych parcel, znacznie szybciej wróciłaby w cywilizowane okolice, gdzie da się złapać taksówkę.

Załamano rękę, po czym uniosła lewą, rozcapierzając palce. Jej pierścień nastroju przybrał kolor czarny, wskazując napięcie, zdenerwowanie albo...

Albo po prostu się zepsuł.

– Głupi bubel – wymamrotała, próbując skupić się na czymś innym.

Opuściła rękę. Pierścionek był stary, od dawna nie zmieniał już kolorów, ale... Czy wcześniej wydawał się taki ciemny?

Powtarzając sobie, że to tylko wyobraźnia, ruszyła naprzód, stukając głośno obcasami; dźwięk odbijał się echem od wysokich, płaskich ścian otaczających ją magazynów. Wokół było zupełnie pusto – Lisa nie dostrzegła ani jednej osoby, samochodu czy ciężarówki – ale wcale nie czuła się przez to lepiej. To było... cóż, najlepsze słowo to chyba niesamowite. Popełniła błąd, przyjeżdżając tutaj, podjęła pochopną decyzję zrodzoną z gniewu i frustracji. I dobrze, spokojnie, nie ma sprawy. Wróci do domu i utopi smutki w małym włoskim barze przy tej samej ulicy.

Może po prostu trzeba było tam pójść od razu po rozmowie

z Jerrym.

Kiedy dotarła do końca magazynu i skręciła w lewo, żeby przeciąć pustą parcelę, zza rogu wyłonił się mężczyzna.

Lisa zachłysnęła się, zdumiona, i przystanąła, potem cofnęła się o krok. Mężczyzna wyszczerzył zęby; ruszał miarowo szczęką, żując gumę, oba kciuki zatknął za pasek poplamionych dżinsów. Na sobie miał białą koszulkę i brązową skórzaną kamizelkę, głowę obwiązał zieloną chustką skręconą w gruby sznur.

– Tak szybko nas opuszczasz, paniusiu? – Powoli ruszył ku niej. – O nie, nie, paniusiu, nie możemy na to pozwolić. Nie możesz przychodzić z wizytą i się nie przywitać. To oznaka złego zachowania.

Lisa wciąż się cofała. Przeciągnęła torebkę na przód i rozpięła; kiedy sięgnęła do środka, mężczyzna przestał żuć gumę i pokręcił głową.

– O, co tam masz, paniusiu? Chcesz się zabawić, co?

Lisa wyciągnęła z torby składaną pałkę i jednym ruchem przegubu rozłożyła ją. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i trzy razy klasnął w dłonie.

– O, ładnie, paniusiu, bardzo ładnie. Co myślisz, Jookie?

Lisa usłyszała dobiegające zza pleców szuranie. Obróciła się gwałtownie i ujrzała, jak kolejny mężczyzna w niemal identycznym stroju odrywa się od ściany magazynu. Kopnął żwir, posyłając w powietrze spory kamyk, który uderzył o metalową ścianę magazynu, a potem zapalił tkwiącego w ustach papierosa.

– Myślę, że czeka nas z nią niezła zabawa – rzucił nowy przybysz, Jookie – a potem wypluł papierosa na ziemię, posyłając za wciąż żarzącym się niedopałkiem porcję śliny.

Lisa wciąż się cofała. W myślach nakazywała sobie zachować spokój. Jeśli ma się stąd wydostać, musi panować nad uczuciami,

skupić umysł. Było ich dwóch. No dobra. Mają przewagę, ale tylko liczebną. Jest uzbrojona, a z tego co widziała, oni nie, zaś pałka to potężna broń w odpowiednich rękach.

Rękach takich jak jej.

Znów się cofnęła. Dwaj mężczyźni podeszli do siebie w alejce, klepiąc się w dłonie na powitanie, a następnie znów skupili na niej uwagę. Ruszyli naprzód, a ona w tył, zachowując ten sam dystans.

Spojrzała w górę, widząc wyrastające po obu stronach magazyny. Zaszła za daleko, zaraz znajdzie się w ślepym zaułku.

I wtedy pojawili się inni, na dachach magazynów. Czterech z jednej strony, pięciu z drugiej. Za wysoko, by mogli jej zagrozić, lecz potwierdzili ocenę Lisy, że popełniła wielki błąd, przychodząc tutaj. Nie była sama – ani przez chwilę. Weszła wprost w pułapkę.

Jookie i jego kumpel zaśmiali się; towarzysze z góry odpowiedzieli krzykami i klaskaniem.

Lisa mocniej chwyciła pałkę. Pozostali nie mieli znaczenia. Jeśli zdoła przejść obok tych dwóch, to ucieknie.

Nagle rozległ się metaliczny brzęk, a po nim ostry zgrzyt. Mężczyźni na dachu zniknęli, a Jookie i jego kumpel zatrzymali się jak wryci, niemal podskoczyli ze strachu, a potem cofnęli się o krok.

Lisa zaryzykowała spojrzenie przez ramię: za jej plecami w wielkich drzwiach hangaru otwierały się mniejsze, których wcześniej nie zauważyła. Wyszedł z nich mężczyzna, jego lustrzanki lśniły w jasnych promieniach słońca.

Wyminął Lisę i stanął przed tamtymi dwoma.

– Nie tak witamy mojego gościa – rzucił głosem niskim i pełnym groźby.

Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem znów na niego.

– Policzę się z wami później – dodał, po czym odwrócił się i uśmiechnął do Lisy. – Cieszę się, że pani przyszła – gestem

wskazał jej pałkę. – I zaimponowała mi pani przygotowaniem. Na szczęście nie musiała jej pani użyć. Moi bracia czasami się zapominają.

Lisa pokręciła głową.

– Co to ma być, do diabła? – spytała. – Czemu powiedziałeś, żebym tu przyszła, i kim ty w ogóle, do diabła, jesteś?

– Już mówiłem, doktor Sargeson. Zaprosiłem panią, bo potrzebuję pani pomocy. Nazywam się Saint John, a to moje królestwo. Witam.

Świeże mięso

13 lipca 1977

Gdzieś w Nowym Jorku

Po dwóch dniach przenoszenia skrzyń i rozładowywania ciężarówek Hopper w końcu poczuł, że reszta Żmij zaakceptowała go dostatecznie, by powierzyć mu prawdziwe zadanie. Leroy i Lincoln poszli pogadać z szefem, a kiedy wkrótce potem wrócili, zaprowadzili go do samochodu. Wsiedli wraz z nim i wyjechali we wczesny letni wieczór.

Sala gimnastyczna była stara, ale wyraźnie dobrze wyposażona: pod jedną ścianą ustawiono kozły, z sufitu zwisały liny i kółka, przywiązane starannie do drabinek. Monotonne brązowe wnętrze pachniało stęchłym potem i świeżą kawą: dwa parujące dzbanki ustawiono na opartym na stojakach prostym stole, tuż przed kozłami. Ich stopy spoczywały na cienkim dywanie, który ułożono, aby chronił drewnianą podłogę, gdy salę gimnastyczną wykorzystywano do innych celów.

Trzej mężczyźni zatrzymali się przy wejściu. Leroy i Lincoln mieli teraz na sobie obcisłe białe koszulki, mundury gangu porzucili w magazynie. Hopper zatrzymał własną kurtkę i zapiął pod szyję, by ukryć krew na koszulce z Jimem Croce. Mocno grzała,

lecz choć wieczór był chłodny, powietrze w środku wydawało się jeszcze zimniejsze.

Albo może sprawiła to wyobraźnia.

Bo miał bardzo, bardzo złe przeczucia.

Pośrodku sali ustawiono rząd krzeseł. Na kilku siedzieli już ludzie, reszta uczestników spotkania kręciła się, podobnie jak Hopper i dwaj członkowie gangu, rozmawiając z innymi przybyłymi w jednym bardzo szczególnym celu.

To było spotkanie grupy wsparcia. Tyle widział wyraźnie. Ale z pewnością nie AA ani innej grupy dla nałogowców. Nie dotyczyło problemu chronicznego bólu, bezrobocia, przemocy domowej. Wszyscy zebrani byli mężczyznami w pewnym wieku. Co najmniej jedna trzecia nosiła stare wojskowe kurtki w różnym stanie rozpadu, jeden z roztargnieniem przesuwiał w palcach parę nieśmiertelników, licząc ogniwa łańcuszka jak różaniec. Niemal wszyscy palili.

Kiedy weszli do środka, Hopper odczytał kartkę na drzwiach i... tak, to wtedy poczuł nagły chłód.

To była grupa wsparcia dla weteranów wojny w Wietnamie.

Wiedział, że takie grupy istnieją. Wiedział doskonale, jak bardzo są potrzebne. Miał ogromne szczęście, że on sam wyszedł z tej wojny nietknięty i ze wszystkim klepkami na miejscu. Owszem, zmieniła go i nie zamierzał udawać, że nie bywało trudno. Ale to, co zrobiła z innymi... Nigdy nie czuł potrzeby, by wziąć udział w podobnym spotkaniu, lecz cieszył się, że istnieją dla tych, którzy ich potrzebują.

Nie miał pojęcia, dlaczego znalazł się tu teraz, z Leroyem i Lincolnem, ale musiał się tego dowiedzieć. Pobyt w tej sali z innymi weteranami sprawił, że żołądek ścisnął mu się w fali mdłości. Obecność Żmij – teraz także jego – stanowiła brutalne

wtargnięcie, inwazję w bezpieczną przestrzeń, którą stworzyli sobie uczestnicy.

Przelknął żółć, podchodzącą do gardła, i ruszył w stronę kręgu krzeseł. Nie chciał tu być, nie chciał tego robić, ale wiedział, że znalazł się tu ze słusznych powodów. Ponieważ zdołał zyskać zaufanie Saint Johna i jeśli da radę to przetrwać, pokona kolejny krok na drodze do odkrycia, co planuje tamten i dlaczego jego Żmije biorą sobie na cel podobne grupy.

Im więcej się dowie, tym szybciej będzie mógł to powstrzymać. To wszystko.

Po paru minutach pozostali także zajęli miejsca w kręgu. Leroy i Lincoln siedzieli naprzeciw siebie, na trzeciej i dziewiątej godzinie, wobec szóstej Hoppera. Dokładnie naprzeciwko niego zajął miejsce mężczyzna. Wyglądał jak pozostali, oprócz oczu, w których płonął blask, nieobecny w udreńczonych twarzach większości weteranów. Na sobie miał sztruksową marynarkę, stanowczo za ciężką jak na tę pogodę, w dłoni trzymał notes i długopis.

– Witajcie wszyscy i dzięki, że przyszliście. – Skrzyżował nogi, dzwony spodni załopotwały niczym semafor. Położył notes na podniesionym kolanie. – Nazywam się George i cieszę się, widząc dziś tak wielu stałych członków naszej grupy – rozejrzał się dokoła, a potem skupił na Hopperze. – Cieszę się też, że widzę nowe twarze. – Uśmiechnął się i poprawił notatnik. – Kto chciałby dziś zacząć?

Hopper usłyszał ryk w uszach, jego pole widzenia otoczyło białe światło i nim się zorientował, odchrząknął głośno.

– Ach. Cześć, jestem Jim.

– Cześć, Jim – zaintonowali pozostali chórem.

Hopper uniósł wzrok i uśmiechnął się nerwowo. Sam nie do

końca wiedział, co robi – nie był nawet pewien, czy to jego własny głos odbija się echem od ścian sali gimnastycznej.

Zauważył, że siedzący po bokach Leroy i Lincoln spoglądają po sobie.

– Cześć – rzekł. – Jak mówiłem, jestem Jim i służyłem w Wietnamie.

Pochylił się naprzód, opierając łokcie na kolanach, i zaczął mówić.

Kawa smakowała najwyżej znośnie, ale Hopper praktycznie tego nie czuł, przelatykując letni płyn. Po tak długiej przemowie potrzebował czegoś, co zwilży zaschnięte gardło. Nalał sobie kolejny kubek i został przy stole, trzymając go w dłoniach i z zamkniętymi oczami kręcąc głową, by rozluźnić spięte mięśnie karku. Nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło, nie wiedział, że tak wiele dusi w sobie, ale...

– Dobra, nie?

Hopper otworzył oczy. Jeden z uczestników nalewał sobie kawy ze świeżego dzbanka, który tymczasem zmaterializował się na stole.

Pociągnął łyk z własnego kubka i wzruszył ramionami.

– Pijałem już gorsze.

Tamten dodał do kawy śmietankę i cukier, po czym podszedł do Hoppera.

– Nie, chodziło mi o sesję. – Uniósł rękę, wskazując kubkiem krąg krzesel.

– Ach! – Hopper zaśmiał się. – W sumie wiesz co? To było naprawdę świetne uczucie. A teraz... właściwie nie wiem, jak się teraz czuję.

– Wiem, co masz na myśli – rzekł tamten. – A przy okazji, nazywam się Bob. – Wyciągnął rękę. – Kapral Devlin, Robert Douglas, USO9623177. – Spojrzał Hopperowi prosto w oczy. – Pilnuję twoich pleców, Jim – rzekł, najwyraźniej powtarzając mantrę grupy wsparcia, o czym Hopper przekonał się pod koniec przemowy.

Hopper uściskał mu dłoń.

– Och... Tak, ja też pilnuję twoich pleców, Bob. Miło cię poznać.

Obaj popijali kawę oparci o stół i patrzyli, jak pozostali krążą dokoła. Hopper nie dostrzegł ani śladu Leroya i Lincolna.

Obliznął usta.

– Jesteś jednym ze stałych uczestników?

– Tak i nie – odparł Bob. – Stałym, owszem, ale nie tej grupy.

Hopper pokiwał głową.

– Tak, słyszałem, że podobne działają w całym mieście. Można przychodzić na dowolną, prawda?

Bob zaśmiał się.

– Chyba myślisz o AA. Ale owszem, jest ich pełno i jasne, możesz pójść na dowolną. Wolą jednak, jeśli ludzie przychodzą regularnie. Sam powrót do zwykłego życia jest dostatecznie trudny i ponoć potrzeba nam stabilizacji. No wiesz, kotwicy na czas sztormu i tak dalej.

Hopper uśmiechnął się nad kubkiem z kawą.

– Nie mów, to jedna z pereł mądrości George'a?

Bob zaśmiał się.

– Wiem, co masz na myśli – rzekł – ale nie. To cytat z innej grupy. I to bardzo dobrej. Uczęszczałem regularnie na jej spotkania przez parę lat, może więcej. Dobra grupa. Mieliśmy świetnego terapeuty, prawdę mówiąc, lubiłem go nieco bardziej niż George'a – bez urazy

dla niego. – Pociągnął łyk kawy. – Ale niektórzy ludzie mają, jakby to ująć, no wiesz, dar. Czy może umiejętność? Nie wiem. A może po prostu to kwestia zmiany. No wiesz, nowe spotkania, nowi ludzie. Trzeba czasu, by przywyknąć. Ale to już mój problem.

– Przeprowadziłeś się czy co?

– Co? A nie, tamta grupa się rozpadła. – Bob wzruszył ramionami. – Bywa.

– Na pewno.

– Tyle... no sam nie wiem. Wielka szkoda i w dodatku to się stało tak nagle.

Hopper rozejrzał się po sali. Wciąż nie widział Leroya ani Lincolna. Odwrócił się do Boba, słuchając jednym uchem.

– Nagle?

– No tak. – Bob sięgnął za siebie i wziął ze stołu jeszcze jedną torebkę śmietanki; odgryzł narożnik i wsypał do kawy biały proszek. – Nasz terapeuta przestał przychodzić. Po prostu przestał. Nie przysłał żadnej wiadomości, nie załatwił zastępstwa, po prostu się nie zjawił. I do nikogo się nie odezwał. – Bob zawiesił głos i pokręcił głową. – Naprawdę szkoda. Sam był świetny. Jeden z najlepszych.

Hopper zamarł, jego kubek zastygł w połowie drogi do ust.

– Sam?

– A tak. Sam Barrett. Znasz go?

Hopper przełknął kawę.

Sam Barrett. Terapeuta grupy wsparcia.

Druga ofiara.

Milczał.

– Mam nadzieję, że gdziekolwiek jest, dobrze mu się wiedzie. – Bob pokręcił głową, dopijając kawę. – Był jednym z nas. Cierpiał jak

my. Wiesz, co chcę powiedzieć? A teraz przepraszam, za dużo kawy; muszę odwiedzić kibelek.

Hopper pożegnał Boba skinieniem głowy. Patrzył, jak weteran odstawia kubek i spodeczek na tył stołu i kieruje się w stronę toalet.

Sam Barrett.

Oczywiście. Hopper wiedział, że coś łączy Żmije, Saint Johna i karciane zabójstwa. Ale gdy usłyszał, jak ktoś inny wymawia to nazwisko, ktoś niepowiązany ze sprawą ani gangiem, poczuł zimny dreszcz.

I wtedy u jego boku zjawił się Leroy. Hopper z brzękiem odstawił własny kubek. Zamknął oczy, nakazując sobie, by gniew minął, on jednak stawał się coraz gorętszy i gorętszy, płonąc gdzieś wewnątrz niego.

Dosyć.

Odepchnął Leroya na bok, tak że tamten znalazł się tuż przy ustawionych pod ścianą kozłach.

– Co to, do diabła, ma być, Leroy? – syknął Hopper przez zaciśnięte zęby. – Co, do diabła, wyprawia Saint John? Czy rekrutuje ludzi z takich miejsc? Proszę, powiedz mi, że coś źle zrozumiałem, bo jeśli mam rację i jeśli wykorzystuje bezbronnych – ludzi takich jak on i innych weteranów, to przysięgam, że...

Leroy skrzywił się i odepchnął Hoppera.

– Hej, stary, spokojnie.

– Nie, nie będę spokojny – warknął Hopper. – Co planują Żmije, Leroyu? Przyszedłeś do nas z informacjami, twierdziłeś, że chcesz ochrony, ale gdy tylko twój haj minął, informacje rozpląnęły się w powietrzu.

Leroy poprawił koszulkę i rozejrzał się dokoła. Nikt nie zwracał na nich uwagi, weterani zaczęli właśnie odstawiać krzesła.

– Hopper, uspokój się, stary. Musisz uważać na to, co mówisz,

jasne? Siedzimy w tym razem, chwytasz? Chwytasz?

Hopper zmrużył oczy, Leroy spojrział na niego i odwrócił wzrok.

Hopper doskonale wiedział, co się święci, po latach służby w policji widywał wiele podobnych sytuacji.

– Czego mi nie mówisz, Leroy?

– Z nami w porządku?

Za jego plecami pojawił się Lincoln, Leroy odepchnął Hoppera.

– Spoko – rzekł.

Lincoln przyjrzał się im obu, potem machnął kciukiem ponad ramieniem.

– Dostałem wiadomość, Saint chce, żebyśmy wracali.

– Co? – spytał Leroy. – Czemu?

– Nie wyjaśnia mi czemu, Leroy, i wie, że go nie spytam. Każe nam jechać, więc jedziemy.

Odwrócił się i odszedł. Hopper obejrzał się na Leroya, ten jednak przepchnął się obok niego, podążając za członkiem gangu.

Hopper wymaszerował z sali, mijając po drodze terapeutę George'a, który właśnie wychodził z łazienki. Mężczyzna przystanął na środku korytarza.

– Hej, Jim, dobrze się czujesz? Zaraz znów zaczynamy. Jeśli chcesz przyjść, to...

– Wybacz, George, ale muszę lecieć. – Hopper, idąc tyłem w stronę głównych drzwi, odwrócił się, by odpowiedzieć. – Ale dzięki. To mi naprawdę pomogło.

Na zewnątrz czekał już samochód, Leroy niecierpliwie dodawał gazu. Hopper przekonał się, że teraz Lincoln zajął miejsce z przodu. Wsiadł zatem z tyłu, zatrzasnął drzwi i siła bezwładności wcisnęła go w oparcie, gdy Leroy docisnął do dechy.

26 grudnia 1984
Domek Hoppera
Hawkins, Indiana

Hopper wstał od czerwonego stołu i rozprostował nogi, krążąc między krzesłem a kuchnią. Potarł dłońmi twarz i przeczesał palcami włosy, potem zatrzymał się, zwrócony plecami do Nastki. Dzięki temu mógł ukryć twarz. Znów ją pomasażował i zerknął w kuchenne okno. Widział własne słabe odbicie i dziewczynkę za plecami.

Grupa wsparcia dla weteranów z Wietnamu. Kompletnie o niej zapomniał. No, nie do końca, nie mógł zapomnieć, ale przez lata nauczył się segregować wspomnienia, umieszczać te niechciane w osobnym miejscu na dnie umysłu, miejscu, w którym pozostawały – niezupełnie zapomniane, raczej uśpione.

Do tej chwili. Do dzisiejszego wieczoru, gdy dotarł w swej opowieści do momentu, w którym w towarzystwie Leroya i Lincolna odwiedził grupę wsparcia.

Był też zaskoczony – własnymi uczuciami co do tego wspomnienia i głębią owych uczuć. Chwilę wcześniej uświadomił sobie, może nieco za późno, że zbliża się ta część historii, ale nie zastanawiał się nad tym, póki nie zaczął relacjonować jej Nastce.

Oczywiście nie zagłębiał się w to, co dokładnie powiedział na spotkaniu; wiedział, że kiedy dziewczynka zorientowała się, co się dzieje, ogarnęła ją ciekawość. Ale zdołał się powstrzymać. Nie będzie rozmawiał o Wietnamie. Już to ustalili. Ta historia dotyczyła

Nowego Jorku.

Fakt, że owe dwie opowieści – dwa miejsca – skrzyżowały się ze sobą tak mocno, zaskoczył go i Hopper poczuł się jak głupiec. Oczywiście, że się krzyżowały.

– Dobrze się czujesz?

Odetchnął głęboko i odwrócił się, wsparty na blacie. Spojrzał na siedzącą przy stole Nastkę.

– Tak, w porządku, a ty? To bardzo długa historia, przepraszam... Pamiętaj, możemy przerwać w dowolnej chwili.

Nastka pokręciła głową, po czym zmarszczyła czoło.

– Wyglądasz na zmęczonego.

Hopper zaśmiał się i potarł dłońmi twarz.

– Hej, to nic, czego nie naprawiłby kubek świeżej kawy.

Klapnął oburącz o kuchenny blat i zajął się parzeniem napoju. Za jego plecami Nastka przez kilka minut milczała, potem znów się odezwała.

– Pilnuję twoich pleców – rzekła.

Hopper zamarł. Zerknął na nią z ukosa.

– Co?

– Co to znaczy?

– A – poczuł jak się odpręży – to stare wojskowe powiedzenie. Czasami podczas marszu nie widzisz, co dzieje się za tobą. Potrzebujesz więc kumpla, który ci pomoże i ochroni. Znaczy to, że „pilnuje twoich pleców”. Czasami ludzie mówiąc tak, chcą powiedzieć, że możesz na nich polegać i im zaufać, że zawsze pomogą w potrzebie – zawiesił głos i znów obejrzał się przez ramię.

– Czy to ma sens?

Nastka przytaknęła. Wstała od stołu i zaczęła spacerować po domku, także rozprostowując nogi. Hopper przyglądał jej się przez

chwile, po czym nastawił kawę.

Nagle zmaterializowała się obok niego.

– Pilnuję twoich pleców – oznajmiła.

Spojrzał na nią bez słowa, przyglądając się jej twarzy. Patrzyła na niego z zadartym podbródkiem i poważną, stanowczą miną.

– Możesz na mnie... polegać – dodała, powtarzając jego słowa. – Pilnuję twoich pleców.

Śmiech niemal eksplodował mu w gardle. Nastka wzdrygnęła się i cofnęła o krok, wyraźnie skonfundowana.

– Powiedziałam coś nie tak?

Hopper pokręcił głową i podszedł do niej, przyciągając ją blisko. Oplotła go ramionami w pasie.

– Nie, młoda, powiedziałaś wszystko jak trzeba.

Poczuł, jak Nastka kiwa głową.

– Pilnuję twoich pleców.

Poczochrał jej włosy.

– A ja twoich, młoda. Ja twoich.

Odsunęła się i powęszyła w powietrzu.

– Kawa. Błę. – Zmarszczyła z odrazą nos, a potem jak gdyby nigdy nic wróciła do stołu. – Mów dalej.

Hopper zaśmiał się i nalał sobie kawy.

– Tak jest, proszę pani.

Wrócił do stołu i rozsiadł się wygodnie. Siedząca naprzeciw Nastka splotła palce i popatrzyła na niego...

Podrapał się po brodzie.

– No dobra, to na czym skończyliśmy?

Jeśli trącisz grzechotnika, to cię ugryzie

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Podczas jazdy powrotnej do magazynu Hopper zdołał nieco ochłonać. Leroy zatrzymał ich wóz na parkingu obok ciężarówki. Hopper zdawał sobie sprawę z tego, że spotkanie grupy wsparcia nim wstrząsnęło, ale nie mógł pozwolić, by przeszkodziło to w wykonaniu zadania. Musi wziąć się w garść i wykonać misję, którą wyznaczył mu Gallup.

Członkowie Żmij byli bardzo zajęci; w magazynie krzątało się teraz co najmniej dwa, trzy razy więcej osób, niż widywał wcześniej. Najwyraźniej przestawiali skrzynie ze sprzętem, poszczególne zespoły ładowały je do pojazdów. Ciężarówkę odsunięto nieco od ściany, jedna z grup pracowała przy czymś zamontowanym z tyłu. Gdy Hopper wysiadł, przekonał się, że to duża szpula kabla, zawieszona na mechanicznej ramie. Sama ciężarówka wyglądała jak „pozyskana” od miejskiego przedsiębiorstwa elektrycznego, Con Edison.

Lincoln zniknął gdzieś w głębi magazynu. Leroy wysiadł

z miejsca kierowcy i stanął obok Hoppera. Razem obserwowali gang przy pracy.

– Naprawdę musisz wyluzować, stary – wyszeptał.

Hopper pokiwał głową. Leroy miał rację, wiedział o tym i nie było się o co spierać. Zamiast tego wskazał gestem ciężarówkę.

– Po co to wszystko? Co robi Saint John?

Leroy wzruszył ramionami, twarz miał napiętą.

– Już mówiłem, nie wiem.

– Ale oni wiedzą. – Hopper skinieniem głowy wskazał harujących gangsterów. – Ktoś wydaje im rozkazy, instrukcje. I tak się składa, że nigdy nie ma cię w pobliżu, kiedy Saint John to robi, tak?

– Słuchaj, stary – syknął Leroy, rozglądając się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. – To nie moja działka. Saint John święcie wierzy w organizację i zasady. Każdy członek Żmij ma swoje miejsce i swoją pracę, chwytasz? Więc nie, nie wiem, co oni robią i dlatego właśnie tu stoimy, zgadza się? Co niby mamy zrobić? Podejść do Sainta i spytać, co się dzieje i kiedy diabeł zjawi się, żeby wznieść toast na balkonie?

– Nie – odrzekł Hopper. – Ale już czas, żebyśmy poszukali odpowiedzi.

Uniósł ramiona, odepchnął się od samochodu i podszedł do sterty skrzyń transportowych, powoli przenoszonych na pakę jednej z ciężarówek, parkujących obok rzędu motocykli. Skrzynie były długie i względnie płytke.

Hopper miał przeczucie – bardzo złe – że wie, co kryją w środku.

Podczas gdy reszta gangu zajmowała się pracą, zaryzykował. Na ziemi leżał łom. Podniósł go i już miał zacząć podważać wieko górnej skrzyni, gdy na ramię spadła mu ciężka ręka.

– Szukasz czegoś, bracie?

Ręka obróciła go. Należała do Lincolna, który nie wyglądał na zadowolonego. Jego wzrok powędrował do łomu w dłoni Hoppera.

– Co ty, do diabła, robisz?

Pchnął go mocno. Hopper wylądował na kancie skrzyni, którą chciał otworzyć, ostry czubek wbił mu się w krzyż. Krzyknął z bólu i pochylił się, upuszczając łom, po czym nagle odkrył, że stoi na czworakach. Właśnie miał się odepchnąć od ziemi, kiedy poczuł mocne szarpnięcie za pas.

– Ki czort, do diabła?

Hopper podniósł się powoli i odkrył, że Lincoln dzierży w dłoni jego ukrytą broń.

Rosły mężczyzna spojrział na pistolet, potem na niego. Hopperowi wyjątkowo nie spodobała się jego mina.

– Kim ty, do diabła, jesteś, stary? Leroy twierdzi, że glina uciekinierem, ale przyniosłeś własną spluwę? Kurde, zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę się ukrywasz, czy może przyszedłeś tu, bo chcesz strugać bohatera, co?

Wymiana zdań zwróciła uwagę innych Żmij, którzy porzucali pracę i kolejno podchodzili bliżej, otaczając Lincolna i Hoppera.

Hopper powiódł wzrokiem po kręgu twarzy, wszyscy członkowie gangu patrzyli na niego, podobnie Lincoln. Nie wiedział, gdzie się podziewa Leroy.

Lincoln splunął na cementową podłogę, z chrupnięciem przechylił głowę w jedną, potem w drugą stronę i zważył broń Hoppera w dłoni. Ten wystąpił naprzód i zatrzymał się, gdy Lincoln wycelował mu prosto w głowę.

– Problem z bohaterami – rzekł – jest taki, że nie istnieją. Bohaterowie są tylko w komiksach. Jeśli mieszkasz w takim mieście jak to, to sam dobrze o tym wiesz. W Nowym Jorku nie ma peleryn, a w szeregach Żmij gliniarzy.

– Wszystko spoko?

Słyszając głos, Lincoln obejrzał się gwałtownie. Hopper zazgrzytał zębami, patrząc jak gangsterzy rozstępują się, tworząc przejście.

Martha przeszła przez krąg, podchodząc do Lincolna krokiem modelki, jedna stopa przed drugą.

– Martho W., ja to załatwię – oznajmił Lincoln.

Mocniej chwycił kolbę, ale coś się zmieniło. Nastąpiło przesunięcie równowagi sił. Już nie on tu rządził.

Tylko Martha.

Ominęła Lincolna, nie zważając na spluwę, i podeszła bliżej Hoppera. Wciąż się nie ruszał, gdy podniosła z ziemi upuszczony wcześniej łom. Potem wróciła do Lincolna, kołysząc narzędziem w jednej dłoni, rozwidlony koniec stukał o podłogę magazynu.

– Zrobiliśmy się ciekawscy, co? – Zatrzymała się przy Lincolnie i podniosła głowę. – Szef chce cię zobaczyć.

Lincoln pokręcił głową. Lufa uniosła się odrobinę i opadła, ale wciąż celowała w Hoppera.

– Powiedziałem, że sam to załatwię.

– A ja powiedziałam, że Saint chce cię zobaczyć i nie lubi, gdy każe mu się czekać.

Lincoln zerknął na nią z ukosa, po czym z westchnieniem opuścił rękę, posłał Marcie przeciągłe spojrzenie, oddał jej broń i odmaszerował bez słowa.

Hopper przyglądał im się, stojąc bez ruchu, by nie zakłócić delikatnej równowagi. Martha, z łomem w jednej dłoni i pistoletem w drugiej, zadarła brodę, patrząc na niego.

– Jest w tobie coś, świeże mięso, co mi się nie podoba. Coś jak zapach. Poczułam go, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, tyle że wtedy nie wiedziałam, co to. Ale miałam pewność, że mi się nie

podoba.

– Jestem tu, bo chcę tu być – odparł Hopper. – Żeby pracować dla Saint Johna. Idź, spytaj go.

– A tak, Saint John opowiedział mi o tobie – rzekła Martha. – Ale słuchaj, świeże mięso, myślę, że dla odmiany załatwimy to po mojemu.

To rzekłszy, rzuciła broń na podłogę, poza zasięg swój i Hoppera, zważyła w dłoni łom i uderzyła, krzesząc iskry z posadzki. Wokół nich gang utworzył szerszy krąg. Ktoś klasnął, ktoś inny krzyknął, i po chwili Hopper odkrył, że stoi pośrodku areny naprzeciw Marthy, która zaczęła krążyć powoli, unosząc w dłoni łom niczym miecz.

Zebrał się w sobie. Sam nie miał broni, a choć Martha wydawała się drobna, była silna – zauważył to już, gdy zamachnęła się młotem podczas włamania do sklepu ze sprzętem audio. W takim życiu człowiek robi się twardy albo odpada z gry.

Zwykły staroświecki dobór naturalny.

Przeżyją najlepsi.

Zwycięzca bierze wszystko.

– Chcesz należeć do nas – oznajmiła Martha – musisz tego dowieść.

Zamachnęła się łomem i skoczyła naprzód.

Tajemnica magazynu

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Kompleks magazynów okazał się ogromny – tak jak Lisa podejrzewała, nie była to seria odrębnych, oddzielonych od siebie budynków, lecz jeden wielki połączony zakład. Pomyślała, że Saint John musi dysponować imponującymi środkami, skoro zdołał zdobyć dla siebie taką kwaterę główną.

Miał też coś więcej niż zasoby. Kiedy prowadził ją przez kompleks, Lisa dostrzegła wyraźnie, że Żmije ciężko pracują. Przechodzili przez wielkie sale, w których mnóstwo ludzi krzątało się przy długich stołach, montując sprzęt, czyszcząc sprzęt, naprawiając sprzęt. Spawali elementy elektroniki, skręcali skomplikowane mechanizmy i pakowali mniejsze przedmioty do skrzynek.

Nie miała pojęcia, co dokładnie robią, a jej przewodnik nic nie mówił. Zanotowała jednak ciszę. Nie samej pracy – wielkie hale magazynów rozbrzmiewały odgłosami towarzyszącymi różnym czynnościami. Robotnicy nie odzywali się nawet słowem, skupieni na swych zadaniach.

– Dlaczego pokazujesz mi to wszystko? – spytała, gdy mijali

kolejny rząd pracujących członków gangu.

Saint John zatrzymał się przy stole i odwrócił.

– Bo chcę, żeby pani zrozumiała.

Lisa zmarszczyła brwi.

– Zrozumiała co? – Gestem wskazała pobliskich ludzi. – Nie wiem nawet, co robią.

– Chcę, żeby pani zrozumiała, że my tu pracujemy. Mówiłem, że nie jesteśmy gangiem, i nie jesteśmy. Tworzymy organizację, która ma uczynić Nowy Jork lepszym. By osiągnąć nasze cele, musimy zmierzać do nich wspólnie. Musimy podążać ścieżką, z której nie wolno nam zbaczać, bo wiemy, że jest właściwa. To zaś wymaga posłuszeństwa i siły woli.

Lisa jedynie pokręciła głową.

Saint John uśmiechnął się i pstryknął palcami. Natychmiast najbliżej pracujący robotnik przerwał to, czym się zajmował, to znaczy montowanie bocznych paneli jakiegoś urządzenia za pomocą długiego śrubokręta.

– Henry-O – rzucił Saint John. – Pracujesz dla mnie, prawda?

– Tak.

Twarz mężczyzny była obojętna, głos pozbawiony wyrazu.

– Zrobiłbyś dla mnie wszystko, prawda?

– Tak.

Lisa zbladła. Nie rozumiała, co się dzieje, ale zupełnie jej się to nie podobało. Wokół nich pozostali wciąż pochylali się nad robotą, nie zważając na ich obecność.

– Dziękuję, Henry-O. – rzekł Saint John. – Dobrze mi służyłeś. Wiesz, co robić.

Na te słowa robotnik uniósł śrubokręt i przyłożył sobie do gardła. Końcówka wbiła się w skórę.

Lisa sięgnęła ku narzędziu, kierowana czystym instynktem.

– Przestań! Co ty robisz?

Szarpnęła tamtego za rękę, zmuszając do opuszczenia śrubokręta. Z ranki na szyi popłynęła krew.

Stojący obok Saint John roześmiał się, znów pstryknął palcami i ręka Henry'ego-O. opadła bezwładnie. Jej własna dłoń uderzyła o blat roboczy, bo opór, jaki stawiał mężczyzna, nagle zniknął.

Obróciła się, patrząc na przewodnika.

– To chore. Jesteś chory.

– Nie, to nie choroba – odparł. – To władza.

– Daj mi jeden sensowny powód, dla którego nie miałabym wyjść przez te drzwi i nie ściągnąć ci na głowę glin.

– Och, doktor Sargeson, mam nadzieję, że dam pani więcej powodów. Chce pani zmienić świat, prawda? Razem możemy tego dokonać.

Polecił Lisie gestem, by ruszyła naprzód. Zacisnęła pięści, dygocząc z gniewu i strachu oraz stu innych emocji. Przy stole Henry-O. wrócił do pracy jak gdyby nigdy nic.

A potem, nie wierząc, że to robi, Lisa podążyła za Saint Johnem w głąb labiryntu.

Biuro było duże, położeniu nad czterema innymi zawdzięczało doskonały widok na obszerny magazyn, roztaczający się z okien, zajmujących dwie pełne ściany. Saint John wprowadził ją do środka, po czym omijając biurko, dotarł do mniejszych drzwi. Otworzył je i skinął ręką.

– Proszę. Mamy wiele do omówienia.

Lisa przekroczyła próg i odkryła, że znajduje się w małym pokoju – pomieszczeniu z dokumentami. Wokół ścian ustawiono

metalowe półki, na których upchnięto książki i pudła z aktami. Pośrodku pokoju stał niewielki okrągły stół z dwoma krzesłami naprzeciw siebie. Na stole leżał srebrny nóż z bardzo dużym, prostopadłym jelcem i rękojeścią upodabniającą broń do krzyża oraz srebrny kielich, wypełniony ciemnym płynem.

Wystarczy. Lisa miała dosyć.

Odwróciła się do wyjścia, ale Saint John stał w drzwiach. Zamknął je za sobą i wystąpił naprzód, zmuszając ją, by się cofała, aż w końcu wpadła na jedno z krzesel.

– Proszę usiąść. Zaraz wyjaśnię, co tu robimy i dlaczego panią zaprosiłem.

Nie mając wyboru, wysunęła krzesło i usiadła. Rozejrzała się po pomieszczeniu, po raz pierwszy dostrzegając, że wszystkie książki dotyczą psychologii i psychiatrii – były to głównie teksty akademickie, niemal wszystkie znajome.

I wtedy je ujrzała. Pośród pudeł stała seria segregatorów, każdy oznakowany białą etykietką, na której wydrukowano dwa słowa.

INSTYTUT ROOKWOOD.

– Co...? – Spojrzała na Saint Johna, otwierając usta ze zdumienia, on tymczasem zajął miejsce naprzeciwko. – Skąd je wzięłeś? Kim ty, do diabła, jesteś?

Saint John uśmiechnął się.

– Naprawdę mnie pani nie pamięta? A może po prostu nie poznaje?

Lisa oszołomiona pokręciła głową.

– Od dawna bardzo panią podziwiam – rzekł. – Pani rozprawy na temat myślenia grupowego i siły sugestii. Fascynująca lektura. Rozmawialiśmy nawet o tym, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Zmrużyła oczy, myśli pędziły jej w głowie. Potem raz jeszcze

przyjrzała się segregatorom.

Instytut Rookwood. Oczywiście.

Nagle ją olśniło. Zobaczyła go – dłuższe włosy, brodę porastającą twarz. I oczywiście bez okularów.

Widząc, że go poznała, Saint John pokiwał głową.

– Byłem częścią programu pilotażowego – oznajmił. – Jednym z pierwszych sześciu więźniów.

– Ja... – wyszeptała Lisa – ...nie miałam pojęcia. Ale... co robisz? Mówiłeś, że prowadzisz własny program? – Wskazała ręką dokumenty. – Czy oparłeś go na moich pracach?

– Owszem, prowadzę program – odpowiedział. – Pani i pani prace stanowiły jedynie początek. Kiedy się poznaliśmy, przebudziła coś pani we mnie. Przypomniła o przeszłości, o której próbowałem zapomnieć. O pracy, jaką niegdyś wykonywałem, dawno, dawno temu. Można to wręcz nazwać boską inspiracją.

– Boską?

Saint John puścił jej odpowiedź mimo uszu.

– Przez ostatnie miesiące bardzo ciężko pracowałem. Jest tyle rzeczy do zrobienia, tyle do przygotowania. Ale mądrze wykorzystałem ten czas. Nie jest pani moją pierwszą rekrutką. Bynajmniej. Od miesięcy wysyłam braci do miasta, rozkazując, by odnaleźli zagubionych i potrzebujących. By ściągnęli ich tutaj, do mnie, gdzie mogę pokazać im prawdę i ujawnić swój plan. Gdzie mogę posłać ich do pracy. Posłać panią do pracy.

Lisa pokręciła głową i zaczęła wstawać...

Ale nie mogła się ruszyć. Spojrzała w dół, zobaczyła własne dłonie, zaciśnięte na poręczach krzesła, ale... nie mogła ich poruszyć. Ani nóg. Zastygła w miejscu.

– Nadchodzi Dzień Węża. – Saint John pokiwał głową. – Pani też to widziała, prawda? Dostrzegam to w pani oczach. Wkrótce

ciemność pochłonie ziemię, a On zasiądzie na Swym tronie.

Lisa wpatrywała się w swoje bliźniacze odbicia w okularach lustrzankach. Czuła się... słabo, ale nie sennie – przeciwnie, ożywiona, pobudzona, każda cząstka jej jestestwa mrowiła elektrycznością. Siedzący naprzeciwko Saint John wydawał się bardzo odległy, zbyt daleki, by go dotknąć. Wokół niej metalowe regały ciasnego pokoju kołysały się niczym fale, lizące morski brzeg.

Zza pleców dobiegł ją huk. Odwróciła głowę i pokój znieruchomiał. Obraz siedzącego naprzeciw Saint Johna wyostrzył się. On sam miał wściekłą minę.

– Wyjdź! – rzucił do osoby, która wpadła do biura.

Lisa poruszyła palcami i odkryła, że jest w stanie obrócić się na krześle. W drzwiach stał jeden z ludzi Saint Johna.

– Kłopoty na dole – oznajmił.

– No to je rozwiąż.

– To ten nowy i Martha. Chyba powinieneś zejść.

Nozdrza Saint Johna rozszerzyły się gniewnie. Mężczyzna wstał szybko, raz jeden spojrzął na Lisę, po czym wypadł z pokoju, zatrzaskując drzwi tak mocno, że półki z książkami zadrżały.

Lisa zerwała się z krzesła, wdzięczna, że może się ruszać. Nie była pewna, czy to, czego doświadczyła, naprawdę się wydarzyło. Ale jedno wiedziała: drzwi były zamknięte na klucz.

Szarpnęła gałkę, potrząsając nią. Na próżno.

Zamknięte drzwi jej nie powstrzymają. Przycisnęła ucho do drewna i przymknęła oczy, wytyżając słuch. Potem osunęła się na kolana, wydłubała z włosów metalową spinkę, rozprostowała i wepchnęła w zamek, wdzięczna za czas poświęcony nauce sztuki ucieczek. Często demonstrowała swoje umiejętności podczas występów scenicznych – choć nigdy nie sądziła, że kiedyś ocala jej

życie.

Zabawa w chowanego

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

– Dosyć!

Hopper i Martha przestali krążyć dookoła siebie. Oboje unieśli głowy, słysząc charakterystyczny głos Saint Johna. Tłum ponownie rozstał się, przepuszczając przywódcę gangu, który stanął naprzeciw niedoszłych walczących. Przez chwilę przyglądał im się zza lustrzanek, potem powiódł wzrokiem po zebranych gangsterach.

– Wszyscy wracajcie do pracy.

Nikt nawet nie drgnął.

Saint John obrócił się na pięcie. Machnął szeroko rękami, fioletowa szata rozchyliła się.

– Wracajcie do pracy!

Tym razem ludzie posłuchali. Gang rozbiegł się, byle dalej od rozgniewanego przywódcy.

Saint John podszedł do miejsca, w którym naprzeciw siebie stali Hopper i Martha. Hopper unosił pięści, Martha trzymała w dłoni łom. Nie zwracając uwagi na dziewczynę, stanął między nimi,

patrzając na Hoppera.

Za plecami Saint Johna Hopper dostrzegł spojrzenie, jakie Martha posłała ukochanemu przywódcy. Przepelniała je czysta, paląca nienawiść.

Zaciekawiło go to. Czy dziewczyna była wściekła dlatego, że przerwał jej rozrywkę? A może chodziło o głębszą wrogość wobec przywódcy gangu?

Saint John zwrócił się do niej, nie spuszczać wzroku z Hoppera.

– Martho, wybrałaś akurat ten moment, aby rzucić wyzwanie naszemu nowemu przyjacielowi? Wiesz równie dobrze jak ja, że zbliża się ta chwila, prawda?

To rzekłszy, obrócił się gwałtownie z szybkością, która zaskoczyła Hoppera. Stał przed Martha, górując nad nią groźnie. Dziewczyna wycofała się szybko, wlokąc za sobą łom; potykając się, zrobiła kilka kroków w tył.

– Prawda?

Martha przytaknęła.

– Tak, Saint Johnie, tak.

– W takim razie sugeruję, żebyś wróciła do pracy.

Ujął dłonią jej policzek i posłał uśmiech, na który nie odpowiedziała. Potem opuścił rękę i znów odwrócił się do Hoppera, który zauważył, jak Martha ponownie wbija ociekający wściekłością wzrok w plecy szefa, co potwierdzało jego podejrzenia, iż to właśnie on był adresatem jej nienawiści. Potem odwróciła się i odeszła.

– Mogę tylko przeprosić za zachowanie mojej... współpracownicy. – Saint John przekrzywił głowę. – Rozumiem, że chciałaś się dowiedzieć, co tu robimy?

Hopper milczał.

– Może już czas. Chodź, mam ci sporo do pokazania.

Odwrócił się i ruszył w stronę schodów po przeciwnej stronie magazynu.

Hopper podążył za nim.

– Powiedz, Hopper, czy wierzysz w poświęcenie?

Saint John poprowadził go zewnętrznymi schodami na drugi poziom biurowy – i znów, wyraźnie miejsce to przez wiele lat stało opuszczone: biura przypominały jedynie puste skorupy, odsłonięte cegły ścian pokrywały kolejne warstwy graffiti. W miarę wędrówki Hopper zauważył, że kolejne pomieszczenia coraz bardziej wypełniają skrzynie; najwyraźniej Żmije korzystały z nich jako z dodatkowych magazynów.

Musiał się dowiedzieć, co kryje się w skrzyniach. Podobnie jak te na dole, były długie lecz płytkie, prostokątne.

Musiał zobaczyć na własne oczy.

– Rozumiem, to trudne pytanie.

Uniósł wzrok, gubiąc wątek, i przekonał się, że Saint John wyszedł na korytarz i odwrócił się ku niemu. Hopper zatrzymał się przed jednym z magazynków. Saint John przyglądał mu się – obserwował, jak patrzy.

– Pozwól, że powiem ci, jak według mnie brzmi odpowiedź. – Podszedł bliżej, wzrok Hoppera padł na nieśmiertelnik błyskający na okalającym szyję łańcuszku mężczyzny. – Uważam, że odpowiedź brzmi „tak”. Uważam, że wierzysz w poświęcenie tak samo, jak ja w nie wierzę. Sądzę, że je rozumiesz, tak jak ja je rozumiem. Widzę to w twoich oczach.

Saint John urwał. Był tak blisko, że Hopper czuł na twarzy jego oddech.

– Mówią, że oczy są oknami duszy – podjął tamten. – I uważam,

że to prawda, głęboka prawda. Wierz mi, kiedy patrzę w twoje oczy i w twoją duszę, dostrzegam tam prawdę. Dostrzegam poświęcenie. Dostrzegam wiarę.

Widzisz dokładnie to, co chcesz zobaczyć, pomyślał Hopper. Odbicie samego siebie i nic poza tym.

– Widzę rzadkie zrozumienie tego, że mamy do wykonania pracę. – Przywódca gangu pokiwał głową. – Ty i ja tak wiele przeszliśmy. Tak wiele widzieliśmy. A teraz jesteśmy tutaj, i czekamy, gotowi, chętni. Tak, ty rozumiesz. Twoje ręce to Jego ręce, ręce, którymi pokieruje, tak jak kieruje naszą misją. Użyj naszych rąk jako Swoich własnych, posługując się nami tak jak narzędziem, do celu zarówno wyjątkowego, jak i prawdziwego. Widzi ją. Widzi prawdę w twojej duszy, bo dusza ta jest teraz Jego. Należysz do Niego i ja też należę. I dlatego radujemy się obaj.

Hopper oddychał powoli przez nos. Saint John najwyraźniej darzył go wielką estymą z powodu prostego faktu, że obaj służyli w Wietnamie.

Czy to dlatego Leroy i Lincoln zabrali go na spotkanie grupy weteranów? Saint John przykładał wielką wagę do doświadczenia wojskowego.

Oczywiście. Grupa wsparcia – grupy, w liczbie mnogiej – to idealne źródło rekrutów. Saint John szukał ludzi. Odpowiednich ludzi, przynajmniej w jego oczach.

Ludzi takich jak Hopper – weteran mający zarówno doświadczenie, jak i palącą potrzebę żeby... coś zrobić. W przypadku Hoppera oba te stwierdzenia odpowiadały prawdzie, zdołał jednak wpleść to drugie w fantazję, której Saint John uchwycił się oburącz, ze świeżego mięsa zamieniając go w ulubieńca.

Z tak bliska Hopper widział napisy wygrawerowane na

nieśmiertelnikach. Pasowały do jego własnych, tkwiących w szufladzie w domu.

SAINT

JOHNATHAN

RA098174174

A+

KATOLIK

Hopper spojrzał prosto w twarz Saint Johna – Johnathana Sainta; w wypukłych, srebrzonych szklach okularów ujrzał własne, wielkie, podwójne odbicie. W biurowym korytarzu było jasno i gdy tak patrzył, wydało mu się, iż dostrzega lekki cień ruchu za szklami, gdy przywódca gangu mrugnął.

– Skoro oczy to okna duszy – rzekł Hopper – po co ci te okulary?

Co próbujesz ukryć przed swymi wyznawcami?

Saint John uśmiechnął się. Postukał palcem w pierś Hoppera.

– Wiedziałem, że się nadajesz. W krainie ślepców są tacy, którzy widzą, mój bracie, tacy, którzy widzą. Ty i ja zostaliśmy wybrani. Przysłał cię do mnie, abyś wykonał Jego dzieło – a cóż to za wspaniałe dzieło!

Odwrócił się i ruszył w głąb korytarza. Nagle przystanął i obejrzał się, widząc, że Hopper za nim nie idzie.

– Kim jest ów „On”? – Hopper rozłożył szeroko ręce. – Dla kogo to wszystko?

Saint John uśmiechnął się.

– Robimy to dla naszego Pana.

– Naszego Pana?

– Jedynego Pana. – Saint John znów przystanął. – Ludzie znają

Go pod wieloma imionami, ale to, które szepcze mi do ucha, brzmi Szatan. I wkrótce będzie stąpał pośród nas, a my poprowadzimy Go do Jego ognistego tronu.

To rzekłszy, odszedł.

Hopper potrzebował paru sekund, by zebrać siłę i myśli, i podążyć za nim, zamiast oddalić się jak najszybciej w przeciwnym kierunku.

Saint John poprowadził go do swego biura na najwyższym poziomie. Tym razem wędrowali wewnętrznymi schodami, a nie zewnętrznymi metalowymi. Cały kompleks biurowy był wielki, choć zupełnie pusty – w kilku miejscach Hopperowi wydało się, że słyszy pracujących ludzi, metaliczne hurgoty i brzęki odbijały się echem z głębi budynku. Zupełnie jakby część magazynu wciąż mieściła w sobie zakłady, dla których go stworzono.

Kiedy jednak w końcu dotarli do dużego biura, Hopper nigdzie nie dostrzegł żadnego z członków gangu.

Pomieszczenie wyglądało tak samo jak wtedy, gdy odwiedził je ostatnio. Ale gdy tylko przekroczyli próg, Saint John pomaszerował naprzód, okrążając biurko i zmierzając do jednych z dwojga drzwi w ścianie za nim. Drzwi były uchylone.

– Nie, nie! – syknął pod nosem, otwierając je pchnięciem.

Hopper dołączył do niego. Za drzwiami mieściło się niewielkie pomieszczenie z aktami, pełne regałów i pudeł. Pośrodku stał mały okrągły stół i dwa krzesła od kompletu. Innych drzwi nie było.

Saint John odwrócił się gwałtownie i potrącił mocno Hoppera, wypadając z pokoiku do głównego biura i dalej do zakrzywionego okna, wychodzącego na właściwy magazyn. Otworzył szybkę w jednym z okien i ryknął na podwładnych w dole.

– Leroy! Lincoln! Chodźcie tutaj! Przyprowadźcie swoje ekipy!

Migiem!

W dole Hopper widział, jak ludzie nagle ożywają. Kilku zeskoczyło ze starych kanap obok płonących beczek z olejem i popędziło w stronę schodów.

– Coś się stało? – spytał Hopper.

Saint John odwrócił się. Hopper widział żyłkę pulsującą na szyi mężczyzny i drugą na skroni.

– Nic, z czym bym sobie nie poradził – odparł tamten, po czym wycelował w niego palec. – Nic, z czym byśmy sobie nie poradzili.

A potem wrócił za biurko, raz jeszcze zajrzał do pustego pokoiku, następnie szybko otworzył górną szufladę. Ze swego miejsca przy oknie Hopper nie widział, co w niej tkwi, ale przywódca gangu pokiwał lekko głową, po czym zamknął szufladę dokładnie w chwili, gdy drzwi biura otwały się z hukiem i do środka wbiegli Leroy i Lincoln, zdyszani po gonitwie po schodach. Za nimi zebrało się jeszcze kilku członków gangu.

Saint John popatrzył na nich, potem podszedł do długiej komody, z zamkniętej na klucz drugiej szuflady wyciągnął wielką płachtę papieru i rozwinął w powietrzu, układając na stole konferencyjnym. Pozostali zebrali się dookoła, Hopper także. Patrząc na płachtę, odkrył, że to plan magazynu i biur – tak jak podejrzewał, to, co widział dotąd, stanowiło jedynie drobną część kompleksu. Wyglądało na to, że Żmije zajęły też parę sąsiednich instalacji przemysłowych, które łączyły się ze sobą seriami wielopoziomowych mostów i kładek.

Przywódca zaczął wskazywać palcem różne części planu.

– Leroy, weź swoją ekipę i zacznij przeczesywać wschodnią stronę. Podzielcie się na pół: jedna grupa schodami na górę, druga zostanie na dole. Lincoln zrób to samo, podziel grupę i sprawdź część zachodnią. Przeszukujcie dokładnie górę i dół. Wyślijcie paru

ludzi, by obstawili wyjścia od północy i południa. Jeśli wciąż się tu ukrywa, zagonimy ją do środka.

Ja?

Pozostali zaczęli kiwać głowami, wyraźnie doskonale rozumiejąc instrukcje szefa. Hopper nie wiedział, co się dzieje, ale przypuszczał, że umie odgadnąć.

Ktoś – najwyraźniej kobieta – został zamknięty w pomieszczeniu z aktami i uciekł. Zastanawiał się, kto to mógł być. Z pewnością nie Delgado? Nie, wiedziała, co robi Hopper, i co więcej, ufała mu. Nie ma mowy, żeby się w to wplątała.

A zatem kto?

Saint John znów postukał palcem w mapę.

– Hopper, weź część ekipy Leroya, zacznij tutaj i idź w dół, sprawdzając część środkową i biura. I znów, jeśli tam jest, możemy wypłoszyć ją na otwartą przestrzeń.

Hopper popatrzył na przywódcę gangu.

– Kogo właściwie szukamy?

Saint John wyprostował się. Nie patrzył na Hoppera, jego lustrzanki wciąż spoglądały na leżącą na stole mapę.

– Kogoś bardzo ważnego. A teraz idźcie. – Odprawił ich gestem.

Zebrani aż podskoczyli. Szybko podzielili się na dwu- i trzyosobowe grupki. Leroy naradził się z częścią swoich ludzi, po czym skinął na Hoppera.

– City i Reuben pójdą z tobą – oznajmił i dwóch członków gangu wystąpiło naprzód.

Hopper rozpoznał ich z wcześniejszej rundy powitalnej: City był młodzieńcem o pociągłej twarzy i długich jasnych włosach, które przytrzymywała czerwona opaska. Reuben starszym, ciemnoskórym, o fryzurze wystrzyżonej na płasko z matematyczną

precyzją. Podczas gdy Leroy i Lincoln odeszli ze swoimi, Hopper pozdrowił ich skinieniem głowy.

Miał pewien pomysł. Odwróciwszy się do stołu, wezwał gestem Saint Johna.

– Posłuchaj, mam doświadczenie w takich sprawach. Przez lata pracowałem w policji, umiem organizować poszukiwania. Mogę?

Saint John rozłożył szeroko ręce i cofnął się, przepuszczając go. Hopper podszedł bliżej, odwrócił mapę, aby zorientować się, gdzie jest. Zakreślił obszar palcem... ale jego oczy wędrowały dookoła, przyglądając się innym sekcjom, próbując zapamiętać wszystko, co widzą.

– No dobrze – rzekł po chwili. – Jeśli rozdzielimy się, zajmiemy większy obszar – pokazał palcem mapę. – City, weź ten sektor, Reuben idź tam, ja pójdę środkiem. Jak mówił szef, zadziałamy na zasadzie kleszczy: jeśli cel jest pośrodku, to go mamy, jeśli nie, wypłoszymy go tutaj bądź tutaj, a wtedy złapią go pozostali. Jasne?

Tamci pokiwali głowami na zgodę i ruszyli naprzód; po drodze City poklepał mocno Reubena po plecach.

Hopper raz jeszcze omiótł wzrokiem mapę, po czym wstał. Saint John patrzył na niego ze złożonymi rękami.

– Niezły plan, mój bracie.

Hopper oblizał dolną wargę, ale nie odpowiedział. Zamiast tego skinął głową i wyszedł w głąb kompleksu.

Hopper dostrzegł u siebie dwie diametralnie różne reakcje na skalę działania Żmij. Z jednej strony to niezwykle, że gang zdołał zająć całą przecnicę terenów przemysłowych do swych własnych celów. Nie wiedział, jak wielu ich jest, ale ewidentnie Saint John potrzebował do czegoś sporo miejsca.

Z drugiej strony fakt, iż tak łatwo zajęli kompleks magazynów, szczególnie go nie zaskoczył. Nowy Jork był miastem szalonych

kontrastów. Na dolnym Manhattanie bliźniacze wieże World Trade Center sięgały ku niebu, stanowiąc pomnik wytrwałości i ambicji miasta, które właśnie osuwało się w otchłań największego kryzysu finansowego w dziejach. Dalej centrum wciąż rozkwitało, a wyższe warstwy nowojorskiej socjety napawały się luksusami Upper West Side.

Hopper nie potrafił nawet odgadnąć, jak długo to potrwa. Ponieważ, jak sam widział, innym częściom miasta wiodło się znacznie gorzej. Nigdy nie pracował jako policjant w Bronksie i nie miał ochoty służyć w tej dzielnicy, słyszał o niej dosyć jeszcze przed wyjazdem z Hawkins. Różne dzielnice Nowego Jorku ucierpiały z powodu nieudolności władz miejskich w bardzo różnym stopniu. Ale Bronx przypominał niemal inną planetę, pełną zrujnowanych budynków i wypalonych skorup pomiędzy pustymi działkami i rzędami walących się kamienic. Znalezienie pustych budynków przemysłowych w tej okolicy i przejście do własnych celów wcale nie musiało być dla Saint Johna i jego wyznawców przesadnie trudnym zadaniem. Jednocześnie kompleks magazynowy stanowił idealne centrum operacyjne: dostatecznie duże, by pomieścić rosnący gang i zamienić tę przestrzeń w prawdziwą kwaterę główną, z miejscem do gromadzenia zasobów, sprzętu, sprzętu wojskowego, leżącą dość daleko od istniejących – i zaludnionych – dzielnic przemysłowych i handlowych, by nikt ich tu nie nawiedzał, włącznie z glinami, i aby mogli zobaczyć z daleka, gdyby ktoś jednak spróbował. Jednocześnie byli dość blisko centrum, by zapewniać dobry dostęp do miasta.

W sumie Saint John poradził sobie całkiem nieźle. Może i cierpiał na jakieś urojenia, a nawet chorobę psychiczną, ale jak widać miał doświadczenie w planowaniu i logistyce. Wspominał, że w Wietnamie oddelegowano go do „zadań specjalnych”. Hopper zastanawiał się, co to dokładnie oznaczało.

Chciał się też dowiedzieć, co planuje Saint John i dlaczego.

A teraz nadarzała się idealna okazja. Podczas gdy gang szukał porwanej kobiety, która uciekła – Hopper nie mógł uwierzyć, by kimkolwiek była, zgłosiła się tu sama – i to przy jego udziale, miał dość swobody, by się rozejrzeć, powęszyć nie budząc niczyich podejrzeń.

Doskonale.

Wędrował pustymi korytarzami, próbując wyobrazić sobie rozkład pomieszczeń. Miejsce to przypominało labirynt. Z początku Hopper zakładał, że uciekinierka do tej pory zdążyła już znaleźć wyjście i umknąć, lecz po półgodzinie sprawdzania pomieszczeń, skręcania w kolejne korytarze, zaczął w to powątpiewać. Sam nie wiedział dokładnie, gdzie jest, dawno zapomniał przechowywaną w umyśle mapę, słyszał jednak innych poszukiwaczy, mniej dyskretnych podczas tropienia ofiary.

Oczywiście dla nich to była kolejna gra. Kolejna rozrywka.

Jak dotąd sprawdzane magazyny nie ujawniły przed Hopperem tego, czego się spodziewał. Najwyraźniej w tej części budynku przechowywano głównie prowiant: stare biura i sale konferencyjne były wypełnione w różnym stopniu skrzyniami i pudłami, lecz te, które sprawdził, zawierały puszkowaną szynkę, opakowania mleka w proszku, puszki owoców. Było tego dosyć, by wykarmić całą armię.

Hopperowi zdecydowanie nie spodobała się ta myśl.

Co do uciekinierki, nie znalazł nawet jednego śladu. Dotarłszy do końca korytarza wiodącego na schody od strony zachodniej, już miał sprawdzić niższy poziom, kiedy zamarł.

Tam. Jakiś dźwięk. Otoczony echem poszukiwań dobiegającymi z góry od strony zachodniej, był pewien, że usłyszał coś znacznie bliżej, na swoim poziomie. Coś nieco dalej w głębi korytarza,

z którego właśnie wyszedł.

I znowu. Skrzypnięcie drzwi i jakże znajomy odgłos buta, szurającego o twarde cement podłogi.

Uciekinierka. To musiała być ona. Ukrywała się w biurze, czekając, aż Hopper odejdzie. Zbyt zajęty własnymi poszukiwaniami, nie dostrzegł jej obecności.

Hopper pozwolił drzwiom na schody zatrzasnąć się, po czym zanurkował z powrotem w korytarz, do pierwszego skrzyżowania. Wśliznął się za róg i przywarł do ściany, z głową odwróconą w stronę źródła dźwięku. Czekał.

Kroki znów się odezwały. Ktoś powoli, pewnie szedł korytarzem tuż za rogiem.

W jego stronę.

Hopper zebrał się w sobie, nie wiedząc kogo ani czego oczekiwać, ale do głowy natychmiast przyszły mu dwie rzeczy.

Po pierwsze, gdyby to on złapał uciekinierkę, zyskałby jeszcze więcej punktów u Żmij. Ich przywódca już mu zaufał – i to dość szybko, najwyraźniej zachęciła go do tego wspólna przeszłość w Wietnamie. Lecz pozostali, pomijając Leroya, wciąż byli jedną wielką niewiadomą. Gangowi podobała się zabawa Marthy, a Lincoln zdecydowanie go nie lubił. Nawet przy wsparciu Saint Johna Hopper nie był pewien, jak mocną ma pozycję wśród Żmij.

Po drugie jednak, gdyby pierwszy znalazł uciekinierkę, mógłby wykorzystać ją do swych celów w inny sposób. Bo choć nie wiedział, kim jest ta osoba, istniała szansa, że wróg Saint Johna może stać się jego sojusznikiem. Saint John twierdził, że to ktoś ważny – jeśli to ona, może wie, co planuje gang, co zamierza jego przywódca. Może mogłaby dostarczyć Hopperowi informacji, których potrzebował, by wrócić do Gallupa.

Jeszcze dwa kroki, ciche, powolne, lecz w martwej ciszy

korytarza dźwięczały w uszach Hoppera niczym uderzenia dzwonu. Wyteżył wszystkie zmysły, próbując odtworzyć w umyśle obraz zbliżającej się osoby, ocenić jej wzrost, to, czy ma jakąś broń. Wiedział, że chodzi o kobietę, ale to nic nie znaczyło, absolutnie nic. Siostra Leroya, Martha, była dwa razy drobniejsza od niego, ale nadal potrafiłaby go załatwić. Hopper nie mógł czynić żadnych pochopnych założeń.

Gdyby tylko umiał odczytać człowieka przez ścianę, jak symbol na karcie Zenera.

Spiął się cały, szykując do działania. Tajemnicza osoba dotarła niemal do zakrętu.

I wtedy usłyszał kolejny dźwięk – otwierane drzwi, ciężkie kroki, głośną rozmowę. Ekipa poszukiwawcza sprawdzała pobliski korytarz. W każdej chwili mogli wejść wprost na Hoppera. Osoba tuż za rogiem wystraszyła się dźwięków i znieruchomiała.

Musiał działać i to szybko.

Zacisnął zęby i wyskoczył zza rogu.

Dostrzegł błysk czerwieni i zdumienie na twarzy kobiety o długich ciemnych włosach, a potem zamarł w pół kroku. Lisa Sargeson patrzyła na niego wielkimi oczami.

Zza pleców Hoppera dobiegły odgłosy zbliżających się gangsterów. Szybko uniósł palec do ust, nakazując Lisie zachować milczenie, a potem wskazał ręką korytarz, z którego przyszła, i pokiwał głową. Natychmiast zrozumiała wiadomość i śmignęła z powrotem za najbliższe drzwi.

Biuro miało okna biegnące wzdłuż jednej ściany, zaczynające się na wysokości pasa i wychodzące na ten sam korytarz. Lisa skuliła się i ukryła pod starym biurkiem, jedynym meblem w całym pomieszczeniu. Hopper ruszył za nią i zatrzymał się, stwierdziwszy, że nie ma dość miejsca dla nich obojga.

Patrzyła na niego z głęboką obawą. W milczeniu pokazał jej znak OK, po czym podszedł do ściany i ukląkł, by znaleźć się pod oknami. Jeśli gangsterzy tu wejdą, znalezienie go będzie stanowiło mniejszy problem niż odnalezienie jej.

Członkowie Żmij przeszli korytarzem do wtóru kakofonii dźwięków, kontrastujących z ostrożnym skradaniem się Hoppera. W biurze panował mrok, na korytarzu świeciły się lampy; Hopper patrzył, jak pięć cieni przesuwa się po podłodze i bokach starego biurka. Tamci szli dalej, mijając ich. Uniósł się, wyglądając spod parapetu, patrzył jak przechodzą przez skrzyżowanie korytarzy i maszerują dalej.

– Czysto?

Odwrócił się na palcach; nad blatem biurka pojawiła się twarz Lisy. Przytaknął i wezwał ją gestem. Wypęzła ze swej kryjówki, ale wciąż się nie podnosiła.

– Co ty tu, do diabła, robisz? – wyszeptała.

– Działam pod przykrywką, jako część federalnego zespołu śledczego. Ale skąd ty tutaj? Saint John trzymał cię zamkniętą w swoim biurze?

Hopper znów sprawdził korytarz i odwrócił się do Lisy.

– To długa historia – rzekła.

– Więc zacznij mówić.

– Zaproponował mi pracę.

Zapatrzył się na nią, zaskoczony.

– Co? Pracę? Przy czym?

Lisa wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem. Ale to był tylko podstęp. Zaprosił mnie tutaj, pokazał wszystko, a potem zamknął w tamtym pokoju. – Przeczesała dłońmi włosy i potrząsnęła głową, wbijając wzrok

w podłogę, nie w postać Hoppera. – Próbował zmusić mnie, żebym...

Hopper poczuł lodowaty chłód.

– Żebyś co?

Znów pokręciła głową.

– Nieważne, ale posłuchaj, oni nie przypominają żadnego gangu ulicznego, z jakim wcześniej pracowałam. To dziwne, zupełnie jak, no nie wiem, skrzyżowanie prywatnej armii i kultu. Saint John panuje nad tymi ludźmi. Ma obsesję czegoś, co nazywa Dniem Węża; to jakaś apokaliptyczna przepowiednia, która według niego wkrótce się spełni.

Hopper zmarszczył brwi.

– A ty? Na pewno w nią nie wierzysz?

– To znaczy?

– Pamiętasz imprezę w Dzień Niepodległości? Kiedy wpadłaś w trans, mówiłaś o nadchodzącej ciemności i nocy czarnej jak węże.

Zmrużyła oczy, krzywiąc się z niedowierzaniem.

– Przykro mi, nic z tego nie pamiętam – zawiesiła głos. – Naprawdę tak powiedziałam? O rany.

– Rany to słuszna reakcja. – Zakołysał się na ugiętych nogach, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. – Zaraz mi powiesz, że nic cię nie łączy ze Żmijami?

– O nie, łączy. Znam Saint Johna.

Hopper poczuł w piersi znajomy napływ adrenaliny.

– Ty go znasz?

Przytaknęła.

– Pracowałam z nim wcześniej podczas dawnych badań, w których uczestniczyłam, w miejscu zwanym Instytut Rookwood. Był jednym z członków grupy pilotażowej przestępców zapisanych

na udział w programie. Nie posunęliśmy się zbyt daleko, bo badania zamknięto, ale należał do tej grupy.

Lisa powtórzyła mu, co usłyszała od Saint Johna, kiedy mu towarzyszyła. Hopper słuchał uważnie, analizując informacje. Kiedy skończyła, pokiwał głową.

– No dobra, musimy cię stąd wyciągnąć.

– Mnie? A co z tobą?

Hopper pokręcił głową.

– Z tego, co właśnie powiedziałaś, Dzień Węża to coś bardzo ważnego. Muszę się dowiedzieć co.

– Ale ja mogę pomóc!

– Owszem, możesz. Wydostając się stąd. Jedź na Sześćdziesiąty Piąty Komisariat w Brooklynie do detektyw Delgado, powtórz jej wszystko, co wiesz, a ona skontaktuje cię z naszą grupą.

– Dobrze – rzekła Lisa. – Ale jak mam się wydostać?

Hopper potarł podbródek.

– Mam tu swojego człowieka. Powinien ci pomóc, ale najpierw muszę go znaleźć. Poradzisz tu sobie?

Lisa przytaknęła.

– To super. Nie zapalaj światła, nie wchodź nikomu w drogę. Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Powodzenia! – rzuciła Lisa.

Hopper przytaknął, po czym wstał i wyszedł. Drzwi za jego plecami zamknęły się cicho.

Niebezpieczne odkrycia

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Hopper odtworzył drogę powrotną najlepiej, jak potrafił. Okazało się, że zapamiętał więcej szczegółów z planu, niż przypuszczał. Całkiem szybko dotarł do centralnego kompleksu biur i podążając za odgłosami poszukiwań, zdołał odnaleźć ekipę Leroya.

– Hej, stary, i jak?

Hopper pokręcił głową. Zerknął na dwóch członków gangu, stojących obok jego współnika. Będzie musiał działać szybko, nie pozostawiając miejsca na żadne wątpliwości.

– Ktoś coś widział w zachodnim budynku. – Skinął na nich. – Wy dwaj, ściągnijcie Lincolna i jego zespół i idźcie tam. My z Leroyem wyjdziemy na ulicę i zawrócimy od tyłu. To powinno jej odciąć drogę.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, przetrawiając nowe polecenia; w tym momencie do działania dołączył Leroy.

– Hej, słyszeliście gościa. Ruchy, ruchy.

To wystarczyło.

Obaj przechodząc, pokleпали go po ramieniu, a potem

przyspieszyli kroku, znikając w głębi korytarza. Hopper odczekał, aż znaleźli się poza zasięgiem wzroku, po czym odwrócił się do Leroya.

Młody mężczyzna pokiwał głową z cierpkim uśmiechem na twarzy.

– To gdzie ona jest? – spytał.

Hopper położył mu dłoń na ramieniu, przyciągając do siebie.

– Nazywa się Lisa i musisz ją wyprowadzić. Ma ważne informacje dla federalnych, jasne? Musi dotrzeć do Gallupa cała i zdrowa. – Spojrzał mu prosto w oczy. – Myślisz, że dasz radę ją wyciągnąć? I nie dać się złapać?

– Zostaw to mnie.

Hopper opisał mu drogę do starego biura; Leroy cały czas kiwał głową. Zapewnił, że wie, gdzie to jest. Hopper pożegnał go, po czym rozejrzał się szybko. Był na parterze głównego kompleksu biurowego. Cztery poziomy wyżej mieściło się biuro Saint Johna.

Idealnie.

Na myśl, że Lisa wkrótce znajdzie się w bezpiecznym miejscu, poczuł ogromną ulgę, jakby z ramion spadł mu wielki ciężar. Wraz z nim do ciała napłynęła nowa energia, nowy zapach.

Czas przyjrzeć się bliżej magazynom.

Teraz rozpoznawał już przejścia w środkowym bloku, toteż zanurkował do pierwszego pustego biura. Pomieszczenie wypełniały drewniane skrzynie, ustawione starannie w stosy po sześć, sięgające mniej więcej na wysokość piersi. Hopper po raz pierwszy zauważył, że na każdej skrzyni widniał jakiś znak identyfikacyjny, zostały jednak zamazane czarną farbą w spreju.

Podszedł do najbliższej skrzyni. Wieko zabito gwoździami; potrzebował narzędzia, by je podważyć, czegoś jak łom, który

zostawił w magazynie. Rozejrzał się i przekonał, że w biurze nie ma nic, co by się przydało. Przeklinając pod nosem, wybiegł na korytarz i sprawdził następny pokój, potem kolejny.

I w tym mu się poszczęściło. Podobnie jak w biurze, w którym zostawił Lisę, tu także nadal stało stare biurko, wepchnięte niedbale w kąt. Blat miało drewniany, ale kiedy się przyjrzał, odkrył, iż szuflady po obu stronach są z metalu. Wyciągnął jedną i uniósł, badając, jak jest skonstruowana. Cztery metalowe płyty połączono za pomocą czterech śrub. Podstawę stanowiła płaska blacha, dźwięcząca pod dotknięciem.

Hopper zaniósł szufladę do pierwszego biura, położył ją na podłodze, przytrzymał tył czubkiem jednego buta i złapał oburącz uchwyt. Dwa mocne szarpnięcia i szuflada puściła – dostatecznie, by mógł oderwać metalowe dno.

Zaimprovizowane narzędzie było lepsze niż nic. Podeszedł do stosu skrzyń, wcisnął narożnik metalowej płyty pod wieko skrzyni, na zmianę naciskając i wpychając głębiej, aż w końcu osiągnął zagłębienie pozwalające wsunąć palce. Potem gwoździe wysunęły się gładko. Hopper położył wieko obok metalowego dna szuflady i zajrzał do środka.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak jak podejrzewał: na słomianej wyściółce spoczywał karabin – dokładniej karabin szturmowy kałasznikow, znany także jako AK-47. Zaprojektowany w Rosji, wyprodukowany gdzieś w bloku wschodnim. Praktycznie niezmienny od trzydziestu lat, AK-47 był bronią zdumiewająco prostą, lecz niezwykle skuteczną, wymagał niewielkiej dbałości i równie małych umiejętności użytkownika, dzięki czemu już dawno stał się czarnorynkowym karabinem numer jeden i pierwszym wyborem dla oddziałów partyzantki miejskiej całego świata i wielkich karteli bliżej domu.

Lecz jak na nowojorski Bronx, był to zdecydowanie mocny

sprzęt. Hopper wyjął karabin i przyjrzał mu się przelotnie. Nie musiał sięgać po znajomość broni palnej, by wiedzieć, że trzyma prawdziwy towar. Zważył paskudny karabin w jednej ręce i sprawdził skrzynię; wyglądało na to, że w słomie spoczywa ich jeszcze pięć, co oznaczało sześć karabinów na skrzynię. Stał obok stosu sześciu identycznych skrzyń, a w pomieszczeniu było co najmniej dwanaście podobnych stosów. Pomnożmy to przez liczbę pomieszczeń, a także góry skrzyń w samym magazynie i skala działania organizacji Saint Johna wydała mu się przerażająca.

Saint John nie tworzył gangu. Budował sobie armię. Armię dowodzoną przez szaleńca – weterana z Wietnamu, który wyruszył na wojnę i wrócił z wizją, jak zmienić świat.

I któremu wskazywał drogę nie głos Boga, lecz jego boskiego nieprzyjaciela. Który teraz wykorzystywał tę wiarę, by przekonać wyznawców, że ich czas nadchodzi, że czeka na nich lepszy świat, świat, w którym to oni będą rządzić.

Jeśli tylko posłuchają jego rozkazów.

Dzień Węża – gdy diabeł we własnej osobie przybędzie na ziemię i uczyni z Nowego Jorku swe królestwo.

To oczywiście bzdury, fantastyczne wymysły. Saint John był człowiekiem złamanym, ale z całą pewnością nie wierzył w diabła. Wygadywanie pseudobiblijnych bzdetów to łatwy sposób wyniesienia się ponad własny gang i zapanowania nad nim.

Bo niektórzy ludzie uwierzą we wszystko, jeśli tylko opowiedzieć to we właściwy sposób.

Ale Dzień Węża? On był prawdziwy. To dzień, w którym Saint John pośle swoją armię do nieznanego ataku.

Hopper odłożył karabiny do skrzyni, walcząc z falą paniki i mdłości, która zaczęła wzbierać gdzieś wewnątrz jego brzucha.

Co to za plan? Gdzie zaatakują? Czy Żmije zamierzają po prostu

wypaść z magazynu, strzelając do wszystkich?

Nie, to nie ma sensu. Saint John lubił planować. Powoli i starannie rozbudowywał swój gang i arsenał. Czekał na właściwy moment.

Szykował swój plan ataku.

A Hopper wiedział dokładnie, gdzie przechowuje te plany.

Wybiegł z magazynków, kierując się w stronę schodów.

Do biura Saint Johna.

Hopper poruszał się szybko, nadal zachowując ostrożność, odkrył jednak, że wszędzie jest pusto. Ekipy poszukiwawcze przeniosły się do zachodniej części kwatery głównej. Leroy powtarzał fałszywe wieści o pojawieniu się uciekinierki, żeby oczyścić drogę sobie i Lisie.

Miał tylko nadzieję, że Saint John dołączył do reszty gangu, bo jeśli nie, Hopper będzie musiał zrezygnować z planów dostania się do biura szefa. Gdy się zbliżył, uznał, że plan zapasowy to po prostu wydostanie się stąd w diabły. Miał aż nadto informacji dla grupy Gallupa. Teraz mogli wystąpić przeciw Żmijom, a dodajmy do tego jeszcze informacje Lisy. Fakt, nie wiedział, czym jest Dzień Węża, i nie udało mu się połączyć Żmij z zabójstwami karcianymi, ale musiał wierzyć, że wszystko to wyjdzie w praniu, gdy Saint John i jego gang trafią już za kratki.

Szczęście wciąż mu dopisywało. Biuro szefa było puste.

Hopper wszedł do środka. Na stole nadal leżał plan magazynu, a obok zestaw cyrkli. Hopper poświęcił chwilę na przyglądanie się szkicom, potem szybko zwinął mapę i wsunął za pazuchę. Z pewnością przyda się grupie do planowania nalotu.

Następnie skupił uwagę na szerokiej komodzie pod ścianą. Miała sześć szuflad, wszystkie prócz drugiej od góry – pustej – zamknięte

na klucz. Jednakże szuflad nie zaprojektowano z myślą o ochronie. Zagląając w szczelinę pomiędzy górną i ramą szafki, Hopper dostrzegł ząbki słabego zamka.

Wrócił do stołu, zabrał metalową linijkę leżącą pośród kompasów, ołówków i cyrkli, i wcisnął w szczelinę nad szufladą. Wystarczył lekki nacisk, by zamek trzasnął. Hopper szarpnięciem otworzył szufladę, wysuwając ją dość daleko, by mógł stanąć obok i zacząć przeglądać tkwiące w środku płachty.

To były plany, tradycyjne białe linie na ciemnym papierze, nakreślone z niezwykłą dbałością o szczegóły. Hopper niczego z nich nie rozumiał, lecz przesuważąc palcem po marginesie, znalazł legendę. Zmrużył oczy, próbując odczytać maleńki tekst.

Najwyraźniej były to plany turbiny – wielkiego przemysłowego urządzenia z elektrowni.

Marszcząc brwi, zaczął przeglądać arkusze tkwiące niżej. Kolejne takie same i podobne urządzenia – transformatory i układy zasilania. Pod nimi płachty białego papieru, na których z pozoru widniały plany ulic i dopiero po bliższym przyjrzeniu Hopper uświadomił sobie, że to w istocie rysunki czegoś naprawdę wielkiego.

Wyciągnął wszystkie papiery i wyrzucił na stół. Powtarzając sztuczkę z linijką, otworzył kolejne szuflady. Tkwiły w nich rysunki architektoniczne i kartki z księgi rachunkowej. Hopper nie wiedział, co to wszystko znaczy i nie miał czasu analizować.

Czy to były plany Dnia Węża? Nie miał pojęcia.

Musiał szukać dalej.

Najpierw zbadał duże biurko. Wszystkie szuflady były puste, prócz najwyższej po prawej, tej, którą Saint John sprawdzał wcześniej. Wewnątrz tkwił srebrny krzyż.

Hopper zmarszczył czoło, potem jednak przypomniał sobie napis

na nieśmiertelniku tamtego informujący, że jest katolikiem. Czy katolicy trzymali u siebie krzyże? Nie miał pojęcia, nie wiedział też, czemu leży on w szufladzie, ale to nieważne. Nie tego przecież szukał.

Następnie odwrócił się i otworzył pierwsze drzwi za biurkiem – pokoju z aktami, służącego za tymczasową celę więzienną Lisy. Omijając niewielki okrągły stół, zaczął rozglądać się po metalowych regałach i zamarł.

Na jednej z półek ułożono zestaw dużych czarnych pudeł na akta. Na każdym z nich widniała etykieta, którą Hopper widział już wcześniej.

DEPARTAMENT OBRONY USA

WYNOSZENIE SUROWO WZBRONIONE

To były akta z tajnego mieszkania Hoelera. Wszystkie trafiły tutaj.

Przynajmniej rozwiązał jedną zagadkę. Nie wiedział, czy to ważne, ale na pewno informacja o tym trafi do raportu dla Gallupa. Nadal przeszukiwał półki, wypatrując czegokolwiek użytecznego, lecz po paru chwilach cofnął się, bo zdumienie zaćmiewało mu umysł.

Wszystkie metalowe regały były pełne, ale Hopper kompletnie nie mógł zrozumieć myśli przewodniej książkowej kolekcji Saint Johna. Stały tam akademickie, wielkie, grube podręczniki psychologii i psychiatrii w twardych okładkach – tak przynajmniej zakładał Hopper. Znalazł też książki o historii wojskowości i podręczniki sztuki przetrwania. Inna półka mieściła zbieraninę starszych tomów różnych rozmiarów, niektórych oprawnych w skórę ze złożonymi krawędziami kartek i innych, w oprawach ze

zwykłych tkanin. Napisy na grzbietach kilku z nich wyglądały obco, nie po angielsku; Hopper rozpoznał łacinę i domyślił się, że część innych to greka. Te, które zdołał odczytać, nie mówiły nic o zawartości: „Klucz Salomona”, „Grimuar kalvakański”, „Słowo Oka”.

Odwróciwszy się na pięcie, Hopper omiótł wzrokiem resztę półek. Znów książki, nowe i stare, kolejne akta, tym razem w segregatorach, opisanych alfabetycznie pod wydrukowaną etykietą.

INSTYTUT ROOKWOOD.

Hopper zamarł. To tam po raz pierwszy Lisa spotkała Saint Johna, ale teraz nie miał czasu tego sprawdzać. Jeśli zawartość małej biblioteki Saint Johna jest ważna, trudno. Nie mógł niczego zabrać ze sobą, nie teraz. Dosyć już widział.

Czas ruszać.

I wtedy usłyszał jakiś ruch z biura. Natychmiast znieruchomiał, a potem bezszelestnie cofnął się parę kroków, wciskając plecy w kąt obok metalowych regałów. Czekał, nasłuchując, powtarzając sobie, że jest niewidzialny – przynajmniej jeśli ktoś zjawi się w pokoju.

Usłyszał dźwięk otwieranych i zamykanych kolejnych drzwi, a potem znów zapadła cisza. Hopper odliczył w głowie i ostrożnie podszedł do drzwi; nie dobiegał zza nich żaden dźwięk, toteż zaryzykował szybki rzut oka na zewnątrz.

Biuro było puste. Papiery, które wysypał na stół, wciąż tam leżały.

Hopper wszedł do środka, zastanawiając się nad tym, co usłyszał, nad dźwiękiem innych drzwi. Nie mogło to być główne wejście do biura – te drzwi nadal stały otworem, czyli zostawały drugie. Wcześniej zakładał, że prowadzą do kolejnego pomieszczenia z aktami.

Przesunął się pod ścianą za biurko i sprawdził. Okazały się

otwarte.

Pomieszczenie za nimi wyglądało tak, jak oczekiwał, było rozmiarów identycznych z pierwszym. Tyle że tutaj ustawiono wielką, wolno stojącą szafę.

Hopper otworzył ją. Wewnątrz znalazł parę pustych wieszaków, z jednego zwisała długa czarna szata z kapturem, uszyta z taniej sztywnej tkaniny.

Pokręcił głową świadomy, że czas przecieka mu przez palce. Zamknął szafę i wrócił do biura.

Po czym usłyszał łomot dobiegający gdzieś znad głowy, jakby coś bardzo ciężkiego upadło na podłogę. Unosząc głowę, zorientował się, że jedyną rzeczą nad nim jest dach magazynu – i gdy tak stał pośrodku biura, usłyszał kolejne hałasy. Ludzie krążyli mu nad głową.

Całe mnóstwo ludzi.

Musiał sprawdzić, co się tam dzieje.

Po wyjściu na dach Hopper natychmiast przywarł do ściany klatki schodowej, ciesząc się z oferowanej przez nią łatwej osłony. Zaczął jak krab sunąć w bok, aż w końcu mógł wyrzeć zza rogu i sprawdzić, o co chodzi.

Dach pomieszczeń biurowych był płaski, obszerny i kwadratowy, wznosił się nad magazynami, zbieraniną kątów wielkości boiska do futbolu. Tu, z góry, Hopper widział jasne światła Bronksu, połyskujące w ciepłym powietrzu letniej nocy. Wyglądało na to, że kompleks magazynów jest najwyższą budowlą w promieniu kilku przecznic, choć przed sobą dostrzegał oświetlone okna zamieszkanymi kamienic. Rozejrzawszy się, błyskawicznie odkrył, że niebo za jego plecami płonie jaśniej: to światła Manhattanu odbijały się jasnopomarańczowym blaskiem od chmur w górze. Nawet z tej odległości świetlista wieża Empire State Building

odcinała się na tle reszty wraz z innymi wysokimi budynkami centrum: jeszcze dalej czerwone światełka na szczycie iglicy jednej z wież World Trade Center zapalały się i gasły, zapalały i gasły.

Ale Hopper nie miał czasu, by rozkoszować się widokiem; skupił wzrok na tym, co działo się na dachu, uważając, by pozostać w ukryciu za klatką schodową.

Dach wypełniali ludzie – oczywiście członkowie Żmij, choć Hopper nie był tego do końca pewien, ponieważ każdy z nich nosił teraz długą białą szatę z naciągniętym na głowę kapturem. Ustawili się w kilku prostych szeregach, zwróceniu do niego plecami.

A nad tą – kongregacją? Magicznym kręgiem? Hopper nie miał pojęcia, jak to nazwać – górował mężczyzna w identycznej szacie, tyle że uszytej z czarnej tkaniny.

Saint John stał naprzeciw Hoppera, ale dopóki ciemność na dachu rozpraszały światła miasta, Hopper był niemal pewien, że pozostaje niewidoczny w cieniu klatki.

Przywódca gangu uniósł wysoko ręce i rozcapierzył palce, zwracając się do zebranych.

– Bracia moi! Och, moje siostry! Zgromadziliśmy się tu w czarnym cieniu naszego mrocznego Pana, aby Mu podziękować! Tak, Jemu składamy nasze podziękowania, tak jak krew i życie, i nasze dusze. Słuchajcie mnie!

Saint John uniósł głowę. Jego twarz kryła się w cieniu kaptura, ale Hopper nawet teraz widział światło, odbijające się od srebrnych lustrzanek.

– Stoimy tu u zarania nowego dnia. Naszego dnia. Dnia naszej zapłaty. Dnia naszego przebudzenia. Dnia odcisniętego w materii naszych dusz od chwili, gdy zrodziliśmy się i rozplynęliśmy w ciemności. Słuchajcie mnie! Nadszedł nasz dzień! Zaczyna się Dzień Węża!

Gang milczał. Saint John opuścił ręce i głowę. Nikt nie poruszył się, nawet nie szeptał.

A potem przywódca znów spojrział na nich.

– Pilnuję waszych pleców – rzekł niemal zbyt cicho, by Hopper go usłyszał. – A wy pilnujecie moich.

Na te słowa gang ryknął, wznosząc w górę zaciśnięte pięści i powtarzając znajomą frazę. Saint John ponownie uniósł ręce, gestem nakazując wyznawcom, by krzyczeli jeszcze głośniejsze w swym zapale.

Żmije posłuchały. Hopper przykucnął, kręcąc głową.

– Słuchajcie mnie! – huknął Saint John, przekrzykując chór zebranych. – Słuchajcie! Zostało nam tylko jedno zadanie! Jeszcze jeden akt, nim to wszystko będzie nasze, zanim władca nocy nie zstąpi na ziemię, by obdarzyć nas mrocznym błogosławieństwem. Jedna ostatnia ofiara i ciemność nadziei, noc, czarna jak węże!

Hopper obejrzał się gwałtownie, dostrzegając ruch kątem oka. Skulił się mocniej w cieniu, bo z boku dachu pojawiło się jeszcze dwóch członków gangu w białych szatach. Między sobą ciągnęły kobietę w czerwonej sukience, ciemne włosy fruwały dokoła, gdy szamotała się, próbując się im wyrwać.

Hopper poczuł ucisk w piersi, oddech uleciał mu z płuc. Powstrzymał się przed jakimkolwiek ruchem, nieważne jak drobnym.

Lisa. Złapali ją.

Dwaj mężczyźni przyciągnęli ją w stronę Saint Johna. Lisa walczyła jak mogła, ale trzymali ją mocno. Rozejrzała się desperacko i na widok przerażenia na jej twarzy Hopper poczuł, jak krew w żyłach zamienia mu się w lód.

To moja wina. Moja wina. Sam powinienem był ją wyciągnąć.

Saint John wspiął się na niski murek, otaczający krawędź dachu.

Wydobył skądś srebrny przedmiot, połyskujący w dłoni – krzyż z szuflady biurka. Chwycił podstawę i pociągnął, demonstrując, że trzonek krzyża to tak naprawdę klinga. Teraz pochwa błyszczała mu w drugiej dłoni.

Hopper zaklął pod nosem. Omiótł wzrokiem dach, serce trzepotało mu niemal z prędkością światła.

Beznadziejna sprawa. On sam przeciwko setce ludzi. Nic nie mógł zrobić.

Na widok noża Lisa krzyknęła i szarpnęła przytrzymujące ją ręce. Podczas gdy dwaj mężczyźni walczyli, by ją uspokoić, kaptur jednego z nich zsunął się na plecy.

To był Leroy.

Hopperowi żółć podeszła do gardła.

Co ja zrobiłem?

Mężczyźni pociągnęli Lisę i ustawili naprzeciw Saint Johna. Spojrzał na nią z góry, ponownie unosząc ręce; w prawej tkwił sztylet. Saint John mówił coś, ale Hopper nie słyszał.

I nagle Lisa przestała walczyć. Wyprostowała się i na gest Saint Johna Leroy i drugi mężczyzna puścili ją. Ręce opadły jej na boki. Saint John wyciągnął ku niej dłoń, a ona ją ujęła, wstępując na murek obok przywódcy gangu i odwracając się do pozostałych.

Jeden z akolitów wręczył Saint Johnowi srebrny kielich. Przywódca wziął go, po czym podsunął Lisie. Następne słowo Hopper usłyszał bardzo wyraźnie.

– Pij.

Lisa wzięła kielich, niemal na niego nie patrząc, uniosła do ust, a potem...

Zawahała się. Zakołysała. Saint John ją podtrzymał.

– Nadszedł czas – rzekł. – Stało się tak, jak zapowiadano, wiesz

o tym. Wiesz, co robić. Pij.

Hopper musiał coś zrobić. Nie wiedział, co się dzieje, nie miał pojęcia, czy zdoła coś poradzić, ale nie było mowy, żeby po prostu stał z boku. Musiał zainterweniować, mimo zerowych szans powodzenia, choć byłaby to beznadziejna, samobójcza próba.

Musiał spróbować. Przynajmniej musiał spróbować.

Pewniej ustawił stopy i przykucnął, gotów wyprysnąć z kryjówki.

I wtedy Lisa upuściła kielich. Z brzękiem poturlał się po dachu.

Hopper skoczył naprzód, opuszczając kryjówkę. Jedyłą przewagę dawał mu fakt, że wszyscy członkowie gangu – oprócz Saint Johna – patrzyli w drugą stronę.

Saint Johna i Lisy. Gdy oderwał się od klatki schodowej, uniosła wzrok – był pewien, że spojrzała na niego.

A potem postąpiła krok w tył i zniknęła za krawędzią dachu. Czerwona sukienka wydeła się, gdy zadziałała grawitacja.

– Nie! – ryknął Hopper.

Gang odwrócił się, zaskoczony, patrząc na niego. Stojący na czele grupy Saint John uniósł obie ręce.

– Ciemność nadeszła! Rozpoczął się Dzień Węża!

Za jego plecami światła Bronksu zgasły.

Hopper poczuł, że oddech więźnie mu w gardle. Obejrzał się – teraz magazyn z trzech stron otaczała czarna otchłań. Obrócił się ku pomarańczowemu blaskowi za plecami – oto Manhattan, lśniący klejnot na tle nocy.

I wtedy tam także zaczęły gasnąć światła, poczynając od czubka wyspy. Całe plamy koloru znikwały, malując na jasnym tle ogromny czarny zygzak. W miarę, jak padało zasilanie, fala ciemności przelewała się w stronę centrum.

Hopper patrzył, jak znika Empire State Building. Chwilę później

wyzionęły ducha światła na World Trade Center.

Nowy Jork ogarnęło zaćmienie.

Odwrócił się. Dach oświetlały teraz tylko promienie księżyca. Stojący tuż przy krawędzi Saint John wybuchnął śmiechem, a potem rękami ukrytymi w szacie wskazał Hoppera.

– Brać go!

I wtedy Hopper poczuł, że ktoś chwyta go za rękę i ciągnie w tył. Odwrócił się.

Martha spojrzała mu prosto w oczy.

– Przestań zwlekać i zacznij biec – poleciała.

Posłuchał.

Ciemności w Brooklynie

13 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– Cokolwiek?

Delgado spojrzała w dół z drabinki, celując promieniem latarki tak, by nie trafić Diane prosto w twarz. Obok jej głowy wisiała otwarta skrzynka z bezpiecznikami. Drzwiczki odsłoniły starożytną płataninę przewodów, ceramicznych bezpieczników i przełączników.

– Nie, wszystko wygląda dobrze, choć nie jestem fachowcem – odparła.

Zamknęła skrzynkę i zaczęła schodzić po drabince, podtrzymywanej przez sąsiada Diane z góry, Erica Van Sabbena. Jego żona, Esther, machała własną latarką, oświetlając stopy Delgado, tak żeby widziała, gdzie stąpa. Kolejny promień padał na zamkniętą skrzynkę z bezpiecznikami; nim z kolei kierowała pani Schaefer, starsza pani z mieszkania na parterze.

– Mówiłam – rzekła. – Zupełnie jak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym. Prąd wysiadł na co najmniej dwanaście godzin. I to w zimie. Mroźnej zimie.

Zeskoczywszy na podłogę, Delgado nastawiła się na kolejne

wspomnienia pani Schaefer z poczciwych, dawnych czasów. Znała ją zaledwie pół godziny, ale już dowiedziała się nie tylko o historii budynku, ale całego sąsiedztwa, włącznie z tym, jak poradzili sobie z ostatnią awarią elektryczności, która wydarzyła się nieco ponad dekadę wcześniej.

Tym razem jednak do pani Schaefer najwyraźniej dotarło, co się dzieje. Grupa stała w holu budynku, oświetlając się latarkami.

– Chyba ma pani rację – powiedziała Delgado. – To nie tylko my.

Podeszła do drzwi frontowych i otworzyła szarpnięciem. Ulica na zewnątrz była ciemna, oświetlał ją tylko blask kolejnych latarek – mieszkańcy wychodzili sprawdzić, co się dzieje.

– Chyba pójde się rozejrzeć. – Eric odebrał żonie latarkę. – W końcu nie mam nic innego do roboty. – Popatrzył na żonę, potem na Delgado, jakby któraś z nich mogła sprawić, aby prąd wrócił, by nadal spokojnie oglądał mecz Metsów. Kiedy żona nie odpowiedziała, westchnął. – Chcę sprawdzić, jak daleko to sięga.

– Do stadionu Shea daleka droga – zauważyła Diane, krzyżując ręce, na jej ustach zatańczył uśmiezek. Eric zerknął na nią, potem zachichotał.

– Przepraszam – rzekł. Uśmiechnięty coraz szerzej, znów popatrzył na Delgado, jakby czekał na pozwolenie.

Delgado nagle uświadomiła sobie, że przynajmniej w teorii, jako policjantka ma tu pewną władzę. Pokiwała głową i latarką wskazała drzwi.

– Zgoda, ale uważaj na siebie. Na zewnątrz będzie ciemniej, niż przypuszczasz.

Eric uśmiechnął się.

– Bez obaw, nikt mnie nie napadnie.

Na te słowa Esther jęknęła i złapała go za rękę.

– To nie napady mnie martwią – rzekła Delgado. – Bardziej

prawdopodobne, że potkniesz się i upadniesz albo wdepniesz w dziurę czy coś podobnego. To niedobry moment, żeby złamać nogę.

Eric zasalutował latarką.

– Zrozumiano. – Odwrócił się do pozostałych. – Postaram się uwinąć jak najszybciej, sprawdzic, co zdołam zobaczyć. – Cmoknął żonę w policzek. – Niedługo wracam – dodał, a potem włączył latarkę i wyszedł.

Esther podeszła do drzwi, odprowadzając go wzrokiem i patrząc, jak znika w ciemności. Delgado przyglądała jej się przez chwilę, w końcu podjęła decyzję.

– No dobra – rzekła – co powiecie na to, żebyśmy trzymały się razem? Zaczekamy, aż Eric wróci, zobaczymy, czego się dowiedział. A tymczasem muszę wykonać kilka telefonów. – Odwróciła się do Diane. – Możemy wrócić do ciebie?

Kobieta przytaknęła.

– Oczywiście. Mamy gdzieś radio na baterie, może coś mówią w wiadomościach?

– Doskonały pomysł! – rzuciła Delgado. Esther odwróciła się i dostrzegła wyraz jej oczu. – To ci odpowiada?

Kobieta przytaknęła.

– Pani Schaefer, a może woli pani poczekać w swoim mieszkaniu?

– O mój Boże, nie. Chcę usłyszeć, co będzie miał do powiedzenia Eric, kiedy wróci.

– No to doskonale.

– Pozwólcie tylko, że zabiorę parę rzeczy. – Pani Schaefer skierowała się w głąb mieszkania. – Możemy zagrać w Monopol przy świecach.

Delgado patrzyła, jak starsza kobieta znika za drzwiami. Kiedy się oddaliła, westchnęła donośnie.

– Dobrze – powtórzyła.

Diane zaśmiała się i poklepała ją po ramieniu.

– Pani Schaefer jest w porządku, polubisz ją.

– Ale cokolwiek zrobisz – dodała Esther – nie poruszaj tematu *Amerykańskiego graffiti*.

Delgado zmarszczyła brwi.

– *Amerykańskiego graffiti*? To znaczy filmu?

Diane przytaknęła.

– Tak i to bardzo długa historia. Chodź, poszukajmy tego radia.

Zaćmienie

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Martha pierwsza dopadła schodów. Rzuciła się przez drzwi, popychając Hoppera, gdy ją wyminął. Zatrzasnęła je za sobą, potem wypchnęła w odsłonięty mechanizm łom, być może ten sam, którym wcześniej zaatakowała.

– No chodź! – rzuciła, biegnąc na dół.

Hopper podążał za nią. Przeganiał z umysłu wszystkie pytania, prócz tych oczywistych, skupiony na tym, by dotrzeć na dół w jednym kawałku. Drogę oświetlały mu tylko przenikające ciemność w nieregularnych odstępach słabe promienie księżyca, wpadające do środka przez małe wysokie okienka, osadzone na szczycie klatki schodowej.

– Co się dzieje, do diabła?

– Później. Nie mamy czasu na gadaninę. I nie skręć sobie karku na schodach.

Hopper uznał, że to dobra rada. W miarę schodzenia klatka zamieniała się w czarną dziurę. Słyszał przed sobą Marthę, ale musiał zwolnić i wymacywać sobie drogę z jedną ręką na poręcz, a drugą błędzącą w ciemności. Od czasu do czasu palcami muskał

ścianę.

Potem na klatce eksplodowało światło. Na dole Martha pchnięciem otworzyła drzwi. Uniosła wzrok, czekając na Hoppera, który przyspieszył, przeskakując po dwa stopnie, i wypadł na dwór drzwiami, które przytrzymała jego wybawicielka.

Znaleźli się z powrotem w magazynie – nie żeby Hopper cokolwiek widział. Uniósł dłoń do twarzy, osłaniając oczy przed oślepiającym blaskiem. Najpierw usłyszał miarowy warkot silnika i dopiero potem pojął, iż patrzy wprost w reflektory sfatygowanego kombi Leroya. Martha siedziała już za kółkiem.

Nie potrzebował zaproszenia. Podbiegł do wozu od strony pasażera i wśliznął się na miejsce w chwili, gdy pojazd ruszył z szarpnięciem na wysłużonym zawieszaniu. Martha kręciła kierownicą, wrzucając bieg wsteczny; teraz reflektory skierowały się w stronę wyjazdu z magazynu. Drzwiczki Hoppera zatrzasnęły się pod własnym ciężarem, gdy Martha wrzuciła bieg i wcisnęła gaz do dechy. Pisk opon wypełnił cały magazyn i wóz pomknął w stronę otwartych drzwi i dalej w noc. Hopper przytrzymał się uchwyty nad drzwiami, wisząc na nim, gdy samochód podskakiwał na wertepach. Reflektory tańczyły na ścianach otaczających alejkę. W parę sekund później ściany zniknęły i wydostali się na główną drogę. Martha skręciła ostro, zmierzając w kierunku właściwego Bronksu.

– Widzisz cokolwiek?

Hopper odwrócił się w fotelu w chwili, gdy samochód podskoczył na kolejnej dziurze. Za nimi nie było nic, jedynie niewyraźna sugestia magazynu. Księżyc zniknął właśnie za chmurą.

– Nic – odparł.

– Dobra – rzuciła Martha. Znów skręciła gwałtownie, pokonując zakręt stanowczo zbyt szybko. Wóz podskoczył na krawężniku

i silnik zawył głośno, a potem zgasł. Martha wcisnęła hamulce i samochód zatrzymał się w poślizgu. Siedziała za kółkiem, pierś unosiła się jej gwałtownie. Pokręciła głową – Co. Za. Kawał. Złomu! – Walnęła pięścią w kierownicę i znów zaklęła.

Hopper odwrócił się do niej.

– A teraz gadaj, co się, do diabła, dzieje? Co to było na dachu i dlaczego, do diabła, teraz mi pomagasz? Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, chciałaś mnie zabić.

Martha zerknęła na niego z ukosa, nie odrywając rąk od kierownicy.

– Tak, przepraszam za to, ale musiałam coś wymyślić. Lincoln rozwaliby ci głowę, a uznałam, że lepiej mieć cię pod ręką. Nie martw się, nie zamierzałam cię zabić, może trochę poobijać, to wszystko. Ale słuchaj, jeśli chodzi o gliny – wciąż z nimi współpracujesz, prawda?

Hopper zamrugął.

– Co?

– To była tylko przykrywka – podjęła Martha – żeby cię wprowadzić? Daj spokój, nie jestem głupia. Choć może patrzyłam uważniej niż pozostali. W Żmijach oplaca się mieć oczy szeroko otwarte. Robię to już od roku, więc chyba przywykłam.

Hopper jedynie patrzył na nią.

– Co chcesz powiedzieć, przyznając, że miałaś oczy szeroko otwarte? Jesteś przecież jedną ze Żmij, prawda?

– Tak i nie – odrzekła Martha. – Ale słuchaj, nie mamy czasu, żeby się nad tym rozwodzić. Musimy wynosić się stąd w diabły, i to już.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Trzeba było trzech prób, lecz w końcu samochód ożył. Parę razy nacisnęła pedał, w końcu zadowolona wrzuciła bieg.

– Cały czas patrz za plecy – poleciła. – To nie potrwa długo.

Szybko wyruszą w pościg.

– Masz rację, nie potrwało.

Martha obejrzała się, tak jak Hopper wcześniej. W dali z bocznej alejki zbliżały się liczne światła.

Żmije ruszyły w pościg.

Hopper odwrócił się.

– Jedź. Ale już!

Martha dodała gazu i samochód wystrzelił naprzód.

Miasto stojące na głowie

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Ciemność, która spowiła Nowy Jork, zaskoczyła Hoppera; świadomość, że noc jest naprawdę czarna – czarna jak węgiel, podpowiedział głos gdzieś z tyłu jego umysłu – nim wstrząsnęła.

Oczywiście doświadczył już podobnej ciemności i może dlatego tak to nim poruszyło – nawet po przeżyciach z dachu magazynu i widoku Lisy Sargeson, skaczącej w objęcia śmierci.

Bo podobnej ciemności tak naprawdę można doświadczyć tylko w głuszy.

Albo w dżungli, setki mil od cywilizacji.

Hopper przepędził te myśli gdzieś w najdalszy kąt umysłu, odcinając je, żeby skupić się na chwili obecnej. Plan wyglądał prosto: uciec w diabły przed Żmijami, w jakieś bezpieczne miejsce. Wtedy będzie mógł zacząć się zastanawiać, kim naprawdę jest Martha i dlaczego mu pomaga. Potem musi dotrzeć do władz, do Gallupa. Nie wiedział jeszcze, czy Martha mu w tym pomoże, ale jedno było pewne: na ucieczce przed Żmijami zależało jej tak samo jak jemu.

A potem musi wrócić do domu. Nie wiedział, czy zaćmienie

ogarnęło też Brooklyn – miał ogromną nadzieję, że nie – ale jego rozłąka z Diane i Sarą trwała już dość długo.

Mocniej zacisnął ręce na pasku nad drzwiami samochodu, przeganiając także myśli o rodzinie – przynajmniej na razie – żeby skoncentrować się na najbliższym zadaniu. Wkrótce jednak pojął, że każdy plan, jaki wymyśli, niełatwo przyjdzie zrealizować.

Ulice wokół kompleksu przemysłowego były puste: nie widział ani ludzi, ani innych samochodów – a Martha pilotowała ich kombi przez płataninę identycznych ulic, które wyraźnie doskonale znała, próbując zmylić pościg. Chyba jej się udało, bo po pierwszym błysku reflektorów Hopper nie dostrzegł żadnych oznak, że ktoś ich goni.

A potem ciemność zaczął rozjaśniać żółtopomarańczowy blask, padający gdzieś z przodu. Powietrze zgęstniało, mieniając się kolorami, i Hopper pojął, że to dym.

Martha wyjechała z dzielnicy przemysłowej na główną drogę i dodała gazu, kręcąc kierownicą, by ominąć tłum ludzi pośrodku jezdni. Przed nimi na rogu jakiś budynek stał w ogniu, od parteru aż po dach. Pożar zmienił go już w czarny szkielec, płomienie wystrzeliwały na dziesięć metrów w górę. Hopper nawet z tego miejsca czuł żar. Wokół nich ludzie rozbiegli się po całej ulicy, niektórzy trzymali w rękach latarki, a wszyscy wymijali płonący budynek możliwie najszerszym łukiem.

Martha delikatnie nacisnęła klakson i tłum zaczął leniwie rozstępować się wokół nich. Hopper odniósł wrażenie, że są jedynym pojazdem na drodze i wkrótce zrozumiał dlaczego.

Zaćmienie wywabiło wszystkich na ulice. Wciąż było jeszcze względnie wcześnie – około dziewiątej według jego zegarka – a do upału dołączył zaduch. Brak elektryczności to brak światła, telewizji, klimatyzacji – dla tych szczęściarzy, których stać było, by ją sobie zainstalować – i wentylatorów.

Lecz ludzie w tłumie, jak dostrzegł Hopper, gdy ich samochód powoli ruszył naprzód, nie bali się ani nie denerwowali. Wręcz przeciwnie, sprawiali wrażenie szczęśliwych. Mijane osoby uśmiechały się do nich i machały, niektórzy kleпали maskę i dach. Pośród ryku płonącego budynku słyszał głosy tłumu: od czasu do czasu wybijał się z nich czyjś okrzyk albo o wiele częściej wybuchy śmiechu. Kiedy zostawili za sobą pożar, tłum nieco się przerzedził; było tu dość miejsca, by ludzie mogli siedzieć na krawężniku bądź w zaparkowanych samochodach, popijając z puszek i butelek. W półmroku tańczyły pomarańczowe iskierki papierosów.

Martha pochyliła się nad kierownicą i zaryzykowała, dodając gazu. Wzrokiem przeczesywała drogę przed nimi.

– Niezła pora na uliczną imprezę – wyszeptała.

Hopper zmarszczył brwi. Odwrócił się, by znów sprawdzić tyły. Z odległości połowy przecznicy widział teraz pełny rozmiar tłumu, oświetlonego przez ogień; istotnie przypominał zabawę uliczną.

Donośny łoskot wyrwał go z zamyślenia. Martha zaklęła i szarpnęła kierownicą, skręcając na przeciwległy pas. Znów zaklęła, gdy ktoś stanął jej na drodze, zmuszając do powrotu na pas środkowy. Kiedy minęła pieszego, ten krzyknął coś i usłyszeli kolejny huk – facet rzucił w drzwi kierowcy czymś, co wyglądało jak pół cegły.

Martha przycisnęła gaz do dechy i samochód skoczył naprzód. Hopper wyjrzał przez tylne okno, jego uszu dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Za nimi mężczyźni, którzy obrzucili ich cegłami, teraz zaczęli je ciskać w wystawę sklepową. Hopper patrzył, jak masa ludzi oświetlonych z tyłu blaskiem pożaru rzuca się w stronę otworu w witrynie, szarpiąc brzegi szyby tak, aż w końcu wyrwali je całe. W tym momencie kilka osób odbiegło, ale inne sylwetki zanurkowały w głąb sklepu.

– Już zaczął się szaber – mruknął. – A będzie jeszcze gorzej.

– Im szybciej się stąd wydostaniemy, tym lepiej.

Hopper jednak pokręcił głową.

– Wydostaniemy skąd? W całym mieście panuje ciemność. Jeśli światło szybko nie wróci, cały Nowy Jork stanie na głowie.

– Na tym właśnie polegał jego plan – wyjaśniła Martha. – Dzień Węża. Odetnij prąd, a miasto pogrąży się w chaosie, Wyłącz światła, a ludzie zwrócą się przeciw sobie. Miasto zniszczy się samo. To był jego plan, Hopper. Saint John chce zniszczyć Nowy Jork. Ma własną armię, po wyłączeniu mocy jest pieprzonym królem.

Rozmawiali dalej, a tymczasem ulice znów wypełnił tłum, oświetlony kolejnymi pożarami. Tu twarze były już mniej przyjazne, a tłum poruszał się szybko, śmigając na prawo i lewo przez ulicę. Większość dźwigała naręcza ubrań. Hopper obejrzał się w stronę Marthy i zobaczył duży sklep z ciuchami; podwójne drzwi wyłamano, chodnik przed nimi zaścielały odrzucone ubrania, podczas gdy ludzie wywlekali ze środka kolejne.

– Słuchaj – nachylił się ku niej. – Nie wiem, jaka jest twoja historia, ale owszem, wciąż jestem gliną. I nadal pracuję. Muszę się dostać do władz i zakładam, że mi pomożesz, w przeciwnym razie zostawiłabyś mnie na tamtym dachu. Mam rację?

Martha, skoncentrowana na lawirowaniu między ludźmi, nie odezwała się, lecz pokiwała głową.

I wtedy z tyłu pojawiły się światła. Hopper obejrzał się przez ramię i zobaczył nadjeżdżający samochód. Z wyjąłym klaksonem skręcał, unikając zderzenia z ludźmi.

– Żmije. – Odwrócił się z powrotem. – Musimy ich zgubić.

Martha wskazała gestem okna.

– Za dużo tych ludzi. Nie zdołamy się przebić.

Hopper już badał wzrokiem drogę przed nimi. Wskazał ręką.

– Tam!

Zbliżali się do dużego skrzyżowania, którego jedną stronę wypełniał rząd samochodów stojących maska w maskę, mrugających światłami do wtóru klaksonów. Korek ciągnął się i ciągnął, przeciwległy pas natomiast był zupełnie pusty.

Martha zjechała na niego i wóz po raz kolejny spowila ciemność, gdy umknęli przed blaskiem pożarów na głównej przelotówce. Zwolniła i pochyliła się nad kierownicą, wyglądając przez szybę.

– Co się dzieje?

– Po prostu próbuję się zorientować, gdzie jesteśmy – wyjaśniła.

Potem jej twarz oświetlił blask reflektorów za plecami, odbitych w lusterku wstecznym. Światło na moment oślepiło Hoppera. Skulił się i obrócił w fotelu, tylko po to, by ujrzeć wóz Żmij, pędzący prosto ku nim.

– No dalej! – rzucił.

– Ta kupa złomu szybciej nie pojedzie!

Reflektory samochodu pościgowego omiotły ich, gdy członkowie Żmij zrównali się z uciekinierami. Nowy pojazd z rykiem silnika bez trudu wyprzedził kombi. Paru pasażerów wychyliło się przez okna, wrzeszcząc na Marthę i Hoppera, który zauważył, że prowadzi Lincoln. Na moment ich spojrzenia się spotkały. A potem tamten skoczył naprzód, pędząc przez skrzyżowanie i osiągnąwszy minimalny dystans, zawrócił na ich pas, zmierzając wprost ku wolniejszemu kombi.

– Niech to szlag!

Martha gwałtownie nacisnęła hamulce. Opony zaprotestowały, ale nie powstrzymało to ich ruchu naprzód. Hopper zebrał się w sobie, szykując do zderzenia. Nie sądził, by Lincoln okazał się dość szalony, aby ich staranować, ale wolał niczego nie zakładać.

I wtedy pojawił się trzeci pojazd, zmierzający ku skrzyżowaniu z lewej. Śmieciarka, przysadzista i szara, solidna masa wzmocnionej stali. Hopper zobaczył ją pierwszy kątem oka, akurat na czas, by pochylić się i odebrać Marcie kierownicę, posyłając kombi poślizgiem na bok, by uniknąć nieuchronnego wypadku.

Nie był pewien, czy Lincoln zauważył śmieciarkę, lecz w ostatniej chwili, tuż przed zderzeniem, wydało mu się, że Żmije skręciły, by spojrzeć na zbliżający się pojazd. W chwili gdy samochód gangu wrócił na skrzyżowanie, śmieciarka przemknęła przez nie, wpadając na niego od strony pasażera. Zderzenie spowolniło nieco ciężarówkę, ale niezbyt mocno. Podczas gdy kombi zatrzymało się z piskiem opon, rozkołysane i ustawione pod kątem na środku ulicy, śmieciarka skręciła odrobinę, wlokąc za sobą samochód Żmij i dosłownie rozdzierając go na pół. W powietrze trysnęły wielkie łuki pomarańczowych i białych iskier, gdy oba pojazdy kontynuowały jazdę, w końcu zatrzymując się przy przejściu dla pieszych po drugiej stronie skrzyżowania.

Hopper siedział bez ruchu, dzwoniło mu w uszach. Martha skuliła się mocno obok niego. Od strony Żmij nikt się nie ruszał – Hopper nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek w wozie przeżył wypadek – lecz z wysoko położonej i zupełnie nietkniętej kabiny śmieciarki wyszło dwóch mężczyzn. Jeden przecisnął się przez okno od strony pasażera i wspiął na dach, drugi otworzył drzwi kierowcy i postawił stopę na błotniku przedniego koła. Na oczach Hoppera mężczyzna na dachu wyrzucił obie ręce w powietrze i uniósł głowę, wrzeszcząc wniebogłosy. Tymczasem kierowca zeskoczył na drogę, żeby obejrzeć wrak samochodu. Gdy znalazł się w świetle nieco przekrzywionego, lecz wciąż działającego reflektora, Hopper przekonał się, że ma na sobie skórzaną kurtkę z naszywką na plecach.

PANCERNIKI.

Kolejny gang. Tamci musieli ukraść śmieciarkę i wybrać się na przejażdżkę.

– Ja pierdzielę.

Hopper zerknął na Marthę, która powoli prostowała się za kierownicą, wbijając wzrok w masakrę na rogu.

– Dobrze powiedziane – mruknął. – Wybacz, że złapałem kierownicę; nie byłem pewien, czy widzisz tę śmieciarkę.

– Gdybyś tego nie zrobił, zginęlibyśmy. – Martha zaczęła majstrować przy kierownicy i dźwigni biegów, oddychając płytko, chrapliwie. Hopper obrócił się do niej.

– Jesteś ranna?

Pokręciła głową.

– Dobra, w takim razie ruszajmy, nim zainteresują się też nami.

Martha wrzuciła wsteczny bieg, krzywiąc się na dobiegające ze środka zgrzyty. Przed nimi kierowca śmieciarki obejrzał się w ich stronę, widzieli tylko sylwetkę w blasku reflektora. W sekundę później Martha zawróciła i skierowała samochód w głąb pustej, bocznej ulicy. Gdy opuszczali skrzyżowanie, Hopper cały czas oglądał się za siebie, lecz nikt nie podążał za nimi.

Jak żyje ta druga połowa

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Martha pokręciła głową, znów pochylona nad kierownicą. Jechali tak już kwadrans bocznymi, względnie pustymi ulicami. Wyglądało na to, że większość ludzi skupiła się wokół głównych arterii, na których panował chaos. Hopper wcale im się nie dziwił. Tu, w wąskich uliczkach między wysokimi budynkami, ciemność była obecna niemal fizycznie, jak żywa istota, wąż owinięty wokół całego miasta, wyciskający z niego życie.

Upomniał się w duchu, żeby przestać wyobrażać sobie takie rzeczy.

– Jedziemy w złą stronę – oznajmiła Martha. Zwolniła i zatrzymała się łagodnie pośrodku kwartału mieszkalnego. – Jeśli mamy dotrzeć do władz, musimy skręcić na południe, na Manhattan.

Chwilę później silnik brzęczący na biegu jałowym znów zakrztusił się i zatrzymał.

Hopper spojrzał na dziewczynę.

– Dlaczego właściwie mi pomagasz?

Martha wciągnęła powietrze tak mocno, że zapadły jej się policzki. Poklepała oburącz kierownicę, a potem opuściła ręce na kolana i przekręciła się w fotelu, żeby spojrzeć na niego.

– Słuchaj, jesteś gliniarzem, a tam, skąd pochodzę, gliny to złe wieści.

Pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

Westchnęła.

– To znaczy, czy mogę ci zaufać? Muszę móc ci zaufać. Założyłam się sama ze sobą i w tej chwili mam nadzieję, że nie przegram.

– Masz rację, jestem gliniarzem. Działam – działałem – pod przykrywką. Miałem za zadanie dowiedzieć się, co robi Saint John ze Żmijami, jaki ma plan i jak go powstrzymać. Kiedy zdobędę to wszystko, polecono mi wrócić do federalnej grupy walczącej z gangami, a oni wkroczyliby do akcji. Więc owszem, możesz mi zaufać, ale na razie muszę wiedzieć, czy ja mogę zaufać tobie. Bo potrzebuję jak najszybciej dostarczyć informacje władzom, a ty możesz mi w tym pomóc.

Martha pokiwała głową.

– I pomogę. Wiem, że czekałam zbyt długo, ale może wciąż mamy szansę.

– Czekałaś? Na co?

– Słuchaj, nie jestem z policji – odparła Martha. – Po prostu opiekowałam się moim bratem, Leroyem.

– Ty się nim opiekowałaś? To on próbował cię wyciągnąć! Dlatego właśnie się w to zaangażowałam. Przyszedł na policję i poprosił o ochronę, jeśli mu pomożemy.

Marcie opadła szczęka.

– To tam pojechał? – Nagle jej zdumienie zamieniło się

w rozbawienie. Uśmiechnęła się. – Cholera, cały mój braciszek. – Poprawiła się w fotelu i pokręciła głową, jakby znów rozważała jego słowa. – Potrzebowałam wielu lat, żeby go znaleźć... Słuchaj, życie w domu nie było usłane różami i bywa, że go nie winię. Gangi obiecywały mu nowe życie i faktycznie dały szansę, a on ją przyjął. Nasza matka była prawdziwą twardzielką. Wiesz, ile miał lat?

Hopper milczał.

– Jedenaście – podjęła Martha. – Ten idiota miał jedenaście lat, kiedy zaczął zadawać się z Królami Bronksu. Już wtedy starałam się mu pomóc i to więcej niż raz, ale na próżno. W końcu zupełnie straciłam z nim kontakt. Większość członków rodziny uznała, że zginął, że dał się zabić w ulicznym starciu. Ale nie mama. Nigdy nie postawiła na nim krzyżyka. I ja też nie. W końcu powiedziałam jej, że znajdę Leroya i sprowadzę go do domu, wiesz? Rzuciłam pracę, pożegnałam się z mamą i ruszyłam na poszukiwanie. Do tej pory Leroy przeniósł się od Królów do Furii. Łatwo było się z nimi spiknąć. Leroy głosował przeciw mnie. Bał się, że przyjechałam zabrać go do domu – i oczywiście miał rację. Ale jestem jego starszą siostrą, umiem grać w tę grę i wiedziałam, że jeśli mam go wyciągnąć, trochę to potrwa. Tkwił w tym głęboko i musiałam się postarać.

– Czyli zostałaś, żeby mieć na niego oko?

– Jasne, że tak. Obiecałam mamie. Też byś tak zrobił, prawda? Prawda?

Hopper pokiwał głową.

– Jasne, że tak. – Martha spuściła wzrok. – I było już całkiem nieźle. Zaczęliśmy rozmawiać, to znaczy Leroy i ja. Przy mnie mniej się złościł, uznałam, że to dobry znak. Odtąd trzymaliśmy się razem. A potem zjawily się Żmije i Furie dołączyły do nich wraz z innymi gangami, Slitsami, Fixerami, Wariatami...

– A wy razem z nimi?

– Wierz mi, szukałam dla nas wyjścia, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić. Mogłam tylko nas chronić i mieć oczy szeroko otwarte. – Obejrzała się na Hoppera. – Jak mówiłam, mam nadzieję, że podjęłam dobrą decyzję, stawiając na ciebie. Bo muszę się stąd wyrwać i muszę zabrać Leroya ze sobą. Musimy wrócić do domu.

– Nie tylko ty – odparł Hopper. – Możemy pomóc sobie nawzajem. Sporo wiesz na temat Saint Johna i Żmij – i tego, co się w tej chwili dzieje.

Martha wzruszyła ramionami.

– Trochę. Więcej niż inni. Awansowałam wśród Furii, a Saint John trzymał mnie blisko. Więc owszem, coś tam wiem.

– Z całą pewnością więcej ode mnie – mruknął. – Musimy przekazać federalnym jak najwięcej informacji – zawiesił głos. – Czyli pomożesz?

– Jasne, że tak. Jeśli w ten sposób będę mogła odstawić Leroya do mamy, zrobię wszystko – Martha rozejrzała się po rzędach kamienic po obu stronach wozu. – Chyba nie mamy większych szans, żeby skorzystać z telefonu.

– Linie telefoniczne są oddzielone od sieci elektrycznej. – Hopper odwrócił się w fotelu. – Tam na rogu jest budka. Sprawdź, czy dasz radę uruchomić tę kupę złomu.

Martha przekręciła kluczyk i samochód ożył. Silnik warknął niechętnie, gdy wrzuciła wsteczny bieg i wóz potoczył się do tyłu, wprost na krawężnik obok budki. Hopper wysiadł i kiedy okrążył samochód, wydało mu się, że kątem oka dostrzega jakiś ruch, sylwetki i cienie tańczące na dachach kamienic. Gdy jednak się obejrzał, niczego nie zobaczył, tylko ciemne budynki na tle jaśniejszego nieba. Nisko wiszące chmury oświetlało coraz więcej pożarów, Bronx płonął. W oddali wyły syreny straży pożarnej, ale

zdawały się dobiegać z odległości wielu mil. Jak dotąd nie słyszeli – ani nie widzieli – jakichkolwiek oznak obecności policji.

Budka okazała się względnie nienaruszona przez wandali. Hopper z nagłym optymizmem sięgnął po słuchawkę. Tkwiła na miejscu i wydawała się nietknięta.

Tyle że kiedy przyłożył ją do ucha, okazała się martwa. Kilka razy nacisnął widełki, ale niczego to nie zmieniło. Najwyraźniej wraz z elektrycznością wysiadły także telefony.

Wracając na chodnik, wyteżył słuch i oprócz odległych syren i trąbienia samochodów wydało mu się, że usłyszał coś jeszcze. Zatrzymał się pośrodku ulicy, omiatając wzrokiem domy.

– Udało się?

Zerknął przez ramię i zobaczył Marthę stojącą obok kombi. Jedną stopę miała w samochodzie, opierała się o drzwi kierowcy.

– Nie – rzekł, po czym znów się obejrzał. – Słyszysz to?

Za nim trzasnęły drzwiczki i usłyszał kroki Marthy. Ruszył naprzód w stronę zakrętu. Dokładnie przed nimi leżał niewielki park, otoczony drzewami; środkiem biegła brukowana ścieżka, okrążająca tkwiącą centralnie nieczynną fontannę. Po drugiej stronie parku, na równoległej ulicy, na górnym piętrze środkowej kamienicy paliło się światło. W blasku Hopper widział poruszające się sylwetki, usłyszał metaliczną muzykę.

– Jak widać bogaci nie muszą się przejmować brakiem prądu – mruknęła Martha.

Hopper zerknął na nią, po czym znów się obejrzał. Miała rację, teren wokół parku wyglądał względnie porządnie. Kamienice miały po cztery piętra, niektóre z nich łączyły duże, otwarte tarasy na najwyższym poziomie, z wielkimi balkonowymi drzwiami. I właśnie na takim tarasie odbywało się przyjęcie.

Martha zacmokała.

– Myślisz, że moglibyśmy skorzystać z ich telefonu?

Hopper pokręcił głową.

– Telefony padły. – Wskazał kciukiem przez ramię na budkę na rogu. – Tak naprawdę powinniśmy poszukać gliniarza i skorzystać z jego radia.

Jego towarzyszka roześmiała się.

– Widziałeś tu jakichś gliniarzy? Mówię ci, porzucili Bronx na pastwę losu. Pozwalają, żeby spłonął – zawiesiła głos. – A straż pożarna? Chyba też mają radio?

– Moglibyśmy spróbować, ale chyba i tak mają za dużo na głowie.

Na ulicy rozległ się przenikliwy gwizd, jakby ktoś zatrzymywał taksówkę.

– To ty, Frankie? – krzyknął ktoś z tarasu.

Marszcząc brwi, Hopper podszedł bliżej, by móc przynajmniej przyjrzeć się lepiej poza linią drzew. Kiedy przeszedł przez park z Marthą u boku, ujrzał około tuzina ludzi na tarasie. Rozmawiali, palili i pili. W kącie ustawiono stół, a na nim duży magnetofon na baterie, z którego rozlegały się dźwięki Born to Run Bruce'a Springsteena.

– Nie, nie jestem Frankie, przykro mi – odkrzyknął Hopper.

Na te słowa większość imprezowiczów zebrała się przy poręczy i wychyliła, żeby spojrzeć. Hopper nie widział ich twarzy, kryły się w cieniu na tle oświetlonych drzwi balkonowych.

– Charles? – zawołała kobieta.

Spojrzeli po sobie z Marthą.

– Przykro mi, Charlesem też nie jestem.

– Hej, jak ci tam, mam nadzieję, że przyniosłeś więcej szampana!

Jakby dla podkreślenia jej słów, tuż obok strzelił korek. Ktoś się roześmiał.

A potem rozległ się kolejny strzał – tym razem z broni palnej, i to blisko. Hopper i Martha instynktownie uskoczyli, ktoś na przyjęciu krzyknął przerażony i na tarasie zapadła cisza, pomijając Bruce'a i The E Street Band.

Hopper kucając, obrócił się do Marthy; usłyszeli drugi strzał, potem trzeci. Poklepał ją po ramieniu i razem śmignęli do parkujących przy chodniku samochodów pod kamienicą imprezowiczów. Martha wyjrzała znad bagażnika jednego z nich, Hopper ukrył się przy domu. Na tarasie wciąż płonęło światło, ktoś spoglądał na nich z góry.

– Zabierz wszystkich do środka! – zawołał Hopper najgłośniej jak śmiał. – Wyłącz muzykę, pogaście światła i nie wychodźcie!

Cień na werandzie nie odpowiedział, ale zniknął. Chwilę później muzyka umilkła, światła zgasły, usłyszeli szcęk zamykanych drzwi balkonowych.

Hopper odwrócił się do Marthy, wciąż przeczesującej wzrokiem okolicę.

– To brzmiało trochę zbyt blisko – mruknął.

– Nic nie widzę – odparła. – Może na sąsiedniej ulicy.

– Chodź, musimy jechać. Teraz już wiesz, gdzie jesteśmy?

– Tak, już wiem. Możemy ruszać?

Hopper wstał powoli, rozglądając się dokoła. Strzały ucichły, na ulicy nie było nikogo prócz nich.

– Dobra, ale szybko.

Martha wybiegła z samochodu i przecięła park. Hopper jeszcze raz sprawdził okolicę, po czym popędził za nią. Dotarli do wozu jednocześnie i wskoczyli do środka. Martha zakręciła kierownicą, zawracając w wąskiej uliczce. Kombi było tak długie, że musiała dodać gazu i wjechać przednimi kołami na chodnik. Kiedy w końcu odwrócili się we właściwą stronę, zarówno przednie, jak i tylne koła

po lewej stronie stały na krawężniku. Silnik znów się zakrzusił.

Rozległ się łomot, to wóz opadł na resorach, potem podskoczył i zakołysał się z boku na bok. Martha uniosła wzrok i krzyknęła ze strachu, gdy sufit nad nią wygiął się po kolejnym uderzeniu. Samochód znów się zakołysał, gdy coś ciężkiego wylądowało na dachu. Nastąpiły kolejne dwa huki, przednia szyba pękła z trzaskiem u góry tuż przed Hopperem, a dach wygiął się jeszcze mocniej.

Martha walczyła z dźwignią biegów. Samochód wciąż się kołysał. Znów uniosła głowę i jęknęła ze zdumienia. Hopper ujrzał przed sobą parę nóg, gdy ktoś zjechał z dachu i zatrzymał się na kolanach na masce. Intruz natychmiast odwrócił się i przywarł do szyby, Hopper widział otwarte usta, gdy tamten wrzeszczał i zaśmiewał się głośno.

Dokoła zaroilo się od ludzi zjeżdżających z dachu wozu, z przodu, z tyłu i po bokach. Hopper obracał się w fotelu, po czym szybko rąbnął dłonią w zamek, zanurkował nad kolanami Marthy i zrobił to samo po jej stronie.

Mężczyźni otoczyli wóz. Wyraźnie zeskoczyli z balkonu domu, pod którym parkowali. Hopper naliczył ich siedmiu; gdy zaczęli kołysać samochodem z boku na bok, przekonał się, że z ulicy nadchodzą kolejni. Niektórzy trzymali w rękach zaimprovizowaną broń – kije bejsbolowe, jeden nawet strażacki topór. Nosili jasnobłękitne dżinsowe stroje, niemal mundury.

Kolejny gang. To nie były Żmije, ale Hopper wątpił, by cokolwiek to zmieniło, jeśli chodzi o ich szanse przeżycia.

Martha przekręciła klucz w stacyjce i samochód ożył z rykiem, gdy jednak dodała gazu, zachłysnął się i znów zgasł. Powtórzyła cały manewr. Hopper mógł tylko patrzeć, jak tamci kołyszą nimi niczym statkiem zagubionym na morzu. Wystarczyłaby odrobina

koordynacji i gang mógłby wywrócić ich bez wysiłku.

Instynktownie uniósł ręce, gdy w szybę przed nim wbiło się ostrze strażackiego topora. Szyba nie pękła, ale po szkle rozeszła się pajęczyna pęknięć. Członek gangu wskoczył na maskę i wyszarpnął broń. Gdy ją wyrwał, stracił równowagę i ku uciesze kompanów spadł z samochodu. Natychmiast zastąpił go kolejny, który uniósł topór i zamachnął się po raz drugi.

– Chodź! – ryknął Hopper i złapał bejsbolową kurtkę Marthy, przeskakując przez oparcie przedniego siedzenia i lądując ciężko z tyłu. Przez moment wymachiwał nogami. Poczuli, jak kobieta chwyta go za kostkę i przytrzymując się mocno, podciąga się na tył wozu. Runęła na podłogę, ale Hopper jeszcze nie skończył. Przecisnął się nad kanapą do obszernego, otwartego bagażnika. Martha szybko poszła w jego ślady. Przykucnęli za siedzeniem, gdy gang, wciąż skupiony z przodu wozu, zaczął tłuc w okna kijami bejsbolowymi. Tymczasem gość z toporem zajął się maską. Hopper nie miał pojęcia, czy tamci wiedzą, że oboje z Martha wciąż są w środku, ale uznał, że nie mogą dłużej czekać. Teraz albo nigdy. Wyrzał przez szybę i przekonał się, że ulica jest pusta. Podpełzł do klapy i zaczął szarpać paznokciami wykładzinę podłogi. Uniósł ją, odsłaniając pustą przestrzeń w miejscu, gdzie powinno tkwić zapasowe koło. Znalazł jednak to, czego szukał: łyżkę do opon, schowaną z boku w uchwycie. W chwili gdy ją wyciągnął, Martha przecisnęła się obok; otworzyła tylną klapę wewnętrzną klamką. Mając przed sobą drogę ucieczki, odwróciła się do Hoppera.

Skinął głową.

– Lec! Będę tuż za tobą!

Odwróciła się i wysliznęła z samochodu, po czym pomknęła w głąb ulicy. Kilku członków gangu w końcu zauważyło, że próbują uciekać: Hopper usłyszał krzyki dwóch mężczyzn, którzy wybiegli zza samochodu, ścigając dziewczynę.

Wyskoczył za nimi i zamachnął się łyżką do opon. Zaimprovizowana pałka trafiła obu. Jeden runął nieprzytomny, drugi przeturlał się po ziemi, przyciskając ręce do twarzy, między palcami ciekła mu krew. Pozostali z przodu dostrzegli zamieszanie, nim jednak dotarli do powalonych kompanów, Hopper był już w połowie ulicy. Pomagając sobie rękami, starał się z każdym krokiem zwiększyć dzielący ich dystans. Przed sobą ujrzał Marthę, przykucniętą przy zaparkowanym wozie. Pomachał do niej i znów pobiegła naprzód, Hopper podążał tuż za nią.

Biegli przed siebie.

Jeźdźcy z piekła

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

Pieszko uciekało im się znacznie lepiej – w istocie tak dobrze, iż Hopper pożałował, że wcześniej nie porzucili samochodu Leroya. Gang złodziei samochodów zrezygnował bardzo szybko i zawrócił zaledwie w połowie drogi wokół niewielkiego parku. Gdy Hopper i Martha zatrzymali się, by odpocząć, dysząc ciężko na chodniku, uśmiechnęła się do niego. Odkrył, że odpowiada uśmiechem; podzielał jej radość, ale wiedział, że dopisało im szczęście. Gdyby tamci mieli broń palną, ich spotkanie mogłoby zakończyć się zupełnie inaczej. Odzyskawszy siły, zawrócili w stronę głównej ulicy – musieli skorzystać z policyjnego radia, by wezwać Delgado i, jeśli się da, agenta specjalnego Gallupa. Hopper uznał, że na głównych ulicach będą mieli większe szanse spotkania z glinami. Martha zgodziła się z tą oceną.

Problem w tym, że nigdzie nie widzieli żadnej policji. Na szerszych ulicach panował ruch i znaleźli się bliżej centrum. Lecz jeśli nawet mieszkańcy przyjęli nagłą awarię z rozbawieniem, dawno już ono minęło. Prądu nie było od paru godzin i nie widząc ani śladu władz, obywatele podzielili się na frakcje, biorąc sprawy

we własne ręce.

Maszerując na południe, Hopper i Martha mijali kolejne sklepy, albo właśnie okradane, albo już dawno opróżnione i zamienione w puste skorupy, otoczone odłamkami szkła i śmieciami. Minęli starszego mężczyznę – siedział na ogrodowym krzeselku przed sklepem ze sprzętem sportowym McCammon, z dubeltówką na ramieniu i pistoletem w dłoni. Tymczasem szabrownicy rozkradali spożywcza obok. Wynosili wszystko, łącznie z regałami. Gdy Hopper i Martha przechodzili tamtędy, mężczyzna na krzeselku posłał im wymowne spojrzenie i mocniej chwycił pistolet. Sklep za jego plecami pozostawał nietknięty, choć para młodzików wywiozła właśnie ze spożywczego całą lodówkę z drinkami, położoną na dwukołowym wózku.

– To miasto umiera – mruknęła Martha, patrząc przed siebie martwymi oczami. – Brak prądu, upał i zmienia się w zoo.

Hopper milczał. Cały czas miał oczy szeroko otwarte. Obserwował zniszczenia dokoła, szukając jakichkolwiek śladów policji.

Nie znalazł.

Zatrzymali się przy następnym skrzyżowaniu, próbując zorientować się, gdzie są i wybrać inną drogę, bo ulicę przed nimi blokowało kilka samochodów. Jeden leżał na boku, inny płonął. Przed wrakiem młody mężczyzna klócił się z grupką trzech innych, w pobliżu stały trzy rozkrzyczane kobiety. Chwilę później mężczyzna leżał na ziemi, a pozostali kopali go zawzięcie. Dwie z kobiet przytrzymały trzecią.

Następna ulica wyglądała jak po wybuchu bomby, Hopper jednak rozpoznał stare zniszczenia – to było jedno z miejsc, w którym Nowy Jork rozpadał się na długo przed awarią sieci. Dwa szerokie budynki o zabitych deskami oknach wznosiły się po obu stronach

pustej działki wypełnionej chaszczami, wysokimi niemal jak on sam. Po drugiej stronie ulicy dwaj mężczyźni oparci o ogrodzenie z siatki palili papierosy.

Hopper przyspieszył kroku, Martha maszerowała obok.

Na rogu przed sobą usłyszeli, jak ktoś wzywa pomocy. To był głos starszej kobiety, rozchodził się echem po ulicy tak, że nie dało się stwierdzić, skąd dochodzi.

Gdy tak szli, głos stawał się coraz donośniejszy; potem zaczął słabnąć, w końcu ucichł.

Hopper zacisnął zęby. Zerknął na Marthę i przekonał się, że młoda kobieta patrzy przed siebie pustym wzrokiem.

Miała rację. Miasto umierało. Niszczyło samo siebie.

Dzień Węża Saint Johna.

Hopper poprzysiągł sobie, że Żmije za to zapłacą.

Szli dalej, zmierzając w stronę głównej przelotówki na Manhattan. Tu noc była znacznie jaśniejsza za sprawą pożarów, których liczba stale rosła. Kilka przecznic dalej wyglądało na to, że cała ulica płonie, wszędzie wokół widzieli łuny migoczące w mroku. Hopper nie umiał sobie wyobrazić, jak będzie rano wyglądał Bronx.

– Myślisz, że na Manhattanie jest podobnie?

Spojrzał na Marthę, zaciskając usta, pomyślał o wyniosłych drapaczach chmur, turystycznych nowojorskich mekkach i nie potrafił wyobrazić sobie, jak płoną. Ale Manhattan to wielka wyspa, a tę część, którą ludzie uważali za Nowy Jork, zajmował niewielki fragment.

– Nie wiem – odparł i mówił prawdę. – Nie widzieliśmy tu żadnych glin, bo założę się, że wszyscy są tam i utrzymują porządek. W centrum mieszka mnóstwo bogatych ludzi.

– I mnóstwo biednych w Bronksie, po którym po dzisiejszej nocy nic nie zostanie.

Na ulicy przed nimi znów zapanował ruch. Pojawiło się więcej samochodów, bo ludzie próbowali uciekać, choć wkrótce wszyscy utknęli w jednym wielkim korku. Nie powstrzymało to kierowców przed trąbieniem wniebogłosy. Hopper skrzywił się, mijając wyjątkowo mocno zakorkowany przejazd. Przed sobą ujrzał grupę ludzi na motocyklach – przecinali skrzyżowanie, bez cienia problemów, lawirując pomiędzy nieruchomymi pojazdami.

Gdybyśmy tylko sami mieli motocykl, pomyślał, już kilka godzin temu dotarlibyśmy na Manhattan.

Kiedy tak szli, silniki motorów rozbrzmiewały coraz głośniej. Po chwili jeden z nich wyjechał z bocznej uliczki i zatrzymał się. Hopper przyglądał się motocykliście, który wyraźnie patrzył na nich, po czym dodał gazu i zawrócił. Silnik skowyczał ogłuszająco.

Hopper zwolnił kroku, potem zatrzymał się. Był wykończony, zmęczony umysł płatał mu figle, ogarnęło go jednak bardzo złe przeczucie, rosnące z każdą chwilą.

Martha zatrzymała się i odwróciła.

– O co chodzi?

Skowyt motorów zabrzmiał jakby znikąd. Dziewczyna określiła się gwałtownie, Hopper podążył za jej wzrokiem. Na ulicy ponownie zjawiał się motocyklista, któremu towarzyszyła grupka kompanów. Każdy z nich siedział na identycznym, lekkim motorze crossowym. Pierwszy kierowca stanął na podnóżkach i zapał radośnie.

– Hej, hej, to przecież Martha W. i jej kochaś z Glinowa! Cześć, Martho W.! Jak leci?

Kierowcą tym był City. Za jego plecami towarzysze krążyli powoli, słyszeli ich śmiechy pośród ryku silników.

Martha spojrzała na Hoppera. Pokręcił głową.

Żmije ich znalazły.

Eric donosi z terenu

13 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

– I powiedziałam George’owi: ”Słuchaj, jeśli chcesz nakręcić film, który naprawdę coś znaczy dla publiczności, to zrób film, który znaczy coś dla ciebie”. A wtedy on popatrzył na mnie i spytał: „Co ma pani na myśli?”. A ja popatrzyłam na niego i mówię: „Posłuchaj, synku, wiesz, jaki był najlepszy okres twojego życia? Kiedy byłeś w szkole. A potem kończysz szkołę, przyjaciele rozjeżdżają się i pffft, koniec zabawy. Więc może zrób film właśnie o tym”.

Delgado zerknęła z ukosa na Diane, która wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała ziewnięcie. Niemal niedostrzegalnie pokręciła głową.

Tego wieczoru nie pierwszy raz słyszały tę historię. Zestaw do gry w Monopol wciąż stał na stole przed nimi, ale Delgado szybko znudziła się grą i mimo ostrzeżeń postanowiła zagadnąć panią Schaefer na zakazany temat.

Pani Schaefer z radością odpowiedziała i teraz, parę godzin później, w jakiś sposób zdołała powtórzyć tę historię na cztery różne sposoby, każdą nieco odmienną, lecz zawsze wracając do tego, jak, kiedy jeszcze uczyła na USC, natchnęła jakiegoś reżysera

o nazwisku George Lucas, by nakręcił, jak to nazwała, „swój przełomowy film”. Delgado nie miała pojęcia, czy to prawda, czy tylko wymyślił ekscentrycznej staruszki. Diane nie dała się wciągnąć do rozmowy.

Może kolejna partyjka Monopolu w blasku świec to jednak nie taki zły pomysł.

Esther stała przy oknie wychodzącym na ulicę. Od dłuższego czasu wyglądała przez nie, wypatrując powrotu męża. Podczas gdy pani Schaefer gadała i gadała, Delgado spojrziała na zegarek, popatrzyła na Diane, która pokręciła głową. Rozmawiały już o tym kilka razy.

– Jeśli tam wyjdiesz – rzekła Diane – w żaden sposób nie zdołasz go znaleźć. Może być wszędzie. A potem wróci i to ciebie będzie szukać.

Oczywiście miała rację. Pozostawało im tylko czekanie. Wiedziały, że w całym mieście panują ciemności, ale nie zdołały dowiedzieć się wiele więcej, nim baterie w radjku ostatecznie wysiadły. Przez dobre pół godziny szukały zapasowych, lecz nie znalazły ich w żadnym z mieszkań.

Mogły zatem tylko siedzieć i czekać.

Delgado zdołała przynajmniej dodzwonić się do Gallupa. Nie wiedziała, czemu czuje potrzebę złożenia meldunku, ale wydało jej się to logiczne – zaniosiła mu wszystko, czego dowiedziała się podczas własnego dochodzenia, a on okazał cień zainteresowania. Jej informacje ucieszyły go do tego stopnia, że postanowił przeoczyć drobną kwestię tego, skąd w ogóle wiedziała o tajnej misji Hoppera.

Misji, w której nie brała udziału – także teraz, choć czuła, że w tych okolicznościach najlepiej będzie co najmniej poinformować Gallupa albo jego agentów o tym, gdzie przebywa podczas awarii,

która potencjalnie mogła doprowadzić do kryzysu w całym mieście.

Gallup poradził, by zameldowała się przełożonym z policji. Lecz gdy tylko się rozłączyła i spróbowała zadzwonić na sześćdziesiąty piąty, telefon padł. Zastanawiała się nawet, czy nie zgłosić się na najbliższy komisariat, ale szybko odrzuciła ten pomysł.

Obiecała coś Hopperowi.

– Wrócił!

Pani Schaefer umilkła, gdy Esther pobiegła do frontowych drzwi mieszkania. Wypadła na zewnątrz i Delgado usłyszała tupot jej stóp na schodach, aż do holu. Chwilę później wraz z Erikiem pojawili się w drzwiach.

Diane wstała od stołu.

– Jezu Chryste, Ericu, nie było cię kilka godzin! Gdzie się, do diabła, podziewałeś?

Eric pstryknięciem zgasił latarkę i odłożył na stół. Przysunął sobie krzesło, usiadł, odetchnął głęboko. Esther sięgnęła po jego dłoń, a on ją uściskał.

– Och, byłem wszędzie – rzekł, kręcąc głową. – Na zewnątrz jest prawdziwy cyrk: mnóstwo ludzi, samochodów. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem. – Popatrzył na żonę. – Poszedłem do Charlesa i June, nic im nie jest, ale Charles sam zamierzał się rozejrzeć, toteż wyszliśmy razem. Przepraszam, nie wiedziałem, że to potrwa tak długo. Dotarliśmy aż do Willoughby Avenue.

Eric umilkł i znów pokręcił głową.

Kobiety popatrzyły po sobie. Potem Delgado przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Erica.

– O co chodzi?

– Nie wiem, co się dzieje, ale coś dziwnego.

– Dziwnego? – zainteresowała się Diane.

Przytaknął.

– Na Willoughby stoi budynek, który wciąż ma zasilanie albo może generator czy coś. Cały się świecił. – Uniósł ręce i przesunął w powietrzu przed sobą, jakby rzeźbił nimi opowieść. – Ale byli tam też ci ludzie – nie wiem, setki? – Pokręcił głową. – Trudno powiedzieć, wszyscy zmierzali właśnie tam. Maszerowali. I wszyscy mieli na sobie takie same kurtki i nieśli karabiny.

– Wojsko! – wtrąciła pani Schaefer. – Wiedziałam. Wiedziałam, że przyjdą z pomocą.

– Nie, nie, to nie było wojsko – zaprzeczył Eric. – Gdy tylko się zorientowaliśmy, wróciliśmy jak najszybciej. – Pochylił się naprzód. – To był gang. I to wielki. Wszyscy nosili na plecach naszywkę, takiego węża.

Serce Delgado gwałtownie przyspieszyło.

– Węża?

– Zgadza się.

Delgado oklapła. Esther uścisnęła dłoń męża i popatrzyła na detektywkę.

– Czy to coś znaczy? Wiesz, kim oni są?

Delgado znów się wyprostowała. Chwilowo postanowiła nie odpowiadać na to akurat pytanie.

– Mówiłeś, że to się działo na Willoughby? Pamiętasz, gdzie dokładnie?

– Jasne, że tak – odparł Eric. – Ten budynek z prądem jest bardzo duży. Nazywa się Instytut Rookwood.

Ucieczka w niebezpieczeństwo

13 lipca 1977

Południowy Bronx, Nowy Jork

City zatrzymał motocykl, pochylając go ostro, gdy jedną stopę oparł na drodze. Uśmiechnął się szeroko, kręcąc manetkami, cały czas dodając gazu.

– Rany, dziewczyno, wszędzie cię szukaliśmy! – Hopperowi wydało się, że słyszy w jego głosie lekki, południowy akcent. – Czy mama nie ostrzegała cię, żebyś nie zadawała się z obcymi facetami?

Hopper poczuł, jak stojąca obok Martha spina się cała. Spędziła wśród Żmij dużo czasu, próbując zaopiekować się bratem. Bardzo zbliżyła się do członków gangu, w tym do młodzieńca, który nazywał siebie City.

Za jego plecami pozostała szóstka ustawiła się w szereg, cały czas zwiększając obroty silników, jak ich przywódca. Ten na końcu zadziałał zbyt entuzjastycznie: tylne koło jego motocykla wyrwało się naprzód, wywracając maszynę na bok, nim zdążył to skorygować.

Hopper nie znał się zbyt dobrze na motocyklach, ale te były lekkie i wysokie, o długich amortyzatorach. Zaprojektowano je do jazdy po trudnym terenie, w bardzo w szczególny sposób. Reagowały

szybko, lecz dość kapryśnie.

Zerknął z ukosa na Marthę, pochwycił jej spojrzenie.

– Kiedy powiem: biegnij – wyszeptał tak, by City nie zdołał usłyszeć, bo zagłuszał go hałas motoru – biegnij, jasne?

Martha zmarszczyła brwi, ale przytaknęła niemal niedostrzegalnie.

– Hej, no wiesz – rzucił City. – Bracia nie mają przed sobą sekretów, Martho W. Widzisz, musimy odstawić cię z powrotem do Santa. Możesz pojechać ze mną. Wiesz, co mówię, będziesz musiała trzymać się bardzo mocno.

Znów zwiększył obroty, raz, dwa, trzy razy. Za jego plecami pozostali zaśmiali się i zrobili to samo.

– Biegnij!

Hopper śmignął w prawo, zmierzając w stronę wiszącej nad chodnikiem markizy. Po drugiej stronie ulicy w ciemności połyskiwały słupy ogrodzenia miejskiego parku, co oznaczało znacznie większy teren zielony niż ten, który znaleźli wcześniej. Kiedy dotarł do ogrodzenia, obejrzał się i odkrył, że nie widzi Marthy.

– Szlag!

Pobiegła w drugą stronę. Przed sobą zobaczył, jak trzy motocykle z piskiem opon odłączają się od grupy. Próbowaly skrócić ostro, by rozpocząć pościg. Pozostała trójka i City pędziła ulicą w jego stronę.

Hopper przebiegł przez bramę, niemal się potykając, bo ścieżka natychmiast zaczęła opadać. Przed nim w ciemności ciągnął się park. Parę wydeptanych, wąskich ścieżek wiło się w bolesnych konwulsjach między roslymi drzewami. Miejscami grunt był bardzo nierówny i stromy.

Hopper pół biegł, pół zjeżdżał w dół skarpy. Wykorzystał drzewo, by się zatrzymać. Przystanął i rozejrzał się szybko. Silniki

skowyczały coraz bliżej; odwrócił się i zobaczył, jak City i jego trzech kumpli wpadają przez bramę. Motocykle wyprysnęły w powietrze, gdy, być może niezamierzenie, zeskokczyły ze skarpy i wylądowały na płaskim terenie poniżej. Jeden z motocyklistów przy lądowaniu przechylił się za mocno. Pozostali nie czekali, aż odzyska równowagę. Widząc Hoppera, City dodał gazu i uniósł się w siodełku, wrzeszcząc z radości, gdy pomknął ku niemu.

Hopper uskoczył za drzewo. Tamten przeleciał obok, a potem zawrócił, manewrując pośród drzew i skręcając jak najciaśniej. Jego towarzysze mieli równie wielkie kłopoty z jazdą po tym terenie. Tak jak podejrzewał Hopper, motocykle crossowe sprawiały poważne problemy niedoświadczonym kierowcom – świetnie radzili sobie z jazdą po gładkiej ulicy, lecz choć zaprojektowano je właśnie do pokonywania takiego terenu, Żmijom manewry wśród drzew i na zboczach starego parku nie wychodziły najlepiej.

– Hopper!

Przystanął przy kolejnym drzewie. Światła motorów tańczyły w parku wokół niego, gdy Żmije próbowały się pozbierać. Po drugiej stronie parku zobaczył machającą Marthę, jej białe dżinsy i kurtka jaśniały w ciemności. Pobieгла ku niemu, wymachując rękami, by utrzymać równowagę na stromej ścieżce. Po chwili oświetliły ją kolejne reflektory – to pozostała trójka Żmij dotarła do bramy. Przystanęli, by zlokalizować ofiarę, a potem przyspieszyli, wjeżdżając do parku.

Martha dotarła do Hoppera jednocześnie z Citym. Przywódca grupy zadarł w górę przednie koło, które kręciło się w powietrzu na wysokości głowy. Hopper uskoczył w jedną stronę, Martha w drugą; potem zerwał się z ziemi, wzbijając chmurę pyłu. City zdołał zawrócić i znów skierował się w stronę Hoppera, światła reflektora zamieniły powietrze w dławiającą, brązową mgiełkę.

Pozostali członkowie Żmij wrzeszczeli do siebie, ich koła

wirowały, gdy pędzili ku Hopperowi i Marcie. Hopper ukrył się za drzewem, Martha zrobiła to samo. Trzymali się mocno, podczas gdy motocykle przemknęły obok, wypełniając powietrze jeszcze gęściejszym pyłem i odłamkami. Odwrócił się, patrząc na tańczące światła, gdy tamci musieli zatrzymać się w poślizgu i z trudem zawrócić, aby podjąć pościg. Ukryty w chmurze pyłu, Hopper wykorzystał sposobność do zmiany pozycji, przenosząc się do innej kryjówki za kolejnym drzewem. Wychylił się i poleciał Marcie, by została, lecz przy tak gęstym kurzu nie miał pewności, czy w ogóle go widzi.

City krzyknął coś pośród ryku silników – nie do dwójki uciekinierów, ale do reszty członków gangu. A potem przyspieszając i hamując gwałtownie, członkowie Żmij ruszyli w ich stronę, tym razem wolniej, ich światła chygotały się w zakurzonym powietrzu.

Stało się dokładnie to, na co liczył Hopper: tamci ich zgubili. Nieswojeni z crossowymi motorami, musieli skupić się na pozostaniu w pionie, nie na pościgu, ich opony ryły ziemię, zapewniając Hopperowi i Marcie dodatkową osłonę.

Hopper przykucnął, macając dokoła. Wokół leżało mnóstwo małych kamyczków, ale jemu chodziło o coś znacznie większego.

Znalazł to – kamień, choć wbity w ziemię, z łatwością dał się wydlubać. Miał rozmiar piłki do bejsbola. Powinien się nadać.

Kiedy motocykle znów się zbliżyły, Hopper zamachnął się mocno i cisnął kamieniem, wysokim łukiem, ponad oświetlonymi chmurami kurzu. Pocisk zniknął w nocy, w sekundę później wylądował z trzaskiem w niewidocznych zaroślach.

Reflektory motocykli natychmiast zawróciły, celując w tamtą stronę. Podczas gdy jeden z członków gangu dodał gazu, Hopper wyłonił się zza drzewa – teraz znajdował się za ostatnim z tamtych

i gdy pozostali członkowie grupy jechali ostrożnie w stronę źródła dźwięku, on chwycił marudera za kołnierz kurtki.

To wystarczyło. Ręka mężczyzny zsunęła się z kierownicy, motor wysliznął się spod niego. Hopper uskoczył na bok, wypuszczając kołnierz w chwili, gdy motocykl runął na ziemię, zrzucając członka gangu. Nie tracąc czasu, Hopper padł na tamtego, wbijając mu kolana w klatkę piersiową i pozbawiając tchu. Złapał go za przód koszulki, uniósł szarpnięciem i rąbnął prosto w twarz. Poczł, jak jego nos pęka, a potem kostki zalała mu ciepła krew.

Wstał, przekroczył nieprzytomnego prześladowcę i podszedł do motocykla, którego koła kręciły się w powietrzu. Postawił go, przekręcił manetkę, po czym zerknął za siebie. Zza pobliskiego drzewa wyłoniła się Martha. Usiadła z tyłu.

Hopper spojrzał w dół, sprawdzając położenie pedałów gazu i biegów. Martha objęła go mocno w pasie i niemal ryknęła mu do ucha.

– Na pewno umiesz na tym jeździć?

– Trochę czasu minęło – odparł.

Choć nie znał akurat tego modelu, zdarzało mu się jeździć na kilku innych. A kiedy wydostaną się z parku, jazda na czulej maszynie powinna być łatwa.

Przynajmniej w teorii.

Martha poklepała go w ramię. Przed nimi światła pozostałych maszyn zawróciły, City prowadził swoją grupę w ich stronę.

Hopper dodał gazu, nacisnął pedał biegów i trzymał się kurczowo, gdy motocykl skoczył naprzód. Uznając, że sama szybkość wystarczy, by utrzymać ich w pionie, przekręcił manetkę, celując prosto w bramę. Gdy przez nią przemykali, uderzył ramieniem o słupek, przez co maszyna zaczęła się chybotać. Zaklął i jeszcze bardziej zwiększył obroty. Gdy tylko rozpędzone koła

wylądowały na twardym asfalcie, pomknęli naprzód. Nagłe przyspieszenie zaskoczyło zarówno jego, jak i Marthę, która krzyknęła mu coś do ucha.

Ale nie upadli i wciąż jechali naprzód.

Hopper uznał to za zwycięstwo.

Skierował motocykl na zachód; potem, widząc rzekę Harlem, skręcił, podążając równolegle do niej wąską ulicą pomiędzy pustymi, zarośniętymi działkami. Z jednej strony miał brzeg rzeki, z drugiej tory kolejowe. Wcześniej losowo skręcał w przypadkowe ulice, a szybkość i zwrotność motocykla pozwoliły im zostawić za sobą Żmije. Teraz, pędząc w linii prostej pustą ulicą, motocykl z łatwością pokonywał kolejne mile. Jechali na południe, coraz częściej mijając dojazdówki i estakady, krzyżujące się w górze – to kilka głównych tras zbiegało się przed mostem. Ulice wypełniały samochody, dźwięczały klaksony, błyskały światła, nic się nie poruszało, ale Hopper liczył, że jeśli natkną się na korek, motocykl pozwoli go wyminąć.

W końcu dotarli do mostu University Heights. Przed sobą mieli masę samochodów w miejscu skrzyżowania kilku głównych ulic. Hopper zwolnił, wjeżdżając na rampę i mijając stojące samochody. W końcu jednak i on musiał się zatrzymać.

To nie był zwykły korek. Most został zamknięty – co więcej, zabarykadowany. Ulice przegradzały ciężkie, przenośne blokady, odcinające drogę i zmuszające stłoczone samochody, by skręciły z dala od Manhattanu. Pomiedzy blokadami ustawiono wielkie reflektory, zasilane przez cztery generatory wielkości małych furgonetek, mruczące na poboczu.

A jeszcze dalej, tam gdzie zaczynał się właściwy most, stał rząd konnych policjantów. Rozstawieni na całą szerokość obu pasów

gliniarze mieli na sobie kaski ochronne ze spuszczoneymi osłonami twarzy. W rękach odzianych w opancerzone rękawice trzymali długie, drewniane pałki. Konie – nieco słabiej chronione niż jeźdźcy – zarzucały głowami i tupwały głośno w ciepłym nocnym powietrzu.

– W końcu władze – rzucił Hopper. – Trzymaj się!

Przekręcił manetkę i skierował motocykl wzdłuż rzędu stojących samochodów. Potem skręcił, przeciskając się przez lukę w barykadzie, i ruszył wprost ku rzędowi konnej policji.

– Zostańcie na miejscu!

Hopper zwolnił, obracając i zatrzymując motor. Na końcu rzędu jeden z policjantów unosił do ust megafon. Wystąpił nieco naprzód, zwierzę obróciło się w proteście.

– Zsiadźcie z motoru i zostańcie na miejscu!

Martha zeskoczyła z siodełka. Hopper obejrzał się przez ramię, potem opuścił nóżkę i też zsiadł. Spojrzeli po sobie, a potem Hopper wystąpił naprzód.

– Zostań tam, gdzie jesteś, i trzymaj ręce na widoku!

Hopper przystanął, unosząc ręce po bokach. Musiał spróbować – technicznie był poszukiwany, ale w obecnym chaosie uznał, że ma sporą szansę, iż gliniarze strzegący mostu mają dość problemów na głowie i nie rozpoznają jego nazwiska.

– Nazywam się detektyw Jim Hopper! Pracuję na Sześćdziesiątym Piątym Komisariacie w Brooklynie, w wydziale zabójstw!

Konny policjant opuścił megafon i zbliżył się do towarzyszy. Pochylony naprzód, zamienił parę słów z najbliższym, który zawrócił konia i odjechał w głąb mostu. Reszta przesunęła się odrobinę, wypełniając lukę.

Hopper westchnął i znów ruszył naprzód.

– Hopper, zaczekaj!

Odwrócił się, by spojrzeć na Marthę, i usłyszał za sobą tętent. Patrząc z powrotem, ujrzał dwóch konnych; zmierzali wprost ku niemu.

Zatrzymał się i podniósł ręce.

– Wysłuchajcie mnie! Jestem policjantem! Muszę się skontaktować z moim komisariatem! Mam ważne informacje, które muszą trafić do władz federalnych!

Dwaj konni zaczęli okrążyć Hoppera, oddzielając go od reszty na środku mostu, i zmuszając Marthę, by się cofnęła.

– Ręce za głowę! Na kolana!

Hopper spojrział na policjanta, ale nie dostrzegł twarzy pod osłoną. Tamten uniósł długą pałkę do zwalczania tłumów.

– Na kolana!

Westchnął i posłuchał, splatając dłonie za głowę i klękając na ciepłym asfalcie. To tyle, jeśli chodzi o nadzieję, że nie wiedzą, kim jest.

Rząd konnych znów się rozstał, przepuszczając radiowóz z migającym kogutem. Za nim jechała większa czarna furgonetka policyjna. Radiowóz i furgonetka zatrzymały się, ze środka wysiadło kilku policjantów w standardowych mundurach ulicznych, złożonych z jasnoniebieskiej koszuli z krótkim rękawem i ciemnych spodni. Pobiegli naprzód, niektórzy celowali w Hoppera z broni.

– Hej, puszczaj!

Odwrócił głowę i zobaczył Marthę, już skutą; dwaj mundurowi ciągnęli ją do furgonetki. W chwili, gdy znów się odwracał, czyjaś pięść trafiła go w szczękę.

Świat Hoppera obrócił się na bok, gdy poleciał na ziemię. Oszołomiony, ale wciąż przytomny, czuł na twarzy gorący płyn, usta wypełnił mu metaliczny smak miedziaków, potem wepchnięto

mu twarz w ziemię, a gliniarze wykręcili ręce i skuli. Dźwignęli go razem.

Stopy Hoppera nie dotykały ziemi, gdy ponieśli go do furgonetki i wrzucili na tył.

26 grudnia 1984

Domek Hoppera

Hawkins, Indiana

Śnieg przestał padać. To już coś. Hopper wyjrzał przez kuchenne okno, myjąc kubek po kawie. Musiał jej wypić kilka litrów.

W salonie Nastka leżała na kanapie, zakopana pod stertą koców. Hopper obejrzał się i zobaczył czubek głowy porośniętej kręconymi włosami, wystający ponad poręcz. Od pewnego czasu się nie ruszała. Było późno i zrobili sobie kolejną przerwę w opowieści. Nastka pewnie zasnęła. I chyba dobrze: gadał całe popołudnie i wieczór. Nie był pewien, jak długo jeszcze wytrzyma, choć na razie gardło mu nie doskwierało.

Mogą wrócić do tego rano. W istocie powinien przekazać jej tylko wybrane fragmenty. Tych kilka dni w Nowym Jorku w siedemdziesiątym siódmym było niezwykle skomplikowanych i uznał, że historia jest dla niej za mocna.

Bo przecież była, prawda? A może jej nie doceniał? Nastka to bystra dziewczynka i fakt, nie przypominała innych dzieci w jej wieku, ale podobała jej się jego opowieść. Słuchała uważnie, zafascynowana. Oczywiście odkrywał przed nią cały nowy świat,

ukazując siebie samego w zupełnie innym świetle.

Miał nadzieję, że dobrze go odebrała. W tamtych czasach dołożył wszelkich starań, ale nie chciał kłamać, nie chciał robić z siebie kogoś, kim nie był.

Historia, mimo że ocenzurował pewne fragmenty, pozostawała mroczna i straszna. Ale może nie szkodzi? Dzieci lubią się bać – w bezpieczny sposób. A co może być bezpieczniejszego niż to? Hopper wy dostał się cało i zdrowo z Nowego Jorku. Ustalili już, że Delgado ma się dobrze.

Owszem, doszło do kilku śmierci – a to jeszcze nie koniec.

Westchnął. Może przesadza. Może nie docenia Nastki.

Nie, żadnych może. Oczywiście, że jej nie doceniał.

Dziewczynka poruszyła się na kanapie. Wrócił do salonu w chwili, gdy wyłoniła się spod koców.

– Co było dalej? – spytała.

– Myślałem, że zasnęłaś!

Pokręciła głową, sadowiąc się wygodniej i podwijając pod siebie nogę.

– Czy Saint John był taki jak ja?

Hopper kilka razy poruszył szczęką.

– Jak... ty?

Przytaknęła.

– Wyjątkowy... Inny...

Potańił się po brodzie. To dobre pytanie – i musiała zastanawiać się nad nim od pewnego czasu. Biorąc pod uwagę jej własne doświadczenia z doktorem Brennerem i projektem MKUltra, wyciągnęła logiczny wniosek.

I być może niezbyt odległy od prawdy.

– No cóż – rzekł – nie potrafił przesuwac przedmiotów umysłem

jak ty. Ale owszem, stanowił część pewnego projektu. Innego projektu, nie takiego jak ten w laboratorium Brennera. Ale znów, trochę zanadto wyprzedzamy historię. – Usiadł obok niej i położył dłoń na okrytej kocem nodze dziewczynki. – Nie chcę, żebyś miała koszmary, jasne?

Nastka wyraźnie rozważyła to bardzo starannie. Potem spojrzała na Hoppera i kiwnęła głową. Usadowiła się wygodnie, czekając, aż podejmie przerwana opowieść.

Hopper poczochnął jej włosy i wstał, ponownie się przeciągnął i usiadł w fotelu, odchylony, z rękami za głową.

Przygoda jeszcze się nie skończyła.

Porównanie spostrzeżeń

13 lipca 1977

Nowy Jork

– Widzisz cokolwiek?

Martha wyrzała przez tylne okienko furgonetki, mały kwadrat zbrojonego metalową siatką szkła, ich jedyne okno na świat zewnętrzny. Westchnęła i z powrotem usiadła na metalowej ławce, jednej z dwóch ciągnących się przez całą długość wewnętrznego przedziału furgonetki.

– Nie. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Siedzący naprzeciw Hopper próbował usadowić się wygodnie; na próżno. Głowa pulsowała mu bólem, podobnie policzek i warga pęknięta po ciosie gliniarza. A dla kogoś jego wzrostu furgonetka okazała się mocno przyciasna. Nie mógł nawet usiąść wyprostowany na ławce, zamiast tego musiał przykucnąć na skraju, a twardy metal boleśnie wpijał mu się w pośladki. Ręce skute za plecami też nie ułatwiały sprawy.

Jak dotąd podróżowali etapami. Most pokonali z rozsądną szybkością, potem znów się zatrzymali, najwyraźniej na kolejnym punkcie kontrolnym. Przez tylne okno Hopper widział długie cienie konnych policjantów. Potem furgonetka znów ruszyła w drogę, nie

wiadomo dokąd.

W dziesięć minut później zatrzymali się gwałtownie i pozostali tak przez kolejnych dziesięć minut. Potem podjęli przerwana podróż.

Po dziesięciu minutach furgonetka stanęła. Tym razem postój trwał co najmniej pół godziny. Silnik wciąż działał, Hopper nie słyszał, by ktokolwiek wysiadał z kabiny z przodu. Nikt też nie podszedł z tyłu, żeby sprawdzić, co u więźniów.

– Myślisz, że ktokolwiek w ogóle nas wysłucha? – spytała Martha.
– Członkinię gangu i poszukiwanego gliniarza?

Zmarszczył brwi. Mówiła z sensem.

– I tak musimy spróbować. Jeśli zdołam dotrzeć do kogoś z grupy specjalnej, zorientują się, kim jestem.

Martha jedynie uniosła brwi.

– Całe miasto płonie. Nie sądzę, by ktokolwiek zechciał nas z nimi połączyć – oparła się ciężko o ścianę furgonetki. – Wrzucą nas do celi i przepuszczą przez maszynę, tak jak wszystkich, których zgarną. Więc owszem, jasne, w końcu dowiedzą się, że mówimy prawdę. Ale pewnie gdzieś koło Bożego Narodzenia.

Hopper przesunął językiem po zębach. Miała rację. Niedofinansowana, nękana brakami personalnymi policja w czasie kryzysu musiała posłać wszystkie siły na front działań. Przyszło mu do głowy, że może nie ma już dostępnych cel. Może zostaną w tej furgonetce bardzo, bardzo długo.

Martha znów podeszła do okna. Przycisnęła nos do szyby, próbując sprawdzić, co się dzieje.

Hopper poruszył się niezręcznie i poczuł, jak coś wbija mu się w brodę. Zerkając w dół, ujrzał zwiniętą mapę kwatery głównej Żmij, wystającą spod kołnierza kurtki.

Unióś głowę.

– Opowiedz mi, co wiesz o planie Saint Johna.

Martha usiadła na swej ławce.

– Nie wiem zbyt wiele. Saint John dopuścił ludzi do części planu – w tym mnie – ale większość zachował dla siebie. Wiem, że od co najmniej paru lat wzmacniał Żmije: przejmował inne gangi, zagarniał ich terytoria i wszystko, co mieli, ludzi, pieniądze, wszystko.

– Broń – podsunął Hopper.

– O tak, ma dużo broni. Kilka razy dobił targu z kartelami, poważnymi graczami z Kolumbii i Meksyku, grupami, które już wcześniej zdobyły przyczółki w Nowym Jorku. Wiedział, jak się z nimi dogadać, a oni mieli to, czego potrzebował.

– Co im dał?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może kasę? Szlaki przerzutowe do miasta? Nie mam pojęcia. Ale przypuszczam, że wiedział, co robi. To prawdziwy mistrz planowania, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Fachowiec: on wie, jak obrabiać ludzi, wie, jak nad nimi zapanować, sprawić, by robili to, czego zechce. Stary, widziałam, jak ludzie umierają, bo im kazał.

Urwała i gwałtownie wciągnęła powietrze. Hopper przytaknął.

Lisa Sargeson. Widział jak skacze z dachu – na rozkaz Saint Johna. Widział na własne oczy, ale wciąż nie rozumiał.

Martha też widziała. Musiała. Była na tym dachu wraz z nim.

Spuścił wzrok, wpatrując się w metalową podłogę furgonetki. Wciąż pozostały powiązania, których nie rozumiał, nie do końca pasujące fragmenty układanki, ale czuł, że są blisko.

Oczywiście może „blisko” to za mało.

– To psychologia – rzekł głośno.

– Co?

Uniósł wzrok.

– Psychologia. Saint John miał za swym gabinetem całą kolekcję książek – podręczników, poradników, coś jak prywatną bibliotekę badawczą. Wspomniał, że w Wietnamie brał udział w tajnych projektach. Że wyznaczono go do nadzwyczajnych zadań. Co jeśli te nadzwyczajne zadania dotyczyły prania mózgu?

Martha zmrużyła oczy.

– A coś takiego w ogóle istnieje?

Hopper wzruszył ramionami i znów przesunął się na ławie.

– Nie wiem. Sam nigdy tego nie widziałem, ale słyszałem opowieści. Posłuchaj, oboje widzieliśmy, co potrafi Saint John. Ma jakąś moc, władzę nad ludźmi. Stąd właśnie bierze się cała ta gadanina o czarnej magii – potrzebuje haczyka, czegoś dziwnego, czegoś, z czym nie zetknęła się większość ludzi.

– No owszem, kręciły go różne dziwne rzeczy.

Przekrzywił głowę.

– Ale cię nie wciągnął?

Wzruszyła ramionami.

– Może próbował, ale jak mówiłam, miałam własny cel. Wiesz, o co chodzi. Skupiłam się na nim i robiłam tylko to, co niezbędne, by przeżyć i chronić Leroya.

– Tyle że Saint John przekabacił Leroya, prawda? Z tobą mu się nie udało, ale z twoim bratem owszem.

Pokręciła głową.

– Myślałam, że zdołam go ochronić, szło mi całkiem dobrze. A przynajmniej tak sądziłam. Najwyraźniej się myliłam.

– Wcale nie – burknął Hopper. – Stąd ja wziąłem się w tej sprawie. Twój brat przyszedł do mnie, prosząc o pomoc, żeby

wyciągnąć ciebie. Walczył z władzą, jaką miał nad nim Saint John. I prawie mu się udało.

– Cóż, czasami prawie nie wystarczy, zgadza się? Ale owszem, widziałam, co potrafi Saint John. Wiem, co potrafi.

– Lecz jak mówiłem, to tylko psychologia. Saint John wie, jak działa ludzki umysł. Wie, że jeśli zdoła wmówić ludziom – właściwym ludziom – iż nawiązał kontakt z, no nie wiem, jakąś inną mocą, to ich przerazi. A strach to potężne narzędzie: może najpotężniejsze, jakie istnieje. On sam w nic z tego nie wierzy. Nie musi, dopóki wierzą wyznawcy. Po prostu wzmacnia strach, każąc Żmijom raz na jakiś czas przywdziewać szaty i popełniać rytualne zabójstwa.

– Rytualne co?

– Zanim dowiedzieliśmy się, że Żmije mają z tym coś wspólnego, badałem z partnerką serię morderstw. Zabójstwa nosiły znamiona rytuału, ale nie miały własnego znaczenia, stanowiły tylko część metody kontroli Saint Johna.

Martha powoli wypuściła powietrze.

– Nic o tym nie wiedziałam. Nie ma mowy. Musisz mi uwierzyć.

Hopper przytaknął.

– Och, wierzę. Ale co dokładnie wiesz, jeśli chodzi o jego plan? To on stoi za zaćmieniem. Musi. Wyłączył prąd w całym mieście, ale musiał mieć jakiś powód.

Martha jedynie pokręciła głową.

I wtedy tylne drzwi furgonetki otwarły się gwałtownie, Hopper i Martha obrócili się na ów dźwięk, mrużąc oczy w jasnym blasku latarek, trzymany przez policjantów w strojach przeciwwłamankowych. Kiedy wyciągali ich z wozu, Hopper zauważył, iż przypominają raczej wojsko niż policję, sprzęt mieli bardziej zaawansowany, zapewniający lepszą ochronę. W blasku

latarki zdołał odczytać dwa słowa, wypisane dużymi żółtymi literami na kamizelkach kuloodpornych.

AGENT FEDERALNY.

Rozejrzał się, przyglądając się, jak agenci roją się wokół furgonetki. Znajdowali się na dużej, otwartej przestrzeni, otaczały ich wysokie budynki o płaskich ścianach, bez wyjątku ciemne. Wokół rozstawiano kolejne reflektory i generatory, lecz mimo to Hopper potrzebował chwili, by pojąć, że stoi na środku Times Square.

Jeden z agentów pchnął go delikatnie i odwrócił, żeby rozkuć mu rękę. Gdy Hopper potrząsał nimi, żeby przywrócić krążenie, truchtem podbiegł do nich kolejny mężczyzna. Miał na sobie ciemny garnitur, a na nim kamizelkę kuloodporną.

– Detektywie Hopper – rzekł agent specjalny Gallup. – Tak się cieszę, że mogłeś wpaść na tę imprezę. Tędy proszę.

Ostatnia odprawa

13 lipca 1977

Manhattan, Nowy Jork

Tymczasowe centrum dowodzenia mieściło się w wielkim białym namiocie, zajmującym całą szerokość Broadwayu w miejscu, gdzie ukośnie przecinał Times Square. W środku roiło się od ludzi. Gallup poprowadził Hoppera i Marthę pomiędzy policjantami i agentami, ludźmi w strojach cywilnych i innymi, w roboczych drelichach i kaskach. Ta ostatnia grupa z zajęciem oglądała plany, rozłożone na dużych stołach na koziołkach. Hopper dostrzegł rozstawione w kącie wojskowe radio polowe. Pobliski generator mruczał cicho.

Po drodze Gallup relacjonował im sytuację.

Padła cała sieć energetyczna Con Edison. Firma musiała wyłączyć nawet te nieliczne podzespoły, które ocalały z pogromu po pierwszym zaćmieniu, żeby uniknąć przeciążeń i usunąć uszkodzenia. Niektóre obszary, jak choćby część Queens i Rockaways, wciąż miały prąd – czystym zrządzeniem losu nie były podłączone do Con Edison, tylko do Long Island Lighting Company.

Gallup odciągnął Hoppera i Marthę na bok, gdzie ustawiono wielką białą tablicę, pokrytą sztywną folią tak, by dało się po niej

pisać flamastrami. Niemal całą powierzchnię pokrywały ważne informacje.

Agent nadal opisywał sytuację, teraz jednak Hopper był już w stanie myśleć wyłącznie o jednym – i myśl ta szybko zagłuszyła wszelkie inne.

Usłyszał czyjś głos. Zamrugał i ta osoba znów się odezwała.

– Detektywie Hopper?

Wyrwany z zamyślenia spojrzął na agenta specjalnego Gallupa.

– Słuchaj, zrobiłem wszystko, czego chciałeś. Teraz ty mi pomożesz, dobrze? Koniec z bzdetami. Muszę się dostać do domu. Diane, Sara... czas, żebym wrócił. Cała ta sytuacja jest dla Diane koszmarem, a teraz wszędzie wysiadło zasilanie, nawet w Brooklynie.

Gallup podszedł bliżej i położył mu dłoń na ramieniu.

– Nic im nie jest. Nic im nie jest.

– Ja... co? Co to znaczy?

– Jest z nimi detektyw Delgado.

– Co? Delgado?

Agent przytaknął.

– Zgłosiła się do nas wczoraj, przynosząc dowody, które zbierała z zacięciem podczas twojej nieobecności. Kiedy skończyliśmy, oznajmiła, że jedzie wprost do twojego mieszkania, bo musi dotrzymać obietnicy. I całe szczęście. Teraz, gdy wysiadł prąd, nie mam nikogo wolnego. Delgado wciąż tam jest: zameldowała się, gdy tylko zgasły światła.

Hopper o mało nie zadławił się śmiechem. Nigdy w życiu nie czuł równie cudownej, równie wspaniałej ulgi. Świadomość, że żona i córka są bezpieczne w całym tym zameście...

– Muszę do nich jechać. – Popatrzył na Gallupa, na Marthę,

w końcu gestem wskazał tablicę. – Tu w niczym już nie pomogę. Martha wie więcej ode mnie o tym, co się dzieje. – Rozpiął skórzaną kurtkę i wyciągnął ciasno złożony plan kwatery głównej Żmij. – To się wam przyda. Jeśli grupa zaatakuje teraz...

Gallup przerwał mu, unosząc rękę.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić, detektywie. Grupa specjalna nie jest gotowa. Członkowie są rozrzućeni po całym mieście. Czekają na instrukcje, których nie dostaną.

– Co to znaczy „czekają”?

– Padły radia – wyjaśnił agent. – Bez zasilania nie działają wzmacniacze AM. Nawet gdybyście dotarli do policjanta z radiem, i tak byście się ze mną nie połączyli. Wiedziałem, że tu jedziecie, bo funkcjonariusz z patrolu motocyklowego dostarczył nam wieści o tym, co dzieje się w Bronksie.

– Bronx zamienia się w strefę wojny. Oto, co się dzieje – odparła Martha.

– Wierz mi, wiem o tym – powiedział Gallup. – Kiedy zaczęło się zaćmienie, zanim padły telefony, wszystkim policjantom rozkazano, by zameldowali się na komisariatach najbliższych ich miejsc zamieszkania.

Hopper zaklął.

– Co takiego? To okropny pomysł!

– Nie możesz ich winić za to, że próbowali, detektywie.

– Ale gliniarze zwykle nie mieszkają w pobliżu swoich komisariatów, a już na pewno nie w Bronksie! – Odwrócił się do Marthy. – Nic dziwnego, że nie mogliśmy znaleźć żadnych policjantów. Bo ich tam nie ma.

– To nie do końca prawda – odparł Gallup. – Ci na służbie wciąż są na miejscu.

– Za mało, by poradzili sobie z tym, co widzieliśmy – mruknęła

Martha.

– W każdym razie – podjął agent – właśnie montujemy zapasową sieć radiową. – Wskazał gestem stojący w kącie wojskowy sprzęt łącznościowy. – Ale musimy podciągnąć ją do naszych zespołów, nim zdołamy skoordynować akcję. To trochę potrwa, lecz wkrótce będziemy mogli ruszyć przeciw Żmijom.

Hopper odwrócił się do niego.

– Dobra. Ale słuchaj, muszę już iść. Natychmiast.

Agent przytaknął.

– To zrozumiałe. Dalszą odprawę przeprowadzę z Martha, a tobie zorganizuję policyjny motocykl.

Wstał i poszedł zamienić kilka słów z pobliskim mundurowym. Na ten widok Hopper poczuł nagle...

Wyrzuty sumienia?

Odwalili tak wielką wspólną robotę, poświęcili mnóstwo czasu, Saint John wciąż kombinował w Bronksie diabli wiedzą co, a on mógł myśleć tylko o jednym...

Diane.

Sara.

Ponieważ choć miał obowiązek służyć i chronić miasto, miał też obowiązek służyć i chronić własną rodzinę.

Zrobił już to, co zamierzał zrobić, wykonał powierzone mu zadanie. Miał dostarczyć informacji. I dostarczył, w osobie Marthy.

Gallup wrócił kilka minut później, taszcząc duży wojskowy telefon polowy.

– Zakładam, że umiesz się tym posługiwać? – Podał mu telefon.

Hopper wziął go. Cholerstwo ważyło tonę. Dwukierunkowy aparat długiego zasięgu praktycznie się nie zmienił od czasu, gdy ostatnio użył go w Wietnamie.

- Owszem, dzięki.
- Motocykl już czeka. Powodzenia.

Sen o Brooklynie

14 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Dochodziła północ, gdy Hopper zajechał pod swoją kamienicę. Gallup zorganizował mu duży policyjny motocykl, prawdziwą bestię, na której Hopper czuł się znacznie lepiej niż na kapryśnym, nieprzewidywalnym crossie. Z włączoną syreną i światłami przeprawił się przez Manhattan aż do Brooklynu, bez większych przeszkód jadąc pod prąd zakorkowanymi i zatłoczonymi ulicami. Jak podejrzewał, w tej części miasta sytuacja wyglądała o wiele bardziej stabilnie. Dzięki zaimprovizowanym rozkazom dowództwa policji, Manhattan i Brooklyn dysponowały nieproporcjonalnie dużymi siłami policyjnymi. To dobre wieści dla okolicy, ale znacznie gorsze dla Bronksu i innych mniej zamożnych dzielnic, gdzie mimo dużej liczby komisariatów pozostała tylko niewielka obsada funkcjonariuszy.

Hopper zatrzymał się na chodniku tuż przed wejściem. Zaparkował motocykl, nim jeszcze zgasił silnik. Zeskoczył i natychmiast pochylił się nad boczną torbę bagażową, wyciągając z niej radio polowe. Z ciężarem w dłoniach wbiegł po schodkach.

Pchnął drzwi frontowe kamienicy dokładnie w chwili, gdy ktoś

zrobił to samo od środka. Zaskoczony Hopper kopnął mocno, otwierając drzwi, po czym o mało nie potknął się o coś na progu. Hol oświetlały świece i kiedy spojrział w dół, przekonał się, że na ziemi leży mężczyzna.

– Jezu Chryste! – krzyknął tamten, podnosząc się na łokciu; nagle zamarł. – To ty, Jim?

Był to Eric Van Sabben. Hopper zerknął na niego, po czym ruszył w stronę schodów.

– A, tak, cześć, Eric. Wybacz!

Dotarłszy pod drzwi, zaczął walić w nie pięścią, nie chcąc przerazić kobiet w środku, gdyby otworzył własnym kluczem.

– Diane? To ja! Otwórz! Jestem tu, otwieraj!

Chwilę później usłyszał szuranie czegoś ciężkiego, odsuwanego spod drzwi. Potem brzęk odpinanego łańcucha. Następnie szczeł zamka.

– Jim!

Diane o mało nie wpadła na niego, chwytając go w objęcia, przyciskając mu twarz do piersi. Cała trzęsła się od szlochów. Wciąż trzymając w dłoni nadajnik polowy, Hopper postarał się też ją uścisnąć. Przytulił twarz do czubka głowy żony. Odetchnął głęboko, powoli, wciągając w płuca jej zapach.

– Jestem tu – mruknął i powtarzał to tak długo, aż przestała płakać. W końcu odsunęła się i spojrzała mu w oczy. Palcem odgarnął jej włosy z twarzy i uśmiechnął się. Po jego policzkach także spływały łzy, mieszając się z łzami żony. – Gdzie jest Sara?

Diane cofnęła się do mieszkania, Hopper podążył za nią. Kiedy sięgnęła, żeby zamknąć drzwi, wskazała ręką masywny przedmiot, który dźwigał.

– Co to?

Podszedł do blatu kuchennego i odstawił swoje brzemię.

– Radio polowe – oznajmił. – Żebym mógł połączyć się z bazą. Sara?

Już kierował się na korytarz, wiodący do sypialni.

– Sara śpi. – Diane podreptała za nim. – Nie martw się. Nic jej nie jest. Leżała już w łóżku, kiedy zgasł prąd.

Hopper otworzył drzwi i wszedł do pokoju córki. Leżała na brzuchu, zrzuciła z siebie kołdrę. Bez prądu klimatyzacja nie działała i w pokoju było bardzo ciepło.

Ostrożnie usiadł na brzegu łóżka. Powieki Sary zatrzepotały. Przez moment patrzyła na ojca, potem znów odpłynęła. Siedział i patrzył na nią, gładząc jej włosy.

Jestem w domu, jestem w domu, jestem w domu.

Z ciężkim westchnieniem potarł ręką twarz i ostrożnie wstał. Raz jeszcze spojrzął na śpiącą córkę i wyszedł z pokoju. W salonie Diane zapalała kolejne świece. Podeszła do drzwi wejściowych, bo ktoś w nie zapukał. Wpuściła sąsiada, Erica. Hopper pomachał do niego z niemądrym uśmiechem.

– Z Esther wszystko dobrze?

Eric przytaknął.

– Tak, poszła do łóżka. W gościnnej sypialni śpi też pani Schaefer. Myślisz, że powinienem je obudzić?

Hopper uniósł rękę.

– Nie. Jeśli nic im nie jest, to nic im nie jest. – Rozejrzał się po pokoju. – A gdzie Delgado?

Eric i Diane popatrzyli po sobie.

– Właśnie miałam cię o to spytać.

– Co?

Eric pokręcił głową.

– Nie znalazła cię?

- Znalazła? Gdzie?
- W Instytucie Rookwood.

Potrzebował kilka minut, by uruchomić radio. Podczas gdy Hopper próbował wywołać Gallupa w ośrodku dowodzenia na Times Square, Diane przekazała Ericowi zwięzłe streszczenie tego, czym zajmował się jej mąż. A przynajmniej, pomyślał Hopper, słuchając z roztargnieniem tego, co powiedziała jej Delgado.

Delgado, która wypuściła się gdzieś sama, Bóg jeden wie gdzie. W końcu radio zatrzeszczało i ożyło.

– T-siedemdziesiąt-siedemdziesiąt dowództwo, słyszymy cię, odbiór.

Hopper westchnął z ulgą i nacisnął włącznik mikrofonu.

– Tu detektyw Jim Hopper. Dajcie mi agenta specjalnego Gallupa, dobrze? Odbiór.

– Przyjąłem.

Na moment radio umilkło. Diane podeszła do Hoppera. Potem w głośniku szczęknęło.

– Hopper, musisz się streszczać.

– Delgado tu nie ma – rzekł do mikrofonu. – Poszła do Instytutu Rookwood. Odbiór.

Znowu milczenie; Hopper pomyślał, że Gallup może przekazuje informacje Marcie. Dopiero kiedy przemówił, zorientował się, że agent może nie wiedzieć, co to za miejsce – ani jak wiele znaczy dla Saint Johna.

Ale czy Martha wiedziała?

Zerknął na żonę i znów nacisnął mikrofon.

– Mam powtórzyć? Odbiór.

– Wybacz, rozmawiałem z Martha. Nie wiemy, co to znaczy.

Znasz jego położenie? Odbiór.

Hopper potarł ręką twarz. Nie miał czasu opisywać całej historii Saint Johna związanej z tym miejscem. Nie teraz. Zwłaszcza przez kiepskie łącze radiowe.

– Znam. Podobno widziano tam też członków Żmij. Zmierzali do instytutu w jednym wielkim konwoju. Najwyraźniej mają tam prąd. Odbiór.

– I to wystarczyło, żeby posłać tam Delgado? Odbiór.

– Rookwood jest ważne dla Saint Johna. Czy Martha mówiła ci o Lisie Sargeson? Odbiór.

– Potwierdzam. Odbiór.

Hopper pokiwał głową.

– To w Instytucie Rookwood Saint John spotkał ją po raz pierwszy. Tuż przed zwolnieniem z więzienia federalnego. Wyjaśnię później, ale tam właśnie wszystko się zaczęło. Jeśli zmierzają tam Żmije, to Saint John nimi kieruje. Delgado sądziła, że wciąż jestem z nimi, toteż poszła mnie poszukać. Odbiór.

– Dobrze. Zostań tam, gdzie jesteś. Wyślę do ciebie jak najwięcej agentów. Jeśli twoje słowa się sprawdzą, możemy załatwić Saint Johna...

Hopper pokręcił głową, myśląc o sile ognia dostępnej Żmijom – sile, która obecnie przybyła w jego okolice.

– Odmawiam. Odmawiam – niemal krzyknął do mikrofonu. – Jeśli przyjdziecie tu z agentami, rozpętaacie wojnę!

Urwał, po czym znów uniósł mikrofon. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, radio zatrzeszczało, tym razem głośniejsze. W głośniku strzeliło kilka razy, jakby ktoś szybko na zmianę naciskał i zwalniał guzik. Hopper spojrzał na własny mikrofon, ale najwyraźniej działał dobrze. Czerwone światełko wskazywało, że jest wyłączony.

– Co to było? – spytała Diane.

Hopper wzruszył ramionami.

– Chyba kłopoty z drugiej strony.

– Hopper!

Głos piszczący w radiu nie należał do agenta specjalnego Gallupa. Hopper nacisnął przycisk mikrofonu.

– Martha?

Rozległo się jeszcze kilka trzasków, a potem mikrofon po drugiej stronie znów się włączył. Hopper usłyszał szelesty i szумы oraz głosy dwóch kłócących się osób. Po chwili zabrzmiały bliżej.

– Puszczaj mnie! – To była Martha. Mikrofon znów umilkł i ożył.

– Tak, dobra, nie ściągaj koszuli. Jezu, Hopper, wciąż tam jesteś?

– Wciąż tu jestem. Co się dzieje? Odbiór.

– Na sekundę pożyczyłam sobie radio.

– Słyszałaś, o czym mówiliśmy? Odbiór.

– Tak. Słuchaj, jeśli wszyscy poszli do Rookwood, to Leroy też tam będzie. O... Odbiór.

Hopper pokręcił głową, wiedząc dokładnie, co zaraz usłyszy.

– Martho, zostań tam, gdzie jesteś. Poradzę sobie z tej strony, a Gallup niech czeka z agentami. Zgoda?

– Nie ma mowy, Hopper. Jadę tam. Muszę wyciągnąć Leroya, nim do czegokolwiek dojdzie, jasne? I nie dam się powstrzymać – ani tobie, ani panu agentowi specjalnemu.

– Martho, zaczekaj! Martho?

Hopper zwolnił przycisk. Radio zabrzęczało i w głośniku puknęło, gdy Gallup odzyskał mikrofon.

– Ty też musisz zostać tam, gdzie jesteś, detektywie. My to załatwimy.

– Jasne, bo jak dotąd spisaliście się świetnie. Bez odbioru.

Hopper odłożył mikrofon na blat kuchenny i pstryknął w główny wyłącznik. Radio zgasło. Uniósł wzrok i zobaczył, że Eric i Diane przyglądają mu się uważnie.

– Idę po nią.

Eric zaskoczony otworzył usta, ale nic nie powiedział. Hopper nie zwracał na niego uwagi. Skupiał ją wyłącznie na Diane, która też milczała. Czekala na coś. Na lepsze wyjaśnienie.

Mógł jej podać tylko prawdę.

Okrażył blat i wyciągnął ręce do żony, ta jednak cofnęła się, skulona. Pokręciła głową.

– Jim...

– Przykro mi – rzekł. – Delgado może mieć kłopoty i muszę jej pomóc. Muszę powstrzymać to, co się dzieje. Jeśli mam to załatwić na spokojnie przed przybyciem kawalerii, to muszę spróbować.

Diane przytaknęła.

– Kto to jest Martha?

– Kobieta, która próbuje uratować brata. I da sobie radę. Jeśli tam jedzie, to może razem zdołamy to wszystko powstrzymać.

Diane przyglądała mu się kilka sekund, po czym zwiesiła głowę.

– Tylko bądź ostrożny, dobrze? – Uśmiechnęła się słabo. W jej oczach znów lśniły łzy.

Hopper postąpił naprzód i przytulił ją mocno. Tym razem się nie wycofała. Kołysali się z boku na bok, objęci. Spojrzał nad jej głową na Erica, wciąż stojącego pośrodku pokoju.

– Ericu, opiekuj się moją rodziną.

Tamten przytaknął.

Wówczas Hopper wypuścił Diane i pocałował ją w czoło.

– Wrócę najszybciej jak się da – obiecał i wyszedł z mieszkania.

Nie śmiał obejrzeć się za siebie.

Gniazdo Węża

14 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Boczne uliczki w Brooklynie były ciche i ciemne; chaos i zagłada płonącego miasta wydawały się na wpół zapomnianym snem, gdy Hopper zostawił policyjny motocykl na pustej działce. Resztę drogi do Instytutu Rookwood pokonał pieszo. Wiedział oczywiście, co dzieje się w jego głowie. Adrenalina, wyczerpanie, głód, pragnienie, nie mówiąc już o drobnych obrażeniach podczas ucieczki przed Żmijami – wszystko to miało swoją cenę. Wcześniej, w Wietnamie, doświadczył już czegoś podobnego. Przynajmniej umiał rozpoznać fakt, że długo już nie wytrzyma.

Z łatwością znalazł instytut. To był wielki budynek, sterta gotyckich kolumn i łuków, coś pomiędzy kościołem a wiejską rezydencją, przycupnięty na końcu szerokiej alejki. Centralny punkt okolicy.

A także jedyny budynek w promieniu wielu mil, w którym paliły się światła. Wystarczyło, by Hopper podążał w stronę oślepiającego białego blasku – i Żmij napływających miarowym strumieniem i gromadzących się na ulicy przed instytutem. Gang musiał tu przejechać – ich kwatery główna leżała bardzo daleko stąd – ale

w pewnym momencie wszyscy porzucili środki transportu i dalej, jak on sam, maszerowali pieszo. Hopper nie był pewien dlaczego i w sumie niezbyt go to obchodziło, ale miało to w sobie coś niepokojącego. Podczas marszu nie rozmawiali ze sobą; po prostu szli – nie miarowo, w jednym rytmie, lecz w milczeniu – ciszy zakłóconej tylko rytmicznym tupotem stóp.

Wkrótce stracił rachubę. Z pewnością było ich tu znacznie więcej niż w magazynie. Wszyscy nosili skórzane kamizelki z napisem ŻMIJE na plecach. Każdy z nich trzymał też na ramieniu karabin AK-47.

Prywatna armia Saint Johna, maszerująca bezmyślnie w stronę...

Czego?

Hopper musiał dostać się do instytutu. Żmije, wciąż przybywające piechotą, ustawiały się w szeregach przed budynkiem. Ludzie patrzyli przed siebie, czekając cierpliwie na to, by, jak przypuszczał Hopper, mistrz do nich przemówił. Scena ta przypominała mu spotkanie na dachu, którego był świadkiem i w wyniku którego zginęła Lisa.

Przegnał to wspomnienie. Jeszcze minutę obserwował gang, po czym podjął decyzję.

Nie zamierzał czekać na Marthę. Dotarcie tutaj zabierze jej sporo czasu, zakładając, że w ogóle zdoła przekonać Gallupa, by użyzył jej jakiegoś transportu. Naprawdę nie miał pojęcia, gdzie się podziewa, ani nawet czy w ogóle przyjdzie, więc nie było sensu zwlekać. Poza tym żywił nadzieję, że jeżeli się zjawi i zobaczy zgromadzonych przed budynkiem członków Żmij, zachowa dość zdrowego rozsądku i nie będzie się wtrącać.

Czyli postąpi dokładnie odwrotnie niż on.

Hopper zawrócił i pobiegł pustą ulicą. Na skrzyżowaniu skręcił raz, potem drugi i wkrótce mógł oglądać końcowy odcinek marszu

Żmij. Ostatni spóźnialscy przybywali mniej więcej w równych odstępach, zmierzając do celu.

Na tej ulicy rosły dojrzałe drzewa. Jedno posłużyło mu za kryjówkę. Hopper obserwował, odliczał czas i maszerujących. Potem wypadł zza pni, objął przedramieniem szyję ostatniego mężczyzny i nacisnął z całych sił. Członek Żmij walczył, ale nim zdołał krzyknąć, Hopper drugą ręką zatkał mu usta. Powłókł go w stronę krawężnika i za rząd parkujących samochodów, przekręcając ciało tak, by karabin, wiszący na ramieniu tamtego nie spadł i nie zaalarmował pozostałych.

Upewniwszy się, że mężczyzna stracił przytomność, Hopper zwolnił uścisk, a potem zsunął skórzaną kamizelkę członka gangu. Zdjął szybko własną kurtkę pilota i nałożył kolory Żmij na poplamiony krwią żółty podkoszulek.

Zabrał broń, szybko podszedł do krawężnika i pobiegł ulicą za resztą pochodu. Póki pozostawał z tyłu, był praktycznie niewidzialny. Gdy członkowie gangu docierali do instytutu, dołączali do szeregów swoich ziomków. Wszyscy patrzyli na ten sam budynek. Każde z okien jarzyło się białym światłem i...

Czekali.

Hopper odłączył od reszty, używając jako zasłony kolejnych zaparkowanych samochodów. Musiał się dostać do środka, a drzwi frontowe ze względów oczywistych nie wchodziły w grę. Lecz sam instytut był wielki – masywna budowla, która przycupnęła pośrodku kwartału ulic. Podążając wzdłuż samochodów i nie podnosząc głowy, Hopper dotarł niemal do samego frontu. Z tego miejsca światła instytutu rzucały głębokie stożki cienia na ziemię po obu stronach budynku. Mimo iż znajdował się w polu widzenia Żmij, Hopper zaryzykował: przebiegł za róg i zniknął w ciemności. Tam czekał, przytulony do ceglanej ściany, nasłuchując czegoś – czegokolwiek.

Udało się. Nie spuszczać z oka budynku, ruszył naprzód w mroku, szukając innego wejścia. Wkrótce natrafił na okazję. Na tyłach instytutu ściana cofała się, tworząc wielki dziedziniec, na którym tkwił śmietnik, otoczony workami odpadków. W pobliżu były drzwi, niemal ukryte za niskim ceglanym murkiem. Okazały się zamknięte na klucz, lecz Hopper, zapałszy się o mur, kopnął klamkę obcasem. Po czterech mocnych uderzeniach drzwi wygięły się dostatecznie, by mógł naprzeć ramieniem i je wyważyć.

W środku zalegała nieprzenikniona ciemność. Hopper odetchnął głęboko i przekroczył próg.

Jego oczy szybko przywykły do ciemności: w pomieszczeniu, w którym się znalazł, panował mrok, ale przed sobą miał światło, wylewające się spod kolejnych zamkniętych drzwi. Hopper ruszył naprzód, zrobił to szybko i bezszelestnie. Ostrożnie nacisnął klamkę. Drzwi okazały się otwarte. Sprawdził korytarz, po czym wszedł do właściwego budynku.

Hol wyłożono drewnianą boazerią. Oświetlały go wielkie zdobne żyrandole z kutego żelaza, zwisające ze sklepienia. Podłogę tworzyły lśniące wypolerowane płytki z tworzywa. Po godzinach spędzonych w mieście podczas zaćmienia, oświetlony budynek wywierał niepokojące wrażenie, zwłaszcza iż Hopper wiedział, że to jedyne miejsce w promieniu wielu mil, w którym wciąż jest prąd. Przekrzywił głowę, nasłuchując z uwagą, i w końcu usłyszał cichy, lecz wszechobecny pomruk działającego generatora, zapewne ukrytego w piwnicy. Ruszył naprzód, starannie stawiając stopę przed stopą. Przed sobą trzymał AK-47 – wygodnie, może nawet zbyt wygodnie, leżący w dłoniach.

Po jakimś czasie przyspieszył kroku, bo Instytut Rookwood sprawiał wrażenie opuszczonego. W odróżnieniu od kwatery głównej Żmij w Bronksie, ten budynek był w stanie idealnym:

lśniące podłogi, meble w nieużywanym biurach starannie ustawione z boku. Przypomniało mu to koniec roku szkolnego w Hawkins jakieś dwadzieścia pięć lat temu, gdy uczniowie pomagali nauczycielom przesunąć cały sprzęt klasowy pod ścianę, by z łatwością dało się sprzątać w czasie wakacji.

Hopper cały czas szukał. Nie miał pojęcia, dokąd idzie, ale nie zamierzał się poddać.

Gdzieś tu była Delgado. A także Saint John. Wiedział o tym.

Pozostawało tylko ich znaleźć.

Na drugim piętrze Hopper natrafił na mapę: misterną intarsjowaną mozaikę, przedstawiającą plan budynku, przepiękną i niezwykle szczegółową, wiszącą na ścianie obok głównych schodów. Nie wiedział, do czego służył ten budynek, zanim zakupił go rząd federalny, ale podziękował dziewiętnastowiecznym rzemieślnikom za ich ciężką pracę. Badając wzrokiem rozkład pomieszczeń i próbując opracować lepszy plan poszukiwań, po chwili poddał się i zdecydował iść dalej tą samą ścieżką. Za późno już, by wątpić we własne metody.

Przed sobą ujrzał podwójne drzwi z witrażowymi panelami. Światło za szkłem zdawało się poruszać – może nie migotać, ale dostrzegał... ruch. Zaciekawiony Hopper podkradł się bliżej i zajrzał do środka – a potem zaklął, szarpnięciem otworzył drzwi i wpadł za próg.

Znalazł się w wielkim, długim pomieszczeniu – może sali konferencyjnej albo wykładowej, choć obecnie pozbawionej jakichkolwiek mebli. Nie oświetlały jej stare żelazne żyrandole, lecz setki czarnych świec, rozstawionych na podłodze.

Pośrodku pokoju ujrzał Delgado. Leżała na wznak z rozkrzyżowanymi rękami i nogami w centrum dużej

pięcioramiennej gwiazdy wrytej wprost w twardej deskach. Wokół gwiazdy widniało więcej symboli, tym razem nakreślonych jasnoczerwoną substancją, jakby farbą. Delgado miała zamknięte oczy, lecz jej pierś unosiła się i opadała miarowo.

Hopper zastygł w drzwiach, ogarniając wzrokiem pomieszczenie i patrząc na mężczyznę, stojącego nad głową partnerki.

To był Saint John.

Miał na sobie czarną szatę, ale tym razem zdjął kaptur. Migotliwe płomienie świec odbijały się w srebrnych szklach lustrzanek.

– Witaj, bracie mój.

Nim jeszcze Hopper otworzył usta, poczuł, jak wzbiera w nim krzyk. Skoczył naprzód, zapominając o trzymanej w dłoniach broni. Saint John stał tam z uśmiechem i rękami złożonymi jak do modlitwy.

Hopper wiedział, że będzie chciał to zrobić własnoręcznie.

I wtedy coś zatrzymało go nagle. Dwie pary rąk chwyciły za ramiona, naciskając w dół, zmuszając, by padł na kolana. Uderzył o podłogę, patrząc, jak czyjeś ręce wyrrywają mu karabin.

Leroy cisnął broń na bok, po czym cofnął się i znów zaczął napierać na jego ramiona. Z drugiej strony kolejny członek ekipy – Reuben – cały czas trzymał mocno. Oczy obu mężczyzn były szkliste, twarze pozbawione wyrazu.

Tak jak u pozostałych na dworze.

Saint John panował nad nimi.

Hopper odwrócił się, patrząc, jak przywódca gangu okrąża nieruchomą Delgado.

– Co to ma być, do diabła? – ryknął Hopper. – Po co to wszystko robisz?

Saint John zatrzymał się przed nim, potem przykucnął, żeby znaleźć się na poziomie jego oczu. Hopper ponownie ujrzał swoje odbicie.

Tamten milczał.

Hopper pokręcił głową.

– Co to za mistyczne bzdety? Kiedyś byłeś dowódcą. W Wietnamie. Zgadza się? Dowodziłeś ludźmi. Wydawałeś rozkazy, słuchałeś rozkazów. Nie było w tym nic magicznego. Ani wtedy. Ani teraz. – Skinął głową, wskazując upiorny wystrój pomieszczenia. – Całe te apokaliptyczne bzdety o diable, który przybywa do Nowego Jorku, o końcu świata, Dniu Węża, to wszystko gra. Ty w to nie wierzysz. Ale też nie musisz. Wykorzystujesz to, siejesz strach w umysłach wyznawców, dając im coś, czego mogą się lękać. Dając im powód, by ci służyli, bo dla nich jesteś jedynym wyjściem. Tylko ty stoisz pomiędzy nimi a diabłem. Zgadza się?

Saint John przechylił głowę. Milczał.

– I świetnie się z tym bawisz, co nie? – Hopper wbił wzrok w okulary tamtego, próbując przeniknąć je wzrokiem. – To ci daje władzę. Czujesz się silny. Zbierasz w swym kulcie słabych i wrażliwych. Jesteś mistrzem manipulacji i planowania. Ktoś cię tak nazwał i miał rację. Mistrz planowania. Rozumiem, że od bardzo dawna szykowałeś się do dzisiejszego dnia. Zaćmienie. Nie wiem, jak je wywołałeś, ale to przebłysk geniuszu. Idealny punkt zapalny, początek twojego Dnia Węża.

Hopper spojrział za plecy Saint Johna. Delgado nawet nie drgnęła. Świece wokół nich zamigotały, jakby powiał lekki wiatr, choć Hopper nie czuł żadnego ruchu powietrza.

Pomiędzy zębami Saint Johna pojawił się czubek języka. Mężczyzna pokiwał głową.

– Gratuluję detektywistycznej roboty, Hopper. Mogliśmy naprawdę stworzyć coś wielkiego, ty i ja.

– Po co to wszystko? – powtórzył Hopper szeptem. – Powiedz mi, po co to robisz?

Saint John wstał i wybuchnął śmiechem. Wrócił do Delgado, patrząc na nią z góry, po czym podszedł do Hoppera. Rozłożył szeroko ręce. Czarna szata falowała dokoła.

– Już to powiedziałaś. To Dzień Węża. Wyznaczona godzina, o której diabeł obejmie Swój tron. – Znowu przykucnął. – Przyszedł do mnie już wtedy, gdy czołgałem się w błocie, gdy zabijałem, bo mi kazali. Przyszedł do mnie, przekazał Swój plan i pokazał przyszłość. Powiedział, jak przygotować drogę i jak należy odprawić rytuał.

Saint John znów wstał. Wrócił do Delgado, zwrócony plecami do Hoppera.

– Pięć ofiar, by ściągnąć na ziemię zasłonę cienia.

Hopper poczuł krew pulsującą w skroni.

Błędnie wszystko zrozumiał. Tak bardzo się mylił.

Saint John nie tylko manipulował Żmijami. On sam także wierzył w każde słowo.

Wierzył.

Przywódca gangu sięgnął za pazuchę i wyciągnął dużą białą kartę. Odwrócił się i zademonstrował Hopperowi.

Karta Zenera. Własnej roboty, jak pozostałe. Widniał na niej symbol, kwadrat. Saint John ukląkł przy Delgado i położył kartę na jej sercu.

Hopper zaczął odliczać ofiary w głowie.

Jonathan Schnetzer. Sam Barrett. Jacob Hoeler.

Lisa Sargeson.

A Rosario Delgado była piąta.

Przywołując całą swoją energię, Hopper odepchnął się od dwóch trzymających go mężczyzn. Nic to jednak nie dało. Napinając do granic możliwości ściągnął szyi, zacisnął zęby i znów szarpnął. Przed nim Saint John ruszył naprzód, wyciągając coś jeszcze spod szaty.

Hopper dostrzegł błysk czegoś srebrnego i poczuł gorące elektryczne ukłucie w szyję.

A potem nie widział już nic.

Ostatnia ofiara

14 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

W ciemności tańczyły światła. Ogień połyskujący w dali, rosnący, płonący, jasny pośród nocy czarnej jak wąż. Hopper ocknął się z krzykiem i usiadł, głośno chwytając oddech. Rozejrzył się szybko.

Wciąż znajdował się w wielkiej sali konferencyjnej. Delgado nadal leżała na podłodze pośrodku wyciętego w niej pentagramu.

Spojrzał w dół, marszcząc brwi w oszołomieniu. Siedział na drewnianym krześle. Ręce zaciskał na poręczach, ale nie był przywiązany. Przed nim stał mały okrągły stół. Po drugiej stronie ustawiono identyczne krzesło, na którym zasiadał Saint John. Między nimi na stole lśnił srebrny kielich, wypełniony ciemnym płynem i srebrny krzyż z nożem z odsłoniętą klingą, celującą w Saint Johna.

Hopper odetchnął głęboko i uniósł rękę...

Nawet nie drgnęła. Oddech ugrzązł mu w gardle. Znów spróbował poruszyć ręką, potem nogami, ale kończyny go nie słuchały. Dysząc, gwałtownie zmagał się z niczym. Palce poruszały się na drewnianych oparciach, lecz ręce nie drgnęły nawet na centymetr.

– Co ze mną zrobiłeś? – spytał, patrząc na Saint Johna.

Ramiona przywódcy gangu uniosły się pod szatą, a potem opadły.

– Ja? Absolutnie nic. Cokolwiek się stało, sam to sobie zrobiłeś.

Hopper znowu spróbował się poruszyć. Tym razem zdołał zakołysać nieco krzesłem z boku na bok. Popatrzył w dół, nie mogąc pojąć, co go przytrzymuje. Oglądając się najpierw przez jedno, a potem przez drugie ramię, odkrył, że Leroy i Reuben stoją niewzruszenie przy drzwiach poza jego zasięgiem.

– Miałeś rację.

Hopper obrócił się, patrząc na szefa gangu. Saint John skinął głową.

– Wietnam. To było piekło, prawda Jim?

Hopper milczał.

– Rzeczy, które tam robiliśmy – ciągnął Saint John. – Rzeczy, które ja tam robiłem. Nie zgłosiłem się na ochotnika, nie z początku. Nie, wybrali mnie z mojego oddziału, powiedzieli, że się nadaję, kazali zameldować w bazie ukrytej głęboko w dżungli. Mówili, że ogromnie przysłużę się krajowi. Zupełnie jakbym miał jakiś wybór. Jakbym w ogóle miał jakiś wybór.

Hopper odetchnął głęboko przez nos. Przytaknął.

– Jakaś tajna operacja? Słyszałem historie o tym, że CIA prowadziło tam eksperymenty na żołnierzach, korzystając z narkotyków i różnych dziwnych wynalazków. Wówczas w to nie wierzyłem. Byłeś tego częścią?

– Zrobili sobie ze mnie królika doświadczalnego. Nazwali mnie Pacjentem Zero. Oznajmili, że chcą stworzyć lepszego żołnierza, a ja im wierzyłem. Sądziłem, że spełniam swój obowiązek. Niczego nie rozumiałem, nie z początku. Ale nie umarłem. Myślę, że ich to zaskoczyło. Nieważne, co robili, czego próbowali, to mnie nie

zabijało. Innych owszem. Ale nie mnie.

Hopper westchnął.

– Przykro mi.

Saint John po raz kolejny powoli wzruszył ramionami.

– Niepotrzebnie. Przeżyłem. Współpracowałem. W końcu dołączyłem do śledczych i robiłem innym to, co oni mnie. Pomagałem przy doświadczeniach. Pomagałem ulepszyć proces. Zrobiliśmy wiele dobrego. Sporo się dowiedziałem o tym, jak działa mózg. – Postukał palcem w skroń. – Wiedziałaś, że jesteśmy tylko chemią i elektrycznością? Umysł i dusza to złudzenia, efekty uboczne mieszaniny neuroprzekazników, hormonów, reakcji chemicznych i impulsów nerwowych. Wszystko to dzieje się w tej chwili wewnątrz naszych czaszek i czyni nas tym, czym jesteśmy. Sprawia, że marzymy. Że wierzymy. – Opuścił ręce i podjął wątek. – Ty i ja jesteśmy tylko chemią. Kiedy raz dowiesz się, jak to działa, uczysz się to wykorzystać, zmienić – a nawet kontrolować. Używałeś narkotyków. A także innych rzeczy. Nazywałeś to programowaniem. Zamieniasz umysł w maszynę gotową na przyjęcie instrukcji, poleceń, gotową zrobić wszystko, co tylko jej każesz.

Hopper pokręcił głową.

– Przykro mi.

– Już mówiłeś, a powtórzenie nie sprawi, że poczujesz to mocniej niż za pierwszym razem.

Hopper rozejrzył się po pomieszczeniu.

– Co to za miejsce? To tutaj poddawano cię reedukacji? Co się stało?

Kącik ust Saint Johna uniósł się w uśmiechu.

– Co się stało? Czy ty w ogóle mnie słuchałeś? Wietnam się stał. Ot co. A potem, gdy skończyli próby przerobienia mnie na

nadczołwieka, i gdy ja skończyłem próbować przerobić na nadludzi innych, odesłali mnie do domu i powiedzieli, żebym o wszystkim zapomniał. Oznajmili, że to nigdy nie miało miejsca. Mówili, że sobie to wymyśliłem. Wyobraziłem. Nazwali fantazjami pourazowymi. Ale wiedziałem, że to prawda. Wiedziałem, przez co przeszedłem. Wiesz, jakie to trudne, kiedy ludzie nie słuchają? Kiedy, nieważne, jak bardzo się starasz ich przekonać, nie widzą tego, co powinni?

– Jak długo w tym siedziałeś?

Saint John roześmiał się.

– Och, zawsze w czymś siedziałem. Ale to tu, w Rookwood odnalazłem zbawienie. Tutaj właśnie znów Go usłyszałem. Minęły lata, ale wiedziałem, że kiedyś do mnie przemówił i że znów Go usłyszę. W to także nie wierzyli, więc nauczyłem się milczeć. Gdy tylko wywlekli mnie przez te drzwi, znów usłyszałem Jego głos. Przypomniał mi o mojej ścieżce. Przypomniał, co muszę zrobić. I wtedy właśnie otworzył mi umysł – sam tego nie wiedziałem, ale zamknąłem się przed światem. Przestałem Go słuchać, On jednak cały czas tu był. Z pomocą Lisy znów usłyszałem Jego głos. Wielka szkoda, że nie ma jej tutaj, i że nie zobaczy, jak Jego plan przynosi wspaniałe owoce. Ale zawsze była tego częścią.

Saint John uniósł głowę i popatrzył w sufit. Uśmiechnął się. Hopper przyglądał się, jak jego grdyka kilka razy unosi się i opada, jakby przeżywał wezbrane emocje.

– To stosowne, że kazał mi przyjść tutaj, w to miejsce, na ostatni akt.

– Potrzebujesz pomocy – oznajmił Hopper. – Mogę ci ją załatwić. Jestem taki jak ty, pamiętasz? Przeszedłem przez to. Wróciłem i walczyłem. Ale dałem radę i znów odzyskałem siły. Ty też możesz to zrobić. Musisz tylko mi zaufać. Mogę ci pomóc. Mogę pomóc ci

wszystko naprawić.

Saint John opuścił głowę, przyglądając się Hopperowi znad okularów. Po raz pierwszy Hopper dostrzegł jego oczy. Były błyszczące, piwne i... i tyle. Bo sam Saint John był tylko człowiekiem, jak on. Detektyw poczuł nagle dziwny zawód.

Saint John był tylko człowiekiem.

– Naprawić, o tak – powiedział cicho. – Wiesz, że posłali nas tam, w ten koszmar, i po co? Po to? Dla takiej Ameryki? Dla Nowego Jorku? Nowy Jork to koszmar Ameryki. Ruina. Ziemia jałowa. Ale On to naprawi. Pokazał mi, jak to zrobić.

Hopperowi zakręciło się w głowie, gdy po raz pierwszy dotarł do niego rozmiar obłędu Saint Johna. Przeżycia w Wietnamie złamały go, gdy musiał przejść przez piekło bólu nie z rąk wroga, ale własnej strony. A potem wrócił i odkrył, że jego kraj zmierza w tym samym kierunku.

Hopper rozumiał go. W tym momencie nienawidził samego siebie, ale rozumiał. On sam wrócił z Wietnamu, pragnąc naprawić świat, coś zmienić, zapanować.

Tak samo jak Johnathan Saint. Dwaj kombatanci próbujący znaleźć nową drogę w życiu, nowe miejsce na świecie.

Jakże odmiennie potoczyły się ich losy.

– Pudła – rzekł. – Te akta w magazynie. Jacob Hoeler je ukrył. Natknąłem się na nie, ale zniknęły. To byłś ty, prawda? Albo ktoś ze Żmij, kogo posłałeś.

– Ach, Jacob, Jacob, Jacob. – Saint John splótł palce przed sobą. – Te akta były moje, detektywie. Zapis mojej pracy w dżungli. Mówili: to się nigdy nie wydarzyło, a jednak wszystko tam było.

– I Jacob zdobył je dla ciebie? Posłano go w szeregi Żmij, ale odkryłeś, kim jest, dla kogo pracuje. Czy tak się to potoczyło? Odkryłeś, dla kogo pracuje i jak możesz go wykorzystać?

Saint John zacmokał językiem, jakby rozmowa zaczynała go nudzić. Hopper skorzystał ze sposobności, by ponownie spróbować podnieść ręce, lecz wciąż ani drgnęły.

– Owszem, Jacob Hoeler pracował dla mnie – rzekł Saint John. – Łatwo go było podporządkować mojej woli. Chronił mnie przed władzami, dał czas, bym mógł wcielić w życie plany. Dysponował ograniczonym dostępem do dokumentów i wykorzystał go, by zdobyć moje akta. Opisano w nich ważną pracę, którą chciałem kontynuować.

– I co się stało? Zdołał się wyrwać spod kontroli i próbował je odebrać, więc kazałeś go zabić pod pretekstem rytuału i odzyskałeś akta?

Saint John gwałtownie obrócił głowę.

– Uważaj, detektywie. To nie żaden pretekst.

Hopper nie słuchał.

– Kazałeś go zabić, tak jak wcześniej Sama Barretta i Jonathana Schnetzera.

– Jamesie Hopperze...

– Grupy wsparcia. To stamtąd rekrutowałeś ludzi. Szukałeś bezbronnych, podatnych na wpływy. Ludzi, którzy się boją. Bo strach stanowi klucz. Jeśli ludzie się boją, możesz nad nimi panować.

– Dosyć!

Hopper odetchnął głęboko.

– Posłuchaj mnie, Johnathanie. Mogę ci pomóc.

Saint John uśmiechnął się.

– Owszem, możesz pomóc nam wszystkim.

Hopper zmarszczył brwi. I wtedy Saint John gestem wskazał przedmioty stojące na stole między nimi.

– Weźmiesz ten nóż i zabijesz swoją partnerkę. Potem wypijesz zawartość kielicha i także umrzesz. Jedna ofiara dla Niego. Jedna dla mnie.

– Co?

– Zrobisz to, co należy. Zrobisz to, co każe. Odnajdziesz ścieżkę i podążysz nią, bo wiesz, że to prawda.

Hopper skrzywił się. Czuł się... dziwnie. Może nie odurzony, ale... oderwany od wszystkiego.

– Chcesz wziąć ten nóż. Chcesz ją zabić. Chcesz wypić.

Hopper zamrugał. Nagle odniósł wrażenie, jakby pokój odplynał o tysiąc mil. Jakby patrzył na niego przez odwrotną stronę lunety. Chciał wziąć nóż. Chciał zabić. Chciał wypić. Chciał zrobić to wszystko, bo było słuszne, bo było prawdziwe. Bo tego pragnął. Bo pragnął...

Sapnął głośno, zasysając w płuca wielki haust powietrza. Na brodzie poczuł ślinę. Jego dłonie ścisnęły poręcz krzesła tak mocno, że zabolęły go palce.

Saint John wciąż mówił, ale Hopper go nie słyszał. Widział tylko poruszające się wargi, powtarzające instrukcje.

Podali mi narkotyk. Nagły przebłysk jasności sprawił, że obraz otaczającego go pomieszczenia wyostrzył się nagle. Głos Saint Johna zabrzmiał głośno i wyraźnie.

Odurzyli go. Cokolwiek mu wstrzyknęli – mieszankę środków uspokajających i psychotropów, coś, co Saint John poznał w Wietnamie – zakłócało chemiczną równowagę jego mózgu, czyniąc go podatnym na sugestie i posłusznym rozkazom Saint Johna.

Hopper skupił się. Musiał się skoncentrować, oczyścić umysł, stawić opór – być może beznadziejny – sugestiom przywódcy gangu. Zaczął recytować alfabet od tyłu.

– Z...

– Weź nóż. Weź kielich. Oto twoja prawda.

– Y...

– Zabij kobietę. Zabij siebie. Oto twoja prawda.

– X...

– Służysz tylko Temu, który nadchodzi. Oto twoja prawda.

– W...

– Wiesz, co musisz zrobić. Wiesz, co chcesz zrobić. Oto twoja prawda.

Hopper spojrzał na Saint Johna. Oblizał usta, zmarszczył brwi.

– W...

A potem jego głowa opadła na pierś. Z gardła wydarło się przeciągłe, chrapliwe westchnienie.

– Sprawdź go.

Zimne palce na szyi, szukające pulsu. Ręce na twarzy, szarpiące głowę, siłą unoszące powieki.

Hopper pozwolił im na to.

– Za bardzo odleciał. Podaj mu coś, co odrobinę go ocuci. Ale dokładnie odmierz dawkę.

Hałas, gdzieś za plecami. Metaliczny... Ktoś – Leroy? – szykował nową strzykawkę, nową mieszankę, coś, co zniweluje działanie pierwotnej źle wyliczonej dawki narkotyku.

Leroy podszedł do niego od tyłu i pchnął mu głowę na bok. Hopper czuł jego oddech, gdy chłopak pochylił się, starannie wybierając miejsce zastrzyku.

I wtedy Hopper zareagował gwałtownie. Rąbnął łokciem w górę, trafiając Leroya w gardło. Członek gangu sapnął i poleciał do tyłu, upuszczając strzykawkę. Hopper zerwał się z krzesła, obrócił, chwycił chwiejącego się Leroya za kołnierz i szarpnął naprzód,

waląc na odlew głową. Nos chłopaka pękł z trzaskiem, a czoło Hoppera eksplodowało bólem.

Bólem, którego potrzebował. Nagły wyrzut adrenaliny ocucił go, rozjaśnił zmysły.

Odskoczył w chwili, gdy Reuben runął na niego, unosząc pięść do ciosu. Hopper z łatwością zrobił unik, umykając na bok, i trafił mężczyzną hakiem w brzuch. Reuben zgiął się w pół; runął na ziemię, po drodze wywracając okrągły stolik. Srebrny kielich poleciał łukiem w powietrze i uderzył go w głowę akurat w chwili, gdy gangster gramolił się z podłogi; zaskoczony, znów upadł, a ciemna zawartość naczynia zalała mu twarz.

Saint John ryknął. Zanurkował w stronę Hoppera, chwytając go za szyję i przygniatając do ziemi ciężarem własnego ciała. Hopper zdołał złączyć ręce i pchnąć, próbując przełamać uchwyt, ale Saint John był silny. Tarzali się po podłodze, przewracając świece. Hopper pchał, Saint John odpowiadał tym samym, posyłając przeciwnika wprost na nieprzytomną Delgado. Przywódca gangu kopał, próbując odepchnąć się od podłogi, rąbek jego szaty wylądował na kolejnych świecach.

Rozległ się cichy syk i tkanina zajęła się ogniem. Saint John zerknął na nią i ta sekunda dekoncentracji wystarczyła, by Hopper skorzystał z okazji, uniósł stopę i kopniakiem odrzucił tamtego. Saint John poleciał do tyłu. Okręcił się na podłodze, próbując złapać szatę i zgasić płonący rąbek.

Hopper ruszył naprzód, potykając się, gdy zalała go fala mdłości. Narkotyk znów próbował nad nim zapanować. Coś rozbłysło jasną oślepiającą bielą w polu jego widzenia. Potrząsając głową, by oczyścić wzrok, Hopper przekonał się, że to srebrny sztylet, leżący na podłodze obok jego ręki. Podniósł go akurat w chwili, gdy Saint John znów na niego skoczył. Hopper odwrócił się i ruszył na spotkanie napastnika, pchając sztyletem. Ostrze wygięło się, jakby

miało pęknąć, potem jednak dłoń Hoppera przesunęła się naprzód, gdy nóż zsunął się po kości i klinga rozdarła szatę Saint Johna na ramieniu, wbijając się aż po rękoność.

Saint John wrzasnął z bólu, nagle jakby opuściła go siła. Oderwał się od niego i przeturlał na bok po podłodze. Został tam, jedną rękę przyciskając do ramienia, drugą próbując bez powodzenia odepchnąć się od ziemi.

Hopper odwrócił się, gotów do następnego ataku – ale ten nie nastąpił. Reuben leżał pod drzwiami, charcząc i rozpaczliwie chwytając powietrze. Biała piana zatykała mu gardło i wylewała się z ust. Trucizna z kielicha już działała.

Leroy dźwignął się z podłogi. Jego twarz pokrywała krew, wciąż płynąca ze strzaskanego nosa. Hopper przykucnął, jedną dłoń zacisnął w pięść, drugą otworzył, gotów odeprzeć atak.

I wtedy Leroy zaczął się śmiać. Hopper spał się cały, zakołysał na piętach, niepewny, co zrobi tamten, nie chcąc niczego zakładać.

Nagle chłopak wyciągnął zza paska broń. Hopper rozpoznał colta M1911 – ten sam model, co jego własny, który Lincoln odebrał mu w magazynie.

Wyglądało na to, że podczas gdy ścierał się z Martą, Leroy podniósł broń.

– Leroyu, posłuchaj! – rzucił. Jak głęboko sięgało programowanie Saint Johna? Czy naszprycował swojego podwładnego jeszcze przed przybyciem do Instytutu Rockwood? Hopper przypomniał sobie, w jakim stanie był Leroy na komisariacie, kiedy zjawił się, prosząc o pomoc. Nie dochodził do siebie po haju, tylko po tym, co podał mu Saint John.

Jak daleko odpłynął teraz? Czy Hopper w ogóle zdoła do niego dotrzeć? A może Leroy ślepo słucha ostatnich rozkazów swego pana, podobnie jak reszta Żmij?

Hopper rozluźnił pięść i wyprostował się, rozkładając ręce w możliwie najmniej groźny sposób.

– Leroyu, daj spokój. Mam cię. Musisz tylko wysłuchać mojego głosu. Przypomnij sobie Marthę. Szuka ciebie. Chce, żebyś był bezpieczny. Wszyscy tego chcemy, prawda? Być bezpieczni i wolni? Mogę ci pomóc. Możemy to zrobić razem. Nie myśl o niczym innym. Skoncentruj się na moim głosie. Przeprowadzę cię przez to. Martha na nas czeka. Obaj możemy stąd odejść.

Pistolet w dłoni Leroya zaczął się trząść. Hopper spał się, obserwując lufę. Postąpił krok naprzód. Obejrzał się na młodego mężczyznę.

– Możesz odłożyć broń. To tylko ja. Pamiętasz mnie, prawda? Już wcześniej próbowałem ci pomóc. Mogę ci pomóc teraz. Możemy stąd wyjść i pójść do twojej siostry. Martha czeka na zewnątrz. Znajdziemy ją. Czeka na ciebie. Musisz tylko opuścić broń.

Ręka Leroya trzęsła się coraz bardziej. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Mięśnie szczęki napięły się, gdy walczył z programowaniem.

Ręka z bronią opadła.

Hopper westchnął głęboko. Postąpił kolejny krok.

– Właśnie, Leroyu. Mogę ci pomóc. Skup się tylko na brzmieniu mojego głosu. Przeprowadzę nas przez to.

Leroy zadygotał.

Uniósł pistolet i wycelował.

Hopper zamarł w miejscu i podniósł ręce, kręcąc głową.

– Leroyu, mogę ci pomóc.

Gangster znów opuścił rękę. Hopper ruszył naprzód, wtedy jednak Leroy krzyknął. Wyraźnie widać było, że cierpi. Podniósł broń i nacisnął spust.

Hopper zareagował zbyt późno. Odtrącił rękę Leroya, gdy broń wypaliła. Eksplozja dźwięku zagłuszyła cały świat, pozostawiając w jego uszach tylko piskliwe wycie. Poczłł szarpnięcie lewego ramienia, chwilę później miał wrażenie, jakby całe płonęło.

Był ranny. Nie wiedział jak ciężko, ale ręka wciąż działała. Dziękował za to, bo nadal zmagal się z Leroyem.

Tamten szybko przestał stawiać opór. Hopper trzymał go za przegub i musiał potrząsnąć tylko raz, by chłopak upuścił pistolet. Hopper zdołał uderzyć go od dołu łokciem w brodę, od czego przeciwnikowi ugięły się nogi. Młody mężczyzna stęknął i runął na podłogę.

Hopper z jękiem osunął się na kolana, przyciskając dłoń do zranionej ręki. Rękaw nasiąkł krwią. Ból był niczym rozpalone do białości żelazo. Kiedy pokręcił ramieniem, eksplodował mocniej.

Przeżyje.

Dźwignął się z ziemi i obrócił niespokojnie, myśląc o czymś jeszcze.

Delgado.

Podczas walki z Saint Johnem popychali ją po podłodze.

Teraz leżała na boku z włosami niebezpiecznie blisko paru czarnych świec. Hopper podbiegł do niej, runął na ziemię, odrzucając na bok świece i przekręcił partnerkę na wznak. Sprawdził jej puls i przyłożył ucho do ust, gotów rozpocząć sztuczne oddychanie, ale wtedy jęknęła i powieki jej zatrzepotały. Uniosła głowę, popatrzyła na Hoppera, po czym znów westchnęła. Głowa Delgado opadła na twardą podłogę. Detektyw skrzywiła się z bólu i jęknęła cicho.

– Auu.

Upewniwszy się, że dochodzi do siebie, Hopper obejrzał się na Saint Johna. Przywódca gangu wciąż leżał na podłodze, przekręcił

się jednak na bok. Patrzył na Hoppera. Jedną dłoń przyciskał do poszarpanej, nasiąkniętej krwią szaty na ramieniu. Dyszał. Z kącika ust płynęła mu krew.

Podczas walki zgubił gdzieś okulary. Zamrugał, spoglądając na niego.

Hopper podszedł bliżej, gotów przewrócić przywódcę gangu na wznak i ucisnąć ranę. Nóż wyleciał z niej, a sama rana wyglądała znacznie gorzej, niż z początku sądził. Ilość krwi sugerowała, iż przeciął tętnicę.

Kiedy dotknął Saint Johna, ten próbował go odepchnąć, ale brakowało mu sił.

– Hej, hej, spokojnie. Muszę powstrzymać krwawienie.

Saint John milczał, ale się uśmiechnął i gdy Hopper go przekręcił, zaczął kasłać.

Hopper znalazł dziurę w szacie i przesunął przez nią palce, rozdierając materiał, by odsłonić ranę. Jaskrawa krew tętnicza tryskała z niej niczym woda ze źródła.

– Ofiara – zdążył wyszeptać Saint John. Spojrzał na Hoppera wielkimi piwnymi oczami. – Ty... mi wierzysz... prawda?

Nie odpowiedział. Macał palcami w krwi, próbując znaleźć sposób, by powstrzymać jej wypływ.

Skąd brało się jej aż tyle?

Saint John zamknął oczy.

– Czasami dobrzy ludzie... dobrzy ludzie robią złe rzeczy. Czasami... dobrzy ludzie... nie mają... wyboru...

Leżał bez ruchu. Twarz miał bladą. Krew wsiąkała w szatę, w Hoppera i w pentagram, wydrapany mocnymi nierównymi pociągnięciami w drewnianej podłodze.

Hopper jeszcze chwilę klęczał obok niego. Potem powoli

dźwignął się z ziemi.

– Ach... Hopper?

Obrócił się, gdy Delgado poruszyła się na podłodze. Podeszedł do niej i pomógł jej usiąść. Pokręciła głową i oparła mu się o pierś. Przytulił jej głowę zakrwawionymi dłońmi.

Zostali tak aż do przybycia agentów.

Pokłosie grozy

14 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Po tym, jak załatali mu ramię – choć kula tylko otarła skórę, bolało, jakby przebiła się na wylot – Hopper usiadł na klapie bagażnika karetki i sycząc, opatulił się mocniej kocem. Mimo że nocą upał wcale nie zelżał, czuł dobiegający skądś ziąb.

Zapewne to kwestia wyobraźni.

Teren wokół Instytutu Rookwood wypełniały pojazdy – karetki, wozy strażackie i co najmniej tuzin radiowozów, których koguty zalewały ulicę szaleńczym wirem bieli i błękitu. Hopperowi od świateł zakręciło się w głowie. Działanie narkotyku jeszcze nie do końca ustąpiło i ponownie poczuł się lekko oderwany od rzeczywistości, jakby siedział tak od tysiąca lat, a to, co wydarzyło się w Instytucie Rookwood, stało się we śnie dawno temu.

Zsunął się z bagażnika i wstał. Odczekał moment, sprawdzając, czy utrzyma się na nogach, po czym podszedł do sąsiedniej karetki. Wewnątrz Delgado siedziała na noszach, odpowiadając na serię pytań krzątającego się wokół ratownika, który nadmuchiwał właśnie mankiet aparatu do pomiaru ciśnienia, przypiętego do jej ręki. Widząc Hoppera, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się lekko,

kiwając głową, potem jej głowa opadła na poduszkę.

Żyła.

Leroy także. Hopper przeszedł do następnej karetki – tu na noszach leżał młody mężczyzna. Ratownik badał mu źrenice minilatarką, drugi odhaczał coś w notatniku. Leroy uniósł rękę, lecz ratownik z latarką pchnął ja w dół. Był świadom, ale wciąż pozostawał pod wpływem tego, czym naszprycował go Saint John.

Żył.

Hopper odwrócił się tyłem do ulicy. Z armii Żmij pozostała tylko garstka. Wszystkich aresztowano. Siedzieli z tyłu radiowozów, a mundurowi próbowali wyciągać z nich zeznania. Reszta najwyraźniej umknęła, nim zjawili się pierwsi agenci federalni, drobna część grupy specjalnej Gallupa.

Gdy dwa radiowozy odbiły od krawężnika, w ich miejscu pojawił się nowy pojazd – ciemny i nieoznakowany samochód z zamocowanym na dachu kogutem na magnesie, błyskającym od strony kierowcy. Zaparkował przed frontem i drzwi otwały się gwałtownie. Ze środka wypadli Martha i Gallup, a Hopper upuścił koc i dołączył do nich na środku ulicy.

Martha zmierzyła go uważnym wzrokiem.

– Nic ci nie jest? Co się, u diabła, stało?

Hopper zerknął w dół. Wciąż miał na sobie ubranie, w które wsiąkła krew Saint Johna.

– W porządku. Wszystko w porządku – rzekł. – Domyślam się, że jednak nie zdołałaś tu trafić.

– No tak. Możesz za to winić tego durnia. – Martha przygwoździła wzrokiem Gallupa. – Powiedział, że da mi samochód, a potem mnie w nim zamknął! – Obróciła się, wodząc wzrokiem po zebranych pojazdach ratunkowych. – Gdzie jest Leroy? Hopper, czy on tu był?

Hopper wskazał jedną z karetek. Martha ruszyła biegiem, niemal się potykając. Wpadła do środka, nie zważając na zaskoczonych ratowników, i runęła na Leroya, obejmując go mocno. Hopper widział, jak tamten unosi ręce i słabo tuli siostrę.

– To już koniec, detektywie.

Hopper potarł ręką twarz i odetchnął głęboko, by się uspokoić. Bolało go całe ciało i czuł się ogromnie zmęczony.

Gallup poklepał go po ramieniu.

– To koniec – powtórzył. – Wracaj do domu. Wracaj do rodziny.

Świtało, gdy Hopper podbiegł po schodkach do wejścia budynku. W blasku jasnego porannego słońca światła radiowozu wyraźnie przygasły. Nim dotarł na górę, drzwi otwarły się i stanęła w nich Diane, trzymając w objęciach Sarę. Dziewczynka spała, wtulając głowę pod brodę matki.

Hopper przystanął dwa stopnie od niej. Diane roześmiała się, w reakcji na ogromną, niewypowiedzianą ulgę. Twarz miała mokrą od łez.

Hopper dołączył do niej, jemu także z oczu pociekły łzy. Stali tak z żoną pośrodku holu i obejmowali się. Zranione ramię Hoppera, ściśnięte pomiędzy ich ciałami, bolało, ale z radością zignorował ten drobiazg.

Tkwiąca bezpiecznie między nimi Sara zamrugła, obudziła się i uniosła głowę. Popatrzyła na Diane, potem na Hoppera. Potarła jedno oko grzbietem drobnej dłoni.

– To ty, tatusiu?

– To ja, skarbie. To ja. – Pocałował ją w policzek. – Wróciłem do domu.

Bohaterowie choć na jeden dzień

26 lipca 1977

Brooklyn, Nowy Jork

- To co, Cher, na pewno chcesz to zrobić?
- Nie powinnaś tu stać, podparta pod boki?
- Dupek.
- Hej, chwila.
- Co jest?
- Ja jestem Sonny, a ty Cher.
- Dlaczego mam być Cher?
- Dlaczego? Bo Cher to kobieta. Ja jestem Sonny, ty Cher.
- Cher to kobieta?
- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, kim są Sonny i Cher?
- A powinnam?
- No chyba żartujesz. Proszę, powiedz, że żartujesz.
- Hej, nie moja wina. Jestem z Kuby.
- Nie jesteś z Kuby, tylko z Queens. I wiesz, kim są Sonny i Cher.
- Pytanie pozostaje aktualne.
- Pytanie?

– Na pewno jesteś na to gotów? Bo wiesz, co na nas czeka za tymi drzwiami, prawda?

– Tak, ale...

– Czyli jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Twierdzisz, że mamy jakiś wybór?

– Skoro tak to ujmujesz...

– Może nic nie zrobili.

– W sumie to by mnie nie zdziwiło.

– To nie w stylu kapitana, prawda? Nie lubi takich rzeczy.

– Nie, to fakt.

– Może więc nic tam nie ma. Może nic nie zrobili.

– Racja.

– Czyli możemy wejść.

– Racja.

– Wiesz, co to jeszcze znaczy, detektyw Delgado?

– Co, detektywie Hopper?

– To znaczy, że jesteśmy spóźnieni do pracy.

Delgado spojrzała na partnera, jej wargi wykrzywiały złośliwy uśmiech.

– Chyba dziś nam wolno. Ten jeden raz. Wiele przeszliśmy. Wiesz chyba, że byłam w szpitalu? Nawet zatrzymali mnie na noc! Na noc, detektywie Hopper!

Hopper zaśmiał się.

– Szkoda, że nie posłałem ci kwiatów.

– Mam alergię – odparła. – Jak ręka?

Hopper uniósł lewą rękę, wciąż wiszącą na temblaku.

– Ciągle boli. I to bardzo.

– Raz.

Zmarszczył brwi.

– Raz co?

– Liczę. Wolno ci wspomnieć, że boli cię ręka najwyżej cztery razy dziennie, a i tak jestem niezwykle szczodra. Po czterech razach ujrzysz nieco mniej cierpliwe oblicze swojej partnerki.

Hopper zasalutował zranioną ręką.

– Auć. Tak jest, pszepani.

W tym momencie ktoś otworzył pchnięciem jedno skrzydło drzwi wiodących do pokoju detektywów. Kapitan LaVorgna stanął w progu, kręcąc głową.

– Wy dwoje, macie zamiar wejść, czy czekacie na zaproszenie od burmistrza?

– Tylko jeśli podpisze je Bella Abzug – rzuciła Delgado.

– I je wygrawerujecie – dodał Hopper.

– Chcielibyście – odparł LaVorgna. – Miasta nie stać na takie pierdoły. A ty, Delgado, nie leżałaś w szpitalu aż tak długo. Poza tym, po wszystkim, co zaszło, Cuomo ma wygraną w kieszeni. Sami się przekonacie.

Delgado spojrzała na Hoppera, marszcząc brwi.

– To przez ten upał, nie? Uporczywe trzymanie się przepisowego stroju w końcu usmażyło kapitanowi mózg. A może uwędził się w gorącym gabinecie w chmurach papierosowego dymu?

Hopper otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale groźne spojrzenie LaVorgny przekonało go, żeby lepiej zachował to dla siebie.

Kapitan wyszedł na korytarz, przytrzymując otwarte drzwi. Gestem polecił detektywom, żeby weszli.

Hopper i Delgado spojrzeli po sobie. Hopper nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu; Delgado także wyszczerzyła

zęby i pierwsza przekroczyła próg.

Cały pokój eksplodował oklaskami. Hopper ruszył za Delgado i oboje zatrzymali się za drzwiami, bo pozostali detektywi wstali z miejsc, tworząc półokrąg i witając entuzjastycznie powracających kolegów. I nie była to tylko ich zmiana – nocna ekipa sierżanta Connelly’ego została dłużej, by dołączyć do powitania.

Hopper poczuł, jak ktoś klepnął go w plecy ciężką dłonią. LaVorgna wcisnął się między detektywów, obejmując ich ramionami.

– No dobra, ludzie, wystarczy. Ktoś może usłyszeć i pomyśleć, że udało nam się rozwiązać jakąś sprawę. – Opuścił ręce i gdy wiwaty ucichły, wystąpił naprzód, żeby zwrócić się do zebranych detektywów. – Nieczęsto zdarza się nam tak świętować, ale prawda jest taka, że tych dwoje odwaliło dobrą robotę. Niektórzy mogą uznać, że to słaba pochwała, zwłaszcza po tym, przez co przeszli, ale pozwólcie, że wyjaśnię. Spodziewam się, że każdy z was będzie robił, co trzeba. Dlatego tu jesteście. Dlatego dla mnie pracujecie. Kiedy więc mówię, że dobrze się spisaliście, to wierzcie mi, nie ma bardziej znaczącej pochwały. To dobra robota chroni to miasto. Dobra robota uratuje nas, gdy wszystko inne zawiedzie.

Część detektywów odpowiedziała śmiechem, inni zdziwionymi minami. Hopper zauważył, że większość tych drugich pochodziła z nocnej zmiany.

Kapitan odwrócił się do niego i Delgado.

– Dobrze się spisaliście, detektywi. Ale wciąż zostało jeszcze sporo pracy, nie mówiąc nawet o raporcie, który musicie przygotować przed czwartkową wycieczką do Waszyngtonu. Agent Specjalny Gallup już dzwonił z informacją, że wraz z gronem przyjaciół w garniturach nie może się doczekać bardzo długiej

i bardzo owocnej odprawy z wami, Leroyem i Marthą.

Delgado uniosła brew i zerknęła z ukosa na partnera.

– Długiej i owocnej?

– Zapowiada się rozrywkowy dzień.

– Toteż – podjął kapitan, wskazując ich biurka – może siądziecie na tyłkach i weźmiecie się do pracy?

Nagle uśmiechnął się i raz jeden klasnął w dłonie.

– A wieczorem pijemy u Mahoneya.

Hopper zaśmiał się.

– Dzięki, kapitanie. Dobrze jest wrócić.

LaVorgna przytaknął i odszedł do siebie. Kiedy Delgado i Hopper ruszyli w stronę swoich biur, zebrani detektywi ściskali im dłonie i poklepywali po plecach. Hopper pozdrawiał ich wszystkich, czuł jednak, jak uśmiech powoli znika mu z twarzy. Delgado usiadła za biurkiem, i przyjrzała mu się, marszcząc brwi. Potem uniosła wzrok.

– Co tam?

Hopper skrzywił się lekko i też usiadł.

– Powracający bohaterowie, co?

– Hej, lepiej niech mowa kapitana nie uderzy ci do głowy, Hop – zażartowała partnerka.

Uśmiechnął się słabo.

– Raz już byłem bohaterem. Przynajmniej tak mówili.

– Dali ci za to medal. Dla mnie to dostateczny dowód.

– Ale – Hopper spuścił wzrok – nie dlatego to robimy, prawda? Kapitan miał rację.

– Faktycznie, miał. Jesteśmy tu po to, żeby robić swoje. I to właśnie zrobiliśmy.

Hopper wbił wzrok w blat biurka. Delgado westchnęła, otworzyła szufladę i wyjęła butelkę szkockiej. Postawiła ją między nimi. Hopper uniósł brwi.

– Na Kubie piją szkocką?

– Nie, piją ją w Queens, dupku.

Delgado nalala whisky do swojego kubka, to samo zrobiła dla Hoppera.

– Za dobrą robotę. – Uniosła kubek.

Hopper sięgnął po swój.

– Za dobrą robotę. – Opróżnił go jednym haustem i podsunął Delgado.

Partnerka zaśmiała się i dołała mu szkockiej.

– Pijemy w pracy, Hop. Co powiedziałby kapitan?

Hopper z uśmiechem zademonstrował rękę.

– Wciąż boli. Ponoć paskudnie ją zwichnąłem.

– Dwa.

Uniósł kubek.

– Wypiję za to.

27 grudnia 1984
Domek Hoppera,
Hawkins, Indiana

W domku dziadka Hoppera panowała cisza. Hopper siedział na fotelu, Nastka przysiadła na kanapie naprzeciwko; wciąż opatulona

w koce, patrzyła gdzieś w dal.

Było późno – w istocie minęła już północ. Ale nie szkodzi. Nie mieli planów na jutro, oboje mogli pospać dłużej.

Nie był jednak pewien, czy zdoła zasnąć. Jeszcze nie teraz. A kiedy spojrzał na Nastkę, znów się wystraszył. Czyżby jednak posunął się za daleko?

– Uhm, posłuchaj... – zaczął i urwał, gdy spojrzała na niego.

– Dzięki – rzekła.

– Ja... bardzo proszę. – Hopper potarł dłonią twarz. – Chciałem tylko przeprosić.

Nastka wyprostowała się i posłała mu pytające spojrzenie.

– Za to, że opowiedziałem ci tę historię. No wiesz. Może jesteś na nią odrobinę za młoda.

– Nie – odparła. – Dowiedziałam się... pomagałeś ludziom.

Hopper wybuchnął śmiechem.

– Hej, dzięki!

– Dlaczego byłeś smutny?

Popatrzył na nią i śmiech zamarł mu w gardle.

– Smutny?

– Uratowałeś ludzi. Ale...

– Widziałem też, jak umierają.

– Byłeś bohaterem. – Nastka przekrzywiła głowę. – Bohaterowie są dobrzy.

Hopper zaśmiał się cicho.

– To prawda, ale chyba głównie starałem się wykaraskać z kłopotów i przeżyć. I słuchaj, mała, bycie bohaterem to świetna sprawa, ale nie dlatego coś robisz. Nikt nie powinien chcieć zostać bohaterem. Powinniśmy tylko robić to, co trzeba. Heroizm to nie moja praca. Jestem policjantem. Policja to dla mnie najlepszy

wybór, więc to właśnie robię. I robiłem wtedy. To moja praca i staram się wykonywać ją jak najlepiej.

Nastka przytaknęła i ziewnęła. Hopper też próbował powstrzymać ziewnięcie i na widok jego miny dziewczynka wybuchnęła śmiechem. W końcu poddał się i wstał.

– No dobra, mała. Łóżko. Ale już. I wolno ci pospać dłużej, ale nie za długo, jasne? Wolę, żeby siedzenie do późna nie weszło ci w nawyk.

Nastka wyplątała się z koców i ruszyła do siebie. Przystanąła przy czerwonym stole i podniosła kartę Zenera, wciąż tkwiącą w foliowej torebce na dowody. Hopper zamarł, obserwując córkę, która przez chwilę przyglądała się karcie, a potem odłożyła ją do pudła z napisem „Nowy Jork” i zamknęła wieczko.

Zniknęła w sypialni, a drzwi same zamknęły się za nią.

Hopper uśmiechnął się, wsparty pod boki. Był wykończony, ale szczęśliwy. Może Nastka dowiedziała się czegoś nowego, czegoś o jego przeszłości, dawnym życiu, w dalekim mieście, i pracy, równie satysfakcjonującej, jak niebezpiecznej.

Jego dawne życie.

Hopper zabrał ze stołu nowojorskie pudło i zaniósł do pokoju. Ukląkł, odsunął na bok dywan i uniósł klapę, prowadzącą do schowka. Sięgnął do środka, pomacał w poszukiwaniu włącznika i pstryknął. Niewielką, ciasną przestrzeń zalało słabe światło żarówki.

Delikatnie opuścił pudło w puste miejsce.

A potem zgasił światło, zamknął klapę i poszedł spać.

25 grudnia 1977

Brooklyn, Nowy Jork

Nie padał śnieg, tylko marznący deszcz: lał z nieba falami, unoszonymi przez paskudny mroźny wiatr, który sprawiał, że temperatura w granicach zera przypominała niemal arktyczne mrozy i zamieniał ulicę na zewnątrz w lodowy koszmar, a...

A Hoppera zachwycała każda mroźna minuta. Bo w ich mieszkaniu w brooklyńskiej kamienicy było ciepło i jasno, bo otaczała go rodzina.

I bo było Boże Narodzenie.

Hopper uwielbiał Boże Narodzenie. Siedział w fotelu z zamkniętymi oczami, a kiedy je otworzył, odkrył, że Diane przygląda mu się ze swego miejsca na podłodze, gdzie zmagala się z kolorowymi prezentami, wyciągając je spod choinki z pomocą rozentuzjasmowanej córki. Trzymała właśnie w dłoniach płaską, prostokątną paczkę – *a, tak, to ta; Sara będzie zachwycona* – unosząc brwi i zaciskając usta. Hopper nie miał pojęcia, na co czeka.

– Wszystko w porządku, dziadku? – spytała.

Hopper otworzył usta i zamknął je szybko. Sara roześmiała się i zaczęła wyjaśniać matce, że tatuś nie jest przecież dziadkiem i jeśli mamusia tak myśli, to jest największą głuptaską na całej ulicy, a może i całym świecie.

– Dziadku? – powtórzył w końcu. Zerknął w dół. – Czy w ten sposób chcesz powiedzieć, że w tym uroczym swetrze, który dostałem na Gwiazdkę od mojej uroczej żony, wyglądam godnie i dostojnie?

Diane roześmiała się, ich córka także zaczęła chichotać, jednocześnie próbując przebrać nową lalkę, pierwszy prezent, jaki

rozpakowała. Obok niej na podłodze czekał prezent numer dwa, duża książka obrazkowa, zachwalająca na okładce cuda wszechświata. Hopper sam miał ochotę ją obejrzeć, gdy tylko nadarzy się okazja.

– Nie, nie chodzi o sweter. Ale cieszę się, że ci się podoba.

– Podoba? Jestem zachwycony!

– I dobrze. Ale nie, chodziło mi bardziej o to pełne ukontentowania westchnienie i o zamknięte oczy. Może trzeba ci też było kupić fajkę i papucie.

Hopper uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli westchnąłem – a pamiętaj, nie twierdzę, że tak było – jeśli więc westchnąłem, to na pewno z ukontentowania.

Znów rozsiadł się wygodnie, zamknął oczy, kilka razy przesadnie pokręcił biodrami i splótł ręce na brzuchu. Zaczął udawać, że chrapie, co wywołało kolejny huragan śmiechu u Sary.

Plaśnięcie ciężkim prezentem, trzymanym w dłoni Diane, przywołało go do życia. Hopper zaśmiał się i przesunął naprzód. Pochylony, odebrał jej prezent i sprawdził doczepioną karteczkę.

– Hej, to specjalny prezent dla Sary od mamusi i tatusia! Chodź tu, mała. Chodź!

Sara zerwała się z podłogi i podbiegła w podskokach do fotela Hoppera, po czym wgramoliła mu się na kolana i sięgnęła po prezent. Diane przysiadła na poręczy, obejmując go ramieniem za szyję. Hopper uniósł głowę i małżonkowie pocałowali się szybko, podczas gdy Sara rozdzierała ozdobny papier, odsłaniając dużą książkę w twardej oprawie. Okładkę zdobiła ilustracja, przedstawiająca jasnowłosą dziewczynkę w błękitnej sukience, patrzącą w lustro.

Sara odwróciła się, żeby spojrzeć na rodziców, jej twarzyczkę przepełniał zachwyty. Rozpoznała dziewczynkę z okładki

i natychmiast zaczęła przewracać kartki, wyszukując inne znajome ilustracje, które z pewnością kryły się tam w środku.

– Ostrożnie, młoda. – Hopper delikatnie ujął dłonie córki, prowadząc je w mniej gorączkowym tempie. Poprawił lekko przekrzywioną książkę i wrócił na stronę tytułową.

– *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra* – przeczytał, przesuwając palcem wzdłuż kolejnych słów.

– Alicja! – niemal krzyknęła Sara. – Ja tak kocham Alicję! Bo jadła podwieczorek z królową i kotem i wpadła do nory!

Diane pogłaskała ją po włosach.

– Zgadza się, skarbie. A to zupełnie nowa historia. Tatuś może zacząć ci ją czytać już dziś wieczorem.

Sara przekręciła głowę, żeby popatrzeć na ojca.

– Mogę już iść do łóżka, żebyś mógł zacząć czytać?

– Nie możesz. Bo zamienisz się w dziadka, jak twój tato.

Sara wybuchnęła śmiechem.

Diane przytuliła się do męża.

– Wiesz, mam wrażenie, że w ogóle nie czytałam tej książki.

– Pierwsza bardzo jej się podobała, prawda? Zresztą z tego, co pamiętam, tobie także.

Ścisnęła jego ramię.

– Może ja też wpadnę posłuchać.

Sara obróciła książkę, sprawdzając tył okładki, a potem położyła na niej obie ręce, chwytając mocno krawędź.

– Myślę, że tatuś już może zacząć czytać. Bo przecież książki można czytać zawsze, nie tylko przed snem.

Hopper zacisnął usta.

– Wiesz co? Ona ma rację.

– Faktycznie ma – przyznała Diane.

– No dobra – Hopper usiadł prosto i wciągnął sobie Sarę na kolana – zbierzcie się wszyscy, zbierzcie się wkoło, bo czas na świąteczną historię – urwał. – No, tak naprawdę to historię opowiadaną w święta, nie taką o świętach...

– Tatusiu, przestań już!

– Oo, mamy tu krytyków – rzucił Hopper.

A potem otworzył książkę i z córką na kolanach i żoną u boku zaczął czytać.

Podziękowania

Dziękuję wspaniałemu redaktorowi Tomowi Hoelerowi za jego niestrudzoną ciężką pracę, bezbrzeżny entuzjazm i niesamowite umiejętności. Tom, Elizabeth Schaefer i cały zespół z Del Reya włożyli serca w ten projekt, i jestem niezmiernie wdzięczny, że mogłem pracować nad nim z nimi. Sam projekt nie powstałby, gdyby nie wyobraźnia i wizja braci Duffer i gdyby nie Netflix – wspólnie stworzyli cały wszechświat i pozwolili mi się nim pobawić. Dziękuję też Paulowi Dichterowi za rady i uwagi.

Jak zawsze, dziękuję z całego serca mojej agentce, Stacji Decker z agencji Dunow, Carlson & Lerner. Dziękuję też Davidowi M. Barnettowi, Brii LaVorgnie, Cavanowi Scottowi i Jen Williams za ich wsparcie, i Martinowi Simmondsowi za cudowną grafikę przedstawiającą Jedenastkę, którą z dumą powiesiłem na ścianie w gabinecie. Jestem szczególnie wdzięczny Jasonowi Fry i Gregowi Prince'owi za dogłębną znajomość bejsbola w 1977 roku oraz Gregowi Youngowi i Tomowi Meyersowi z podcastu *The Bowery Boys: New York City History* za pomoc w przygotowaniach.

Możliwość dołożenia własnej cegiełki do mitologii serialu takiego jak *Stranger Things* to prawdziwy zaszczyt, i nic nie byłoby takie samo, gdyby nie David Harbour i Millie Bobby Brown, którzy tchnęli życie w ekranowe wersje Jima Hoppera i Jedenastki. Mam nadzieję, że nie przyniosłem wstydu waszym postaciom.

I wreszcie dziękuję mojej żonie Sandrze, za jej niewyczerpaną cierpliwość, miłość i wsparcie, gdy potrzebowałem go najbardziej. Ta książka jest dla Ciebie.